MIESIĘCZNIK
3 '82
Fantastyka
CENA
50 ZŁ



PIERWSZY I NIEUSTAJĄCY KONKURS „FANTASTYKI"

Poszukując talentów w tak szerokiej, a specyficznej dziedzinie twórczości, jaką jest science fiction, ogłaszamy nieustający konkurs na

prozę (nowela, powieść) i poezję SF

oraz na

grafikę i malarstwo SF

Utwory mogą przesyłać zarówno osoby zajmujące się zawodowo pisarstwem i plastyką jak i amatorzy – pod adresem naszej redakcji z dopiskiem Konkurs. Utwory nagrodzone będą drukowane w „Fantastyce" i honorowane według przyjętych stawek autorskich, wyróżnieniem zaś będzie otrzymanie od redakcji książek z dziedziny SF oraz wymienienie nazwiska osoby wyróżnionej na łamach pisma.
Zastrzegamy sobie drukowanie utworów nagrodzonych w całości lub we fragmentach. Powinny być oryginalne i nigdzie dotychczas nie publikowane.
Oczekujemy i zapraszamy. Każdy utwór będzie skrupulatnie oceniany przez grono specjalistów.

Redakcja



W dniach 2-6 września w Chicago odbył się kolejny światowy konwent science fiction, tym razem połączony z organizowanym przez miejscowy klub SF meetingiem pod nazwą CHICON VI. Podczas konwentu ogłoszono wyniki tegorocznego plebiscytu i przyznano nagrody HUGO'82. Ich laureatami zostali:

C.J. CHERRYCH za powieść *„Downbelow Station"*

POUL ANDERSON za minipowieść *„The Saturn Game"*

ROGER ZELAZNY za nowelę *„Unicorn Variation"*

JOHN VARLEY za opowiadanie *„The Pusher"*

EDWARD L. FERMAN za działalność edytorską

MICHAEL WHELAN za twórczość plastyczną

przedstawienie RAIDERS OF THE LOST ARK jako najlepszy spektakl dramatyczny

magazyn LOCUS

Za najlepszego pisarza nieprofesjonalnego uznano RICHARDA E. GEISA

zaś za najlepszego nieprofesjonalnego plastyka VICTORIĘ POYSER

Podczas konwencji przyznano również dwie inne liczące się światowe nagrody. Laureatem JOHN W. CAMPBELL AWARD został w 1982 roku *AleksisGilliland,* zaś laureatem SPECIAL C'TEE AWARD *Mike Glyer.*

A. W. (ESSF)

W następnym numerze:
George Collyns – Krzyżówka
Pierre Marlson – Sługa miasta
d.c. powieści Mac Appa
Marek Baraniecki – Karlgoro godz. 18
Nobel 1982 – o Fantastyce w pisarstwie Marqueza i SF w literaturze iberoamerykańskiej



48

Horoskopy, wiara w gwiazdy, piękna królewna, królestwo i władza. Wśród bajkowych rekwizytów toczy się opowiadanie z wieloma dość gorzkimi odniesieniami do współczesności.
Maciej Parowski
„Pomóż swojej gwieździe"

...3...2...1...



Najbardziej mnie denerwuje, gdy piszę ten wstępny materiał o naszej trzeciej podróży z „Fantastyką” w przestrzenie science fiction, że zupełnie się nie orientuję jak czytelnicy oceniają nasze wysiłki. Nie mam pojęcia o odbiorze pisma, ponieważ trzy pierwsze jego numery musieliśmy przygotować w tempie iście kosmicznym, aby sprostać powolności naszej poligrafii. Skończyliśmy więc kolejną robotę, ten trzeci właśnie start i lądowanie, kiedy jeszcze o tym nikt nie zdołał się dowiedzieć. Albowiem **pierwszy** numer „Fantastyki” ma szansę ukazać się dopiero w drugiej połowie października, a ja opis **trzeciego** startu muszę ukończyć 1 października.

Tak to rzeczywistość nie potrafi sprostać fantazji. Dole i niedole polskiej science fiction punktujemy zresztą od pierwszego numeru, od pierwszych rozmów z wydawcami. Tym razem w naszej „Paradzie wydawców” pragnę zwrócić uwagę na wywiad z Lechem Jęczmykiem z „Czytelnika”, człowiekiem, który z uporem, jak niektórzy sądzili godnym lepszej literatury, lansował od dawna krajową i zagraniczną science fiction, wychodząc naprzeciw gustom epoki, gustom po dziś dzień nie docenianym i lekceważonym przez nasze wydawnictwa. Oczywiście ukazuje się co roku po kilka serii wydawniczych SF w wielu polskich oficynach księgarskich. Najczęściej jednak traktują one tę literaturę jako „roboczą krewną”, służącą, która ma zarobić na deficyt literatury innych gatunków. W tym oczywiście tkwi klucz do tajemnicy mankamentów naszej science fiction. Traktowana nieco po macoszemu (pismo takie jak nasze ukazuje się w Polsce po raz pierwszy, w innych zaś krajach czasopisma SF już od dawna są w kursie), używana do robienia pieniędzy, a przy tym ilościowo uboga (oficyny w wielu innych krajach wydają kilkakrotnie więcej tytułów niż się to czyni u nas) – naraża się na milczenie krytyki i rozmijanie się (przez swą wąskotorowość z konieczności) z oczekiwaniami odbiorców. Toteż wiele osób twierdzi z zaciśniętymi zębami, iż właściwie nie znosi fantastyki, ale... ją czyta, chce czytać. Taki to gatunek.

Pisarze, którzy wystartowali w latach pięćdziesiątych z polską fantastyką – pokolenie Lema, Borunia, Trepki, moje – widząc niechęć ze strony ówczesnych wydawców, rezygnowali często z pisania tej literatury. Dopiero później, później do niej jednak wracali. Trudno bowiem w XX stuleciu oderwać się od specyfiki SF. Startowała ona w kraju pod hasłami antywojennymi, szukała nowych modeli społecznych. Była w sumie bardzo dydaktyczna, moralizatorska. I wiele z tego jej pozostało do naszych czasów, mimo że upłynęło od tamtych startów przeszło ćwierć wieku. Na pożółkłych kartkach przypominamy dzisiaj sylwetkę klasyka naszej literatury fantastyczno-naukowej Krzysztofa Borunia i jego opowiadanie z 1958 roku „Fabryka szczęścia”. Boruń jest ciągle pisarzem popularnym, popularniejszym niż w latach swej pierwszej pisarskiej młodości.

A w światowej literaturze SF, jak zresztą i w naszej, wojna nie przestała być ciągle jednym z przewodnich tematów nowel i powieści, a także filmów, jako tragiczna próba postaw i charakterów. Nawiązuje do tego nurtu opowiadanie Harry Harrisona „Wojna – moja miłość?”, a przede wszystkim pierwszy odcinek nowej powieści C.C. Mac Appa „Zapomnij o Ziemi”. W tym numerze zakończenie powieści A. i B. Strugackich „Żuk w mrowisku”. Bylibyśmy wdzięczni za opinie naszych czytelników na jej temat. Jak zwykle w podróżach fantastycznych nie może brakować sporej dawki prozy polskiej. Tym razem Maciej Parowski prezentuje swe opowiadanie „Pomóż swojej gwieździe”, a niżej podpisany fragment większej całości, która zapewne kiedyś opuści zakład poligraficzny. Po wielu, wielu latach. Tytuł fragmentu: „Krwawe jezioro”.

Uwaga! Zmienia się w tym miesiącu nasza lista bestsellerów. W momencie kiedy to piszę, jesteśmy właśnie po lekturach nowych książek, a przede wszystkim nowej prozy Stanisława Lema, i przygotowujemy się do redakcyjnej dyskusji nad kształtem listy, z utęsknieniem wyczekując na opinie czytelników. Pragniemy je skonfrontować z naszymi osądami. Niestety, na krytykę czytelników musimy poczekać aż numery jeden po drugim zaczną (oby regularnie) wychodzić miesiąc po miesiącu.

A propos krytyki. Bardzo chcielibyśmy, jeśli to w ogóle możliwe, uporządkować trochę sprawy ocen twórczości SF. W codziennej bowiem praktyce pism literackich, a także dzienników, recenzowanie tego gatunku prozy nie należy do zjawisk częstych. Panuje przy tym ogromne pomieszanie gustów, opinii, a także kwalifikacji. Jest rzeczą paradoksalną, że należąca do najpoczytniejszych dziedzina pisarstwa dopiero tu i ówdzie zaczyna się dopracowywać faktografii historycznej, monografii o tematach twórczości i autorach. Wszystko to jest in statu nascendi. Nieprędko jeszcze (a szkoda) ukaże się więc słownik autorów fantastyki (próbujemy go dawać, ale dawki niestety są małe). Nie istnieje też żadna porządna encyklopedia literatury fantastycznej po polsku. Nie ma prac, które obejmowałyby całą historię gatunku. Zwracam na to uwagę wszystkich naszych Czytelników, aby pojęli dlaczego zajmujemy się tymi sprawami, czemu poświęcamy wiele kolumn zagadnieniom właśnie krytyki i pokrewnych jej działów.

Okładka zamykająca trzeci numer naszego pisma, którą dostrzega się dopiero po przeczytaniu tego co w środku, ukazuje styl filmów i całego bogatego dzisiaj nurtu SF, jakiego zupełnie nie znają nasze ekrany, a mało nasze książki, a który zdobył sobie bardzo szeroką publiczność w wielu krajach zachodnich, szczególnie w USA. Technika wykonania tych publikacji stoi na rzeczywiście bardzo wysokim poziomie. Treści są przepojone horrorem, erotyzmem i... baśniowością. Są to na ogół bajki bardzo okrutne.

Nie zachęcałbym naszych twórców filmowych do wiernego naśladowania tej sfery zainteresowań. Dziwi jednak prawie zupełny brak obrazów filmowych SF na warsztatach polskich filmowców. Zasłaniają się zwykle, gdy się ich pyta dlaczego – słabością naszych możliwości technicznych. Nie wydaje się to wytłumaczenie zadowalające. Przecież w dobrej science fiction technika pełni jedynie służebną rolę. To truizm, ale w prawdziwej literaturze zawsze i przede wszystkim idzie o sprawy ludzkie. Nie znaczy to, że technika SF bywa w ogóle niepotrzebna. Jest ona niewątpliwie jednym z elementów uwypuklających czy zagęszczających problematykę etyczną. Przesada techniczna potrafi jednak czasami psuć książkę czy film. Jak – moim zdaniem – komiksowe efekty zastosowane w nadmiarze w „Gwiezdnych wojnach” nużą i zaciemniają bieg wydarzeń.

Zresztą zobaczymy. Podobno zakupiliśmy „Gwiezdnych wojen” część drugą, a istnieje już część trzecia. Komiksy mają powodzenie, mimo wszystko. „Kosmiczny detektyw” idzie więc u nas dalej w naszym komiksowym serialu.

Do zobaczenia w czwartej podróży z „Fantastyką”.

10 – 9 – 8 – 7 – 6 – 5 – 4 – 3 – 2 – 1 – 0

Adam Hollanek

fantastyka

miesięcznik literatury SF
00-666 Warszawa, ul. Noakowskiego 14
tel. 21-32-56 (łączy wszystkie działy)
REDAGUJE ZESPÓŁ:
Adam Hollanek (red. nacz.), Leszek Bugajski, Sławomir Kędzierski, Andrzej Krzepkowski (kier. działu ogólnego), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Wiktor Malski (sekr. red.), Tadeusz Markowski (z-ca red. nacz.), Andrzej Niewiadowski (kier. działu krytyki), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (kier. działu zagr.), Marek Rostocki (kier. działu nauki), Krzysztof Szolginia, Andrzej Wójcik (z-ca red. nacz.).
Opracowanie graficzne: Andrzej Brzezicki.
Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93, Biuro Reklam i Propagandy tel. 25-56-26.
Cena prenumeraty: kwart. 150 zł, półr. 300 zł, rocznie 600 zł.

Warunki prenumeraty:

● **dla instytucji i zakładów pracy**
– instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i miastach, w których znajdują się siedziby oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach,
– instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u listonoszy.

● **dla prenumeratorów indywidualnych**
– osoby zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch”, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u listonoszy,
– osoby zamieszkałe w miastach – siedzibach oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch”, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych, przy użyciu „blankietu wpłaty”, na rachunek bankowy: Przedsiębiorstwo Upowszechniania Prasy i Książki w Łodzi, ul. Kopernika 53, nr konta NBP I O/M Łódź nr 47018-1603.

● **prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę** przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.
Termin przyjmowania prenumeraty:
– do dnia 25 listopada na I kwartał, I półrocze oraz cały rok 1983,
– do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku 1983.

N. 150 000 egz. Druk i oprawa: PZGraf Łódź Z 2562/82 r.
NR INDEKSU 35839 Z-109

Wojna moja miłość?

Żołnierzu Dom Priego – krzyknął sierżant Toth przez całą długość sypialni. – ZABIJĘ CIĘ!!!

Dom czytał książkę wyciągnięty na pryczy. Oderwał od niej oczy w momencie, gdy sierżant opuścił ramię, ciskając błyszczący nóż komandoski. Wyćwiczone do perfekcji odruchy podniosły książkę i nóż wbił się w nią z głuchym łoskotem po rękojeść, zatrzymując się kilka milimetrów od twarzy Doma.

– Ty kretyńska małpo – wycedził – czy wiesz ile mnie kosztowała ta książka? Czy wiesz ile ona ma lat?

– Czy wiesz, że jeszcze żyjesz? – odparł sierżant. Ślad zimnego uśmiechu zmarszczył kąciki jego kocich oczu. Przeszedł wyniośle, jak drapieżne zwierzę, między pryczami i sięgnął po rękojeść.

– O nie! – zasyczał Dom odsuwając książkę na bok. – Wystarczająco ją zniszczyłeś.

Położył książkę na pryczy i ostrożnie wydobył z niej nóż. Nagle rzucił go pod stopy sierżanta. Toth niezauważalnie odsunął nogę na bok, tak że nóż wbił się w plastykową podłogę, nie czyniąc mu najmniejszej krzywdy.

– Spokój, żołnierzu – stwierdził beznamiętnie. – Nigdy nie powinieneś tracić spokoju. W ten sposób zaczynasz popełniać błędy i w końcu dajesz się zabić.

Pochylił się i wyrwał nóż z podłogi, balansując chwilę jego klingą koniuszkami palców. Gdy się wyprostował na sali zapanowało poruszenie. Żołnierze poderwali się z prycz gotowi w każdej chwili do akcji. Toth roześmiał się cynicznie.

– To byłoby zbyt proste – wsunął nóż za cholewę buta. – Spodziewacie się tego – dodał.

– Ty sadystyczny draniu – odezwał się Dom wygładzając przeciętą okładkę. – Cholernie lubisz straszyć ludzi.

– Być może – odparł nie zbity z tropu Toth i usiadł na pryczy po przeciwległej stronie przejścia. – A może po prostu jestem właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Mniejsza z tym. Mam was szkolić, utrzymywać w gotowości i przygotowywać na najgorsze, bo dzięki temu macie jakieś szanse na przeżycie. Powinniście raczej być mi wdzięczni za ten sadyzm.

– Nie kupisz mnie tym sierżancie. Należysz do facetów, o których pisał autor tej właśnie książki, którą tak usilnie starałeś się zniszczyć.

– Nie ja. Ty się nią zasłoniłeś. Powtarzam wam smarkacze: ratujcie własne dupy. Tylko to się liczy. Każdy sposób jest dobry, bo macie tylko jedno życie i musicie starać się je przedłużyć.

– Właśnie tu...

– Zdjęcia dziewczyn?

– Nie sierżancie, słowa. Wielkie słowa, pisane przez człowieka, o którym nigdy nie słyszałeś, o nazwisku Oscar Wilde.

– Jasne! Oscar Fingal Wilde. Mistrz wagi ciężkiej floty.

– Nie. Oscar Fingal O'Flahertie Wills Wilde. Żadnego pokrewieństwa z twoim buldogiem, śmiem twierdzić. Napisał tutaj, że dopóki wojna uważana będzie za niegodziwość, zawsze ktoś znajdzie w niej pewien smaczek. Gdy potraktujemy ją jako coś zwyczajnego, to zaraz przestanie pociągać.

Oczy Totha zwęziły się w namyśle.

– To brzmi prosto. Ale to nie jest wcale tak. Są inne przyczyny wojny.

– Na przykład?

Sierżant otworzył usta w odpowiedzi, ale głos utonął w modulowanym ryku syreny alarmowej. Jej dźwięk rozległ się jednocześnie we wszystkich pomieszczeniach statku i wywołał natychmiastową reakcję.

Załoga rzuciła się pędem na swoje stanowiska bojowe. Ludzie, którzy jeszcze przed chwilą spali głęboko, teraz przecierali zaspane oczy w pełnym biegu. Pędzili i stawali. I zanim echo syreny ucichło, wielki statek kosmiczny był gotów do akcji.

Z wyjątkiem żołnierzy. Do czasu otrzymania odpowiedniego rozkazu stanowili na tym statku zwykły ładunek. Stali gotowi w dwuszeregu srebrzystoszarych mundurów w przejściu swojej sypialni. Sierżant Toth stał przy ścianie z hełmem podłączonym do końcówki intercomu, wsłuchując się w niesłyszalny dla innych głos i kiwając od czasu do czasu głową w niepotrzebnym geście potwierdzenia. Oczy wszystkich spoglądały na niego przez cały czas kiedy odłączał się od końcówki i powoli odwracał twarzą do nich. Smakował przez chwilę tę ich ciszę, by wreszcie wykrzywić się w najszerszym grymasie śmiechu, jaki zdarzyło im się widzieć na jego zwykle bezwyrazowej twarzy.

– Nareszcie – powiedział, zacierając ręce. – Mogę wam wreszcie powiedzieć, że Edynburczycy byli oczekiwani przez całą naszą flotę i że nie jesteśmy sami. Zwiadowcy odkryli ich flotę tuż po wyjściu z nadprzestrzeni. Powinni dotrzeć do nas za jakieś dwie godziny. Wyjdziemy im naprzeciw. Tak właśnie wygląda cała sprawa, moje smarkate prawiczki.

Zgromadzeni wydali w odpowiedzi cichy dźwięk podobny do warkotu psa, co rozszerzyło jeszcze bardziej grymas na twarzy sierżanta.

– Trzymajcie tylko ten nastrój. Przekażcie go wrogowi – grymas znikł równie nagle, jak się pojawił. Z normalną, kamienną twarzą przywołał szeregi do porządku.

– Kapral Steres jest wciąż na izbie chorych z wysoką temperaturą. Mamy więc jednego dowódcę plutonu mniej. Od chwili ogłoszenia alarmu znaleźliśmy się w warunkach bojowych. Mogę więc przyznawać polowe nominacje. Właśnie to zrobię. Żołnierzu Priego, wystąp dwa kroki do przodu. – Dom wyprostował się i wystąpił.

– Jesteś od tej chwili dowódcą plutonu bombowego. Spisz się dobrze, a twoja nominacja zostanie oficjalnie potwierdzona. Kapralu Priego, wróć do szeregu i czekaj. Reszta do śluzy, krokiem marsz.

Sierżant Toth odsunął się na bok przepuszczając żołnierzy. Kiedy ostatni z nich zniknął w korytarzu wycelował swój palec w Doma.

– Tylko słowo. Jesteś równie dobry, co każdy z nich. Lepszy niż większość przez twój spryt. Ale za dużo myślisz o rzeczach, o których nie powinieneś myśleć. Przestań myśleć i zacznij walczyć. Inaczej w życiu nie wrócisz na swój uniwersytet. Skrew tylko, a przysięgam, że jeżeli nie dostaną cię Edynburczycy, to ja cię dostanę. Wrócisz jako kapral albo nie wrócisz wcale. Jasne?

– Jasne – twarz Doma była równie zimna i bez wyrazu, jak twarz sierżanta. – Jestem równie dobrym żołnierzem co ty, sierżancie. Zrobię swoją robotę.

– Więc na co czekasz? Biegiem!

Dom był ostatnim żołnierzem, który pobrał kombinezon kosmiczny. Reszta zajęta była już sprawdzaniem ich szczelności, podczas gdy on dopiero zapinał zamki. Mimo to nie przyspieszył ani trochę swoich ruchów. Z wyćwiczoną powolnością spokojnie sprawdzał listę czynności.

Dopiero kiedy wszystkie kontrolki zapłonęły na zielono Dom pokazał zbrojmistrzowi kciukiem swoje OK i przeszedł przez śluzę. Czekając na wypompowanie z niej powietrza sprawdzał jeszcze raz wszystkie kontrolki. Wreszcie pompy zakończyły swoją pracę i wewnętrzne drzwi otwarły się bezgłośnie w doskonałej próżni. Wszedł do zbrojowni.

Światło tutaj było ledwo widoczne i wkrótce miało zniknąć zupełnie. Dom podszedł do szafki ze swoim wyposażeniem. Jak u wszystkich z plutonu bombowego jego skafander był lekko opancerzony i wyposażony jedynie w najbardziej niezbędną broń ręczną. Śrubowiec przyczepił na lewym udzie tuż pod palcami. Oślepiacz powędrował do olstra na zewnętrznej stronie prawej łydki – to była jego ulubiona broń. Wywiad donosił ostatnio, że część Edynburczyków wciąż była wyposażona w nie opancerzone skafandry. Na wypadek takiej właśnie ewentualności Dom przypiął na pasku z tyłu lekki oścień. Każda z tych śmiercionośnych broni była od miesięcy przechowywana w próżni i chłodzie zbrojowni, a ich temperatura sięgała zera absolutnego. Każda z nich została jednak zaprojektowana do używania w takiej właśnie temperaturze i żadna nie wymagała smarowania.

Czyjś hełm dotknął hełmu Doma i przezroczysta ceramika przeniosła głos Winga:

– Jestem prawie gotów, Dom. Czy mógłbyś założyć moją bombę? No i gratuluję. Mam cię tytułować Kapralem?

– Poczekaj aż wrócimy i zatwierdzą to oficjalnie. Nie wierzę za grosz w to, co mówi Toth.

Wysunął pierwszą bombę atomową z pojemnika, sprawdził czy wszystkie jej kontrolki świecą się zielonym światłem i wsunął do schowka stanowiącego integralną część skafandra Winga.

– Gotowe – powiedział – teraz możesz założyć moją.

Właśnie kończyli, kiedy zbliżył się do nich potężny mężczyzna w bojowym pancerzu. Dom rozpoznałby go bez trudu nawet bez błyszczącego napisu na hełmie: Helmutz.

– Co jest, Helm? – zapytał kiedy ich hełmy się dotknęły.

– Sierżant. Kazał mi zgłosić się do ciebie jako nosiciel bomb – w głosie przybyłego czuć było złość.

– W porządku. Zaraz ci je zaczepimy na szelkach plecowych. – Mężczyzna nie wyglądał na zachwyconego i Dom wiedział dlaczego. – I nie przejmuj się, że nie weźmiesz udziału w walce. Starczy dla każdego – dodał.

– Jestem żołnierzem.

– Wszyscy jesteśmy żołnierzami. Mamy tylko jeden cel: założyć i detonować nasze bomby. Teraz jest to również twoim zadaniem.

Helmutz nie wyglądał na przekonanego i przez cały czas, kiedy mocowali mu na plecach szelki z bombami stał nieruchomo jak posąg. Zanim skończyli to delikatne zajęcie, w słuchawkach zaszumiało, a zaraz potem czyjś głos zapytał na bojowej częstotliwości:

– Czy jesteście już ubrani i uzbrojeni? Zaczynamy zmniejszać natężenie światła.

– Żołnierze ubrani i uzbrojeni – odparł Toth.

– Pluton bombowy niegotów – poprawił Dom i wszyscy zaczęli gorączkowo

kończyć ostatnie poprawki świadomi, że reszta czeka tylko na nich.
– Pluton bombowy ubrany i uzbrojony.
– Światła.
W zbrojowni zapanowała prawie doskonała ciemność przerywana jedynie kilkoma czerwonymi lampkami sygnalizacyjnymi umieszczonymi pod sufitem. Dom po omacku znalazł drogę do jednej z ławeczek i wymacał palcami zawór tlenowy, do którego podłączył się oszczędzając własne zapasy. W słuchawkach rozbrzmiewała teraz głośna muzyka, stanowiąca część wsparcia moralnego. Tu, w zbrojowni, mając na plecach tysiące kiloton w bombach atomowych, takie wyczekiwanie mogłoby wykończyć najlepsze nerwy. Robiono więc wszystko dla poprawienia nastroju. Muzyka wreszcie ucichła i na jej miejsce włączył się czyjś głos:
– Mówi oficer dyżurny. Postaram się wyjaśnić wam, co się stało i jak wygląda obecnie sytuacja, tu, na mostku. Edynburczycy zaatakowali w sile floty i zaraz po jej wykryciu przez naszą obronę ich ambasador ogłosił, że między naszymi blokami istnieje stan wojny. Zażądał, żeby Ziemia poddała się natychmiast. Chyba wiecie wszyscy, jaką otrzymał odpowiedź. Edynburczycy zdobyli już dwanaście zamieszkałych planet i włączyli je wszystkie do swojej Wielkiej Celtyckiej Strefy Dobrobytu. Teraz stali się jeszcze bardziej chciwi i rzucili się na największą zdobycz, na Ziemię – planetę, z której przed setkami pokoleń odlecieli ich przodkowie. Tym samym... czekajcie... dostałem właśnie najnowszy raport bojowy... dotyczy pierwszych starć z naszymi zwiadowcami.
Oficer przerwał na moment, zapoznając się z treścią dokumentów. Wreszcie zaczął mówić znowu.
– Cała flota, ale nie większa niż szacowaliśmy. Zaobserwowano nowy wariant w ich taktyce i nasz komputer właśnie to analizuje. Przypomnę wam, że to oni zapoczątkowali technikę inwazji za pomocą Przekaźników Materii. Ich statki lądowały na atakowanej planecie i uruchamiały setki Przekaźników, przez które transportowano wojska inwazyjne wprost z ich rodzinnej planety. Teraz zmienili tę taktykę po raz pierwszy. Cała ich flota ochrania tylko jeden statek – nosiciela zwiadowców klasy Kriger. Co to znaczy? Przeczytam wam wydruk komputera, który właśnie otrzymałem: „jedyna możliwość pojedynczy nosiciel Przekaźnika Materii zwiększający siłę ataku". Znaczy to tyle, że statek ten według wszelkiego prawdopodobieństwa ma zamontowany jeden potężny Przekaźnik Materii, większy od wszystkiego co można sobie wyobrazić. Jeżeli tak rzeczywiście jest i jeżeli ich statek wyląduje na Ziemi, to będą mogli wypuszczać przez tego kolosa bezpośrednio ciężkie bombowce, strzelać zaprogramowanymi rakietami, wysyłać ze swojej bazy całe transportowce z wojskiem. Słowem, jeżeli wylądują, to ich inwazja musi się udać.
– Jeżeli oczywiście wylądują. Edynburczycy znaleźli jedyny sposób na dokonanie udanej inwazji planetarnej. My znaleźliśmy jedyny sposób na przeszkodzenie im w tym. Wy jesteście tą odpowiedzią. Tamci włożyli wszystkie swoje jaja do jednego koszyka – wy zaś rozwalicie ten koszyk w drzazgi. Możecie dotrzeć wszędzie tam, gdzie nie mogą dojść nasze statki i rakiety. Zresztą wkrótce osiągniemy rubież wyjściową i zostaniecie wezwani na wasze stanowisko bojowe. Idźcie więc i zróbcie, co do was należy. Los Ziemi jest w waszych rękach.
Melodramatyczne słowa – pomyślał Dom – ale prawdziwe. Wszystkie statki floty, cała moc niszcząca jej broni, wszystko to zgromadzono dla nich. Sygnał alarmu przerwał mu te rozmyślania.
– Odłączcie się od tlenu. Wstawajcie według wyczytywanych nazwisk i kierujcie się do strzelnicy. Toth...
Nazwiska padały szybko i żołnierze jeden za drugim znikali w ciemności. Przy wejściu do strzelnicy ktoś z jej obsługi sprawdzał jeszcze raz nazwiska, upewniając się, że wchodzą w ustalonym porządku. Wszystkie nieskończone godziny treningu służyły właśnie tej jednej chwili. Sama strzelnica wyglądała znajomo, mimo że nigdy przedtem w niej nie byli naprawdę. Za to makieta treningowa była jej idealną kopią. Żołnierz idący przed Domem właśnie kończył sadowić się w swojej kapsule, kiedy Dom dopiero zaczynał zapinać pasy z pomocą zbrojmistrza. Wreszcie i on został dokładnie opakowany przezroczystą kopułą i zacisnął dłonie na uchwytach. Jeszcze tylko ostatnie poprawki zbrojmistrza i został sam. Kapsuła ruszyła do przodu, przechylając się jednocześnie do tyłu tak, że za następnym jej postojem Dom leżał na plecach. Jakieś sześć kapsuł w przodzie widać już było wyrzutnię. Z daleka przypominała ona starodawne dzieło szybkostrzelne. Tylko, że ten model strzelał ludźmi. Co dwie sekundy mechanizm ładowacza chwytał jedną kapsułę i umieszczał ją w łożu działa, z którego natychmiast zostawała wystrzelona w Kosmos. Kapsuła poprzedzająca Doma zniknęła z pola widzenia i Dom nastawił się na wstrząs strzału, ale działo zamilkło.

Z początku dał się ponieść panice, że coś się zacięło w tym skomplikowanym mechanizmie. Wreszcie przypomniał sobie, że przecież pierwsza grupa została wystrzelona w całości. Teraz nadeszła kolej plutonu bombowego. On zostanie wystrzelony pierwszy, jako prowadzący.
Czekanie było nieznośne. Komputer sterował statkiem i każdą z kapsuł jednocześnie. Po wprowadzeniu do działa kapsuła była napędzana przez akcelerator liniowy przez całą długość statku i wypuszczana w pustkę według trajektorii pościgowej.
Nawet uchwyty niewiele pomogły przeciw strasznemu przeciążeniu, jakie spadło na jego pierś. Nie umiał obliczyć czasu, nie mógł otworzyć powiek, a nawet oddychać. To było gorsze niż na treningu. Wreszcie wyleciał z działa. W jednej chwili nadmierne przeciążenie ustąpiło miejsca nieważkości. Gdyby nie uchwyty wyleciałby z siedzenia. Kolejne wstrząsy kapsuły oznajmiły oddzielenie się metalowych pierścieni niezbędnych do jej napędzania w polu magnetycznym. Razem z nimi odpadła pokrywa i Dom trzymał się teraz tylko uchwytów części rakietowej. Rozglądał się wokół wypatrując śladów walki, która rozgrywała się w pustce i czuł wzrastające uczucie rozczarowania, że właściwie niczego nie można było dostrzec.
Coś wybuchło daleko po jego prawej stronie i raz coś mu przesłoniło na moment gwiazdy. To była wojna komputerów na duże odległości. Okręty były czarne i pokryte substancjami antyodblaskowymi. Znajdowały się tysiące kilometrów od siebie. Strzelały swoje rakiety i miny, równie ciemne i niedostrzegalne, według obliczeń komputerów. Nawet ich cel był niewidoczny. Jedyne, co mógł dostrzec swoimi ubogimi zmysłami, to fakt, że unosił się samotnie w przestrzeni.
Nagłe drgnięcie pod stopami i ślad pary po uruchomionej rakiecie napędowej uzmysłowił mu jednak, że nikt o nim nie zapomniał i że komputer wykrył jakąś drobną niedokładność w locie i dostosowywał swój strzał do nowych danych. Korekta dotyczyła wszystkich kapsuł, ale nie sposób było tego sprawdzić. Byli teraz podwójnie niewidoczni. Po odrzuceniu metalowych pierścieni, w całym ich ekwipunku było zaledwie cztery kilogramy metalu. Żaden radar nie mógł tego wykryć wśród setek zakłóceń z pola bitwy. Powinni się przemknąć przez wszystkie kontrole.
Ponowne pchnięcie silników poruszyło gwiazdami nad jego głową. Mały radar w jednostce rakietowej zasygnalizował zbliżanie się dużej masy, co oznaczało, że główny komputer przekazał sterowanie jego kapsułą komputerowi sterującemu rakietką, która właśnie włączyła się na prawie pełną moc.
Nagle w słuchawkach zabrzmiał czyjś głos:
– Poszło, poszło – zgłodniałem. Poszło, poszło – zgłodniałem.
Znów zapadła cisza, ale Dom już nie czuł się samotnie. Krótkie zdanie powiedziało mu wiele. Po pierwsze niewątpliwie mówił sierżant Toth. Fakt, że przerwał ciszę radiową oznaczał, że pierwsza grupa starła się z nieprzyjacielem. Kod był prosty, ale niezrozumiały dla kogoś spoza kompanii. Wiadomość oznaczała, że pierwsze plutony utrzymują swoje pozycje, choć walki wciąż trwają. Zdobyły środkową część statku – najlepsze miejsce na wyznaczenie spotkania, bo przecież w przestrzeni nie sposób ustalić gdzie przód, a gdzie tył. Wiadomość oznaczała również, że wszyscy czekają na przybycie plutonu bombowego. Rakietki hamujące włączyły się na pełną moc i jego kapsuła dotknęła wreszcie kadłuba statku nieprzyjaciela. Dom uwolnił się z uchwytów i potoczył na bok. Kiedy przestał się kręcić dostrzegł ponad sobą szybującą postać w skafandrze, wyraźnie odcinającą się od słońca mimo antyodblaskowego pancerza. Czubek hełmu był gładki. Zanim jeszcze ten fakt w pełni dotarł do niego już ręka sięgnęła po oślepiacz.
Chmura pary wyprysła w kierunku przeciwnika, który zniknął w niej kompletnie. Dom zdziwił się, ale ani na moment się nie zawahał. Pistolety, nawet bezodrzutowe, jak jego oślepiacz, zawsze stanowiły zagrożenie w przestrzeni. Nie tylko trudno było nimi celować. Maleńkie odchylenie ręki mogło oślepić strzelającego na sekundę. Sekunda była zaś wszystkim, czego potrzebował w przestrzeni wytrenowany żołnierz.
Zaraz po wystrzale Dom przesunął lekko przełącznik broni. Jej ostro zakończony koniec krył w sobie szereg małych pił tarczowych. Dysze, umieszczone z drugiej strony stanowiły wylot silniczka parowego, w który zamieniała się ta broń po strzale oślepiającym. Mały ciąg wystarczył na pociągnięcie strzelającego w kierunku wroga. Natychmiast po zetknięciu

HARRY HARRISON urodził się w 1925 roku w Stamford w USA. Studiował na wielu uniwersytetach, ukończył jednak tylko wyższą szkołę sztuk pięknych. Tam poznał późniejszego mistrza komiksu Wally Wooda i przez wiele lat współpracował z nim jako współautor i... współdystrybutor wspólnych prac. Przez dziesięć lat był autorem scenariuszy słynnej komiksowej serii Flash Gordon. Pierwsze opowiadanie opublikował w 1951 roku na łamach „Worlds Beyond" („Rock Diver"), pisarstwem zajął się jednak dopiero pod koniec lat pięćdziesiątych. Światową sławę przyniosły mu dwa cykle opowieści: „Steinless Steel Rat" i „Deathworld", największym jednak literackim osiągnięciem jest zaliczana dziś do światowego kanonu naukowej fantastyki powieść „Make room! Make room!" opublikowana w 1966 roku. Wśród licznych książek Harry Harrisona do najbardziej, obok wymienionych, znanych i cenionych należą: „War with the robots", „Planet of the damned", „Plague grom space", „Two tales and eight tomorrows", „The technicolor time machine", „In our hands the stars", „The light fantastic", „One step from earth", „Captive universe", „Bill, the galaktic hero", „Tunnel through the deeps", „Lifeboat".

Po licznych zmianach miejsca zamieszkania (USA, Meksyk, Włochy, Dania) osiadł Harrison na stałe w Irlandii. Od najmłodszych lat aktywny uczestnik światowego ruchu fanów, od 1978 roku pełni funkcję przewodniczącego World Science Fiction – światowej organizacji zrzeszającej profesjonalistów fantastyki. Jest autorem i współautorem wielu liczących się antologii.

się końca lufy z jakąś częścią stroju nieprzyjaciela włączały się piły tarczowe dehermetyzując skafander. Tym razem Dom trafił bezbłędnie i po sekundzie drgań poczuł, że przeciwnik mięknie.
Ponownie wylądował na kadłubie statku włączając przyciągacze w podeszwach. Zdał sobie sprawę, że całe zdarzenie miało miejsce w ułamku sekundy potrzebnym mu na zejście z kapsuły i stanięcie na pokładzie.
Nie myśleć. Działać. Jak tylko poczuł, że stopy przylgnęły trwale do metalu uklęknął i rozejrzał się wokoło. Ciężka włócznia bojowa przemknęła mu tuż obok głowy.
Działać. Nie myśleć. Jego nowy przeciwnik znajdował się po lewej stronie, daleko od oślepiacza i już zaczynał odwracać lot swojej włóczni. Świdrowiec! Zanim jeszcze w pełni skrystalizował myśl już czuł w ręku broń wyrwaną z łydki. Znowu wyprysnął obłoczek pary i dwudziestocentymetrowy świder pomknął w kierunku przeciwnika. Twardsze od diamentu ostrze wdarło się prawie bez wysiłku w pancerz tamtego i dotarło do środka wywołując znajomy już widok zmiękczenia ruchów. Wymowny znak zwycięstwa. Włócznia wypadła z martwej ręki i poszybowała wolno w przestrzeń.

W zasięgu wzroku nie było już żadnego wroga. Dom posunął nogą do przodu, żeby przełączyć przyczepiacz podeszwy na pozycję neutralną i zaczął powoli iść do przodu. Taki marsz wymagał dużej wprawy, ale tego akurat mu nie brakowało. Przed nim leżało kilka postaci wyraźnie gotowych na wszystko i Dom na wszelki wypadek dotknął anteny umieszczonej na hełmie prawą ręką tak, jak to ustalili przed akcją. Edynburczycy mieli gładkie hełmy.
Runął pomiędzy nieruchome postacie i zanim zdążył się odbić włączył przyczepy na brzuchu. Bezpieczny na jakiś czas między swoimi zmienił częstotliwość kanału w hełmie. W eterze panowała nieopisana wojna radiowa z fałszywymi komunikatami, świadomymi zakłóceniami i wszystkim, co mogło utrudnić uchwycenie prawdziwych meldunków i rozkazów. Poczekał chwilę aż na kanale plutonu bombowego zapanuje odrobina ciszy. Jego ludzie słyszeli już sygnał Totha, więc wiedzieli gdzie lądować. Teraz musiał ich tylko zgrupować koło siebie.
– Kwazar, kwazar, kwazar – powiedział wreszcie i starannie odliczył dziesięć sekund zanim zapalił niebieskie światła umieszczone na łokciach. Następnie wstał i przez jedną sekundę trwał nieruchomo. Potem szybko runął z powrotem na brzuch zanim zdążył ściągnąć na siebie uwagę wroga. Jego ludzie mieli wypatrywać niebieskiego światła i grupować się wokół. Jeden po drugim zaczynali wyłaniać się z ciemności. Liczył ich starannie. Jakiś żołnierz, bez bomb na plecach podbiegł i runął obok przyciskając swój hełm do jego.
– Ilu, Kapralu? – zapytał głos Totha.
– Jednego brakuje, ale...
– Żadnych ale. Ruszamy. Załóż swoje ładunki i wysadzaj jak tylko wrócisz w ukrycie.
Zanim Dom zdążył odpowiedzieć nikogo już nie było. Sierżant miał rację. Nie mogli czekać na jednego człowieka, ryzykując powodzenie całej operacji. Jeżeli zaraz nie wyruszą, to wytropią ich i zabiją tutaj. Pojedyncze walki wciąż toczyły się na całym kadłubie, ale nie minie dużo czasu zanim Edynburczycy zorientują się, że były to tylko walki opóźniające i że główne siły nieprzyjaciela już zgrupowały się do dalszego ataku. Pluton bombowy szybko i sprawnie zabrał się do pracy, układając okrąg z podłużnych ładunków wybuchowych.
Tylne straże musiały już zostać zwinięte, bo nagle ze wszystkich stron włączyły się ciężkie karabiny maszynowe. Były to trzydziestomilimetrowe bezodrzutowe szybkostrzelne karabiny. Przed ich uruchomieniem należało poprowadzić lufę po żądanym obszarze, po czym komputer prowadził ogień samodzielnie. Było to niezbędne, ponieważ gazy wylotowe zaciemniały cały obszar już po pierwszych strzałach. Sierżant Toth wyłonił się z dymu i dotknął hełmu Doma swoim.
– Jeszcze nie detonowałeś?
– Jestem gotów. Cofnijcie się.
– Szybciej. Tam wszyscy albo leżą plackiem albo nie żyją, ale zaraz powinni rzucić coś ciężkiego w ten gaz. Mają nas tu jak na dłoni.
Pluton bombowy cofnął się i upadł na brzuchy. Dom przycisnął detonator. Płomienie i gaz eksplodowały wysoko, rozrywając kadłub, przez który wydostawał się słup zamarzniętego powietrza. Statek został zdehermetyzowany i miał być utrzymywany w tym stanie aż do końca przez systematyczne wysadzanie wszystkich ścian.
– Gorąco. Gorąco – krzyknął sierżant i zanurkował w powstałą dziurę.
Dom przecisnął się przez tłum żołnierzy spieszących za sierżantem i pozbierał swoich ludzi. Wciąż brakowało jednego. Kiedy wydawało mu się, że mniej więcej połowa kompanii weszła do środka poprowadził w dziurę swój pluton.
Przecisnęli się do jakiegoś magazynu i dostrzegli przy otworze w przeciwległej ścianie żołnierza kierującego ruchem reszty kompanii.
– Na dół i w lewo. Jakieś trzydzieści metrów do następnego otworu – powiedział jak tylko Dom zetknął swój hełm z jego – Próbowaliśmy w prawo, ale strasznie się bronią. Staramy się ich powstrzymać.
Dom poprowadził swój pluton w podskokach. Najszybszy sposób poruszania się w stanie nieważkości. Korytarz na razie był pusty, ledwo oświetlony światłami awaryjnymi. Szeregi otworów widniały wzdłuż całej ściany. Chodziło zarówno o wypuszczenie powietrza, jak i o zniszczenie instalacji. Za jednym z otworów natknęli się na przeciwnika. Dom zanurkował do tyłu pchnięty przez odrzut świdrowca, który wyciągnął równocześnie z oślepiaczem. Świdrowiec dosięgnął przeciwnika w pierś w tym samym momencie, w którym tamten wypuścił coś z ręki. Edynburczyk zwinął się w pół i umarł, ale Dom poczuł ból w nodze. Spojrzał w dół na Szczypawkę zaciśniętą na jego kostce, która powoli się zamykała. Szczypawka była przestarzałego typu, zaprojektowana przeciw nieopancerzonym skafandrom. Zabijała go. Dwa zakrzywione ostrza założone wokół nogi były zasilane maleńkim motorem rotacyjnym, który powoli zaciskał je. Raz uruchomiony mechanizm nie dawał się zatrzymać.
Można go było zniszczyć! Wycelował oślepiacz w dół i wpuścił ostrze w motor. Ból stawał się nieznośny, ale starał się go zignorować. Tlen zaczął się wydostawać z okolic stopy i musiał wcisnąć uszczelniacz skafandra, który izolował nogę od reszty ciała na wysokości uda. Wreszcie oślepiacz przeciął pokrywę motoru i wywołał iskrzenie mechanizmu. Ostrza przestały się zaciskać.
Kiedy wreszcie Dom mógł się rozejrzeć, krótka bitwa była zakończona, a kontratakujący zabici. Helmutz musiał sobie nieźle użyć. Trzymał swoją włócznię wysoko naciskając raz jeden silniczek, raz drugi, przez co oba ostrza kręciły się wokół osi. Oba były mocno zakrwawione.
Dom włączył radio. Na wszystkich kanałach panowała cisza. Wewnętrzna komunikacja statku była przecięta w tym miejscu, a ściany izolowały każdą falę.
– Do raportu – nadał. – Ilu straciliśmy?
– Jesteś ranny – stwierdził Wing pochylając się nad jego stopą. – Chcesz, żebym ci zdjął to świństwo?
– Zostaw. Ostrza prawie się stykają i wyrwałbyś mi pół nogi. Zresztą stopa jest zamrożona we krwi i dzięki temu mogę wciąż chodzić. Podsadź mnie tylko.
Noga powoli stawała się bez czucia, ale nie zwracał na to uwagi. Przyjął do końca raport.
– Straciliśmy dwóch ludzi, ale wciąż mamy dość bomb do wykonania zadania. Ruszajmy.
W następnym korytarzu czekał na nich sam sierżant Toth. Spojrzał na jego nogę, ale nic nie powiedział.
– Jak idzie? – zapytał Dom.
– W porządku. Mamy straty, ale oni mają większe. Inżynier twierdzi, że jesteśmy nad główną salą. Pójdziemy więc w dół, rozstawiając wszędzie ludzi do zatrzymania kontrataków. Ruszajcie.
– A ty?
– Ściągnę tylne straże i wszystkich ludzi blokujących korytarze. Ty przygotuj nam wolne przejście przez ściany.
– Możesz na nas liczyć.
Dom odpłynął od dziury i odbił się od sufitu. Jego ludzie podążali za nim w szeregu. Przeszli gładko trzy pokłady. Przed nimi wybuchła nagle ściana czwartego pokładu. Helmutz nie wytrzymał i wysforował się przed Doma. Wyprzedził ich o cały pokład, kiedy niespodziewanie dostał się w ogień ciężkich karabinów maszynowych, których pociski przecięły go prawie na pół. Umarł natychmiast, a siła trafień wypchnęła jego ciało z pola widzenia. Dom strzelił z oślepiacza w bok dzięki czemu nie podzielił losu olbrzyma.
– Pluton bombowy! Rozproszyć się!
Dom przełączył się na kanał bojowy patrząc na wydłużoną kolumnę ludzi podążających w jego stronę.
– Pokład pode mną został odbity – podał wszystkim.
Pokiwał ręką, żeby wszyscy zobaczyli kto mówi. Reszta natychmiast wyciągnęła oślepiacze zmieniając gwałtownie kierunek lotu.
– Strzały padły z tej strony – wskazał najbliższym żołnierzom, którzy bez słowa odbili się, podążając we wskazanym kierunku.
Podłoga zadrżała nagle w momencie, kiedy odpalano następny otwór gdzieś za nim. Nieprzerwany wąż ludzi znów ruszył w dół. Sekundę później w otworze pojawił się hełm z antenami i pokiwał na znak, że droga wolna.
Na dolnym pokładzie ludzie stali stłoczeni jeden przy drugim i wciąż przybywało ich więcej.
– Pluton bombowy na miejscu – nadał Dom – proszę o raport. Z tłumu wyłonił się żołnierz z mapą przyczepioną do przedramienia.
– Dotarliśmy do głównego luku towarowego. Coś niesamowicie wielkiego. Ale odparli nas. Po prostu fizycznie nas wypchnęli. Edynburczycy poszli na całość. Wysyłają ludzi Przekaźnikiem Materii wprost ze swojej bazy. W lekkich skafandrach, bez pancerza, prawie bezbronnych. Można ich zabić bez trudu, ale wypychają nas swoją masą. Same trupy są już przeszkodą nie do przebycia, a żywi wciąż przybywają...
– Inżynier?
– Tak.
– Gdzie postawili Przekaźnik?
– To olbrzym. Zajmuje prawie cały luk. Ustawiony jest przy przeciwległej ścianie.
– Sterowanie?
– Po lewej stronie.

– Możesz nas poprowadzić naokoło tak, żebyśmy wyszli blisko samego Przekaźnika?
Inżynier spojrzał uważnie na mapę.
– Mogę. Przez maszynownię. Możemy się przebić tuż przy pulpicie sterowania.
– Idziemy! – Dom kiwnął ręką i przełączył się na kanał bojowy.
– Wszyscy, którzy mnie widzą. Za mną! Uderzymy z flanki.
Ruszyli w dół korytarzem najszybciej jak to było możliwe. Po drodze napotkali szereg hermetycznych śluz, które metodycznie wysadzali. Edynburczycy bronili się zaciekle i coraz mniej żołnierzy podążało za Domem. Wreszcie cała grupa stanęła przed kolejną śluzą na znak inżyniera, który zbliżył swój hełm do Doma.
– Maszynownia jest za tą śluzą. Te ściany są bardzo grube. Niech wszyscy się trochę cofną, bo założymy ośmiokrotny ładunek.
Rozproszyli się zgodnie z zaleceniem i wkrótce korytarz pokrył się dymem wybuchu i masą zamarzniętych kryształków tlenu.
Nie było żadnego ostrzeżenia i prawie cała załoga nie zdążyła uszczelnić hełmów. Zginęli. Kilka niedobitków zabito, kiedy probowali się bronić za pomocą zaimprowizowanych broni. Dom ledwo to zauważył zaabsorbowany prowadzeniem swoich ludzi za inżynierem.
– Tego przejścia nie mam na planie – stwierdził inżynier ze złością. Tak jakby szpieg, który wykradł plany statku był zdrajcą – musieli je dobudować niedawno.
– Dokąd ono prowadzi? – spytał Dom.
– Do Przekaźnika. Nie widzę innej możliwości.
Dom zaczął szybko myśleć.
– Spróbuję dostać się do urządzeń kontrolnych bez walki. Potrzebuję jednego ochotnika. Będziemy musieli zdjąć nasze znaki bojowe i założyć trochę wyposażenia Edynburczyków.
– Pójdę z tobą – zgłosił się inżynier.
– Nie. Masz swoje zadanie. Potrzebuję dobrego żołnierza.
– Ja – zawołał ktoś przepychając się przez tłum – Pimenov. Najlepszy w plutonie. Spytaj kogo chcesz.
– Szybko.
Przebranie ich było proste. Anteny identyfikacyjne odrąbano z hełmów i ktoś wcisnął im różne części wyposażenia zebrane od zabitych Edynburczyków. Pobieżna obserwacja mogła ich uznać za Edynburczyków.
– Trzymajcie się w pobliżu i atakujcie jak tylko wyłączę Przekaźnik – polecił reszcie i ruszył do luku.
Znaleźli się w wąskim korytarzu prowadzącym między jakimiś pojemnikami do innych drzwi. Były to zwykłe drzwi, jak w każdym statku kosmicznym i na dodatek nie zamknięte. Tylko, że nie chciały się otworzyć. Razem z Pimenovem natarli na nie z całych sił i wreszcie udało im się uzyskać kilka centymetrów. Dopiero wtedy zorientowali się, że barykadę stanowili stłoczeni jak śledzie Edynburczycy. Jakieś nagłe poruszenie przestawiło odrobinę ten tłum i drzwi otwarły się nagle na całą szerokość, pociągając za sobą Doma. Wpadł z pochyloną głową na jakiegoś faceta, który zaczął krzyczeć:
– Co do cholery wyprawiasz?
– Idą z tamtej strony – powiedział Dom, starając się wymawiać R z akcentem Edynburskim.
– Nie jesteś od nas! – zawołał mężczyzna i sięgnął po broń.
Dom nie mógł ryzykować walki w takich warunkach. Faceta należało jednak uciszyć. Zdołał sięgnąć do tyłu po oścień i z całej siły wbił go w przeciwnika. Zauważył kilka iskier i zaraz poczuł, że przeciwnik nie żyje zabity ładunkiem elektrycznym umieszczonym w kondensatorach zainstalowanych w rękojeści tej broni.
Wykorzystali jego ciało jako taran, przeciskając się przez tłum. Dom zachował jeszcze tyle czucia, żeby zdać sobie sprawę, że ta przepychanka przez cały czas przekrzywia Szczypawkę, którą wciąż miał na kostce, a która teraz niemiłosiernie cięła mu resztki stopy. Wolał nie myśleć o tym jak wygląda noga.
Kiedy Edynburczycy dostrzegli otwarte drzwi runęli w nie, pozostawiając Domowi wreszcie trochę luzu. Jego żołnierze z pewnością zajmą się tym przeciwnikiem.
Ciemne tablice kontrolne Przekaźnika były już tylko trzy metry przed nim, ale wciąż znajdowały się jakby na drugim końcu świata. Nowa partia Edynburczyków wyłoniła się z Przekaźnika i runęła do przodu tarasując przejście.
Przed kontrolką Przekaźnika stało tylko dwóch techników. W warunkach nieważkości i w takim ścisku właściwie nie mieli żadnych szans dostać się do nich. Pimenov dotknął hełmu Doma.
– Trzymaj się za mną, spróbuję zrobić przejście – powiedział i ruszył do przodu odpychając się odrzutami z oślepiacza. Przepchali się w ten sposób prawie na miejsce, kiedy wreszcie Edynburczycy zakryli Pimenova swoimi ciałami, zabijając go kilkakroć, czym kto mógł. Żołnierz jednak wykonał swoje zadanie. Dom wbił oślepiacz w ścianę nad kontrolkami i wciągnął się po nim nad głowy techników. Schował broń na miejsce i rękoma ściągnął się na dół. W pobliżu urządzeń sterowniczych było względnie dużo miejsca. Dom stanął za technikiem i wbił mu w plecy wiertło śrubowca. Drugi technik odwrócił się w jego stronę i otrzymał cios w brzuch. Dom widział dokładnie twarz tamtego, kiedy usta wykrzywiły mu się w bezgłośnym krzyku bólu i strachu. Na szczęście trwało to krótko. Dom otrząsnął się z szoku i zasłaniając się umarłym zaczął gorączkowo wyciągać swoją bombę atomową. Opierając ją o ciało tamtego przesunął jednym ruchem bezpiecznik i mechanizm zegarowy ustawiając pięciosekundowe opóźnienie. Dopiero wtedy sięgnął do przełącznika i przestawił działanie Przekaźnika z Przyjęcia na Wysyłkę.
Pomiędzy tłoczącymi się do wyjścia Edynburczykami, a ekranem Przekaźnika robiło się coraz więcej pustego miejsca. Tam właśnie rzucił swoją bombę, trzymając cały czas przełącznik na Wysyłkę. Starał się nie myśleć o tym, co się w tej chwili działo z żołnierzami stłoczonymi na planecie bazie przed Przekaźnikiem inwazyjnym.
Potem zajmował się jedynie przeżyciem. Wciąż osłaniał się martwym technikiem, używając oślepiacza przeciwko nielicznym Edynburczykom, którzy zorientowali się w sytuacji. Przychodziło mu to tym łatwiej, że miał do czynienia z żołnierzami z oddziałów inwazyjnych nie przyzwyczajonymi do walki w warunkach nieważkości. Wkrótce na sali zapanowało potworne zamieszanie i Dom dostrzegł swoich żołnierzy torujących sobie drogę do urządzeń kontrolnych. Jeden z nich wycelował w niego włócznię. Dom uchylił się w ostatniej chwili i przełączył na kanał bojowy:
– Spokój! Jestem Kapral Dom Priego, pluton bombowy. Stań przede mną i uprzedzaj innych.
Na szczęście żołnierz był jednym z tych, którzy poszli za nim do ataku z flanki. Skinął głową i przycisnął się do niego plecami. Coraz więcej żołnierzy docierało do ich pozycji i od razu tworzyło pierścień obronny z własnych ciał. Wreszcie dopchał się do nich inżynier i wspólnie z Domem ustawili właściwe częstotliwości.
Potem walka zamieniła się w rzeź i wkrótce zakończyła.
– Wysyłamy – nadał Dom i zaraz przełączył Przekaźnik na nowe współrzędne. Słyszał na kanale bojowym, jak żołnierze przekazywali sobie nawzajem to hasło do odwrotu. Ich bezpieczeństwo było teraz po drugiej stronie przestrojonego Przekaźnika. Konkretnie w Bazie Tycho na Księżycu.
Pierwsi zostali przekazani martwi Edynburczycy. Chociaż nikt nie mógł przysiąc, że tylko martwi.
Chodziło o ustalenie dokładnych rozmiarów ekranu w Bazie Tycho, który był liliputem w porównaniu z olbrzymem Edynburczyków. Wreszcie żołnierze ustawili się wokół nowych granic ekranu, czekając na pierwszy prawdziwy transport.
Dom zdał sobie nagle sprawę, że ktoś przed nim stoi. Kiedy wreszcie udało mu się zwalczyć czarną zasłonę przed oczyma zobaczył Winga.
– Ilu jeszcze przeżyło? – zapytał.
– Żaden, o ile wiem. Tylko ja.
– W porządku. Zostaw swoją bombę i ruszaj na Księżyc. Jedna zupełnie wystarczy – Zabrał Wingowi bombę z rąk i popchnął go w stronę ekranu. Właśnie założył ją na urządzeniach kontrolnych, kiedy sierżant Toth dotknął jego hełmu.
– Prawie koniec.
– Założona – odparł Dom, zrywając bezpiecznik.
– To spływajmy. Sam ją detonuję.
– Nie ty. To moje zadanie – Chciał potrząsnąć głową, żeby pozbyć się wreszcie tej przeklętej zasłony przed oczyma, ale to okazało się za trudne dla niego. Toth nie dyskutował z nim.
– Jaki czas – zapytał.
– Pięć i sześć. Pięć sekund do wybuchu ładunku konwencjonalnego, który rozwali urządzenia sterujące. W sekundę później wybuchnie bomba atomowa.
– Zostanę zobaczyć to na własne oczy.
Dom miał dziwne uczucie, że czas to zwalnia, to przyspiesza swój bieg. Żołnierze gorączkowo przeciskali się przez ekran Przekaźnika Materii. Najpierw w masie, a potem coraz mniejszym strumieniem. Toth mówił coś na kanale bojowym, ale Dom wyłączył radio, bo jego szum wywoływał potworny ból głowy. Wielki luk opustoszał wreszcie zupełnie. Oprócz trupów i automatycznych karabinów maszynowych zainstalowanych przy wejściach, z ich oddziału zostali tylko on i Toth.
– Wszyscy przeszli. Ruszajmy.
Dom miał trudności z mówieniem i tylko kiwnął głową, wduszając bezpiecznik zapalnika.
Jakieś niedobitki Edynburczyków przedarły się wreszcie do sali i zbliżały do nich biegiem, ale Toth, obejmując jedną ręką słaniającego się Doma, drugą siał spustoszenie z oślepiacza. Wreszcie dotarli do ekranu i przeszli przez niego.

Jak nowa noga? – zapytał sierżant Toth i opadł ciężko na krzesło stojące przy łóżku Doma.
– Nic nie czuję. Zablokowali mi nerwy do czasu aż kikut zrośnie się z biodrem – Dom odłożył na bok książkę, którą czytał i zastanawiał się, co tu robi Toth.
– Wpadłem zobaczyć się z rannymi – sierżant odpowiedział na nieme pytanie. – Dwóch oprócz ciebie. Kapitan prosił mnie o to.
– Kapitan jest takim samym sadystą jak ty. Nie wystarczy mu, że jesteśmy ranni.

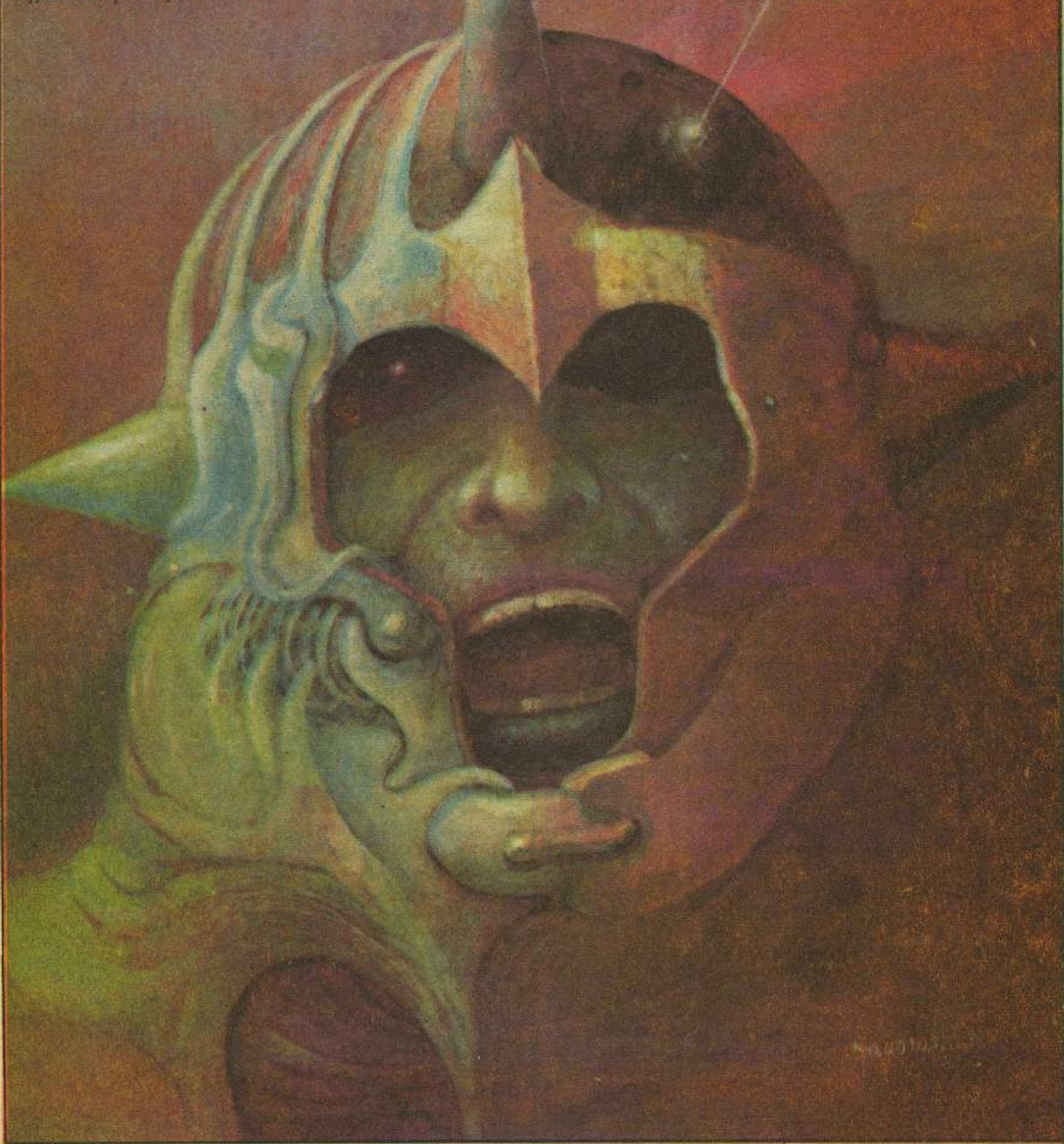
– Dobry dowcip – Wyraz twarzy Totha nie zmienił się ani na jotę. – Spodoba mu się. Zwalniasz się?
– Czemu nie? – Dom nie wiedział dlaczego to pytanie rozgniewało go. – Walczyłem, byłem ranny, dostałem medal. Chyba wystarczy do zwolnienia.
– Zostań. Jesteś dobrym żołnierzem, kiedy przestajesz o tym myśleć. Mało jest takich. Przejdź na zawodowstwo.
– Jak ty, sierżancie? Żyć z zabijania? Dziękuję, nie! Mam zamiar zająć się czym innym, czymś bardziej konstruktywnym. W przeciwieństwie do ciebie nie mam zamiłowania do tego świńskiego zajęcia, do zabijania, do tych starannie zaplanowanych morderstw. Ty to lubisz. – Ta myśl natchnęła go do dalszego wywodu. Podniósł się na łóżku i mówił dalej:
– Może o to właśnie chodzi. Wojny, walki, to wszystko. Już dawno nie ma to nic wspólnego z prawami terytorialnymi, agresją czy męskością. Myślę, że walczycie tylko dla podniecenia, jakie daje walka. Dla tego niezrównanego napięcia. Lubicie wojnę!
Toth wstał, wyprostował się powoli i ruszył do wyjścia. Zatrzymał się w drzwiach myśląc nad czymś.
– Może masz rację, Kapralu. Niezbyt się nad tym zastanawiałem. Może rzeczywiście to lubię – podniósł głowę z zimnym uśmiechem. – Ale nie zapomnij, że ty też to lubisz.
Dom powrócił do książki, którą mu przesłał jego profesor literatury razem z pochlebiającym listem, że słyszał o Domie w telewizji i cała szkoła była z niego dumna, itd. Książka była za to naprawdę dobra. Wiersze Miltona.

„... I nigdzie już na świecie
nie słyszano zgiełku wojny
lub huku pól bitewnych...”[1]

Książka dobra, ale fałszywa nie tylko w czasach Miltona, ale i teraz. Czy ludzkość naprawdę lubiła wojnę? Musi lubić, bo inaczej wojna nie przetrwałaby tak długo. To była straszna, przerażająca myśl. On także? Bzdura. Dobrze walczył, bo ciężko trenował. To niemożliwe, żeby naprawdę to lubił.
Próbował znowu wziąć się do czytania, ale litery rozmywały mu się przed oczyma.

[1] *No war, or battle's sound*
Was heard the world around

Przełożył z angielskiego **T. Markowski**



Wiktor Sadowski

Ostatnia runda

1.

W dwudziestym trzecim wieku zaczęto nazywać ją „Wieczną Wojną". Przedtem była to po prostu wojna.
Nigdy nie poznaliśmy naszych nieprzyjaciół. Pod koniec dwudziestego wieku Taurańczycy rozpoczęli działania wojenne, atakując pierwsze kosmoloty z Ziemi. Nigdy nie zamieniliśmy z nimi ani jednego słowa, nigdy nie wzięliśmy żadnego z nich do niewoli.
Powołano mnie do wojska w 1977, a w 2458 miałem jeszcze trzy lata do odsłużenia. Przeszedłem wszystkie stopnie hierarchii wojskowej: od szeregowca do majora. Dylatacja czasu w kolapsarowych przejściach sprawiła, że było to zaledwie pięć latek.
Właściwie nie miałem powodów do narzekań, bowiem normalne przykrości służby wojskowej rekompensowane były towarzystwem kobiety, którą kochałem. Razem braliśmy udział w trzech bitwach, razem spędzaliśmy urlop na Ziemi, a nawet mieliśmy to szczęście, że zostaliśmy ranni w tym samym czasie i w efekcie udzielono nam rocznego urlopu na planecie szpitalnej Heaven. A potem wszystko się rozleciało.
Już od jakiegoś czasu zdawaliśmy sobie sprawę, że żadne z nas nie przeżyje wojny. Nie tylko ze względu na zaciekłość walk – szansa, że wyjdzie się z bitwy cało była jak jeden do trzech – ale również dlatego, że rząd nie mógł sobie pozwolić na zdemobilizowanie nas: po prostu nie było go stać na wypłacenie zaległego żołdu, który wystarczał z naddatkiem na kupno kosmolotu! Mieliśmy jednak siebie i zawsze mogliśmy wierzyć, że wojna kiedyś się zakończy.
Ale właśnie na Heaven rozdzielono nas. Wyniki testów (i nasze dość kłopotliwe starszeństwo) sprawiły, że Marygay mianowano porucznikiem, a mnie majorem. Ją wcielono do Oddziału Uderzeniowego, który właśnie opuszczał Heaven, a mnie odesłano z powrotem do Stargate na oficerski kurs doskonalenia.
Poruszyłem niebo i ziemię starając się załatwić przeniesienie Marygay do mojej kompanii. Ale jak się później okazało, dowództwo wiedziało co robi nie pozwalając nam być w tym samym oddziale: heteroseksualizm uznano za coś archaicznego, za odstępstwo od normy, no a my byliśmy już zbyt starzy, aby nas „wyleczyć". Potrzebowano naszego doświadczenia, ale przyjęto zasadę, że jeden zboczeniec na kampanię to dosyć.
Nie była to zwykła separacja. Nawet gdybyśmy oboje przeżyli czekające nas bitwy, to dylatacja czasu sprawi, że rozdzielą nas stulecia.
Mój oficerski kurs doskonalenia polegał na tym, że zanurzono mnie do zbiornika utlenionego węglanu fluoru podłączywszy uprzednio do mojego mózgu i ciała 239 elektrod. Nazywało się to SSPS – Skomputeryzowany System Przyspieszonego Szkolenia i przez trzy tygodnie szkolono mnie w tak przyspieszony sposób, że odechciewało się żyć.
Kto to był Scipio Aemilianus? Wojskowa znakomitość z trzeciej wojny punickiej. Jak sparować pchnięcie nożem w podbrzusze? Blok skrzyżowanymi nadgarstkami, unik w prawo i lewą nogą kopnąć w odsłoniętą nerkę.
Było dla mnie zagadką, w jaki sposób wiadomości te mają mi pomóc w walce z chodzącymi grzybami – Taurańczykami. Uczyłem się najefektywniejszych sposobów wykorzystywania wszelkiej broni – od zaostrzonego kija do bomby typu „nova" – i przyswajałem sobie dorobek dwóch tysiącleci wojskowych obserwacji, teorii i przesądów. Wszystko to miało zrobić ze mnie majora.
Moje rozstanie z Marygay stało się jeszcze bardziej ostateczne w chwili, gdy przeczytałem otrzymane rozkazy. Kierowały mnie do Sade-138, w Wielkim Obłoku Magellana, cztery skoki kolapsarowe i 150 000 lat świetlnych od Stargate. Zdążyłem się jednak już oswoić z myślą, że nigdy Marygay nie zobaczę.



Miałem dostęp do wszystkich akt personalnych mojej nowej kompanii, łącznie z moimi. Psycholog wojskowy stwierdził, że „uważam się" za tolerancyjnego w odniesieniu do homoseksualizmu – dotknęło mnie to, bowiem matka jeszcze w dzieciństwie wpoiła mi przekonanie, że to co ktoś robi ze swoim tyłkiem jest tylko jego sprawą. Okazało się jednak, że pogląd ten zdaje egzamin dopóty, dopóki należy się do większości. Kiedy samemu jest się tolerowanym, sprawa wygląda gorzej. Za moimi plecami większość ludzi nazywała mnie „Starą Ciotą", mimo że w całej kompanii nie było nikogo, kto byłby ode mnie ponad dziewięć lat młodszy. Cóż, dowódca zawsze zarobi jakieś przezwisko. Powinienem był jednak zauważyć, że jest w tym coś więcej niż normalny brak szacunku, moje przezwisko wyrażało bowiem o wiele większą pogardę i odtrącenie niż wszystko czego doświadczyłem do tej pory jako szeregowiec i podoficer.

Zasadniczym problemem był język. Przez 450 lat angielski uległ poważnym przekształceniom i żołnierze musieli się uczyć dwudziestopierwszowiecznej angielszczyzny. Dzięki temu byli w stanie porozumiewać się ze swoimi oficerami, którzy niejednokrotnie urodzili się dziewięć pokoleń przed ich pradziadkami. Oczywiście, używali tego języka wyłącznie do rozmów z oficerami albo wtedy, gdy ich przedrzeźniali i rzecz jasna, szybko wychodzili z wprawy. Na dobrą sprawę w Stargate mogliby poświęcić kilka godzin pracy SSPS na nauczenie mnie języka moich podkomendnych.

Tylko troje z nas urodziło się przed dwudziestym piątym wiekiem – w ogóle urodziło się, bowiem nie produkowano już ludzi w ten staroświecki, niedoskonały sposób. Każdy embrion był podretuszowany zgodnie z określonymi założeniami... i ci, którzy zostali żołnierzami, choć doskonali pod względem intelektualnym i fizycznym, nie posiadali pewnych cech, które byłem skłonny uważać za cnoty. Atylla by ich uwielbiał, a Napoleon zwerbował natychmiast.

Pozostała dwójka „zrodzonych z kobiety" to mój zastępca, kapitan Charlie Moore i starszy lekarz, porucznik Diana Alsvert. Oboje byli homoseksualistami, rzecz normalna u urodzonych w dwudziestym drugim wieku, ale mimo to wiele nas łączyło i byli oni jedynymi ludźmi w kompanii, których mogłem uważać za swoich przyjaciół. Patrząc wstecz mogę stwierdzić, że pomagaliśmy sobie nawzajem odseparować się od reszty kompanii – zapewne było to wygodne dla nich, dla mnie jednak – katastrofalne. Pozostali oficerowie, szczególnie szef grupy dowodzenia porucznik Hilleboe, mówili mi chyba tylko to, co sądzili że chciałbym usłyszeć.

Mieliśmy rozkaz wybudować bazę na największej planecie grupy Sade-138 i bronić jej przed atakiem Taurańczyków. Moja kompania, Oddział Uderzeniowy Gamma miała bronić tego miejsca przez dwa lata, po czym zluzowałyby nas oddziały garnizonowe. No i teoretycznie mógłbym wtedy złożyć dymisję i zostać znowu cywilem – chyba, że uniemożliwią to na mocy albo nowych przepisów, albo jakichś starych, o których, przez niedopatrzenie oczywiście, do tej pory mnie nie poinformowano.

Oddziały garnizonowe wyruszą ze Stargate dwa lata później, nieświadome co je czeka na Sade-138. Nie mieliśmy żadnej możliwości przekazania informacji, ponieważ podróż trwała 340 „obiektywnych" lat, mimo że na pokładzie, dzięki dylatacji czasu mijało zaledwie siedem miesięcy.

Dla nas, zamkniętych w wąskich korytarzykach i maleńkich kajutach *Masaryka II*, te siedem miesięcy było cholernie długie. Opuszczaliśmy pozostający na orbicie statek z prawdziwą ulgą, mimo że pobyt na planecie oznaczał cztery miesiące ciężkiej pracy w trudnych, niebezpiecznych warunkach na dwie zmiany: 38,5 godzin wypoczynku na pokładzie statku i tyle samo pracy na powierzchni.

Planeta była właściwie bezkształtnym kawałkiem skały, brudnobiałą kulą bilardową o cienkiej warstwie atmosfery składającej się z wodoru i helu. W czasie dnia ogrzewała ją jaskrawoniebieska iskra Doradusa S i na równiku temperatura wahała się od 25 do 17 Kelwinów. Tuż przed świtem, gdy było najchłodniej, wodór skraplał się i osiadająca delikatna mgiełka pokrywała wszystko tak śliską warstewką, że najlepszym wyjściem z sytuacji było po prostu usiąść i przeczekać. Tylko o świcie czarno-białą monotonię krajobrazu ożywiała delikatna, pastelowa tęcza.

Obronę mieliśmy zorganizowaną w trzech rzutach, poczynając od strefy orbitalnej. Pierwszą linię stanowił *Masaryk II*, jego sześć myśliwców o napędzie tachionowym i pięćdziesiąt pocisków-robotów typu „truteń" wyposażonych w bomby „nova". Komandor Antopol miała przechwycić taurański kosmolot, gdy tylko wyjdzie z pola kolapsarowego Sade-138. Jeżeli go rozwali, będziemy mieli spokój.

W wypadku gdy nieprzyjacielowi uda się przedrzeć przez rój myśliwców i „trutni", w dalszym ciągu będzie miał pewne trudności z zaatakowaniem nas. Na powierzchni, wokół naszej podziemnej bazy znajdowało się dwadzieścia pięć samonaprowadzających bewawatowych laserów. Za strefą efektywnego rażenia laserów był szeroki pierścień tysięcy min nuklearnych, które wybuchały pod wpływem niewielkich zakłóceń lokalnego pola grawitacyjnego. Mógł je wywołać zarówno Taurańczyk, który nastąpił na jedną z nich, jak też nisko przelatujący kosmolot.

Gdyby nieprzyjaciel miał zamiar zdobyć naszą bazę i gdyby udało mu się zniszczyć nasze zautomatyzowane środki obrony, musielibyśmy sami włączyć się do walki. Żołnierze byli uzbrojeni w ręczne lasery megawatowe, a każda drużyna miała wyrzutnię rakiet tachionowych i dwa samopowtarzalne granatniki. Ostatnią deską ratunku było Pole.

Wewnątrz półsferycznego (w przestrzeni sferycznego) pola o promieniu około pięćdziesięciu metrów nic nie mogło się poruszać z prędkością większą niż 16,3 metra na sekundę. Nie było również promieniowania elektromagnetycznego – ani elektryczności, ani magnetyzmu, ani światła. Całe otoczenie widziane przez wizjer skafandra było upiornie monochromatyczne. Wyjaśniono mi zgrabnie, że zjawisko to jest wywołane „fazowym przemieszczeniem quasi-energii przenikającej z przyległej tachionowej rzeczywistości", co jak się nietrudno domyśleć, było dla mnie całkowitą abrakadabrą.

Wewnątrz Pola wszystkie nowoczesne środki bojowe były bezużyteczne. Nawet „nova" była zwykłym kawałkiem złomu. No, a każda żywa istota, obojętne – Ziemianin czy Taurańczyk – która znalazła się w Polu bez właściwej osłony, zginęłaby w ułamku sekundy.

Mieliśmy tam cały zestaw archaicznej broni i jeden myśliwiec, który miał być lotniczym wsparciem ostatniego punktu oporu. Zmusiłem ludzi do ćwiczenia walki na miecze, strzelania z łuku i tak dalej, ale nie pałali do tego zbytnim entuzjazmem. Wszyscy uważali, że jeśli nieprzyjaciel zmusi nas do wycofania się pod osłonę Pola. to znaczy iż jesteśmy skończeni. Nie będę kłamał – uważałem tak samo.

Czekaliśmy pięć miesięcy. Baza szybko pogrążała się w rutynie szkoleń i wyczekiwania. Myślałem o pojawieniu się Taurańczyków nieomal z niecierpliwością; chciałem żeby to wszystko wreszcie się tak czy inaczej rozstrzygnęło.

Nigdy nie pasjonowałem się sportem czy grami, ale zauważyłem, że poświęcam im coraz więcej czasu. W tych warunkach wywołujących napięcie nerwowe i uczucie klaustrofobii po raz pierwszy lektura czy nauka nie dawały mi odprężenia. Uprawiałem więc szermierkę na pałki czy miecze z innymi oficerami, do całkowitego wyczerpania ćwiczyłem na przyrządach, nawet w swoim gabinecie miałem podwieszoną linę. Wię-

kszość oficerów grała w szachy, ale zazwyczaj z nimi przegrywałem – a jeżeli udało mi się wygrać, miałem wrażenie, że chcą mnie w ten sposób wprawić w dobry humor. Słowne gry były zbyt trudne, ponieważ mój język był archaicznym dialektem, którym partnerzy posługiwali się z trudnością, a ja z kolei nie miałem czasu i zdolności, by opanować „współczesny" angielski.

Przez jakiś czas Diana dawała mi stymulatory nastroju, zaczynałem popadać w nałóg, więc przestałem je brać. Potem próbowałem psychoanalizy u porucznika Wilbera. Była to całkowita klapa. Wprawdzie na swój książkowy sposób był doskonale zorientowany w moich problemach, ale mówiliśmy innymi językami kulturowymi. Gdy usiłował mi pomóc w sprawach miłości i seksu, robił to tak, jakby tłumaczył czternastowiecznemu chłopu pańszczyźnianemu, jak ma sobie radzić ze swoim dziedzicem i proboszczem.

A przecież to właśnie było podstawowym źródłem moich kłopotów. Byłem przekonany, że nie miałbym poblemów ani z frustracjami i stresami, które zawsze niesie ze sobą dowodzenie, ani z faktem że byłem zamknięty w jaskini razem z ludźmi, którzy chwilami byli dla mnie tylko odrobinę mniej obcy niż nieprzyjaciel, ani nawet z uczuciem głębokiej pewności, że wszystko to będzie zakończone śmiercią w męczarniach w walce o bezwartościową sprawę – gdyby tylko była ze mną Marygay. Uczucie to potęgowało się z miesiąca na miesiąc.

Wilber potraktował to bardzo surowo i nazwał romantycznym pozerstwem. Powiedział, że wie co to miłość, sam był kiedyś zakochany. A płeć obu składników pary nie ma w tym przypadku żadnego znaczenia. W porządku, mogłem się z tym zgodzić – w końcu był to frazes wywodzący się jeszcze z czasów moich rodziców (choć w moim pokoleniu spotykał się z pewnymi oporami). Jednakże miłość, stwierdził Wilber, miłość jest kruchym kwiatkiem, delikatnym kryształkiem, miłość jest nietrwałym związkiem, którego okres rozpadu wynosi około ośmiu miesięcy. „Pieprzysz" – oznajmiłem i zarzuciłem mu z kolei, że nosi kulturowe końskie okulary. Powiedziałem, że trzydzieści wieków historii ludzkości do momentu rozpoczęcia Wiecznej Wojny udowodniło, iż miłość jest jedyną rzeczą, która może przetrwać po sam grób, a nawet jeszcze dłużej i że gdyby się urodził a nie wykluł z probówki, nie musiałbym mu tego tłumaczyć! Wilber zrobił wtedy kwaśną minę i stwierdził, że jestem po prostu ofiarą seksualnych frustracji i romantycznych złudzeń, które co gorsza, sam sobie wmówiłem.

Patrząc na to z perspektywy czasu odnoszę wrażenie, że obaj dobrze się bawiliśmy naszymi sporami – ale o wyleczeniu nie było mowy.

2.

Minęło równo 400 dni od chwili, w której rozpoczęlismy budowę. Siedziałem przy biurku patrząc bezmyślnie na nowy wykaz służb sporządzony przez Hilleboe. Charlie siedział rozparty na krześle i przeglądał coś w czytniku. Zadzwonił telefon i usłyszałem głos komandor Antopol.

– Są tu.

– Co?

– Powiedziałam, że już tu są. Taurański kosmolot wyszedł przed chwilą z pola kolapsarowego. Prędkość 0,8 c. Deceleracja trzydzieści G. Mniej więcej.

Charlie pochylił się nad moim biurkiem. – Co tam?

– Kiedy? Kiedy możesz rozpocząć przechwycenie?

– Jak tylko zejdziesz z telefonu. – Rozłączyłem się i przeszedłem do komputera. Podczas gdy usiłowałem wydusić z niego jakieś dane, Charlie majstrował przy displayu. Był to hologram o powierzchni około metra kwadratowego i grubości pół metra, zaprogramowany w taki sposób, żeby pokazywał pozycję Sade-138, naszej planety i jeszcze paru innych kawałków kamienia w tym sektorze. Zielone i czerwone kropki oznaczały nasze i taurańskie jednostki.

Komputer stwierdził, że hamowanie i powrót do tej planety zajmą Taurańczykom co najmniej jedenaście dni, pod warunkiem ciągłego stosowania maksymalnych przyspieszeń i hamowań; wtedy jednak komandor Antopol mogłaby wytłuc ich jak muchy. A więc będą kombinować z przyspieszeniami i zmianami kursu.

Oczywiście o ile Antopol i jej bandzie wesołych piratów nie uda się ich wcześniej załatwić. Elektroniczne pudło poinformowało mnie, że szansa takiego rozwiązania była nieco mniejsza niż pięćdziesiąt procent.

Obojętne jednak, czy miało to trwać 28, 9554 dnia czy dwa tygodnie, my tutaj na planecie mogliśmy tylko siedzieć i czekać. Jeżeli Antopol będzie miała szczęście, nie będziemy musieli walczyć aż do chwili, w której zmienią nas oddziały garnizonowe i przeniesiemy się do następnego kolapsara. W chwili gdy patrzyliśmy na display, od kropki oznaczającej nasz krążownik oderwała się mała zielona plamka i popłynęła w bok. Tuż przy niej pojawiła się blada cyfra „2", a na identyfikatorze wyświetlonym w lewym dolnym rogu ukazało się objaśnienie: 2 – PRZECHWYTUJĄCY „TRUTEŃ".

– Powiedz Hilleboe, niech zarządzi zbiórkę całej załogi. Przy okazji może wszystkich poinformować o sytuacji.

Ludzie nie przyjęli wiadomości zbyt dobrze i nie mogłem mieć do nich szczególnej pretensji. Spodziewaliśmy się wszyscy, że Taurańczycy zaatakują nas o wiele wcześniej, a gdy ciągle się nie pojawiali, zaczęło narastać przekonanie, że dowództwo Oddziałów Uderzeniowych popełniło błąd i nieprzyjaciel nie zjawi się wcale.

Chciałem, żeby wszyscy zajęli się na serio szkoleniem ogniowym. Przecież prawie od dwóch lat nikt w kompanii nie używał żadnej broni o dużej sile rażenia. Odblokowałem więc ich ręczne lasery, rozdzieliłem granatniki i wyrzutnie rakietowe. Nie mogliśmy prowadzić zajęć w obrębie bazy, gdyż mogło to uszkodzić zewnętrzne czujniki i obronny pierścień laserów. Charlie albo ja wprowadzaliśmy więc po jednym plutonie na odległość jednego klika przed pozycje obrony, a Rusk dyżurowała stale przy ekranach wczesnego ostrzegania. Gdyby cokolwiek zaczęło się do nas zbliżać, miała wystrzelić rakietę świetlną.

Trening w strzelaniu z lasera przypominał strzelanie do rzutków: wyznaczało się pary, żołnierz stawał za swoim kolegą i w dowolny sposób rzucał kawałki skały. Strzelający musiał obliczyć trajektorię lotu kamienia i trafić go, zanim spadł na ziemię. Ich koordynacja strzelecka była rzeczywiście wspaniała (być może Kontroli Eugenicznej nareszcie udało się dobrze coś zrobić). Większość żołnierzy osiągała dziewięć trafień na dziesięć możliwych – a przecież strzelali do bardzo małych kamyków.. Ja sam, nieulepszony biologicznie staruszek, trafiałem mniej więcej siedem na dziesięć, choć moja praktyka bojowa była o wiele większa.

Nie mieli również kłopotów w określaniu poprawek strzeleckich dla granatnika, który stał się bronią zdecydowanie bardziej wszechstronną niż dawniej. Zamiast jednego mikrotonowego pocisku i standardowego ładunku miotającego, były do wyboru cztery ładunki oraz jedno, dwu, trzy i czteromikrotonowe pociski. Gdy dochodziło do walki na rzeczywiście krótki dystans i użycie lasera byłoby niebezpieczne, można było odłączyć lufę granatnika i załadować go magazynkiem ładunków kartaczowych. Każdy ładunek tworzył rozszerzającą się chmurę tysiąca strzałek, które do pięciu metrów raziły śmiertelnie, a w odległości sześciu zmieniały się w nieszkodliwy gaz.

Morale żołnierzy bardzo podbudowało to, że mogli wyjść i swoimi nowymi zabawkami poprzestawiać krajobraz. Ale krajobraz nie odpowiadał ogniem.

Podobnie jak w innych starciach, dylatacja czasu sprawiła, że nie można było przewidzieć, jakim uzbrojeniem tym razem będzie dysponować nieprzyjaciel. Zależało to od poziomu, jaki ich technologia reprezentowała w chwili, gdy wyruszali do tej akcji – równie dobrze mogli być parę wieków przed lub za nami. Być może nie słyszeli wcale o Polu, a może wystarczy, że powiedzą jedno zaklęcie i po prostu znikniemy bez śladu.

Byłem właśnie razem z czwartym plutonem na zewnątrz i zajmowaliśmy się strzelaniem do kamieni, gdy odezwał się Charlie wzywając mnie z powrotem do bazy. Przekazałem pluton Heimoffowi.

– Jeszcze jeden? – Tym razem skala obrazu holograficznego była taka, że nasza planeta miała rozmiary groszka i znajdowała się jakieś pięć centymetrów od X oznaczającego Sade-138. Naokoło rozrzucone było czterdzieści jeden czerwonych i zielonych kropek. Identyfikator określił czterdziestą pierwszą jako: TAURAŃSKI KRĄŻOWNIK (2).

– Zgadza się. – Charlie był ponury. – Pojawił się kilka minut temu. Kiedy cię wezwałem. Ma takie same charakterystyki jak tamten: 30 G, 0,8 c.

– Dałeś znać Antopol?

– Tak. – Uprzedził moje następne pytanie. – Sygnał będzie szedł tam i z powrotem prawie przez cały dzień.

– Nigdy czegoś takiego nie robili. – Charlie oczywiście dobrze o tym wiedział.

– Może ten kolapsar ma dla nich szczególne znaczenie.

– Najwidoczniej. – Było więc prawie pewne, że będziemy walczyć również i na planecie. Nawet gdyby Antopol zdołała zniszczyć pierwszy krążownik, to z drugim nie będzie miała nawet pięćdziesięciu procent szans. Za mało

JOE W. HALDEMAN urodził się w 1943 roku. Lata młodości spędził na wiecznych wędrówkach pomiędzy Puerto Rico, Nowym Orleanem, Waszyngtonem, Alaską i Florydą. Ukończył wydział fizyki i astronomii Uniwersytetu Maryland. W 1967 roku powołany został do wojska i kilka następnych lat spędził jako saper w wietnamskiej dżungli. Po powrocie do Stanów Zjednoczonych pracował jako bibliotekarz, programista, statystyk, robotnik, wreszcie jako redaktor naczelny magazynu „Astronomia". Jako autor fantastyki naukowej zadebiutował w 1969 roku na łamach renomowanego magazynu „Galaxy" opowiadaniem „Out of phase". Debiut nie był jednak udany i Haldemanowi nie wróżono dużej przyszłości. Dopiero współpraca z „Astounding Science Fiction" okazała się dla młodego autora życiową szansą. Opublikowane na jego łamach opowiadania „Hero" (1972) i „We are very happy here" (1973) stały się dużym wydarzeniem i spotkały się z bardzo żywym aplauzem czytelników. Weszły też jako epizody do wydanej w 1974 roku najsłynniejszej książki Joe Haldemana „The forever war", nagrodzonej w 1975 roku Nebula Award, zaś w 1976 roku Hugo Award i Ditmar Award. Obecnie Joe Haldeman należy do najpopularniejszych amerykańskich twórców SF młodego pokolenia. Obok wspomnianej już powieści opublikował: „Mindbridge" (1976), „All my sins remembered" (1977), dwie powieści z serii „Star trek" oraz pod pseudonimem Robert Graham dwa odcinki powieściowej serii kosmicznych przygód „Attar the merman".

„trutni" i myśliwców.
Przez najbliższe dwa tygodnie obserwowaliśmy, jak kropki gasną. Gdyby się wiedziało kiedy i gdzie patrzeć, można by wyjść na zewnątrz i zobaczyć, jak to wygląda naprawdę – niknący po sekundzie jaskrawy, biały punkt świetlny.
W czasie tej sekundy energia wyzwolona przez bombę „nova" przewyższała milion razy moc bewawatowego lasera. Powstawała miniaturowa gwiazda o średnicy pół klika i temperaturze wnętrza Słońca. Pożerała wszystko, z czym się zetknęła. Promieniowanie bliskiej eksplozji nieodwracalnie niszczyło elektronikę statku. Dwa myśliwce – jeden nasz i jeden ich, najwyraźniej spotkał ten właśnie los; pozbawione napędu dryfowały ze stałą prędkością poza granice układu.
Po wykończeniu *Masaryka II*, jego myśliwców i „trutni" zostanie im jeszcze parę sztuk dla nas. Wyglądało więc na to, że szkolenie ogniowe było zwykłym marnowaniem czasu i energii.
W pewnym momencie przyszła mi do głowy myśl, że mógłbym zebrać jedenastu ludzi i wykorzystać myśliwiec ukryty w Polu. Był zaprogramowany na powrót do Stargate. Doszedłem nawet do tego, że zastanawiałem się nad składem tej jedenastki, dobierając do niej osoby, które znaczą dla mnie więcej niż pozostałe. Doliczyłem się sześciu.
Przegoniłem te myśli. Przecież mieliśmy szansę i to może nawet cholernie dobrą szansę – nawet w walce z pełnosprawnym krążownikiem. Nie uda się im tak łatwo podrzucić nam „novą" wystarczająco blisko, by objęło nas pole rażenia.
A poza tym rozwaliliby mnie za dezercję. Więc czy warto?
Nastrój poprawił się wyraźnie, gdy jeden z „trutni" Antopol zniszczył pierwszy nieprzyjacielski krążownik. Nie licząc jednostek pozostawionych do obrony planety, miała ona jeszcze osiemnaście „trutni" i dwa myśliwce. Ciągle atakowane przez piętnaście tauriańskich pocisków-robotów zawróciły w kierunku odległego o parę godzin świetlnych drugiego krążownika.
Jeden z nieprzyjacielskich pocisków trafił wreszcie *Masaryka II.* Jego jednostki pokładowe próbowały jeszcze kontynuować atak, który jednak szybko zmienił się w beznadziejne zamieszanie. Jeden myśliwiec oraz trzy „trutnie" wydostały się z walki i z maksymalnym przyspieszeniem okrążyły planetę w płaszczyźnie ekliptyki. Nikt ich nie ścigał. Patrzyliśmy na to z chorobliwym zaciekawieniem, podczas gdy nieprzyjacielski krążownik zbliżał się, by nawiązać z nami kontakt bojowy. Myśliwiec podążał w stronę Sade-138, uciekał. Nikt nie miał mu tego za złe.
Powrót do planety, wygodne umiejscowienie się na orbicie stacjonarnej nad drugą półkulą zajęły nieprzyjacielowi pięć dni. Przygotowywaliśmy się do nieuniknionej, pierwszej fazy walki: ich pociski-roboty przeciwko naszym laserom. Umieściłem w Polu oddział składający się z pięćdziesięciu kobiet i mężczyzn, na wypadek gdyby nieprzyjacielowi udało się przerwać naszą obronę. Był to właściwie pusty gest, bo przecież nieprzyjaciel mógł w razie czego po prostu ulokować się gdzieś obok, poczekać aż będą musieli wyłączyć Pole i w tej samej chwili spalić ich laserami.
Zwróciłem uwagę na display. Rozgrywała się tam wojna kosmiczna między bardzo nierównymi przeciwnikami. Taurańczycy, zupełnie logicznie, przed przystąpieniem do obrabiania nas chcieli sprzątnąć nasz jedyny myśliwiec. Mogliśmy tylko patrzeć na czerwone kropeczki pełzające wokół planety i próbujące dopiąć swego. Jak do tej pory naszemu pilotowi udało się zniszczyć wszystkie atakujące go pociski, a nieprzyjaciel jeszcze nie wysyłał przeciwko niemu swoich myśliwców.
– Przydałby się nam jeszcze jeden myśliwiec – stwierdził Charlie. – Albo sześć.
– Wykorzystuj „trutnie" – odparłem. Oczywiście mieliśmy myśliwiec i przydzielonego wałkonia, który miał go pilotować. Ale również mogło się to okazać naszą ostatnią deską ratunku, gdyby osaczyli nas w Polu.
– Jak daleko jest ten drugi facet? – spytał Charlie mając na myśli pilota, który zwiał z pola walki. Przełączyłem skalę i zielony punkcik ukazał się w prawej części ekranu. – Około sześć godzin świetlnych. – Miał ze sobą jeszcze dwa „trutnie", ale były tak blisko niego, że nie dawały osobnych sygnałów. Trzeciego wykorzystał, by osłonić swój odwrót. – Już nie przyspiesza, ale ma 0.9 c.
– Nie może nam pomóc, nawet gdyby chciał. – Potrzebowałby prawie miesiąc na wytracenie prędkości.
Światełko oznaczające nasz myśliwiec osłony zniknęło. – Cholera!
– Teraz dopiero zacznie się bal. Powiedzieć ludziom, żeby przygotowali się do wyjścia na wierzch?
– Nie... ale niech założą skafandry, na wypadek dehermetyzacji. Przypuszczam, że to jednak potrwa nim wylądują i zaatakują nas na powierzchni. – Znowu przełączyłem display. Cztery czerwone punkty pełzły już naokoło planety w naszym kierunku.
Założyłem skafander i wróciłem do Administracji, by obejrzeć w monitorach mające nastąpić fajerwerki. Lasery pracowały doskonale. Wszystkie cztery pociski zaatakowały jednocześnie, ale zostały wykryte i zniszczone.
Następny atak trwał zaledwie ułamek sekundy, ale tym razem było osiem pocisków i cztery z nich przerwały się na odległość dziesięciu klików. Promieniowanie z żarzących się kraterów podniosło temperaturę do prawie 300 Kelwinów. To przekraczało już punkt rozmarzania wody i zacząłem się martwić. Skafandry wytrzymywały ponad tysiąc stopni, ale szybkość działania automatycznych celowników naszych laserów uzyskana była dzięki stosowaniu niskotemperaturowych nadprzewodników.
Charlie obserwował display. Jego głos przekazywany przez radio skafandra był całkiem matowy. – Tym razem szesnaście.
– Dziwisz się? – Wśród niewielu informacji o psychologii Taurańczyków była i ta, że wykazują oni szczególną inklinację do określonych liczb – szczególnie do liczb pierwszych i potęg z dwóch.
– Miejmy nadzieję, że nie zostały im jeszcze trzydzieści dwa. – Zażądałem od komputera danych; mógł mi odpowiedzieć tylko tyle, że krążownik wysłał dotąd ogółem czterdzieści cztery pociski i że niektóre krążowniki mają ich do 128.
Do następnego nalotu było jeszcze ponad pół godziny. Mogłem wycofać wszystkich pod osłoną Pola i bylibyśmy przez jakiś czas bezpieczni, nawet gdyby jakaś „nova" eksplodowała w pobliżu. Bezpieczni, ale w pułapce. Ile czasu musi stygnąć pobojowisko, jeżeli wybuchną trzy, cztery, albo wszystkie szesnaście bomb? W skafandrze bojowym nie sposób żyć wiecznie, nawet jeśli obiegi zamknięte wszystko przerabiają z bezlitosną wydajnością. Tydzień wystarczy, by człowieka całkowicie umęczyć. Dwa, żeby doprowadzić go do samobójstwa. A trzech tygodni w warunkach polowych nikt nigdy w skafandrze nie wytrzymał.
Pole jako pozycja obronna mogło stać się śmiertelną pułapką. Kopuła Pola była nieprzezroczysta i w związku z tym nieprzyjaciel miał całkowitą swobodę wyboru pozycji i taktyki, podczas gdy my, żeby zobaczyć co się dzieje na zewnątrz, musielibyśmy wystawić głowę. Jeżeli zbytnio im się nie spieszyło, to nawet nie musieli tam włazić z jakąś prymitywną bronią. Mogli po prostu trzymać kopułę pod ogniem laserów i uprzykrzać nam życie wrzucając dzidy, kamienie czy strzelając z łuków – no i czekać cierpliwie aż wyłączymy generator. Oczywiście mogliśmy odpowiadać im tym samym, ale takie rzucanie na oślep było raczej bezpłodnym wysiłkiem.
Oczywiście, gdyby ktoś pozostał w bazie, wszyscy inni mogliby przeczekać w Polu te pół godziny. Gdyby po nich nie przyszedł, oznaczałoby to, że na zewnątrz jest „gorąco". Włączyłem się na częstotliwość odbiorników kadry.
– Mówi major Mandella. – W dalszym ciągu brzmiało to jak zły żart.
Przedstawiłem im sytuację i powiedziałem, by przekazali swoim ludziom wiadomość, że każdy kto chce może przejść do Pola. Ja zostanę w bazie i zawiadomię ich jeżeli wszystko pójdzie dobrze. Nie był to wcale szlachetny gest z mojej strony. Wolałem wyparować w nanosekundę niż prawie na pewno zdechnąć powoli pod szarą kopułą Pola.
Połączyłem się z Charliem. – Ty również możesz iść. Zajmę się wszystkim.
– Nie, dziękuję – powiedział wolno. – Jak tylko... hej, spójrz na to!
W parę minut po grupie szesnastu pocisków od krążownika oddzieliła się jeszcze jedna czerwona kropka. Identyfikator określił ją jako kolejny pocisk-robot. – To dziwne.
– Przesądne skurwysyny – powiedział beznamiętnie Charlie.
Okazało się, że tylko jedenaście osób zdecydowało się dołączyć do pięćdziesiątki odkomenderowanej wcześniej do kopuły. Nie powinno mnie to zdziwić, ale jednak zdziwiło.
W czasie gdy pociski zbliżały się do nas, gapiliśmy się z Charliem w monitory starannie unikając spoglądania w stronę holograficznego displayu. Rozumieliśmy bez słów, że lepiej nie wiedzieć kiedy tu będą: minuta, trzydzieści sekund... i nagle, tak jak poprzednio, zanim zorientowaliśmy się, że się zaczęło, było już po wszystkim. Ekrany rozbłysły bielą, wycie statyki i ciągle jeszcze żyliśmy.
Tym razem było piętnaście dziur na linii horyzontu – i bliżej! – a temperatura rosła tak gwałtownie, że ostatnia cyfra odczytu zlała się w amorficzną plamę. Największa zarejestrowana wartość wynosiła grubo ponad 800 Kelwinów, a potem zaczęła się zmniejszać.
Nigdy nie udało nam się zobaczyć żadnego pocisku, nie wystarczał na to ułamek sekundy, w którym lasery celowały i strzelały. Ale siedemnasty pocisk przemknął nad horyzontem zygzakując dziko i zatrzymał się bezpośrednio nad nami. Przez chwilę zdawał się wisieć nieruchomo, a potem zaczął spadać. Połowa naszych laserów wykryła go, otworzyła ogień ciągły, ale żaden z nich nie był w stanie wycelować – ich urządzenia celownicze były zablokowane na namiarach z poprzedniego ataku.
Połyskiwał spadając, lustrzany połysk jego gładkiego kadłuba odbijał lustrzany żar buchający z kraterów i niesamowite rozbłyski ciągłego, bezsilnego ognia laserów. Usłyszałem, jak Charlie nabiera duży haust powietrza. Pocisk zniżył się tak bardzo, że można było zobaczyć pająkowate taurańskie cyfry nakreślone na kadłubie oraz przezroczysty luk tuż przy dziobie – i nagle silnik rozbłysnął płomieniem odrzutu i pocisk zniknął.
– Co u diabła? – spytał spokojnie Charlie.
– Może rozpoznanie?
– Tak sądzę. No, to już wiedzą, że nic im nie możemy zrobić.
– Chyba że lasery się odblokują. – Trudno było na to liczyć. – Lepiej wyślijmy ludzi pod kopułę. I sami też chodźmy.
Charlie mruknął słowo, którego brzmienie zmieniło się przez wieki, ale znaczenie było ciągle zrozumiałe. – Nie ma się co spieszyć. Zobaczymy co teraz wymyślą.
Czekaliśmy przez kilka godzin. Temperatura na zewnątrz ustabilizowała

się na 690 Kelwinów – trochę poniżej punktu topnienia cynku, przypomniałem sobie bez sensu. Spróbowałem sterować laserami ręcznie, ale wciąż były zablokowane.
– Są – powiedział Charlie. – Znowu osiem.
Ruszyłem w stronę displayu. – Może...
– Poczekaj! To nie pociski. – W identyfikatorze pojawił się napis: TRANSPORTOWCE PIECHOTY.
– Chyba chcą zdobyć bazę – stwierdził. – Nie zniszczoną.
– Albo chcą wypróbować nową broń i taktykę. Niewiele ryzykują. Mogą się zawsze wycofać i podrzucić nam „novą".
Wezwałem Brill i poleciłem jej, by wzięła wszystkich, którzy są w Polu i wraz z resztą jej plutonu obsadziła nimi pozycje w północno-wschodnim i północno-zachodnim sektorze obrony.
– Może nie powinniśmy – stwierdził Charlie – wysyłać wszystkich na górę, zanim nie zorientujemy się ilu nas atakuje.
Miał rację. Należy zachować rezerwy i zdezorientować nieprzyjaciela co do naszych możliwości obrony. – To jest myśl... może w tych ośmiu transportowcach jest ich tylko sześćdziesięciu czterech. – Albo 128, albo 256. Bardzo bym sobie życzył, by nasze satelity szpiegowskie miały lepsze zdolności rozdzielcze, trudno jednak upchać więcej aparatury do urządzenia wielkości winnej jagody.
Postanowiłem, że siedemdziesięciu żołnierzy Brill utworzy naszą pierwszą linię obrony i poleciłem im obsadzić okopy otaczające bazę. Reszta ludzi zostanie na dole, aż do momentu gdy okaże się potrzebna.
Jeżeli Taurańczycy dzięki swej liczebności lub nowej technologii stanowią siłę nie do powstrzymania, wydam rozkaz by wszyscy wycofali się do Pola. Między pomieszczeniami mieszkalnymi a kopułą jest tunel i ludzie będą mogli przejść pod ziemią w bezpieczne miejsce. Obsada okopów będzie musiała wycofać się pod ogniem, o ile w momencie gdy wydam rozkaz, ktoś z nich pozostanie przy życiu.
Wezwałem Hilleboe polecając jej i Charliemu pilnować laserów. Jeżeli się odblokują, ściągnę Brill i jej ludzi z powrotem. Wtedy można będzie znowu włączyć automatyczne celowniki, usiąść i popatrzeć na ten cyrk. Charlie zaznaczył na monitorach trasy poszczególnych promieni i gdy coś pojawi się na linii strzału, on i Hilleboe będą mogli uruchomić je ręcznie.
Mieliśmy około dwudziestu minut. Brill obsadzała swoimi ludźmi wyznaczając okop każdej drużynie, ustalając zazębiające się sektory ognia. Włączyłem się i poprosiłem o ustawienie ciężkiej broni tak, żeby zmuszała atakującego nieprzyjaciela do wejścia w pole działania laserów.
Teraz mogliśmy czekać. Poprosiłem Charliego, by ustalił tempo posuwania się nieprzyjaciela i spróbował dokładnie obliczyć ile czasu nam zostało do chwili rozpoczęcia ataku. Sam usiadłem za biurkiem, wyciągnąłem notes żeby naszkicować plan pozycji obronnych zajętych przez Brill i zobaczyć, co jeszcze można w nim ulepszyć.
Napchano mi głowę całą masą teorii, mnóstwem wskazówek taktycznych dotyczących otoczenia i okrążenia, ale były one przedstawione z niewłaściwego punktu widzenia. Jeżeli to ciebie, bracie, mają okrążać, to właściwie nie masz specjalnego wyboru. Trzeba schować łeb, uszy do góry i modlić się o pomoc. Utrzymywać pozycje i nie myśleć za dużo.
– Jeszcze osiem transportowców – powiedział Charlie. – Pierwsza ósemka będzie tu za pięć minut.
A więc będą atakować w dwóch rzutach. Najmniej w dwóch. Co bym zrobił na miejscu taurańskiego dowódcy? Jego działanie nie było wcale trudne do przewidzenia. Taurańczycy nie mieli wyobraźni taktycznej i zazwyczaj kopiowali nasze wzory.
Pierwszy rzut będzie spisany na straty, ot, taki atak w stylu kamikaze, żeby zmiękczyć i rozpoznać naszą obronę. Druga grupa przeprowadzi natarcie w sposób bardziej metodyczny i wykończy nas. Albo na odwrót: pierwszy rzut okopie się w ciągu dwudziestu minut, a potem drugi przeskoczy nad ich głowami i uderzy wszystkimi siłami w jeden punkt – żeby przełamać naszą obronę i opanować bazę.
A może wysłali dwa oddziały, ponieważ dwójka jest dla nich cyfrą magiczną. Albo mogą wysłać tylko osiem transportowców na raz (to by było fatalne, zakładając, że transportowce są duże – w innych sytuacjach używali pojazdów, które zabierały od czterech do 128 żołnierzy).
– Trzy minuty. – Wpatrywałem się w konstelację monitorów pokazujących różne fragmenty pola minowego. Jeżeli będziemy mieli szczęście, wylądują właśnie tam. Albo przejdą nad minami wystarczająco nisko żeby je zdetonować.
Dokuczało mi lekkie poczucie winy. Siedziałem bezpiecznie z założonymi rękami w swojej norze, gotów wydawać rozkazy i polecenia. A co o swoim nieobecnym dowódcy sądzi siedemdziesiąt owiec ofiarnych?
Przypomniałem sobie co myślałem podczas mojej pierwszej akcji o kapitanie Stott. Wolał zostać bezpiecznie na orbicie, podczas gdy my krwawiliśmy na powierzchni. Przypływ zapamiętanej nienawiści był tak silny, że z trudem opanowałem mdłości.
– Hilleboe, możesz sama zająć się laserami?
– Oczywiście, sir.
Rzuciłem pióro i wstałem. – Charlie, przejmiesz koordynację działań, dasz sobie z tym radę równie dobrze jak ja. Wychodzę na górę.
– Nie radzę, sir.
– Nie, do diabła, William. Nie bądź idiotą.
– To ja wydaję rozkazy, nie...
– Nie przeżyjesz tam dziesięciu sekund – stwierdził Charlie.
– Mam taką samą szansę jak każdy inny.
– Nie słyszysz co się do ciebie mówi? Zabiją cię!
– Żołnierze? Bzdury. Wiem że niezbyt mnie lubią, ale...
– Słuchałeś na ich częstotliwości?
– Nie, przecież w czasie rozmów między sobą nie mówili moją odmianą angielskiego.
– Oni tam myślą, że wysłałeś ich na linię za karę, za tchórzostwo. Po tym jak powiedziałeś wszystkim, że mogą iść do kopuły.
– Ukarać ich? Nie, oczywiście, że nie. – W każdym razie nieświadomie. – Po prostu byli pod ręką, gdy potrzebowałem... czy porucznik Brill nic im nie powiedziała?
– Nic takiego nie słyszeliśmy – stwierdził Charlie. – Może była zbyt zajęta.
– Albo myślała tak samo. – Lepiej będzie jeżeli...
– Patrzcie – krzyknęła Hilleboe. Na jednym z monitorów pojawił się pierwszy nieprzyjacielski transportowiec; pozostałe zjawiły się po sekundzie. Nadchodziły z różnych kierunków, w nierównych grupach. Pięć z północnego wschodu i tylko jeden z południowego zachodu. Przekazałem tę informację Brill.
Mimo wszystko dobrze wczuliśmy się w ich sposób myślenia: wszystkie schodziły do lądowania w polu minowym. Jeden znalazł się wystarczająco nisko, by zdetonować którąś z nich. Wybuch poderwał rufę pojazdu o dziwnie opływowych kształtach, przekręcił go i cisnął dziobem o powierzchnię. Otwarły się boczne luki i Taurańczycy wypełzli z wraku. Dwunastu, czterech pewnie zostało w środku. Jeżeli w pozostałych siedmiu również będzie po szesnastu, to mają nad nami tylko nieznaczną przewagę.
W pierwszym rzucie.
Pozostała siódemka wylądowała bez kłopotów i rzeczywiście w każdej z maszyn było szesnastu Taurańczyków. Brill, widząc koncentrację sił nieprzyjaciela odpowiednio przesunęła parę drużyn i zaczęliśmy czekać.
Szli szybko przez pole minowe, maszerując miarowo jak krzywonogie, o zbyt wysoko położonym środku ciężkości roboty. Nie mylili kroku nawet wtedy, gdy któryś z nich wylatywał na minie. A wyleciało z jedenastu.
Kiedy przekroczyli linię horyzontu wyjaśniło się, dlaczego liczebność grup była tak różnorodna. Przeanalizowali uprzednio, na których drogach podejścia powyrywane przez pociski rumowiska skalne dadzą im najlepszą osłonę. Dzięki nim dotarli na odległość zaledwie paru kilometrów od bazy, zanim znaleźli się w polu obstrzału. Ich skafandry musiały mieć obwody wspomagania podobne do naszych, bowiem przez niecałą minutę przeszli kilometr.
Brill natychmiast poleciła otworzyć ogień, bardziej chcąc w ten sposób podreperować morale żołnierzy, niż licząc, że zada nieprzyjacielowi znaczniejsze straty. Najprawdopodobniej jej ludziom udało się trafić paru, ale trudno było mieć pewność. W każdym razie rakiety tachionowe efektownie zamieniały potężne głazy w drobny tłuczeń.
Taurańczycy odpowiedzieli ogniem broni podobnej do naszych rakiet tachionowych (zresztą może to były takie same rakiety), ale rzadko udało im się trafiać. Nasi ludzie byli rozlokowani na powierzchni i pod powierzchnią i jeżeli rakieta w coś nie trafiła, mogła sobie tak lecieć i lecieć, po wieki wieków. Mimo to trafili jeden z naszych laserów i wstrząs, który dotarł do nas, był tak silny, że zacząłem żałować, iż nie zakopaliśmy się głębiej niż na dwadzieścia metrów.
Bewawatowe lasery w niczym nam nie pomogły. Taurańczycy musieli wcześniej ustalić ich linie ognia i ominęli je z daleka. I dobrze się stało, bo pozwoliło to Charliemu oderwać na chwilę wzrok od monitorów stanowisk laserowych.
– Co u diabła?
– Co takiego Charlie? – Nie odrywałem spojrzenia od monitorów czekając na jakąś okazję.
– Kosmolot, krążownik... zniknął. – Popatrzyłem na display. Miał rację. Czerwone punkty odnosiły się wyłącznie do transportowców.
– Gdzie on się podział? – spytałem idiotycznie.
– Przekręćmy z powrotem. – Zaprogramował display na cofnięcie projekcji o kilka minut i ustawił skalę tak, że w hologramie widniała i planeta i kolapsar. Pojawił się krążownik, a obok niego trzy zielone kropki. To nasz „tchórz" atakował krążownik z dwoma tylko „trutniami".
Zamiast wejść w kolapsar, prześliznął się wokół jego pola i wyszedł z prędkością 0,9 c (pociski 0,99 c), prosto na nieprzyjacielski krążownik. Nasza planeta była oddalona od kolapsara o tysiąc sekund świetlnych, więc Taurańczycy mieli tylko dziesięć sekund na wykrycie i zniszczenie „trutni". A przy tej prędkości nie ma różnicy, czy trafiła cię „nova" czy kula papieru.
Pierwszy pocisk rozwalił krążownik, a drugi, lecący 0,01 sekundy za nim, poszybował, by zderzyć się z planetą. Myśliwiec wyminął ją o parę kilometrów i pomknął w przestrzeń wytracając prędkość z maksymalnym przeciążeniem dwudziestu pięciu G. Wróci za parę miesięcy.
Ale Taurańczycy nie mieli zamiaru na niego czekać. Podeszli do naszych pozycji wystarczająco blisko, by obie strony mogły zacząć używać laserów, ale jednocześnie znaleźli się w polu skutecznego obstrzału naszych granat-

ników. Duże głazy mogły ich osłonić przed ogniem laserów, lecz pociski granatników i rakiety robiły prawdziwą masakrę. Żołnierze Brill mieli przygniatającą przewagę, walczyli bowiem z okopów i jedynie jakiś przypadkowy, szczęśliwy strzał albo dobrze wycelowany granat (Taurańczycy rzucali je ręcznie na odległość kilkuset metrów) mógł im zaszkodzić. Brill straciła czterech, ale wyglądało na to, że taurański oddział stopniał do połowy.
Tempo walki spadło. Były to raczej indywidualne pojedynki laserowe, akcentowane od czasu do czasu przez ciężką broń – choć użycie tachionowej rakiety przeciwko pojedynczemu Taurańczykowi nie było zbyt rozsądne, tym bardziej że za parę minut miały wylądować oddziały o nieznanej liczebności.
W obrazie holograficznym coś mnie zaniepokoiło. Teraz, gdy natężenie walki spadło – nareszcie zrozumiałem co.
Jaki będzie rezultat zderzenia z planetą „trutnia" rozpędzonego prawie do prędkości światła? Przeszedłem do komputera i wprowadziłem dane: dowiedziałem się z nich ile energii zostanie wyzwolone w czasie kolizji i porównałem to z geologiczną informacją zmagazynowaną w pamięci komputera.
Dwadzieścia razy więcej niż w czasie największego zarejestrowanego dotąd trzęsienia ziemi. Na planecie o jedną czwartą mniejszej od Ziemi. Na ogólnej częstotliwości. – Wszyscy na górę! Natychmiast! – Wdusiłem dłonią guzik, który uruchamiał i otwierał śluzy oraz tunel prowadzący z Administracji na powierzchnię.
– Co u diabła, Will...
– Trzęsienie ziemi!
– Kiedy?
– Biegiem!
Hilleboe i Charlie pędzili tuż za mną.
– Czy w okopach będzie bezpieczniej? – spytał Charlie.
– Nie wiem – odparłem. – Nie miałem do czynienia z trzęsieniami ziemi. A może ściany okopu zsuną się i cię zgniotą.
Zaskoczyła mnie ciemność panująca na powierzchni. Doradus S prawie zaszedł, a w monitorach poziom światła wyrównywany był automatycznie. Promień nieprzyjacielskiego lasera przeciął otwartą przestrzeń z lewej strony i zderzywszy się z podstawą naszego lasera stacjonarnego rozprysnął się gwałtownym deszczem iskier. Jeszcze nas nie dostrzegli. Uznaliśmy, że w okopach będzie bezpieczniej i trzema skokami dopadliśmy najbliżej położonego.
Podkręciłem wzmacniacz obrazu na dwójkę, żeby przyjrzeć się naszym współtowarzyszom. Mieliśmy szczęście – był wśród nich jeden grenadier i mieli wyrzutnię rakiet. Ich nazwiska na hełmach niewiele mi mówiły. Byliśmy w okopie Brill, ale nie zauważyła nas jeszcze. Znajdowała się w drugim końcu i wyglądała ostrożnie nad przedpiersiem kierując dwie drużyny tak, by oskrzydliły przeciwnika. Gdy osiągnęły pomyślnie wyznaczoną pozycję, zeskoczyła na dno okopu. – To pan, majorze?
– Tak – odparłem.
– Co z tym trzęsieniem ziemi?
Już jej powiedziano o zniszczeniu krążownika, ale nie wiedziała jeszcze o drugim „trutniu". Wyjaśniłem jej sytuację możliwie jak najkrócej.
– Nikt nie wyszedł ze śluzy – stwierdziła. – Jak dotąd. Przypuszczam, że wszyscy przeszli do Pola.
– Tak, mieli do niego równie blisko jak do wyjścia. – Być może część z nich nie potraktowała mnie na serio i była jeszcze na dole. Włączyłem się na ogólną częstotliwość, żeby to sprawdzić i nagle rozpętało się piekło.
Ziemia pod nami opadła, potem znowu wygięła się ku górze uderzając nas tak mocno, że nagle znaleźliśmy się w powietrzu wylatując z okopu. Przelecieliśmy kilka metrów wystarczająco wysoko, by zobaczyć rozsiane wokół jaskrawopomarańczone i żółte, owalne kratery po „novych". Wylądowałem na równych nogach, ale ziemia tak drżała i poruszała się, że nie można było utrzymać się w pozycji pionowej.
Z wyczuwalnym przez materiał skafandra basowym zgrzytem cała oczyszczona przez nas powierzchnia nad bazą rozsypała się i zapadła. Osunięcie gruntu obnażyło część podstawy Pola, które opadło na nowy poziom. Miałem nadzieję, że wszystkim starczyło czasu i rozsądku, by schronić się do kopuły.
Jakaś postać wypełzła chwiejnie z najbliższego okopu i z przerażeniem pojąłem, że nie jest to człowiek. Z tej odległości mój laser wypalił w jego hełmie dziurę na wylot, Taurańczyk zrobił jeszcze dwa kroki i padł na wznak. Nad przedpiersiem okopu pojawił się jeszcze jeden hełm – ściąłem mu wierzch zanim jego właściciel był w stanie unieść broń.
Straciłem orientację. Jedyną rzeczą, która nie zmieniła się w tym chaosie była kopuła Pola, ale wyglądała identycznie z każdej strony. Wszystkie bewawatowe lasery były zasypane i tylko jeden włączył się sam wysyłając jaskrawy, migocący płomień, który świecił jak reflektor rozjaśniając kłębiącą się chmurę pyłu skalnego.
Najwyraźniej znalazłem się na terytorium nieprzyjaciela. Po ciągle trzęsącym się gruncie zacząłem biec w stronę kopuły.
Nie mogłem nawiązać łączności z dowódcami plutonów. Najprawdopodobniej wszyscy, poza Brill, byli w kopule. Wywołałem Hilleboe i Charliego polecając Hilleboe, żeby poszła do kopuły i wygarnęła wszystkich na zewnątrz. Jeżeli w następnym rzucie również będzie 128 Taurańczyków, będziemy potrzebowali każdego żołnierza.
Wstrząsy ustały i udało mi się znaleźć „swój" okop – to jest okop kucharzy, ponieważ znajdowali się w nim tylko Orban i Rudkoski.
Usłyszałem brzęczyk wezwania i połączyłem się z Hilleboe.
– Sir... tam było tylko dziesięć osób. Reszta nie zdążyła.
– Zostali w bazie? – Wydawało mi się, że mieli wystarczająco dużo czasu.
– Nie wiem, sir.
– Mniejsza o to. Policz ilu mamy ludzi, wszystkich razem. – Znowu zacząłem wywoływać dowódców plutonów i znowu odpowiedziała mi cisza.
Parę minut czekaliśmy na ogień nieprzyjacielskich laserów, ale bez skutku. Pewnie czekali na posiłki.
Znowu odezwała się Hilleboe. – Naliczyłam tylko pięćdziesiąt trzy osoby. Może jest jeszcze paru nieprzytomnych.
– W porządku. Niech się trzymają, dopóki... – I wtedy pojawił się drugi rzut natarcia. Transportowce przemknęły nad linią horyzontu, płomienie ich silników hamujących biły w naszą stronę. – Rakietami w tych skurwysynów – wrzasnęła Hilleboe do wszystkich. Okazało się jednak, że w czasie tej kotłowaniny nikt już nie ma wyrzutni. Podobnie rzecz się miała z granatnikami, a dla ręcznych laserów odległość była zbyt wielka.
Transportowce drugiego rzutu były pięć razy większe od poprzednich. Jeden z nich wylądował jakiś kilometr przed nami, zatrzymując się tylko po to, by wyrzucić siedzących w nim żołnierzy. Było ich ponad pięćdziesięciu, prawdopodobnie sześćdziesięciu czterech – razy osiem: 512. Nie byliśmy w stanie ich zatrzymać.
– Uwaga, wszyscy, tu mówi major Mandella – starałem się, by mój głos był równy i spokojny. – Wycofujemy się do kopuły, szybko, ale w zorganizowany sposób. Wiem, że jesteśmy cholernie rozproszeni. Jeżeli któreś z was należy do plutonu drugiego lub czwartego, niech zostanie przez minutę i osłania ogniem, podczas gdy pluton pierwszy, trzeci i pluton wsparcia będą się wycofywać.
– Pluton pierwszy, trzeci i wsparcia wycofują się na połowę dystansu od kopuły, zajmują pozycję i osłaniają odwrót plutonów drugiego i czwartego, które z kolei będą osłaniać was. – Nie powinienem był używać słowa „odwrót", w podręcznikach go nie stosują. Działania opóźniające.
Trudno to było nazwać działaniami. Strzelało ośmiu czy dziewięciu, a reszta wiała na całego. Rudkoski i Orban zniknęli. Celując starannie wystrzeliłem parę razy bez widocznych rezultatów, przebiegłem w drugi koniec okopu, wyskoczyłem na górę i popędziłem do kopuły.

3.

Gdy znalazłem się w środku, zobaczyłem jak rakieta, która chybiła mnie przed momentem, przesuwa się z wolna przez półmrok, aż wreszcie wznosząc się lekko przelatuje przez przeciwległą ścianę kopuły. Gdy pojawi się z tamtej strony, wyparuje natychmiast, ponieważ cała energia kinetyczna utracona w czasie gwałtownego hamowania do prędkości 16,3 metra na sekundę, powróci do niej pod postacią ciepła.

Dziewięć osób leżało twarzą do ziemi tuż przy krawędzi Pola. Byli martwi. Można to było przewidzieć, choć nie była to wiadomość, którą przekazywano by podwładnym.

Skafandry bojowe tych dziewięciu osób były nie naruszone w przeciwnym razie nie dotarliby tak daleko – ale w którymś momencie trzęsienia ziemi musieli uszkodzić specjalną izolacyjną wykładzinę chroniącą przed działaniem Pola. Dlatego, gdy tylko weszli pod kopułę, natychmiast ustały w nich jakiekolwiek procesy elektryczne, co oczywiście zabiło ich natychmiast. A ponieważ żadna molekuła w ciele nie mogła poruszać się z prędkością większą niż 16.3 m/sek, nieszczęśnicy zamarzli na kamień.

Gestykulując udało mi się zebrać wszystkich w centrum Pola, koło rufy myśliwca, tam gdzie ułożona była broń. Uzbrojenia było dużo, szykowaliśmy je dla trzy razy większej załogi. Po tym, jak wydałem każdemu żołnierzowi tarczę i krótki miecz, napisałem na śniegu: DOBRZY ŁUCZNICY, PODNIEŚĆ RĘKĘ. Zgłosiło się pięciu ochotników, wyznaczyłem jeszcze trzech, tak żeby wszystkie łuki były wykorzystane. Dwadzieścia strzał do każdego łuku. Była to nasza najskuteczniejsza broń dalekiego zasięgu, ciężkie strzały o grocie z kryształu twardszego od diamentu były prawie niewidoczne w locie.
Ustawiłem łuczników wokół myśliwca (jego usterzenie chroniło ich częściowo przed pociskami lecącymi z tyłu), a między każdą parą łuczników umieściłem czterech żołnierzy: dwóch z oszczepami, jednego z dzidą i jednego uzbrojonego w topór bojowy i tuzin noży do rzucania – chakram. Przy takim ustawieniu byliśmy w stanie razić nieprzyjaciela w każdej odległości – od granicy Pola do momentu walki wręcz.
Inna rzecz, że w chwili obecnej, przy stosunku sił 600 na 42, mogli zapewne wejść tu z kamieniami w rękach, bez tarcz czy w ogóle jakiegoś specjalnego uzbrojenia i zrobić z nas miazgę.
Oczywiście zakładając, że wiedzą co to Pole. Poza tą niewiadomą ich uzbrojenie wyglądało na zupełnie nowoczesne.
Przez kilka godzin panował spokój. Zaczynaliśmy już być zmęczeni tym

oczekiwaniem na śmierć. Nikt do nikogo nie mówił, nie widziało się nic, tylko niezmiennie szarą kopułę, szary śnieg, szary statek kosmiczny i kilku identycznie szarych żołnierzy. Słyszało się tylko samego siebie, czuło się tylko zapach własnego ciała.

Ci, którzy jeszcze w jakimś stopniu interesowali się walką, obserwowali wewnętrzną granicę Pola, czekając na pierwszych Taurańczyków. Dzięki temu w ciągu sekundy mogliśmy się zorientować, że atak się zaczął. Z góry spadł na nas deszcz dzirytów, które przedostały się do kopuły jakieś trzydzieści metrów nad powierzchnią i leciały w stronę jej centrum.

Ludzie, którzy zauważyli nadlatujące dziryty łatwo mogli się ukryć za swoimi tarczami – były wystarczająco duże. Ci, którzy stali do nich tyłem albo właśnie drzemali, mogli liczyć tylko na łut szczęścia – nie można było zawołać, by ich ostrzec, a pocisk leciał od skraju kopuły zaledwie trzy sekundy.

Udało nam się – straciliśmy tylko pięciu, w tym jednego łucznika. Nazywał się Shubik. Wziąłem jego łuk i znowu czekaliśmy, spodziewając się, że tym razem zaatakuje nas piechota.

Nie zaatakowała. Po pół godzinie przeszedłem się naokoło i wyjaśniłem na migi, że w wypadku gdy cokolwiek się zdarzy, należy przede wszystkim szturchnąć stojącego po prawej. On zrobi to samo i tak dalej po linii.

Być może ocaliło mi to życie. Parę godzin później druga fala dzirytów nadleciała zza moich pleców. Poczułem szturchnięcie, klepnąłem w ramię człowieka stojącego po prawej, odwróciłem się i zobaczyłem spadającą chmurę pocisków. Uniosłem tarczę nad głową i w ułamek sekundy później wbiły się w nią dziryty.

Odłożyłem łuk, by wyrwać wbite w tarczę trzy pociski i w tym momencie rozpoczął się atak piechoty. Około trzystu Taurańczyków jednocześnie przekroczyło linię Pola. Byli ustawieni ramię przy ramieniu wzdłuż całego obwodu kopuły. Maszerowali w nogę, każdy z nich trzymał okrągłą tarczę ledwo przykrywającą jego masywną pierś. Rzucali dziryty podobne do tych, którymi atakowali nas poprzednio.

Ustawiłem tarczę przed sobą – miała u dołu niewielkie podpórki, które utrzymywały ją w pozycji pionowej – i gdy wypuściłem pierwszą strzałę, spostrzegłem, że jednak mamy szansę. Pocisk trafił jednego z nich w środek tarczy, przebił ją na wylot i przedziurawił skafander.

W gruncie rzeczy była to masakra. Bez elementu zaskoczenia ich dziryty były nieskuteczne, ale jednak, gdy jeden nadleciał z tyłu, zza mojej głowy, poczułem jak ścierpła mi skóra na karku.

Strzałami i oszczepami zabiliśmy ponad połowę maszerujących, na długo zanim zbliżyli się na odległość walki wręcz. Wyciągnąłem miecz i czekałem. W dalszym ciągu mieli nad nami trzykrotną przewagę.

Do walki wręcz pierwsi weszli żołnierze uzbrojeni w dzidy. Były to raczej dwumetrowe, metalowe pręty, na końcach których znajdowały się obosieczne, ząbkowane jak piła, noże. Taurańczycy walczyli z nimi w cholernie beznamiętny – albo bohaterski, wszystko zależy od punktu widzenia – sposób. Po prostu chwytali za ostrze i umierali. A zanim człowiek uwolnił swoją broń z tego śmiertelnego chwytu, zabijał go drugi Taurańczyk uzbrojony w ponad metrową, zakrzywioną szablę.

Oprócz szabel mieli także coś, co przypominało bolo. Był to kawał elastycznego sznura zakończonego dziesięciocentymetrowym odcinkiem czegoś zbliżonego do drutu kolczastego z ciężarkiem. Gdy chybił celu, wszystko to odskakiwało z powrotem w nieoczekiwany sposób. Bolo trafiało jednak dość często, przelatując pod tarczami i oplątując kostki drutem kolczastym.

Gdy siły taurańskie stopniały, nasi przeciwnicy po prostu zrobili w tył zwrot i zaczęli maszerować w stronę granicy Pola. Ciskaliśmy za nimi ich dziryty, ale nie mieliśmy ochoty ich ścigać. Mogliby jeszcze raz zrobić w tył zwrot.

Zostało nas tylko dwadzieścia osiem osób. Prawie dziesięć razy więcej Taurańczyków zasłało pole walki, ale nie mieliśmy specjalnych powodów do radości. Przecież byli w stanie zacząć wszystko od początku, z nowymi trzema setkami żołnierzy. I tym razem uda im się na pewno.

Przechodziliśmy od jednego ciała do drugiego, wyciągając strzały i oszczepy, a potem znowu zajęliśmy nasze pozycje naokoło myśliwca. Dzidami nikt się już nie interesował. Policzyłem swoich: Charlie i Diana jeszcze żyli (Hilleboe była jedną z ofiar dzidy), podobnie dwaj inni oficerowie: Wilber i Szydlowska. Rudkoski również ocalał, ale Orban dostał dzirytem.

Czekaliśmy cały dzień i wszystko wskazywało na to, że nieprzyjaciel zamiast próbować bezpośredniego ataku, zdecydował się raczej załatwić nas na odległość. Dziryty spadały na nas bez przerwy, już nie całymi rojami, ale po dwa, trzy, dziesięć. Każdy z innego kierunku. Nie można ciągle mieć się na baczności i co trzy, cztery godziny udawało im się kogoś trafić.

Spaliśmy po dwoje, na zmianę, leżąc na generatorze Pola. Znajdował się bezpośrednio pod kadłubem myśliwca i był najbezpieczniejszym miejscem w całej kopule.

Od czasu do czasu na skraju Pola pojawiał się Taurańczyk, najwidoczniej sprawdzając czy jeszcze żyjemy. Niekiedy strzelaliśmy do niego z łuku – żeby nie wyjść z wprawy.

Po kilku dniach dziryty przestały na nas spadać. Przypuszczam, że po prostu się im wyczerpały. Albo kiedy zostało nas już tylko dwudziestu, uznali że teraz mogą przestać. To było bardziej prawdopodobne. Podszedłem z dzidą do skraju Pola i wytknąłem jakiś centymetr na drugą stronę. Gdy wciągnąłem ją do środka, koniec był stopiony. Po prostu obkładali Pole ogniem z laserów i czekali na moment, w którym dostaniemy kota i wyłączymy generator. Sami pewnie siedzieli sobie w swoich pojazdach i rżnęli w taurańskie oczko.

Próbowałem myśleć. Ani przez chwilę nie mogłem się skoncentrować w tym wrogim środowisku – pozbawiony zmysłów, oglądający się ciągle przez ramię. Charlie coś powiedział. Wczoraj? Nie mogłem tego odtworzyć. Tylko to, że wtedy by się nam nie udało. Więcej nie pamiętałem – aż do chwili, gdy mnie olśniło.

Zebrałem wszystkich i napisałem na śniegu:

WYJĄĆ Z MYŚLIWCA „NOVE".

PRZENIEŚĆ NA SKRAJ POLA.

PRZESUNĄĆ POLE.

Szydlowska orientował się gdzie na pokładzie myśliwca znajdowały się odpowiednie narzędzia. Na szczęście zostawiliśmy wszystkie włazy otwarte, zanim włączyliśmy Pole – były sterowane elektronicznie i zablokowałoby je na amen.

Drzwi komory bombowej miały awaryjne sterowanie ręczne i wszystko poszło gładko. Zupełnie inną sprawą było uwolnienie bomb z uchwytów. W końcu Szydlowska wrócił do maszynowni i przyniósł łom. Rozluźnił mocowania jednej bomby, ja drugiej i wreszcie wytoczyliśmy je z komory bombowej.

Nim zeszliśmy na dół, zajął się nimi sierżant Anghelov. Żeby uzbroić bombę musiał tylko odkręcić zapalnik umieszczony w głowicy i powiercić czymś w otworze, żeby zniszczyć mechanizm opóźniający i bezpieczniki.

Przenieśliśmy je szybko na brzeg Pola, sześciu ludzi na jedną bombę, i ułożyliśmy obok siebie. Następnie daliśmy znak czterem żołnierzom stojącym przy uchwytach generatora Pola. Unieśli go i zrobili dziesięć kroków w przeciwnym kierunku.

Nie mieliśmy wątpliwości, że bomby wybuchły. Przez chwilę na zewnątrz było gorąco jak w środku gwiazdy i nawet Pole na to zareagowało. Jedna trzecia kopuły rozjarzyła się przez moment ciemnoróżową poświatą i znowu zszarzała. Poczuliśmy lekkie przyspieszenie, jak w windzie. Oznaczało to, że spadamy w głąb krateru. Czy dno będzie twarde? Czy też zatoniemy w roztopionej lawie i zastygniemy jak muchy w bursztynie – nie warto było o tym myśleć. Nawet jeżeli coś takiego się zdarzy, może będziemy mogli utorować sobie drogę bewawatowymi laserami myśliwca.

Przynajmniej dwunastu z nas.

JAK DŁUGO? – wydrapał Charlie na śniegu.

To było cholernie dobre pytanie. Wiedziałem tylko ile energii wyzwoli eksplozja obu bomb. Nie wiedziałem jakie będą rozmiary powstałej przy wybuchu kuli ognia, a to przecież rzutowało na temperaturę w czasie detonacji i na rozmiary krateru. Nie znałem też zdolności pochłaniania ciepła przez otaczające nas skały oraz ich punktu wrzenia. Napisałem – TYDZIEŃ?

Zacząłem wypisywać równania na śniegu usiłując obliczyć maksymalny i minimalny czas, w którym temperatura na zewnątrz spadnie do 500 Kelwinów. Anghelov, którego wiadomości z dziedziny fizyki były bardziej aktualne od moich, rozwiązywał te same zadania po drugiej stronie statku.

Według moich obliczeń mogło to trwać od sześciu godzin do sześciu dni (choć przy sześciu godzinach otaczające nas skały musiałyby przewodzić ciepło jak czysta miedź), a Anghelovowi wyszło, że od pięciu godzin do czterech i pół dnia. Głosowałem za sześcioma dniami i nie było sprzeciwu.

Bardzo dużo spaliśmy. Charlie i Diana grali w szachy wyskrobując symbole na śniegu. Kilkakrotnie sprawdzałem swoje obliczenia i zawsze wychodziło mi sześć dni. Sprawdziłem obliczenia Anghelova i też wydały mi się prawidłowe, ale obstawałem przy swoim. Nic nie szkodzi, jeżeli posiedzimy w skafandrach jeszcze przez półtora dnia. Spieraliśmy się żartobliwie wypisując zwięzłe stenogramy.

W dniu, w którym podłożyliśmy bomby, było nas dziewiętnaścioro. Sześć dni później, kiedy stanąłem z dłonią na wyłączniku Pola, było nas tyle samo. Co nas czekało na zewnątrz? Na pewno zniszczyliśmy wszystkich Taurańczyków w promieniu kilku klików od punktu eksplozji. Mogli jednak rozmieścić siły rezerwowe gdzieś dalej i teraz oczekiwali nas na krawędzi krateru. W każdym jednak razie pałka wytknięta na zewnątrz, wracała nie uszkodzona.

Rozśrodkowałem ludzi na całej powierzchni tak, żeby nie mogli załatwić nas jednym strzałem. A potem, gotowy włączyć Pole natychmiast gdyby się okazało, że coś jest nie tak – wcisnąłem guzik.

4.

Moje radio w dalszym ciągu włączone było na ogólną częstotliwość i nagle w moje uszy wdarła się głośna, radosna wrzawa.

Staliśmy pośrodku krateru szerokiego i głębokiego na kilometr. Jego stoki połyskiwały czarną polewą poprzecinaną czerwonymi szczelinami – gorącymi, ale już niegroźnymi. Półkula gruntu, na której oparte było Pole, zagłębiła się na jakieś czterdzieści metrów w roztopione eksplozją dno krateru i staliśmy teraz na czymś w rodzaju postumentu.

W zasięgu wzroku nie było ani jednego Taurańczyka.

Popędziliśmy do statku, zahermetyzowaliśmy go, napełnili chłodnym powietrzem i zdjęliśmy skafandry. Nie starałem się wykorzystać mojej rangi po to, by jako pierwszy wleźć pod prysznic – siedziałem tylko na leżance i oddychałem głęboko powietrzem, które nareszcie nie pachniało regenerowanym Mandellą.

Myśliwiec był obliczony na załogę najwyżej dwunastoosobową i dlatego, by nie obciążać systemów utrzymania życia, siedmioosobowa zmiana musiała stale przebywać na zewnątrz. Do oddalonego o sześć tygodni drugiego myśliwca wysłałem kilkakrotnie wiadomość, że jesteśmy cali i zdrowi i czekamy żeby nas zabrał. Byłem prawie pewien, że będzie na nim przynajmniej siedem wolnych miejsc, bowiem załoga w czasie działań bojowych liczyła zazwyczaj trzy osoby.

Jakże fajnie było znowu chodzić swobodnie i mówić. Oficjalnie zawiesiłem na czas naszego pobytu na planecie wszystko co wiązało się ze służbą wojskową. Kilku ludzi należało poprzednio do buntowniczej zgrai z plutonu Brill, ale nie okazywali mi żadnej wrogości.

Wreszcie wylądował obok nas drugi myśliwiec i mieliśmy dziewięć wolnych miejsc. Przetasowaliśmy załogi tak, by na każdej z jednostek był ktoś, kto mógłby dać sobie radę, gdyby nawalił program powrotu. Wybrałem sobie ten drugi myśliwiec, w nadziei że będą mieli jakieś nowe książki. Nie mieli.

Większość czasu spędzaliśmy w swoich wannach przeciwprzeciążeniowych, by uniknąć patrzenia ciągle na te same twarze, w tym tak zatłoczonym statku. Sumujące się okresy przyspieszeń sprawiły, że dotarliśmy do Stargate w ciągu dziewięciu miesięcy (czasu pokładowego). Oczywiście dla hipotetycznego obserwatora z zewnątrz było to 340 lat (bez siedmiu miesięcy).

Na orbicie Stargate znajdowały się setki krążowników. Fatalna sprawa: w takim układzie możemy wcale nie dostać urlopu. Zresztą, spodziewałem się raczej sądu polowego niż urlopu. Straciłem osiemdziesiąt osiem procent kompanii, z tego wielu tylko dlatego, że nie mieli do mnie zaufania i nie posłuchali rozkazu pójścia pod kopułę. No i jeżeli chodzi o Sade-138, byliśmy w punkcie wyjścia – nie wpuściliśmy Taurańczyków, ale sami też zostaliśmy bez bazy.

Otrzymaliśmy instrukcje i zeszliśmy prosto w dół. W kosmoporcie czekała na nas kolejna niespodzianka. Na płycie stały całe tuziny krążowników, a do tej pory nic takiego się nie zdarzyło (obawiano się ataku na Stargate). Między nimi zaś – dwa zdobyczne krążowniki taurańskie. Nigdy dotąd nic takiego się nam nie udało.

Jak widać, przez te siedem stuleci wywalczyliśmy zdecydowaną przewagę. A może wygrywamy?

Przeszliśmy przez śluzę opatrzoną napisem „powracający". Po tym jak wpuszczono powietrze i zdjęliśmy skafandry, zjawiła się przepiękna kobieta z wózkiem wypełnionym mundurami i oznajmiła nam idealną angielszczyzną, że mamy się ubrać i przejść do sali odpraw, która znajduje się na końcu korytarza, na lewo.

Mundur sprawiał dziwne wrażenie – był lekki, ale ciepły. Po raz pierwszy od prawie roku ubrany byłem w coś innego niż skafander.

Sala odpraw była sto razy za duża na te dwadzieścia dwie osoby. Znajdowała się w niej ta sama dziewczyna i poprosiła nas, żebyśmy usiedli bardziej z przodu. Dziwna sprawa: mogłem przysiąc, że poszła w drugą stronę korytarza, patrzyłem uważnie – nie mogłem oderwać wzroku od jej opiętego mundurem tyłeczka.

Do diabła, może mają przekaźniki materii albo teleportację. Pewnie nie chciało się jej zrobić tych paru kroków.

Po jakiejś minucie do sali wszedł mężczyzna ubrany w taki sam, pozbawiony wszelkich odznak mundur, jaki miała dziewczyna i my. Przeszedł przez scenę niosąc pod każdą pachą plik grubych książek.

Za nim szła ta sama dziewczyna, również z książkami.

Spojrzałem przez ramię i zobaczyłem, że stoi również w przejściu. Co dziwniejsze, mężczyzna także wyglądał jak ich brat-bliźniak.

Mężczyzna przekartkował jedną z książek i odchrząknął. – Książki te mają wam pomóc – mówił równocześnie idealną angielszczyzną. – Nie musicie ich czytać, jeżeli nie macie na to ochoty. Nie musicie robić nic, na co nie macie ochoty, bowiem... jesteście już cywilami, wolnymi ludźmi – mężczyznami i kobietami. Wojna się skończyła.

Pełna niedowierzania cisza.

– Jak się dowiecie z tej książki, wojna zakończyła się 221 lat temu. Jest więc teraz rok 220. Oczywiście według starego stylu mamy rok 3138.

Jesteście ostatnim powracającym oddziałem. Kiedy opuścicie Stargate, ja również opuszczę to miejsce. I zniszczę je. Funkcjonuje ono tylko jako punkt, w którym spotykaliśmy powracających żołnierzy i jako pomnik ludzkiej głupoty. Przeczytacie o tym. Zniszczenie Stargate będzie aktem oczyszczenia.

Przerwał i natychmiast włączyła się kobieta. – Współczuję wam, że tyle musieliście przecierpieć i chciałabym móc wam powiedzieć, że czyniliście to w słusznej sprawie, ale jak się dowiecie z tej książki, tak nie było.

– Nawet majątek, który zgromadziliście – zaległy żołd i procenty od niego – jest bez wartości, ponieważ nie używamy pieniędzy czy kredytu. Nie istnieje również coś takiego jak gospodarka, w której potrzebne są te... rzeczy.

– Jak musieliście się już domyśleć – podjął z kolei mężczyzna – jestem, jesteśmy klonami jednego osobnika. Jakieś 250 lat temu nazywałem się Kahn. Teraz nazywam się Człowiek.

– Moim bezpośrednim przodkiem był kapral Larry Kahn z waszej kompanii. Ubolewam, że nie wrócił.

– Jestem ponad dziesięcioma miliardami osobników, ale tylko jedną osobowością – powiedziała dziewczyna. – Gdy zapoznacie się z tym tekstem, spróbuję ten problem wyjaśnić. Wiem, że trudno to będzie wam zrozumieć.

– Nie produkuje się już ludzi w dotychczasowy sposób, gdyż jestem wzorcem idealnym. Osobniki obumarłe są zastępowane. Istnieją jednak planety, na których ludzie rozmnażają się w normalny, charakterystyczny dla ssaków sposób. Jeżeli moje społeczeństwo wyda się wam zbyt obce, będziecie mogli udać się na którąś z nich. Jeżeli chcecie brać udział w akcie prokreacji, nie będziemy was do tego zniechęcać. Wielu weteranów prosi byśmy zmienili ich zainteresowania erotyczne na heteroseksualne, aby łatwiej mogli się dostosować do tych społeczeństw. Możemy to zrobić bez trudu.

Nie martw się o to Człowieku, tylko daj mi mój bilet.

– Przez dziesięć dni będziecie moimi gośćmi tu, w Stargate, a następnie możecie się udać tam, gdzie zechcecie. W międzyczasie przeczytajcie, proszę, tę książkę. Nie krępujcie się, możecie zadawać dowolne pytania, prosić o dowolne usługi. – Oboje wstali i zeszli ze sceny.

Charlie siedział koło mnie. – Niewiarygodne – powiedział. – Oni pozwalają... oni namawiają... żeby kobieta i mężczyzna znowu to robili? Razem?

Kobieta Człowiek z przejścia, siedziała za nami i zareagowała na jego słowa, zanim zdołałem ułożyć względnie wyrozumiałą, pełną hipokryzji odpowiedź. – To nie jest negatywny osąd waszego społeczeństwa – powiedziała, nie dostrzegając najwidoczniej, że Charlie odebrał te informacje bardzo osobiście. – Mam wrażenie, że jest to niezbędne, jako zabezpieczenie eugeniczne. Nie posiadam dowodu na to, że klonowanie tylko jednego, idealnego osobnika prowadzi do jakichś negatywnych skutków, ale jeżeli okaże się to błędem, zawsze będzie istnieć wystarczająco duża rezerwa genetyczna, pozwalająca zacząć wszystko od początku.

Poklepała go po ramieniu. – Oczywiście nie musisz jechać na te rozpłodowe planety. Możesz pozostać na jednej z naszych. Nie robię różnic pomiędzy stosunkiem hetero- czy homoseksualnym.

Weszła na scenę i wygłosiła długi instruktaż, gdzie, w czasie naszego pobytu w Stargate, mamy mieszkać, jeść i tak dalej.

– Nigdy dotąd nie byłem uwodzony przez komputer – mruknął Charlie.

Trwającą 1143 lata wojnę wywołano podstępem i toczono ją tylko dlatego, że dwie rasy nie były w stanie się porozumieć.

Gdy wreszcie powstały takie możliwości, pierwszym pytaniem było: „Dlaczego zaczęliście?", a odpowiedź: „My?"

Taurańczycy nie toczyli wojen od tysiącleci i na początku dwudziestego pierwszego wieku wszystko wskazywało na to, że i ludzkość w najbliższym czasie wyrośnie z tej choroby. Ale dawni wojskowi ciągle istnieli i wielu z nich zajmowało wpływowe stanowiska. Praktycznie biorąc, kontrolowali całkowicie Grupę Eksploracyjno-Kolonizacyjną ONZ, która wykorzystywała nowo odkrytą technikę skoków kolapsarowych do badania przestrzeni międzygwiezdnej.

Pierwsze kosmoloty często ulegały katastrofom i znikały bez śladu. Eks-wojskowi stali się podejrzliwi. Uzbroili statki kolonizacyjne i kiedy po raz pierwszy napotkali taurański statek, rozwalili go.

Następnie odkurzyli swoje medale i cała reszta przeszła do historii.

Inna sprawa, że trudno obciążać tylko wojskowych odpowiedzialnością za wszystko co się stało. Dowody, które miały poprzeć ich tezę obciążającą Taurańczyków zarzutem spowodowania wcześniejszych strat, były na dobrą sprawę śmiechu warte. Parę osób próbowało zwrócić na to uwagę, ale zostały zignorowane.

Tak naprawdę, ziemska gospodarka potrzebowała wojny i po prostu nadarzyła się wymarzona okazja. Była to wspaniała, duża dziura, w którą można było ładować kupę forsy i cała ta afera raczej jednoczyła niż dzieliła ludzkość.

Taurańczycy stopniowo na nowo nauczyli się jako tako prowadzić wojnę, ale nigdy nie byli w tym naprawdę dobrzy i w końcu pewnie by przegrali.

Taurańczycy, jak wyjaśniała to książka, nie mogli porozumieć się z ludźmi, ponieważ nie znali pojęcia jednostki – od miliardów lat byli klonowani. W końcu jednak i nasze krążowniki zostały obsadzone przez klony Człowieka-Kahna i po raz pierwszy obie strony były w stanie nawiązać kontakt.

Książka tylko informowała o tym fakcie. Poprosiłem Człowieka, by mi wyjaśnił co to znaczy, na czym polega specyfika porozumiewania się między klonami, ale odpowiedział mi, że a priori nie jestem w stanie tego pojąć. Nie było słów określających to zjawisko, a mój mózg nie mógłby pojąć tych zagadnień nawet gdyby istniały odpowiednie słowa.

W porządku. Brzmiało to nieco podejrzanie, ale chciałem mu uwierzyć. Uwierzyłbym nawet, że czarne jest białe, jeżeli miało to oznaczać, iż wojna się skończyła.

Właśnie skończyłem się ubierać po moim pierwszym od lat dobrym spaniu, gdy ktoś zapukał leciutko do drzwi. Otworzyłem i zobaczyłem kobiecego

Człowieka stojącego z dziwnym, nieomal lubieżnym wyrazem twarzy. Sprawiało to wrażenie, jakby próbowała wyglądać uwodzicielsko.
– Majorze Mandella – spytała – mogę wejść? Wskazałem jej krzesło, ale podeszła prosto do łóżka i usiadła delikatnie na pogniecionej pościeli.
– Mam dla pana propozycję, majorze. – Zastanawiałem się przez chwilę, czy wie o archaicznym, drugim znaczeniu tego słowa. – Proszę, niech pan usiądzie koło mnie.
Jeżeli chodzi o uwodzenie mnie przez komputer, to nie miałem takich oporów jak Charlie, więc usiadłem. – Co pani proponuje? – dotknąłem jej ciepłego uda i z przykrością zauważyłem, jak łatwo mi się opanować. Czyżby odruch bezwarunkowy też mógł zaniknąć?
– Potrzebuję pańskiej zgody na klonowanie i paru gramów tkanki. W zamian za to ofiarowuję panu nieśmiertelność. – To nie była ta propozycja, na którą czekałem.
– Dlaczego właśnie ja? Sądziłem, że jesteście już idealnym wzorem.
– Jeżeli chodzi o moje potrzeby, o ile mogę to ocenić, owszem, jestem. Ale potrzebuję pana do pewnej funkcji... przeciwnej mojej naturze. Przeciwnej również naturze mego taurańskiego brata.
– Jakaś paskudna robota? – Całą wieczność czyścić wychodki, no cóż, to poniekąd też nieśmiertelność.
– Pan może oceniać ją inaczej. – Poruszyła się niecierpliwie i cofnąłem rękę. – Dziękuję. Czy przeczytał pan pierwszą część książki?
– Przekartkowałem.
– A więc pan wie, że zarówno Człowiek jak i Taurańczyk są istotami łagodnymi. Nie walczymy ani w obrębie naszych grup, ani między sobą, ponieważ agresywność została z naszej psychiki usunięta. Wypreparowana.
– Osiągnięcie godne uznania. – Zorientowałem się do czego zmierza i moja odpowiedź brzmiała – nie.
Ale to właśnie ów brak agresywności ze strony Taurańczyków pozwolił ludziom waszych czasów toczyć zwycięską wojnę z cywilizacją starszą o niezliczone tysiąclecia. Obawiam się, że może się to znowu zdarzyć.
– Tym razem Człowiekowi.
– Człowiekowi i Taurańczykowi. Z filozoficznego punktu widzenia różnica jest niewielka.
– A więc chcecie, żebym dostarczył wam armię. Bandę barbarzyńców do pilnowania waszych granic.
– To dość przykry sposób...
– To dość przykry pomysł. – Tak właśnie wyobrażałem sobie piekło. – Nie, nie mogę tego zrobić.
– To pańska jedyna szansa, żeby żyć wiecznie.
– Stanowczo odmawiam – gapiłem się na podłogę. – Wasza agresywność została z was wypreparowana, a ze mnie ją wybito.
Wstała i wygładziła mundur na swych idealnie zgrabnych biodrach. – Nie mogę uciekać się do podstępu. Jeżeli jednak pragnie pan tego ciała, nie odmówię go panu.
Rozważyłem w myśli tę możliwość, ale nic nie odpowiedziałem.
– Oprócz nieśmiertelności jestem w stanie zaproponować tylko abstrakcyjne poczucie zadowolenia z pełnionej służby. Ochrony ludzkości przed nieznanymi zagrożeniami.
Mam za sobą ponad tysiąc lat służby i jakoś nie doznałem żadnego uczucia zadowolenia. – Nie. Nawet gdybym myślał o tobie jako o ludzkości, też powiedziałbym nie.
Skinęła głową i podeszła do drzwi.
– Proszę się nie martwić – powiedziałem. – Pewnie inni się zgodzą.
Otworzyła drzwi i odparła nie odwracając się do mnie. – Nie, inni już odrzucili tę propozycję. Stopień prawdopodobieństwa uzyskania pańskiej zgody był najniższy i do pana zwróciliśmy się na samym końcu.
Człowiek zachowywał się dość sympatycznie, zwłaszcza gdy weźmie się pod uwagę naszą odmowę współpracy. Tylko dla nas, dwudziestu dwóch cofniętych w rozwoju osobników zadał sobie trud i ponownie otworzył oraz obsadził stałym personelem małą restauracyjkę czy tawernę. (Nigdy nie widziałem, żeby Człowiek jadł lub pił i jak sądzę, znaleźli sposób by obchodzić się bez tego). Siedziałem tam pewnego wieczoru popijając piwo i czytając tę ich książkę, gdy zjawił się Charlie i usiadł koło mnie.
Powiedział bez żadnego wstępu. – Mam zamiar spróbować.
– Co spróbować?
– Kobietę. Hetero. – Wzdrygnął się. – Bez obrazy... ale to niezbyt pociągające. – Z roztargnionym wyrazem twarzy poklepał mnie po ręce. – Ale mając do wyboru... próbowałeś?
– Wiesz... no, nie. – Kobieta Człowiek była ucztą dla oczu, ale na tej samej zasadzie co obraz czy rzeźba. Po prostu nie byłem w stanie myśleć o nich jako o ludzkich istotach.
– Nie próbuj. – Nie rozwijał tego tematu. – Poza tym, oni mówią – on, ona, ono mówi – że bez trudu mogą mnie przestawić z powrotem. Jeżeli mi się to nie spodoba.
– Spodoba ci się, Charlie.
– Jasne, oni też to mówią. – Zamówił sobie coś mocniejszego. – Nie mogę jednak oprzeć się myśli, że to przeciwne naturze. Tak czy owak, skoro, hm, mam zamiar zrobić tę zmianę, to czy nie miałbyś nic przeciwko temu... czy nie moglibyśmy pojechać gdzieś razem?
– Jasne, Charlie, to byłoby wspaniałe. – Naprawdę tak myślałem. – Wiesz dokąd lecieć?
– Do diabła, to obojętne. Byle jak najdalej stąd.
– Zastanawiam się, czy Heaven jest ciągle takie fajne...
– Nie. – Charlie wskazał kciukiem na barmana. – On tam mieszka.
– Bo ja wiem. Mają chyba jakiś spis.
Do tawerny wszedł Człowiek popychając przed sobą wózek wyładowany stosem skoroszytów. – Major Mandella? Kapitan Moore?
– To my – odparł Charlie.
– Tu są wasze akta, mam nadzieję, że panów zainteresują. Zostały przeniesione na papier w chwili, gdy pozostał już tylko wasz oddział. Utrzymywanie normalnego systemu kodowania informacji do przechowywania tak znikomej ilości informacji byłoby niepraktyczne.
Zawsze potrafili przewidzieć pytanie, nawet jeżeli nikt nie miał pytań.
Mój skoroszyt był ponad pięć razy grubszy od skoroszytu Charliego. Najprawdopodobniej był w ogóle najgrubszy, bo wyglądało na to, że jestem jedynym facetem, który odbębnił całość. Biedna Marygay. – Ciekaw jestem, co ten biedak Stoss wysmażył na mój temat? – Otworzyłem skoroszyt na pierwszej karcie.
Był do niej przypięty mały skrawek papieru. Wszystkie pozostałe strony były dziewiczo białe, tylko ta jedna była pożółkła i kruszyła się na brzegach.
Charakter pisma był mi dobrze, aż za dobrze znany, biorąc pod uwagę ile czasu minęło. Data sprzed 250 lat.
Zamrugałem, czując jak oślepiają mnie łzy. Nie mogłem przypuszczać, że jeszcze żyje, jednak nie wiedziałem też, że umarła. Dopiero data mi to uzmysłowiła.
– William? Co się...
– Zostaw mnie, Charlie. Na chwilę. – Wytarłem oczy i zamknąłem skoroszyt. Nie powinienem czytać tej przeklętej notatki. Jeżeli mam zamiar rozpocząć nowe życie, to muszę pogrzebać upiory przeszłości.
Ale nawet list zza grobu był jakąś formą kontaktu. Znów otworzyłem skoroszyt.

11 października 2878

Williamie!
To, co napiszę, jest w twoich aktach personalnych. Wiem jednak, że możesz je po prostu cisnąć w kąt. Zrobiłam więc wszystko, żebyś ten list otrzymał. Jak widzisz, żyję. Może ty też. Spotkajmy się.
Wiem z dokumentów, że wysłano cię do Sade-138 i wrócisz za parę wieków. Nie ma sprawy.
Lecę na planetę, którą nazywają Middle Finger, piątą w systemie Mizara. To dwa skoki kolapsarowe, dziesięć miesięcy czasu pokładowego. Middle Finger jest dla heteroseksualnych czymś w rodzaju Mekki. Nazywają ją „podstawą kontroli eugenicznej".
Mniejsza o to. Ja i pięciu innych weteranów wydaliśmy wszystkie pieniądze, ale kupiliśmy stary krążownik i używamy go jako maszyny czasu. Jestem więc na pokładzie promu relatywistycznego i czekam na ciebie. Po prostu odlatujemy na odległość pięciu lat świetlnych od Middle Finger i wracamy z pełną prędkością. Przez każde dziesięć lat starzeję się mniej więcej o miesiąc. Jeżeli żyjesz i twój czas nie uległ zmianom, w chwili twojego przybycia tutaj będę miała dopiero dwadzieścia osiem lat. Spiesz się!
Nie znalazłam sobie nikogo innego i nie chcę nikogo innego. Nie obchodzi mnie, czy masz dziewięćdziesiąt czy trzydzieści lat. Jeżeli nie będę mogła być twoją kochanką, będę twoją pielęgniarką.

Marygay

– Hej, barman.
– Słucham, panie majorze.
– Czy słyszał pan o Middle Finger? Jest tam jeszcze?– Oczywiście. A gdzie mogłaby być? – Słuszne pytanie. – Bardzo miłe miejsce. Planeta-ogród. Choć niektórzy nie uważają jej za dość atrakcyjną.
– O co chodzi? – spytał Charlie.
Podałem barmanowi pustą szklankę. – Właśnie dowiedziałem się dokąd mamy lecieć.

Epilog

The New Voice
Paxton, Middle Finger 24-6
14.02.3143
WETERAN MA PIERWORODNEGO
Marygay Potter-Mandella (24 Post Road, Paxton) urodziła w ten piątek pięknego chłopca o wadze 3 kilogramów i 100 gramów.
Marygay twierdzi, że jako urodzona w 1977 r. jest drugą „najstarszą" mieszkanką Middle Finger. Brała udział w prawie całej „Wiecznej Wojnie", a następnie przez 261 lat oczekiwała na swojego przyszłego męża w promie czasowym. Jej małżonek – William Mandella-Potter jest o dwa lata od niej starszy.
Dziecko, któremu jeszcze nie nadano imienia, przyszło na świat w domu rodziców. Poród odbierała przyjaciółka domu Dr Diana Alsever-Moore.

Przełożył z angielskiego: **Sławomir Kędzierski**

grozi dekonspiracją.

– Chyba masz rację. – Bart wstał. – Jeśli już nie jestem ci potrzebny, chętnie poszedłbym przespać się parę godzin.

– Oczywiście, idź.

Po wyjściu Lange'a John usiadł i pogrążył się w rozmyśleniach. Nigdy nie umiał być naprawdę zły na Humberta. Daal był przecież razem z nim, kiedy wymknęli się, by spojrzeć na Ziemię po Zagładzie. A ten widok – na Boga – mógł zmienić sposób myślenia każdego.

Nieduży, nieuzbrojony statek wyłonił się z hiperprzestrzeni w odległości pozwalającej na uzyskanie radiowego połączenia z Jessą. John poczekał aż statek towarzyszący, prowadzony przez Louisa Damiano również pojawił się o kilka kilometrów z boku. Dopiero wtedy nadał sygnał: „Tu Nieuzbrojony Statek Czwartej Klasy Eksploracyjnej Council Bluffs. Dowodzi John Braysen. Chciałbym mówić z Humbertem Daalem".

Po chwili ciszy dał się słyszeć szum fali nośnej, w nim zakłócenia, urwane słowa, niewyraźne szepty. W końcu z głośnika na statku Johna dobiegło:

– John? Komandor Braysen? Tu Fred Coulter. Jak się pan miewa?

– Fred!? Halo! U mnie wszystko w porządku. A u Ciebie?

– Tak samo, John. Kto jest z tobą?

– Don Bunstil. A na pokładzie Mineoli, którą widzicie jako ten drugi punkt na waszych ekranach, są Louis Damiano i Jimmie Cameron. Wpadliśmy do was po drodze. Czy Daal jest gdzieś w pobliżu? A jeśli nie, to czy ktoś inny może nam dać zezwolenie na lądowanie?

Po kłopotliwej chwili wahania z głośnika rozległo się:

– Humberta tutaj nie ma, Komandorze, ale możecie lądować.

– Dzięki, Fred. Wasza osada wyraźnie powiększyła się od czasu mojej ostatniej bytności. Widzę grupę nowych budynków tuż przy tym wzgórzu porośniętym wysokimi drzewami. A dalej, tam na polach, to len jesseński, tak? Za polem widzę zabudowania między drzewami i niewielką polankę. Czy tam jesteście?

– Tak – Coulter zachichotał. – Właśnie tak wygląda nasz kosmoport, Komandorze. Normalnie wszystkie zbiory odwozimy do obcych osad handlowych. Aha! Siadając spróbujcie nie wylądować na budynkach.

– W porządku. I tak schodzimy na antygrawitronach.

Ośmiu ludzi zebrało się wokół przybyszów. Coulter, rozgorączkowany z radości i z emocji przedstawiał:

– To Walter Bain, Komandorze. Pamiętasz go? A to Carl Muntz i Joe Pinda...

Joe, czując że również ma wypieki, ściskał wyciągnięte dłonie kolegów i mamrotał słowa powitania. A jednak, mimo radości, wszyscy czuli lekkie zakłopotanie. Szczególnie przy każdej wzmiance o Humbercie Daalu. Coulter nie wytrzymał wreszcie, powiedział szczerze:

– Do licha! Nie ma co odkładać tego na potem. Humb jest teraz nieprzytomny. To znaczy odsypia zbyt mocną dawkę. Ostatnio cholernie dużo używa narkotyków.

Chwila ciszy. John zmusił się do zachowania spokojnej twarzy, mówiąc:

– To fatalnie. Czy... Czy on jest zdrowy?

– Wydaje się, że fizycznie jest w porządku. Ale ostatnio staje się coraz bardziej przygnębiony. Myślę, że to nawet nie wpływ narkotyku, lecz...

– Wszystkie narkotyki szkodzą w ten czy inny sposób – z trudem przezwyciężył chęć schowania swoich rąk do kieszeni. – Cholera – pomyślał ze złością. – Przecież wszystkie plamy już dawno zniknęły. – Czego on używa? – spytał głośno.

– Dronu.

Ostatnia heroiczna walka ludzkości o przetrwanie po zagładzie Ziemi w międzygalaktycznej wojnie

C.C. Mac App

ZAPOMNIJ O ZIEMI

przełożyła z angielskiego **Anna Miklińska**

C.C. Mac App to pseudonim amerykańskiego pisarza **Carolla M. Cappa** żyjącego w latach 1917–1971, tworzącego naukową fantastykę w ostatnich latach swojego życia. Zadebiutował on w 1960 roku na łamach „Galaxy" opowiadaniem **„A Pride of Islands"**. Z ponad czterdziestu opublikowanych w latach 1960–1971 opowiadań żadne nie zyskało mu większej uwagi. Zapowiedzią sukcesu stały się dopiero powieści, z których pierwsza **„Omha Abides"** ukazała się dopiero w 1968 roku. W przeciągu następnych trzech lat Caroll M. Capp opublikował jeszcze pięć powieści, spośród których najlepszą okazała się **„Recall Not Earth"** („Zapomnij o Ziemi"). Nagła śmierć nie pozwoliła kontynuować rozpoczętego dzieła. Aczkolwiek Mac App nie zdobył sobie światowego rozgłosu, jego działalność na polu „space opera" przyniosła mu wielu zwolenników. Mimo iż uznawane za wtórne, powieści Mac Appa zdobyły sobie wielu sympatyków i przetłumaczone zostały na wiele języków.

I

Był dosyć wysoki. Znacznie przewyższał bezwłosych, brązowoskórych przechodniów drongailskich, którzy omijali go z daleka trochę z pogardą i trochę z nieufnością, z jaką omija się starą ruderę, grożącą zawaleniem się w każdej chwili. Był jak wrak. Życiowy rozbitek, któremu już bardzo niewiele dni zostało. Wydatną szczękę pokrywał mu rudawy, kilkudniowy zarost, a drżące palce pożółkłe były od dronu. Przyczyny nie były zbyt trudne do odgadnięcia: przebywał na planecie Drongail przez prawie cały tutejszy rok (niewiele krótszy od roku na Ziemi) i uległ nałogowi już na początku swojego pobytu. A od wielu dni nie miał żadnej możliwości zaznać łagodnego zapomnienia, które daje dron.

Stał w cieniu oparty o ścianę drewnianego budynku u wylotu zaśmieconej uliczki – promienie tutejszego słońca były gorętsze, niż mogła wytrzymać jego skóra. Budynek, o który się opierał, nie miał okien poniżej pierwszego piętra i żadnego wyjścia oprócz jedynych drzwi zabitych deskami. Powietrze uliczki było przesycone zaduchem stęchłego tłuszczu, odorem ciał rozmaitych ras i – przede wszystkim – dronu. Ten ostatni zapach wydawał mu się miły nie tylko dlatego, że dron przynosił ukojenie, ale również dlatego, że przypominał mu woń zleżałego siana. Był to jeden z nielicznych zapachów, którego nie zapomniał przez te wszystkie lata po opuszczeniu Ziemi.

Niesiony podmuchem wiatru kawałek papieru otarł się o jego gołą kostkę. Zerknął na śmieć (oczywiście puste opakowanie po dronie) i kopnął go ze złością. Potem podniósł głowę i zauważył przyglądającego mu się drotheńskiego chłopca.

– Przypatrz mi się uważnie łobuzie! – burknął w tutejszym dialekcie. – Do czasu kiedy dorobisz się tłustego brzucha, my już będziemy rasą od dawna wymarłą. I już nigdy więcej nie będziesz mógł żadnego z nas pooglądać.

Wyrostek oddalił się. Mężczyzna odwrócił się i powłócząc nogami ruszył nieco dalej w głąb uliczki, by usiąść oparłszy się plecami o budynek. Chyba po raz setny poszperał w kieszeni swego obszarpanego płaszcza, wyciągnął mocno pognieciony świstek przybrudzonego papieru, wygładził go na kolanie i przeczytał: „Johnie Braysen, muszę się z tobą koniecznie zobaczyć. Jutro o drugiej po południu będę na północnym krańcu ulicy, przy której mieszkasz – B. Lange".

Wcisnął kartkę z powrotem do kieszeni. – John Braysen... – wymamrotał pod nosem, jakby jego własne nazwisko nagle wydało mu się dziwne. – Komandor John Braysen, Głównodowodzący Oficer Oddziału Zwiadowczego Ziemskich Sił Przestrzennych.

Od jak dawna nazywano go po prostu John? Od jak dawna nie pytano go o nazwisko? W urzędowych spisach Drongailu (i kilku innych obcych światów, w których czasowo przebywał) figurował zawsze jako: „John, pochodzący z Ziemi, obecnie bez obywatelstwa: Włóczęga. Nie notowany w kronikach przestępczych. Bez zawodu".

A od jak dawna nie widział Barta? Ze cztery ziemskie lata? Nie – przecież ostatnio obaj byli najemnikami Floty Hohdańskiej wtedy, kiedy zginęło trzydziestu ludzi. A to było mniej więcej pięć lat po zagładzie, czyli około trzech lat temu.

Czy naprawdę od zagłady minęło dopiero osiem lat? To znaczyłoby, że John ma zaledwie trzydzieści siedem, a czuł się przecież znacznie starzej. Wydawało mu się, że od tamtego straszliwego dnia musiało minąć potwornie wiele czasu.

jeszcze około czterdziestu żyjących ludzi.

– Około sześćdziesięciu – mruknął Bart. – Nie chciałem ci o tym mówić, póki nie zostaliśmy sami, bo nie jestem pewien, jak by ta wiadomość wpłynęła na morale naszej grupy. W czasie ostatniej podróży trafiłem na ślad kilkudziesięciu ludzi. Na jednej planecie.

– Więc co cię martwi, Bart? – John wyprostował się i popatrzył na swojego zastępcę.

– Bo wcale nie będzie łatwo podjąć decyzję w sprawie tej grupy, o której słyszałem. Oni są na planecie Jessa.

– I co z tego?

– Oni tam zamieszkali razem z Humbertem Daalem.

John poczuł nagle pragnienie, położył dłonie na blacie stołu, przyjrzał się im – wyglądało na to, że nie drżały. Powiedział powoli:

– Myślałem, że zostawimy w spokoju Humberta i tych, którzy się do niego przyłączyli. Chyba dość jasno powiedział, co myśli, kiedy ostatnim razem słyszeliśmy pogłoski o kobietach. I wcale nie uważam, żeby był nam tu potrzebny ze swoim złowróżbnym krakaniem.

– Zgadzam się z tobą, John. Ale przecież nie wszyscy, którzy są na Jessie, muszą myśleć tak jak on. Fred Coulter i Ralf Sears byli przecież z nami, kiedy ostatnio walczyliśmy po stronie Hohd.

– Taak. A próbowałeś ich jakoś zawiadomić?

– Jeszcze nie. Jessa leży w dalszej części ramienia spirali więc pomyślałem, że lepiej będzie najpierw porozmawiać z tobą.

Braysen z namysłem pokiwał głową.

– To wprawdzie dość daleko od Vulmotu, ale oni się wypuszczają od czasu do czasu w tamte strony. Uważasz, że powinieneś tam polecieć?

– Myślałem inaczej. Coulterowi, Searsowi i wszystkim innym, którzy nie są zbytnio przywiązani do Humberta, powinno się dać szansę. Ale chyba lepiej będzie poczekać trochę, sprawdzić naszych ludzi, a potem polecieć w stronę Jessy całą grupą. Wydaje mi się, że to by wywarło na nich należyte wrażenie. – Zawahał się na moment, potem dorzucił: – John, czy ty myślisz, że Humbert rzeczywiście był pedałem?

Braysen rzucił szybkie spojrzenie na Barta. – Nie – powiedział zdecydowanie. – Na pewno nie. A przynajmniej nie był nim wtedy, kiedy jeszcze razem studiowaliśmy na ziemskiej akademii.

– Wielu jednak myśli, że był – powiedział Bart. – W końcu to przecież poeta...

John przełknął ślinę, marzył o łyku porządnej, mocnej whisky. Odrzekł: – Ale tak nigdy nie było. W jego wierszach nie ma nawet śladu zniewieścienia. A ci z nas, którzy go znali, nigdy nie sądzili, że w jego pisaniu poezji jest, czy może być, coś niemęskiego.

John przerwał – nieporozumienie z Humbertem tkwiło zbyt mocno w jego pamięci, by mógł o tym nie pomyśleć. A ponadto część jego własnego „ja" skłonna była zgodzić się z pozycją przyjętą przez Humberta Daala.

– Wiesz, Bart, jeżeli nam się nie uda – mam na myśli tę sprawę z kobietami – i homo sapiens skończy się, może właśnie imię Humberta przeżyje wśród ras humanoidalnych. Bo my nic nie robiliśmy oprócz walczenia. Nic z literatury, którą zabraliśmy z Ziemi nie spodobało się w Kosmosie tak, jak właśnie jego „Epitafium". Humbert jest jeden, a nas, najemników, wielu.

– Oczywiście – w głosie Barta John wyczuł zniecierpliwienie. – Jako twój zastępca zastanawiałem się, jak zareagowałby Daal, gdybyśmy pojechali tam i próbowali zwerbować jego ludzi.

John zabrał dłonie ze stołu, schował je za siebie.

– Jestem zdecydowanie przeciwny zabieraniu tam całej grupy. Poleci najwyżej kilka małych statków. Resztę możemy zostawić gdzieś w Regionie Nieciągłości i dołączyć do nich potem. Ponadto, Bart, myślę, że zbyt wiele obcych ostatków handlowych ląduje na Jessie po uprawiane tam włókna. To

materii jest dla nas mało istotna, ale niektóre obyczaje... Niech wam wystarczy to, że byłyby to obyczaje obrzydliwe, gdyby były mniej fascynujące. Bish nie stanowią zagrożenia dla Hohdanu w najbliższej przyszłości, ale od jakiegoś czasu atakują tereny dwóch naszych pomniejszych sojuszników. Humanoidów, ale Bizh nie chodzi tu o żaden przesąd związany z budową ciała. W każdym razie ci sojusznicy zwrócili się do nas o pomoc. Ponieważ są oni, w pewnym sensie, zaporą między nami a Bizh, jak również między nami a Vulmotem...

John uważnie badał spojrzeniem obcą, nieprzeniknioną twarz Vez Do Hana. – Wygląda to oczywiście tylko na zbieg okoliczności – powiedział wolno – że praca, którą mamy dla was wykonać, jest związana z Vulmotem.

Do Han uśmiechnął się po swojemu. – Wcale nie. Zapewne doskonale zdajesz sobie sprawę, że to Omniarch maczał swoje włochate paluchy w tej zabawie. Wytrwale dążąc do osiągnięcia swoich celów nieraz już uciekał się do intrygi między mocarstwami. To jego pomysł, aby we wszystko wplątać Vulmot i myślę, że to naprawdę dobry pomysł – uśmiech Vez Do Hana nabrał cech lekkiej kpiny. – W ten sposób zajmiemy umysły Bizh czymś pożytecznym przynajmniej na pewien czas.

John patrzył na swoje dłonie. Miał wrażenie, że ich przeguby zatrzaśnięto w ciasnych kajdankach, a Omniarch ma w kieszeni wszystkie klucze. Nie śmiał wyjawić Vezowi całej swojej umowy z najpotężniejszym Chelki. Mruknął:

– W porządku. Przestudiuję dokładnie wszystkie dane, które mi przyniosłeś. A teraz... Zostały jeszcze warunki porozumienia. Chcielibyśmy zatrzymać statki i broń, które zdołamy zdobyć nie niszcząc.

– Oczywiście, przyjacielu.

– I jeszcze coś. Dzień po dniu, godzina po godzinie nasze życie zbliża się do nieuchronnego kresu. Do tej pory byliśmy rozproszeni po całym wszechświecie i, jak sam doskonale wiesz, niektórzy z nas szybko się degenerowali. Zresztą mnie również niewiele brakowało. Nasz gatunek niedługo zniknie. Teraz myślę, że dopóki jeszcze istniejemy, powinniśmy trzymać się razem, pomagać sobie nawzajem w utrzymaniu choć resztek godności. Może spróbujemy pozostawić po sobie coś więcej, niż tylko rozproszone, bezimienne groby. Może będziemy mogli stworzyć jakieś prawdziwe dzieło, zostawić po sobie literaturę czy bodaj pieśni... Chcielibyśmy znaleźć sobie jakąś spokojną planetę na nasze stare lata. I oczywiście wolelibyśmy, aby znajdowała się ona w regionie, w którym nas co najmniej akceptują.

Vez patrzył na Johna o wiele dłużej, niż poprzednio, potem uśmiechnął się. – Zgoda – powiedział. – Choć przyznam, że dziwnie brzmi takie żądanie w ustach najtwardszych żołnierzy wszechświata. Z pewnością możemy wybrać jakąś nie zamieszkaną planetę odpowiednią dla waszego gatunku, gdzieś w naszym regionie. To wszystko?

– Tak, to wszystko...

– Dobrze. Zobaczymy się jeszcze, zanim wyruszycie na pierwszą wyprawę. Dostarczymy wam pociski i doślemy energię. Ponadto dostaniecie cztery vulmotańskie uzbrojone statki zwiadowcze. Zostały wprawdzie nieco uszkodzone przy zdobywaniu, ale zdobywcy przerobili je i naprawili przed odsprzedaniem. Więc do zobaczenia.

– Do zobaczenia, Vez.

V

John uważnie studiował liczby wypisane na kartce papieru, spojrzał na niezadowoloną minę Barta i znów na liczby.

– Jest mniej więcej tak, jak myśleliśmy – powiedział. – Z dwustu siedemdziesięciu trzech, których mieliśmy nadzieję odnaleźć, przywieźliście dwustu piętnastu. Tylko dziewiętnastu z naszej listy nie żyje, o ile, oczywiście, ci dwaj chorzy wyzdrowieją. Wziąwszy pod uwagę listę z ostatniego obozowiska, odjąwszy ilość potwierdzonych zgonów, możemy mieć szanse odnalezienia gdzieś

Zastanawiał się dlaczego Bart chce go widzieć. Przez pierwsze kilka lat po Zagładzie jedyni pozostali przy życiu ludzie – mniej niż pięciuset członków załogi – trzymali się razem. A potem, kiedy warunki przetrwania w obcym świecie rozdzieliły ich, z rosnącą stale niecierpliwością oczekiwali ponownego spotkania. Jeszcze później rosnąca rozpacz i beznadziejność sytuacji sprawiły, że było im obojętne, czy się zobaczą czy nie. John zastanowił się, ilu ich mogło jeszcze żyć. Według ostatnich wiadomości, jakie do niego dotarły, około stu służyło jako najemcy w różnych obcych flotach, a miejsca pobytu mniej więcej sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu nie były dokładnie wiadome. Reszta – ilukolwiek ich jeszcze pozostało – była zagubiona, rozproszona w dalekich światach, takich jak Drongail.

John dziwił się, że Lange'owi udało się go odnaleźć, chociaż oczywiście dużo statków handlowych zatrzymywało się na Drongail, bo stąd właśnie pochodził dron. O ile Lange miałby pieniądze – a chyba musi je mieć, skoro aż tu dotarł – to dobrze byłoby się z nim skontaktować. Zastanowił się, czy nie powinien kupić trochę jedzenia (na myśl o rozstaniu się ze swoim starym płaszczem pochodzącym z Ziemi ból przeszył jego serce) i zapłacić choćby część długów w brudnym przytułku, w którym mieszkał. Mógłby rzucić dron, gdyby się na to naprawdę zdecydował, ale po co? To i tak nie miało żadnego znaczenia.

Patrzył ze znużeniem na granicę cienia pośrodku ulicy. Jeszcze trochę za wcześnie na przyjście Lange'a. O ile Bart w ogóle się tu pokaże. John zdrzemnął się, opuściwszy głowę.

– John! Hej, John!

Braysen przetarł oczy, otrząsając się ze snu. Skupienie wzroku na krępej postaci w schludnym niebieskim ubraniu zajęło mu dobrą chwilę. Niemożliwe! – zapinany na suwak kombinezon Barta był skrojony według fasonu munduru służbowego ziemskiej Floty. John wstał z trudem. Teraz, kiedy patrzył na Barta, wspomnienia wróciły jak żywe. Wzruszenie ścisnęło go za gardło, tak że ledwie zapanował nad łzami. Mocno uścisnął wyciągniętą dłoń kolegi.

– Bart! Tyle czasu minęło... Cudownie znowu cię zobaczyć, Bart...

Lange wydawał się poważny i dość zaszokowany. John nagle poczuł, że się rumieni.

– Tak, Bart. Jestem narkomanem. Nędzarzem, który żyje z zasiłku. Dostaję żarcie i materac do spania. Za to od czasu do czasu zabierają nas na dzień lub dwa do kopania dołów albo innych robót. A ty... – puścił rękę Lange'a i stał patrząc na jego kombinezon. Z trudem przełknął ślinę. – Świetnie wyglądasz, Bart. Nadal jesteś najemnikiem? U kogo? Czy... – obejrzał Barta dokładnie. – Nie wygląda na to, żebyś odniósł jakieś ciężkie rany.

Lange nadal patrzył na Johna z niepokojem. Potem powiedział:

– Ostatnio byłem we Flocie Hohd na akcji. Dwa tysiące godzin. Wylazłem z tego cało. Zapłacili sporo, więc wcale dobrze mi się teraz wiedzie. Nie chcieli, żeby widziano mnie na Hohd zaraz po akcji, więc się przeniosłem. Teraz jestem w... – pauza w słowach Barta była niemal niezauważalna – ... pewnej kolonii na planecie nazywanej Akiel. Zbieram wszystkich ludzi. Jest nas teraz ponad dwudziestu.

– Po co?

– Podróżujemy, szukamy, usiłujemy znowu zwołać starą Załogę. Władca Akielu nas potrzebuje. Nas wszystkich.

John spojrzał mu prosto w oczy.

– Dobrze wiesz, że większość z nas już z tym skończyła, Bart. To cholerne, ciągłe zabijanie. Rabowanie planet, wywożenie łupów ze światów, które w niczym nam nie zawiniły, do innych światów zupełnie nam obojętnych... Nie sądzę, żebyście znaleźli wielu ochotników.

– Myślę, że jednak znajdziemy – powiedział Lange z naciskiem. – Tym razem mamy prawdziwy cel.

– Dziwi mnie to, co mówisz. Kiedy ostatnio cię widziałem... – John westchnął i wzruszył ramionami.

Jeśli Lange sam nie czuł tej pustej bezcelowości istnienia, to nie było sensu z nim się spierać. Podjął po chwili: – Akiel? Nigdy o takiej planecie nie słyszałem. Co tam jest takiego, co mogłoby nas, ostatnich, pchnąć do jakiegoś działania? Widzisz jakiś naprawdę ważny powód? – przerwał na moment, jakby z wysiłkiem zbierał rozproszone myśli. – Zawsze sobie szukaliśmy celów, prawda? I znaleźliśmy. Targowisko. Wszyscy razem wyszkoleni, zdyscyplinowani, nieustraszeni staliśmy się legendą nieomalże z dnia na dzień. Bo już było nam wszystko jedno, czy zginiemy czy nie, o ile tylko mogliśmy znaleźć – lub myśleć, że znaleźliśmy – sprawę wartą poświęcenia. Ale ten zapał, cała chęć walki wygasła. Przynajmniej jeżeli chodzi o mnie. A myślałem, że i ty masz już tego dosyć.

Lange rozejrzał się dookoła podejrzliwie i przysunął się bliżej Johna, rzucił półgłosem:

– Kolonia, w której teraz jestem, to osiedle Chelki, John.

John uważnie popatrzył na swojego towarzysza.

– Chelki? – mruknął z namysłem. – To znaczy, że to jest w sferze imperium Vulmotu?

– Nie, John. Mam na myśli wolnych Chelki – kolonię, o której istnieniu Vulmot nie ma pojęcia. Jest tam Omniarch – ma prawie dwa tysiące dwieście lat, kilkaset lat starszy od swoich potomków, którzy tworzą kolonię. Był on niewolnikiem Vul i udało mu się uciec nie pozostawiając żadnych śladów!

John poczuł lekki zawrót głowy. Nie zdawał sobie sprawy, że tyle jeszcze uczuć w nim zostało. Powoli odwrócił się i przez chwilę wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w Drotheńczyków mijających wylot uliczki i zerkających ciekawie na dwóch obcych zwanych ludźmi. I w końcu westchnął zwracając się do Lange'a. – Nie sądzę, żebym chciał znowu walczyć z Vul. Tak, będę ich nienawidził dopóki żyję – wątpię, żeby któryś z nas kiedykolwiek przestał ich nienawidzić – ale w końcu nie zrobił tego pojedynczy Vulmoti. I, mogę to już teraz powiedzieć, sami do tego doprowadziliśmy. Wyprawialiśmy się w przestrzeń, o której nie wiedzieliśmy nic. A kiedy spotkaliśmy coś przed czym powinniśmy byli uciec, próbowaliśmy walczyć, przyjęliśmy wyzwanie jakbyśmy byli najsilniejszym mocarstwem galaktyki. I to po popełnieniu głupstwa, jakim było ujawnienie skąd pochodzimy! I... No cóż, wątpię, czy dowódca Vul, który zaatakował nasz system słoneczny wiedział, że był to nasz jedyny system.

Twarz Lange'a była poważna. – Zgodziliśmy się co do tego już przedtem – ale teraz wiem więcej. Ten zbiegły Chelki miał szpiegów w Imperium Vulmot od dwóch tysięcy lat, John – dwóch tysięcy lat! Wiedział, wkrótce po tym co się stało, o naszych walkach i natychmiastowej zagładzie Ziemi. Wyjawił mi powód tej zagłady, prawdziwą decyzję Vulmotu. Widząc jak potrafimy walczyć, chcieli zapobiec przekształceniu się Ziemi w potężne mocarstwo. Wiedzieli, że nie nadajemy się do zrobienia z nas niewolników czy poddanych i zdecydowali, że nas zniszczą. John – stracili dużo czasu na sprawdzanie, czy nie pozostały żadne pary mogące się rozmnożyć. A kilka wysoko postawionych osobistości straciło swoje stanowiska tylko dlatego, że my, maleńki procent załogi, zdołaliśmy mimo wszystko umknąć. Odetchnęli z ulgą dopiero wtedy, kiedy dowiedzieli się, że między nami nie było ani jednej kobiety. Ba! Przeszukali dokładnie resztki naszego systemu i całe jego otoczenie, aby upewnić się, że nikt oprócz nas nie ocalał.

John zdał sobie sprawę, że drży. Rozprostował zaciśnięte pięści, westchnął.

– Nawet jeżeli tak było naprawdę, to już się TO stało. Gdybym przypadkiem spotkał tu jakiegoś Vul, z pewnością nie wyszedłby cało z moich rąk. Ale wziąć się teraz w garść, ruszyć w pościg za Vul, walczyć z nimi... Nie, Bart. Może rzeczywiście jestem już tylko wrakiem człowieka, bo nie stać mnie na to. Jest mi najzupełniej obojętne, czy Chelki pozostaną niewolnikami, czy nie. I... to przecież śmieszne. Ty naprawdę myślisz, że moglibyśmy cokolwiek zdziałać przeciw Imperium Vulmotu?

Twarz Lange'a wykrzywił gwałtowny grymas rozdrażnienia. Bart zrobił krok do przodu i chwycił Johna za klapy poszarpanego płaszcza.

– Posłuchaj mnie, do diabła! Ja nie gadam o żadnej wyprawie w obronie nie istniejącej sprawiedliwości. Nie wszystkie kobiety zginęły! Ponad sto jeszcze żyje. I wszystkie w wieku odpowiednim do

ich prawdziwą siłę. Palce (pięć na każdej ręce, jak u człowieka) nie zwężały się na wzór ludzkich, lecz miały spłaszczone, łopatkowate koniuszki i grube, mocne paznokcie. John nie miał pojęcia, co było przyczyną rozwinięcia się tej dziwnej cechy.

Większa część twarzy i ciała Hohdańczyków porośnięta była włosami. Dziwnymi włosami: krótkimi i rozgałęzionymi tak, że przypominały puch. Były one różnego koloru u poszczególnych osobników. Włosy Vez Do Hana były szare o niebieskawym odcieniu.

Twarze Hohdańczyków – jak twarze wszystkich humanoidów – szokowały nieco, dopóki człowiek do nich się nie przyzwyczaił. Z profilu nosy mieli trójkątne, sterczące jak wysunięta ku przodowi chorągiewka lub niewielki ster. Wielkość nosów i ich cienkość potęgowały to wrażenie. Nozdrza (szparki położone blisko siebie przy dolnej krawędzi) mogły być momentalnie usunięte jakby dla ochrony przed burzą piaskową. Szczęki Hohdańczyków były szersze, uszy bardziej wydłużone niż u ludzi, oczy mniejsze i głębiej osadzone.

Vez Do Han miał charakterystyczny uśmiech. Charakterystyczne były również sposób, w jaki marszczył brwi i ostre, badawcze spojrzenie, skierowane teraz na twarz Johna.

– Pomijając interesy, komandorze – rzekł w potocznym głównym dialekcie Hohd – cieszę się, że cię znowu widzę i że znowu jesteś we właściwej formie. Szukałem cię kilka lat temu i dowiedziałem się, że jesteś na Drongail. Umieściłem wtedy wiązkę czarnego ziela, jako znak żałoby, na tablicy ogłoszeń w moim flagowym statku. Na dziesięć dni.

John wzruszył ramionami, swobodnie odpowiedział Vezowi w tym samym ekspresywnym, choć niezbyt subtelnym języku:

– Byłem narkomanem i nie sądziłem, że jeszcze kiedyś ruszę, by przebijać przestrzeń. Ale już skończyłem z dronem.

Mówiąc to, gorąco pragnął, żeby jego słowa były prawdziwe.

Vez Do Han zacisnął i otworzył dłoń – gest oznaczający potwierdzenie lub aprobatę. Równocześnie skierował spojrzenie swoich małych, ciemnych oczu na kulisty wykrywacz masy.

– Widzę, że jeszcze dwa wasze statki wyszły z hiperprzestrzeni.

– Tak. Zostawiłem im polecenie przybycia tutaj. Spóźnili się na poprzednie spotkanie, bo mieli po drodze zabrać jeszcze kilkunastu ludzi. Oczywiście uprzedziłem, żeby najpierw pokazali się w bezpiecznej odległości, żebyście ich nie wzięli za szpiegów czy napastników. Za bardzo przypominają typowe Uzbrojone Statki Zwiadowcze Vul, mimo kilku zainstalowanych nowych wyrzutni. Ale sądzę, że ten Omniarch Chelki, który zorganizował nasze spotkanie, podał ci istotniejsze szczegóły.

– Tak, przyjacielu. Aha! Prawdę mówiąc, wolałbym więcej laserów, a mniej innego rodzaju broni. Chodzi o to, żeby podejrzenie o napady rzucić na Vul. Oni są przecież ogólnie znani z szafowania energią. No, ale to w końcu nie jest aż takie istotne. Czy znacie szczegóły dotyczące naszych kłopotów?

John wykonał gest przeczenia zamkniętą dłonią.

– Chelki powiedział nam bardzo mało. Na wypadek, gdybyśmy wpadli w łapy Vul.

– Gdybym był na jego miejscu – Vez uśmiechnął się chytrze – i miał do czynienia nie z tobą, starym towarzyszem broni, ale z kimś spotkanym po raz pierwszy, zastosowałbym jeszcze większe środki ostrożności. Na przykład, zainstalowałbym samoniszczące mechanizmy w ofiarowanych wam statkach. Ale Chelki są przeczuleni na punkcie uczciwości, co w dużej mierze jest przyczyną ich niewoli. Ale teraz... – Vez Do Han obrócił się ku ekranowi, ukazującemu obraz Galaktyki – przejdźmy do rzeczy. Imperium Bizh jest na długości siedmiuset lat świetlnych skupione wzdłuż tego ramienia spirali. To znaczy, że jest ono prawie tysiącem lat świetlnych oddzielone od imperium Vulmotu. Oczywiście, ta miara zawarta jest w Regionie Nieciągłości... – zerknął ponownie na detektor masy. Zawodowiec taki jak Vez zawsze woli wiedzieć, co znajduje się w pobliżu jego statku... – Bizh są istotami niehumanoidalnymi o dziesięciu promieniście rozchodzących się kończynach. Ich przemiana

energii do osłony czy kombinacji osłon jest sterowany przez specjalny komputer pomocniczy. Ten z kolei jest sterowany i kontrolowany przez główny komputer pokładowy. Dzięki temu każdy statek może w przestrzeni, nawet na krótkich dystansach, rozwijać zadziwiające prędkości. Pasażerowie ulegają wszystkim olbrzymim przyspieszeniom (przez „odpychanie przestrzeni") na równi z resztą statku. Pewne nieprawidłowości, występujące na osi statku i z tyłu, likwiduje się i neutralizuje za pomocą odpowiednio zaprojektowanych i wyregulowanych płyt. Statek wojenny może szybko „skoczyć" w bok, ale bez przyspieszenia działającego wzdłuż osi. Na skutek najrozmaitszych ograniczeń, jak niedoskonałość materiałów budowlanych, moce źródeł energii i reakcje pasażerów, przyspieszenie w normalnej przestrzeni jest praktycznie ograniczone do siedemnastu „g". To, rzecz jasna, o wiele za mało, by umknąć przed chmurą cudzych pocisków sterowanych przez wrogi komputer. Ale też w zupełności wystarcza do wystrzelenia własnych.

Napęd zero to coś zupełnie odmiennego. Wkrótce po rozwinięciu technologii napędu grav nastąpiły pewne odkrycia, dotyczące natury samej przestrzeni. Przede wszystkim stwierdzono, że istnieje jednocześnie kilka różnych „przestrzeni". Położenie każdej z nich względem pozostałych było w sposób tak zawikłany powiązane z czasem i teorią różnych wymiarów, że John Braysen gotów był przyjmować tę teorię bez jakichkolwiek, jego zdaniem, zbędnych dyskusji.

Przejście z „normalnej" przestrzeni (z właściwego ludziom continuum) do którejś innej, wydawało się na razie niemożliwe. Jednakże był pewien rodzaj otchłani czy stanu egzystencji, który nie miał znamion żądanej przestrzeni i do którego można było przenieść wytypowany obiekt. Sposób, w jaki tego dokonywano, wydawał się nieprawdopodobny: każda cząsteczka obiektu (na przykład statku i jego pasażerów) musiała zostać naładowana energią zbliżoną, lecz nie identyczną z energią pola tworzącego osłonę grawitacyjną. Kiedy ładunek ten osiągał krytyczne natężenie, odrobinę większa fala powodowała, że dla wszystkich zewnętrznych obserwatorów obiekt przestawał istnieć w „normalnej" przestrzeni. A pasażerowie odczuwali jedynie moment dziwnej dezorientacji.

W tej otchłani, nazwanej hiperprzestrzenią, zwykły napęd grav nadawał widmowym statkom przyspieszenia znacznie większe niż na „powierzchni" świata. Uzyskanie przyspieszeń nie wymagało wielkich mocy, ale napęd zero tak. Czas, w którym przewody mogły doprowadzić tak potężną energię nie topniejąc, był ograniczony. Czas osiągnięty w tej dziedzinie przez technologię ziemską czy jakąkolwiek inną, wynosił niewiele ponad cztery minuty. A to znaczyło, że nie można było wyłonić się z hipersfery i od razu ponownie w nią wejść. Zadziwiające, że tę ogromną energię można było rozładować przez ułamek chwili i to w sposób ledwie wykrywalny.

Podróżowanie w hiperprzestrzeni nie jest równoznaczne z natychmiastowym przemieszczaniem ciał materialnych. Ze względu na ograniczenia prędkości, a trochę i po to, by uprościć niesamowicie skomplikowaną nawigację, aparaturę znormalizowano, dostosowując ją do tak zwanej naturalnej prędkości (pojęcie to nie było do końca wyjaśnione), wynoszącej około czterystu dziewięćdziesięciu lat świetlnych na godzinę. Tak udoskonalona aparatura pozwalała na wychodzenie z hiperprzestrzeni u celu z dokładnością do jednej dziesiątej roku świetlnego. Z tej pozycji statek mógł jeszcze wykonać kilka dodatkowych skoków w hipersferze, podobnie jak piłka przy grze w golfa.

IV

Hohdańczycy to rasa humanoidów. Johnowi wydawało się, że byli tym, czym mogliby stać się i ludzie, gdyby dano Ziemianom dostateczną ilość czasu na zajęcie większej przestrzeni oraz zdobycie doświadczenia i ogłady. Ogłady, nie w sensie swoistej jedności poglądów, wyznawanych przez luźną społeczność tego sektora Galaktyki, lecz w sensie pewnej, dosyć cynicznej akceptacji imperialnych dążeń, wojny, intrygi i niepowodzeń.

Vez Do Han był typowym Hohdańczykiem – miał około stu siedemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu, szerokie ramiona i niezbyt masywny korpus. Pozorna miękkość i niewypukłość mięśni, kryła

rodzenia dzieci! A ten Omniarch z Akielu wie, gdzie one są i obiecuje, że pomoże nam do nich dotrzeć!

Krew buchnęła Johnowi do głowy, lecz po chwili wszystko minęło i Braysen roześmiał się gorzko.

– Ten stary nonsens, Bart? Znów dałeś się na to nabrać? Musisz być doprawdy załamany. Już zapomniałeś o tych wszystkich zwariowanych pogłoskach, a potem poszukiwaniach i pościgach, które prowadziliśmy jak stado kotów w czasie rui? Jedyne, co mnie teraz pociąga, to dron. Dron przynosi chwilowe zapomnienie i w końcu zżera wnętrzności, ale przynajmniej nie robi z człowieka zwariowanego na punkcie bab szczeniaka.

Lange zesztywniał, cofnął się o krok.

– Więc słuchaj, Komandorze Jonathanie Braysen, którego imię jeszcze kilka lat temu było hasłem dla wszystkich ludzi i obcych organizacji militarnych w całym sektorze Galaktyki. To mówisz ty, który przechytrzyłeś cały Vulmotański Oddział do Zadań Specjalnych i rozprawiłeś się z nim dysponując zaledwie kilkoma maleńkimi statkami. Ty, który mogłeś dowodzić każdą flotą przestrzenną, o ile tylko skinąłeś głową i podpisałeś się na kontrakcie. Chelki, o którym mówię, wie o tobie wszystko. I nadal uważa, że jesteś człowiekiem, którego potrzebujemy. Właśnie ty, z całej naszej grupy. Tylko ty możesz nas znowu połączyć. – Lange odetchnął, przerywając na chwilę, ale zaraz podjął znowu:

– Ten Chelki panował na długo przedtem, nim Kolumb ruszył przez ocean, nie mówiąc o pierwszych ludzkich podróżach kosmicznych w hipersferze. To on zorganizował ocalenie tych kobiet. To on zmusił oddział Chelkich do wylądowania na Ziemi ze sfałszowanym upoważnieniem i zabrania kilku tysięcy młodych kobiet dla przeprowadzenia sfingowanych badań naukowych. To on zaaranżował zniknięcie części z nich i sfałszowanie dokumentów w celu ukrycia tego braku. Zrozum, John! Wielu Chelkich zginęło przy realizacji tego planu. Omniarch opowiedział mi to wszystko z najdrobniejszymi szczegółami, pokazał fotografie...

John poczuł chłód. Lange wyglądał w tej chwili tak szczerze, ale...

– Bart, bądź rozsądny! Fotografie też można sfałszować. I czy to możliwe, żeby ten intrygant Chelki, nawet jeżeli jest tym, za kogo się podaje, ryzykował i robił tak wiele, aby pomóc przetrwać jakiejś mało ważnej rasie? Czym MY dla niego jesteśmy?

Lange zaklął cicho:

– Do licha, John! Czy ty nie możesz zrozumieć, że to właśnie nasze możliwości sprawiły na Vul tak wielkie wrażenie!? Oni musieli za wszelką cenę wyniszczyć naszą rasę, a nie likwiduje się kogoś, kto nie stanowi potencjalnego zagrożenia. Omniarch uważa nas za postrach dla Vul. Jasne, że nie stanowimy całości jego planu. Jestem pewny, że knuje coś jeszcze. Ale chce, żebyśmy przetrwali. Bo pokazaliśmy, że umiemy walczyć! Spróbuj na to spojrzeć oczyma takiego Omniarcha.

John wpatrywał się w Lange'a czując, że krew znowu mocno pulsuje mu w skroniach. Czyżby to była prawda? Fakt, a nie tylko jeszcze jedno rozpaczliwe marzenie?

Wydawało się to nieprawdopodobne. Ale przecież to jednak była szansa. Nieskończenie mała, niewiarygodna, dawno pogrzebana i odrzucona, błogosławiona szansa.

Dwie jasne łzy spłynęły Johnowi po zarośniętych policzkach.

II

Połatany, nieuzbrojony statek zwiadowczy, wycofany z użycia we Flocie Hohdańskiej i oddany Bartowi Lange jako część zapłaty za służbę, wyszedł z hiperprzestrzeni około jednej dziesiątej roku świetlnego od słońca Akielu. Bart określił swoje położenie i zgrabnie wmanewrował statek na orbitę planety. W dole rozpostarł się niebiesko-zielony świat pokryty miejscami dżunglą, a miejscami trawą, pozbawiony oceanów, ale za to z dużą liczbą małych mórz i niezliczoną ilością jezior i rzek. Oba bieguny zakryte były niewielkimi lodowcami. Tylko kilka niewyraźnych brązowych plam w okolicy równika słabo odcinało się od zieleni. Atmosfera planety była stosunkowo gęsta, biorąc pod uwagę przyciąganie powierzchniowe Akielu niewiele mniejsze od jednego „g". Nie było tu większych

łańcuchów górskich. Planeta miała klimat wyraźnie umiarkowany, co w efekcie dawało wrażenie gigantycznej cieplarni.

Nawet z odległości ledwie pięciu tysięcy stóp od powierzchni nie można było zauważyć żadnego kosmodromu. Bart zaprogramował nieskomplikowany komputer pokładowy na lądowanie, spojrzał na ekran danych i zwrócił się do Johna:

– Gdyby w okolicy pojawił się ktoś niepowołany, musiałby specjalnie lądować, żeby dostrzec jakiekolwiek ślady techniki. Nie znajdziesz tu radia ani żadnych teleprzekaźników, żadnych widocznych fabryk czy domostw. Nie zbudowano nawet scentralizowanych źródeł energii, których emisja dałaby się wykryć z przestrzeni. A oprócz tego ta gwiazda leży wystarczająco daleko od wszystkich bardziej uczęszczanych szlaków. Omniarch powiedział, że w ciągu całego czasu, który tu przeżył, tylko cztery nie zapowiedziane statki pojawiły się na granicy zasięgu detektorów i tylko jeden z nich zbliżył się na tyle, aby można było zrobić jego zdjęcie.

– Jeśli trzymają detektory masy gdzieś na orbitach wokół swojego słońca – mruknął – to naprawdę muszą być mistrzami miniaturyzacji. Na przykład ten punkt w rogu ekranu H-4. Kawałek skały wielkości co najwyżej mojej pięści. Skoro widzimy taki drobiazg, to dlaczego nie widać na ekranach ani śladu detektorów? I w takim razie jak przekazują informacje? Przecież czujniki muszą mieć jakieś połączenie z planetą, umożliwiające transmisję...

– Słusznie – Bart lekko skinął głową. – Ale żeby uchwycić tę falę, musielibyśmy przejść przez nią dokładnie w momencie nadawania.

Wyciągnął rękę i przekręciwszy jakąś gałkę skierował statek na pas trawy widoczny w dole.

– Czy zauważyłeś lotnisko? – zapytał.

– Nie.

Bart uśmiechnął się. – Kiedy tylko dotrzemy na miejsce i będziemy ukryci, zatrą wszelkie ślady, jakie przy lądowaniu zostawimy. Jeżeli są jakiekolwiek środki ostrożności, których nie przedsięwzięli, to naprawdę trudno byłoby je sobie wyobrazić.

Statek zwolnił, wykonawszy pełne okrążenie planety i zamarł parę centymetrów nad jej powierzchnią.

Obrazy na ekranach zaczęły się szybko zmieniać. Potem przymglone światło żółtego słońca zostało całkowicie odcięte, na górnym ekranie zjawił się gęsty cień wielkich podłużnych liści.

Po chwili byli już na betonowej pochylni, zjeżdżając w dół. Resztki dziennego światła zgasły na moment, kiedy zasunęły się potężne wrota, lecz po chwili błysnęło kilkanaście jasnych lamp dookoła. Statek przesunął się trochę w bok od wejścia i miękko osiadł na betonowej podłodze.

Bart wcisnął trzy guziki w klawiaturze komputera i powietrze Akielu z cichym świstem zaczęło się mieszać z atmosferą statku. Ostre, lecz przyjemne powietrze przesycone ozonem i dość mocnym zapachem świeżych liści.

Wyglądającemu na zewnątrz Johnowi mignęły postacie pokryte ciemnym puchem czy też futrem i w parę sekund później okazały Pełny Samiec Chelki pojawił się u wejścia statku. Był to z pewnością patriarcha – musiał ważyć dobre osiemset funtów, skóra jego twarzy była szara, a każda z czterech nóg grubością przewyższała udo dorosłego mężczyzny.

John przypomniał sobie szok, jaki przeżył, kiedy po raz pierwszy zobaczył kilku Chelki. Chelki mają nogi godne kudłatego wołu i masywne, beczułkowate ciała. Lecz na tym ich podobieństwo do zwykłych krów się kończy. Szyja i głowa Chelki wyrastają z mięsistego garbu pośrodku tułowia. Z tego garbu wyrastają również dwa potężne ramiona, zakończone wielkimi, owłosionymi i zręcznymi dłońmi o czterech palcach. Na stopach nie mają kopyt, lecz zrogowaciałe paluchy podobne do pazurów strusia. Gdzie jest przód, a gdzie tył jakiegoś Chelki, można zorientować się tylko według kierunku, w którym zwrócone są jego stopy i twarz (jakkolwiek długa i giętka szyja umożliwia mu obrócenie

nie małym stopniu) jest osłaniana przez inną cząstkę, przy czym to wzajemne osłanianie zachodzi tylko na linii prostej, która obie cząstki łączy. Naturalną konsekwencją tego zjawiska jest przysuwanie się obu cząstek do siebie, bo właśnie wzdłuż tej linii nacisk wywierany przez przestrzeń jest mniejszy o niesłychanie małą wartość. Aby zetknęły się dwa elektrony oddalone od siebie zaledwie o parę lat świetlnych, musi minąć nieskończenie wiele czasu. Czasu jest jednak dużo i przestrzeń jest cierpliwa – z cząstek powstają atomy, z atomów molekuły, z molekuł ciała fizyczne. Istnieją też siły przeciwdziałające ściśnięciu materii wszechświata w jednolitą kulę. Jedną z tych sił jest bezwładność – siła odśrodkowa w przypadku dwóch orbitujących cząsteczek, skał czy gwiazd. Drugą z nich jest wzajemne odpychanie się cząstek o takim samym ładunku: elektron odpycha elektron, pozytron odpycha pozytron. A dodać do tego można ciśnienie energii radialnej, jak w przypadku mającej wybuchnąć gwiazdy, oraz jeszcze kilka innych sił, nie dających się opisać językiem innym niż matematyczny.

W każdym razie ciało o dużej masie stanowi wystarczającą osłonę przed przestrzenią. Człowiek stojący na powierzchni dowolnej planety jest częściowo osłonięty przed prawie połową przestrzeni. Natomiast druga połowa odpycha go od siebie w kierunku planety. Półprymitywny człowiek, ze swoją rozsądną, lecz zwodniczą tendencją do brania rzeczy za takie, na jakie wyglądają – nazwał ten efekt „grawitacją" i myślał, że jest ona skutkiem siły przyciągania. Człowiek z epoki podróży międzyprzestrzennych (zachowawszy swoje zamiłowania do komplikacji rzeczy prostych, czego dowodem i zapowiedzią był absolutnie nieprawdopodobny rozwój silnika spalinowego) pojął prawdziwą istotę grawitacji i zastosował tę siłę do swoich celów tak, jak uczyniły to o wiele wcześniej różne inne, równie niepraktyczne, przedsiębiorcze i uparte rasy.

W kilkanaście lat po wyjściu ludzi w międzygwiezdne przestrzenie okazało się, że można budować urządzenia, które rolę osłony przed odpychaniem przestrzeni spełniają w sposób optymalny. Osoba stojąca na Ziemi i trzymająca nad głową taką odpowiednio uaktywnioną osłonę zostałaby gwałtownie wyrzucona w przestrzeń przez szczątkowe odpychanie przenikające planetę i uderzające w człowieka od spodu. Szczątkowa siła odpychająca przenikająca Ziemię została obliczona na około dwustu piętnastu „g", co wskazuje na fakt, że Ziemia stanowi skuteczną zaporę dla trochę mniej niż pół procenta odpychania połowy przestrzeni.

Ta teoria nigdy nie wydała się Johnowi zbyt uspokajająca. Ponad dwieście „g"! A przecież o wiele mniej mogło z człowieka zrobić rozpaćkane purée.

Ze względu na pewne szczególne własności przestrzeni i osłon można te drugie zbudować tak, by utworzyć „ochraniacz" żądanego kształtu: zbieżny wzdłuż tworzącej stożka, rozszerzający się, równoległy itp. Na przykład użycie wysokiej osłony i wydłużonego stożka z zastosowaniem działania jednostronnego daje broń zwaną wyrzutnią rozrywającą – silne „pchnięcie" kieruje się na cel albo jego małą część. Kiedy powtarza się to w określonych odstępach czasu, cel może rozpaść się na kawałki. Zasięg takiego rozrywacza jest ograniczony rozproszeniem wiązki osłony, a więc w praktyce sięga zaledwie kilkunastu kilometrów. A innym przykładem zastosowania odpowiednich osłon jest właśnie tworzenie „sztucznej grawitacji" we wnętrzu statku przestrzennego.

Jeśli cylindryczną cysternę o pojemności – dajmy na to – czterech tysięcy litrów zaopatrzymy w hermetyczny właz, zaś na jednej z podstaw cylindra zamontujemy odpowiednio sprofilowaną osłonę, to uzyskamy w ten sposób najważniejszą część statku kosmicznego. Taki statek, o ile osłona zostanie zbudowana tak, by można było zmieniać i kontrolować dopływ energii, może unieść się z powierzchni planety, nie pociągając za sobą olbrzymiego płata ziemi.

Zazwyczaj statki to cylindry z mocnej stali o długości prawie dwa razy większej niż średnica, zaopatrzone w osłony na obu podstawach i kilka płyt pomocniczych w różnych miejscach cylindrycznych ścian (a czasem umieszczonych także w przegrodach dzielących oba końce).

Ze względu na fakt, że kontrola ręczna mogłaby się okazać zbyt gwałtowna i niebezpieczna, dopływ

będzie zbyt długa...

John skończył czytanie nazwiskiem „Zeitner" (w końcu mieli nawet „Z") i obrócił się, by spojrzeć na majaczący w mroku kadłub bojowego sześćdziesięciotonowca. Jak większość statków tej klasy, miał on kształt niskiego, szerokiego cylindra. Jego średnica – nie licząc rozmaitych wypukłości spowodowanych rozmieszczeniem broni i sensorów – wynosiła trochę ponad dwieście stóp. Nie był to największy statek, jaki John widział w swoim życiu. Niemniej był dużo większy niż kosmoloty zbudowane na Ziemi w ciągu tego krótkiego okresu, kiedy jeszcze myślano, że Ziemia zdoła się obronić.

Na statku zbudowanym w Vulmot nie powinno brakować niczego. Na zewnątrz nie było widać żadnych uszkodzeń, więc bez wątpienia został on potajemnie zabrany przez Chelkich, a jego brak fałszywie usprawiedliwiono.

John obrócił się do swoich ludzi.

– To będzie nasz flagowy, przynajmniej przez pewien czas. Może nazwiemy go Luna na pamiątkę pierwszego miejsca, w które udali się z Ziemi nasi przodkowie.

Krótkie brawa.

– Już mówiłem, że musimy dotrzeć do kobiet długą i okrężną drogą. Nie wspomniałem natomiast, że pierwszym krokiem na tej drodze będzie jeszcze jedna praca dla Hohd. Tym razem jednak nie będziemy współpracować z Hohdańczykami ani nikim innym. Będziemy działać samodzielnie.

Mężczyźni stali, czekając na dalsze słowa. Na ich twarzach malowały się najrozmaitsze uczucia: nadzieja, sceptycyzm, apatia, zawzięte zdecydowanie. Nie było ani wzniosłego entuzjazmu, ani ponurych min. A jednak John czuł, że w każdym z nich, tak samo jak w nim samym, drzemie gorące oczekiwanie i wiara, uśpione wieloma latami rozpaczy. Myślał o wielu słowach, jakie mógłby jeszcze rzucić. Ale powiedział tylko:

– No, cóż. To wszystko. Szczegóły będą podane na tablicy ogłoszeń.

Chelki pod kierunkiem Pełnego Samca, który zastępował Omniarcha, doskonale przerobili i przystosowali stary statek Vul, jak również wszystkie statki zwiadowcze, do najnowszego rodzaju napędu. Grawitatory zostały wyregulowane tak precyzyjnie, że można było każdy statek podnieść na centymetr ponad betonową podłogę w ogromnej grocie, w której był ukryty, a następnie opuścić z powrotem bez najmniejszego wstrząsu, bez jakiegokolwiek śladu bezwładności. Tak dokładna regulacja miała ogromne znaczenie – w czasie walki może przecież w każdej chwili zaistnieć potrzeba natychmiastowego zatrzymania statku nawet przy znacznej prędkości, albo konieczność momentalnej zmiany kierunku lotu. Napęd musi działać na każdy element statku i na pasażerów w tym samym ułamku sekundy z jednakową siłą. W przeciwnym razie statek zostałby rozerwany na strzępy lub pasażerowie ulegliby zmiażdżeniu na skutek nadmiernego przyspieszenia.

– To zastanawiające – myślał John – jak wiele gatunków (przynajmniej spośród humanoidów) odkryło napęd grav, a potem zerowy, zazwyczaj na podobnym etapie rozwoju technologicznego. Tak, jakby było to zaprogramowane w rozwoju każdej cywilizacji.

Teoria napędu była jednym z przedmiotów, który John studiował – jak wszyscy jego rówieśnicy – w akademii. I miał wrażenie, że dowiedział się o tej teorii tyle, ile akurat potrzeba wszystkim nie-fizykom.

Ludzie zaczęli stosować napęd grav na szeroką skalę niedługo po dwóch odkryciach: po pierwsze – stwierdzono, że grawitacja to odpychanie, a nie przyciąganie, po drugie – zauważono, że odpychanie to może być zatrzymane przez płytę wykonaną z jednego z kilku stopów specjalnych, pod warunkiem, że płytę taką podda się wpływom swoistego pola siłowego w dużej mierze spokrewnionego z polem elektrycznym.

Każda cząstka materii jest odpychana ze wszystkich stron, lecz równocześnie (choć w niewyobrażal-

głowy zupełnie do tyłu). Wszystkie pozostałe narządy, zarówno wydalania, jak i rozmnażania, umieszczone są pod tułowiem i są na pierwszy rzut oka niewidoczne.

Okazały Chelki poruszył wąskimi wargami mówiąc po angielsku z prawie niewyczuwalnym obcym akcentem:

– Witaj na Akielu, komandorze Braysen. Bardzo długo czekałem na ten dzień – głos Omniarcha był przyjemny i głęboki, słowa wypowiadał powoli i miękko. – Chodźmy gdzieś, gdzie będziecie mogli usiąść.

W przejściu przez podziemny hangar minęli kilku obojętnych Chelki, mniejszych od Omniarcha i o lżejszej budowie – zwykłych robotników neutralnego rodzaju. Spotkali również kilku, tak samo zbudowanych, osobników o zdecydowanie większej aktywności umysłowej. Spoglądali oni na Johna kiwając głowami w pozdrowieniach i mrugali oczyma w stronę Omniarcha (na znak szacunku, czego John zdążył się już przedtem dowiedzieć). Ci najczęściej nieśli jakieś narzędzia bądź instrumenty, co oznaczało, że są technikami, a nie robotnikami. W okolicach hangaru spotkali także parę osobników niemal tak rosłych jak Omniarch, lecz z pazurami na palcach stóp i rąk i z pyskami wyposażonymi w groźnie wyglądające zęby. To byli wojownicy – Chelki rodzaju męskiego, lecz mimo to niezdolni do rozmnażania. W pasach, czy też popręgach otaczających ich okrągłe ciała, tkwiły laserowe pistolety. Oprócz Omniarcha John i Bart widzieli jeszcze jednego Pełnego Samca, oczywiście mniejszego i młodszego, ale nigdzie nie zauważyli żadnych przedstawicieli rodzaju żeńskiego.

John wiedział, że Chelki przejawiali pewne cechy życia społecznego podobne do ziemskich pszczół czy mrówek. Okazało się, że było to podobniejsze w znacznie większym stopniu, niż John początkowo myślał. Pełny Samiec nie tylko zostawał ojcem dużej liczby potomstwa, lecz mógł także w swoim ciele wytwarzać hormony, decydujące o płci i klasie poszczególnych dzieci. Nowo urodzony Chelki nazywał się „ambion" i Pełny Samiec mógł sprawić, że rozwinie się on w którykolwiek z wielu typów. A były jeszcze jakieś inne skomplikowane zależności, których John nie rozumiał. Jedno było pewne – najwyższy intelekt zawsze posiadał jedynie Pełny Samiec.

John i Bart usiedli na krzesłach znakomicie dostosowanych do postaci istot humanoidalnych – ostatecznie dość dużo istot tego typu egzystowało w pobliskich sektorach Galaktyki.

Na niskim stole przed mężczyznami stała karafka z jakimś lekko sfermentowanym sokiem i trzy szklanki.

Omniarch oczywiście pozostał w pozycji stojącej. Przez chwilę spokojnie patrzył na Johna ze swoistym uśmiechem – zaciśnięte wargi nie odsłaniały jego zębów trawożercy.

– Nie sądzę, abyś wiele ucierpiał na swoim przymierzu z dronem – powiedział. – To dobrze. Martwiłem się o to.

John zaczerwienił się. – Czuję się wystarczająco dobrze – mruknął. – Bart powiedział, że masz do pokazania jakieś fotografie.

– Mam – Chelki z jakiegoś ukrycia wyciągnął sporą teczkę, podszedł do stołu i odsunąwszy karafkę uchylił okładkę. – To jest cała seria pokazująca zabranie kobiet. Zwróć uwagę na ich wiek, doświadczenia i niektóre ciała. Kilka z nich to jeszcze dzieci. Przykro mi, że jest to dość niemiły widok. Zapewniam cię, że Chelki nie braliby w tym udziału, gdyby mieli prawo wyboru.

To rzeczywiście były przekonywające zdjęcia. John zesztywniał, potem aż cały zadrżał z gniewu. Niektóre z tych fotografii... Spojrzał na Omniarcha.

– Czy to ty zaplanowałeś tę... tę rzeź?

– Nie mogę zaprzeczyć, że przewidziałem ją, Jonathanie Braysen. Ale to vulmotańscy medycy-eksperymentatorzy wydawali tam rozkazy. Proszę, obejrzyj resztę fotografii. Oto kilka zdjęć pokazujących grupę kobiet zabranych przez nas ze stacji doświadczalnych.

Na kolorowych płytkach widać było dziewczęta i kobiety eskortowane przez Chelki Technicznego

i Wojowniczego typu. Na ostatnim zdjęciu pokazane było (prawdopodobnie) miejsce, do którego je zabrano – zwyczajnie wyglądająca dolina. To znaczy wyglądałaby na zupełnie zwyczajną, gdyby nie kilka dziwacznych krzewów w tle.

John wciąż jeszcze drżąc odsunął fotografie od siebie.

– W porządku. Powiedzmy, że jestem przekonany. Ale Bart mówi, że nie zabierzecie nas do kobiet teraz ani nie powiecie, gdzie one są. Innymi słowy, musimy najpierw coś dla was zrobić. Co?

Chelki mrugnął dwukrotnie na znak potwierdzenia.

– Musicie zrozumieć – powiedział – że moje plany, mając bardzo szeroki zasięg, nie pozwalają mi na bycie zbyt delikatnym. Mam nadzieję, że mimo wszystko zgodzicie się na odegranie w nich takiej roli, jaką wam wyznaczę.

John z trudem przełknął ślinę, aby w ten sposób zmniejszyć uczucie pragnienia, którego ani sok, ani woda nie mogły ugasić.

– W każdym razie, Omniarchu, to dobrze, że jesteś szczery. Lecz dlaczego nie mówisz nam, w jakich warunkach znajdują się teraz te kobiety?

Chelki podrapał się w szyję włochatym paluchem.

– Dlatego, komandorze Braysen, że istnieje niebezpieczeństwo dostania się któregoś z was w ręce Vulmotu. Byłoby niedobrze, gdyby dowiedzieli się tyle, by zabić was od razu. I byłoby to również tragiczne dla mojego własnego gatunku. Mam nadzieję, że w tej sytuacji zgodzisz się, aby kilku z was stale przebywało na Akielu. I wierz mi – kobiety są tak bezpieczne, jak tylko jest to możliwe.

– Okey. Nie jesteśmy w sytuacji, w której moglibyśmy się targować. Co chcesz, żebyśmy na początek zrobili?

– Na razie zorganizowałem dla was służbę u waszego starego znajomego Vez Do Hana – obecnie dowódcy Hohdańskich Sił Obrony. Ma w planie kilka wypadów, które uważa za stosowne polecić właśnie najemnikom. Ze swojej strony zgodziłem się przekazać wam niewielką liczbę statków, które zdobyłem w ciągu wieków: osiem vulmotańskich uzbrojonych kosmolotów zwiadowczych i jeden większy statek ważący sześćdziesiąt ziemskich ton. Wprawdzie jest dość stary, ale został unowocześniony, wzmocniony i zaopatrzony w lasery. Jest też częściowo wyposażony w pociski, a Hohd dostarczy ich jeszcze więcej. Ponadto możecie sobie zatrzymać wszystkie statki, które zdobędziecie.

– To ty załatwiłeś tę sprawę z Vez Do Hanem?

– Tak. Nieraz już przydałem się jemu i jego poprzednikom w dziedzinie wywiadu. Tylko jedno – Vez nie zna położenia Akielu i proszę, byście go o tym nie informowali. Tak będzie korzystniej również dla nas. Grupa ludzi powinna pozostać tutaj, a na pewno wolelibyście, żeby byli maksymalnie bezpieczni.

John wiedział, że ma ponurą minę. Spojrzał na milczącego Barta, a potem przeniósł wzrok na Omniarcha.

– A co jeszcze będziesz od nas chciał, kiedy skończymy pracę u Hohdańczyków?

– Chcę... – powoli odpowiedział Chelki – żebyście stanowili część eskorty pewnej grupy nie uzbrojonych statków. Ale to jeszcze nie teraz. A przedtem będziecie zapewne mieli do stoczenia kilka pomniejszych walk.

– Pomniejsze walki? – Braysen odetchnął głęboko. – Będą musiały być zaledwie potyczkami. Co można zrobić z jednym dużym statkiem i kilkoma uzbrojonymi zwiadowcami?

– Dodaj to, co zdobędziecie. Choć przyznaję, że chyba nie będzie tego zbyt wiele. Ale mam dla was coś jeszcze.

– Tak?

Omniarch schował fotografie do koperty, kopertę do teczki, teczkę ponownie położył na stoliku. – Może – zapytał powoli – widzieliście jakieś przedmioty wykonane przez Klee? Albo słyszeliście na ten

temat jakieś legendy?

John wzruszył ramionami.

– A kto o tym nie słyszał? Posągi odlane z metalu, którego nikt nie zna i które przetrwały dwadzieścia czy trzydzieści tysięcy lat nie korodując. Fragmenty urządzeń będące od dawna nieodgadnioną tajemnicą dla największych naukowców. Jakieś urządzenia kuchenne, jakaś biżuteria...

– Wiem – wydawało się, że Omniarch wypowiada każde słowo z osobna – gdzie można zdobyć statek Klee. Nienaruszony, wyposażony w odpowiednie źródło energii i wciąż jeszcze nadający się do użytku. Wprawdzie nie jest to typowy statek wojenny, ale z powodzeniem może być zaopatrzony w broń. To bardzo duży statek. Ja ze swej strony pomogę wam zorientować się w jego obsłudze i w działaniu urządzeń kontrolnych. Od bardzo wielu lat zajmuję się studiowaniem technologii Klee i wiem o tym co nieco.

– Mówisz to poważnie? – John wyprostował się na krześle. – Statek Klee?

– Tak. To część mojego planu.

John rzucił okiem na oszołomionego Barta, zerknął na karafkę na stole, ale doszedł do wniosku, że sok i tak nie zaspokoi tego potwornego pragnienia, które coraz mocniej odczuwał. – Kiedy dasz nam ten statek? – zapytał.

– Wtedy, kiedy już załatwicie całą sprawę z Vez Do Hanem. Taki statek na pewno przydałby się we wszystkich wypadach, ale będziecie chcieli zostać niezauważeni. Tymczasem pojazd Klee momentalnie wywołałby sensację i postawił okoliczne sektory Galaktyki na nogi. W tym wypadku jesteśmy skazani na pewne drobne oszustwo, dlatego lepiej, żebyście Vez Do Hanowi o tym statku nawet nie wspominali. Trzeba go zabrać z planety należącej do Hohd. Dlatego muszę mieć pretekst, żeby się tam udać. A i wy także. Więc myślę, że możecie poprosić Vez Do Hana o nie zamieszkaną planetę w jego regionie, jako część zapłaty. Nie o tę, z której wydobędę statek. O jakąkolwiek inną, na której byłyby warunki odpowiadające waszej rasie. Może nawet zechcecie się tam osiedlić, kiedy już połączycie się z kobietami i wasz gatunek na nowo zacznie się mnożyć?

– Nie bardzo mi się podoba pomysł oszukiwania Veza – John z niezadowoleniem zmarszczył brwi. – Do Han zawsze był wobec mnie w porządku.

– W stosunku do mnie też – Chelki uśmiechnął się blado. – I ja również byłem w porządku wobec niego aż do tej pory. Ale uważam, że to po prostu nieunikniona konieczność. Rozważcie to sobie i wy dokładnie, a wierzę, że się ze mną ostatecznie zgodzicie.

Zauważywszy, że John bezustannie przełyka ślinę, Omniarch napełnił szklanki, po czym podjął:

– Teraz jeszcze jedno. Możecie mieć bazę na mojej planecie, dopóki nie poczynicie niezbędnych przygotowań. Wolałbym, abyście potem przenieśli się gdzie indziej – może na tę planetę, którą da wam Vez Do Han? Rozumiecie oczywiście, że wolałbym, aby wokół Akielu był jak najmniejszy ruch.

– W porządku – mruknął John. – Czy będziesz w jakiś sposób utrzymywać z nami kontakt?

– Tak, choć przez ostrożność będę musiał opuścić Akiel i udać się do innej kryjówki. Zorganizuję pośredni, dyskretny sposób łączności z wami.

III

— Bunstil!

– Obecny.

– Cameron! Obecny.

– Damiano! Obecny.

Przez długą chwilę John patrzył na listę, widząc jedynie rozmazane litery. Tyle nazwisk przychodziło mu na myśl – nazwisk, których nie było w tym spisie. Oczywiście jeszcze nie wszyscy pozostali przy życiu mężczyźni dotarli na miejsce zgromadzenia. Będą jeszcze stopniowo dołączali. Ale i tak lista nie

Lew Abałkin leżał na plecach na środku pracowni, a Ekscelencja, wielki, przygarbiony z pistoletem w wyciągniętej ręce zbliżał się do niego ostrożnie małymi kroczkami, a z drugiej strony trzymając się za krawędź biurka zbliżała się Maja Głumowa.

Twarz Głumowej była nieruchoma, obojętna, a jej oczy nienaturalnie, przerażająco zbiegły się ku nasadzie nosa.

Szafranowa łysina i zwrócony do mnie lekko obwisły policzek Ekscelencji pokryty był wielkimi kroplami potu.

Ostro, kwaśno, obco śmierdział proch strzelniczy.

I było cicho.

Lew Abałkin jeszcze żył. Palce jego prawej ręki bezsilnie i uparcie skrobały podłogę, jakby chciały dosięgnąć leżący o centymetr dalej szary krążek detonatora. Ze znaczkiem w kształcie stylizowanej litery, albo japońskiego hieroglifu „sandziu".

Podszedłem do Abałkina i przysiadłem przed nim na piętach. (Ekscelencja kwaknął coś ostrzegawczo.) Abałkin szklistymi oczami patrzył na sufit. Jego twarz była jak wtedy, pokryta szarymi plamami, wargi miał zakrwawione. Dotknąłem jego ramienia. Zakrwawione usta poruszyły się i Abałkin powiedział:

– Ptaki, zwierzaki, pod drzwiami stały...

– Lowa – powiedziałem.

– Ptaki, zwierzaki, pod drzwiami stały – powtórzył z uporem – Ptaki, zwierzaki...

I wtedy Maja Głumowa zaczęła krzyczeć.

KONIEC

– Aha – powiedziałem. – No cóż... Dziękuję. Zadzwonię później.

Tak-tak-tak... Ekscelencja zabezpiecza się. Wygląda na to, że jest absolutnie pewny, że Lew Abałkin pojawi się w Muzeum. I właśnie w sektorze tych obiektów. Zastanówmy się, dlaczego wybrał akurat Griszę. Grisza jest u nas od bardzo niedawna. Bystry, ma określony refleks. Z wykształcenia egzobiolog. Być może, tu jest pies pogrzebany. Młody egzobiolog rozpoczyna swoją pierwszą samodzielną pracę. Coś w rodzaju „Zależności między topologią artefaktu i biostrukturą istoty rozumnej". Wszystko jak trzeba, elegancko, spokojnie i przyzwoicie. Można tylko dodać, że Grisza jest mistrzem wydziału w subaksu...

Dobra. Zdaje się, że to akurat zrozumiałem. Załóżmy. Głumową, jak należy sądzić, coś zatrzymało. Na przykład, rozmawia sobie właśnie z Lwem Abałkinem. Aha, przecież on mi wyznaczył spotkanie na dziś o 10.00. Pewnie skłamał, ale jeśli rzeczywiście mam lecieć na to spotkanie, najwyższy czas zadzwonić do niego i dowiedzieć się, czy nie zmienił planów. Natychmiast, nie tracąc czasu, zadzwoniłem do „Olszynki".

Chata numer sześć odezwała się niezwłocznie i zobaczyłem na ekranie Maję Głumową.

– A, to pan... – powiedziała z obrzydzeniem.

Nie sposób opisać jakie rozczarowanie, jaki zawód, odmalował się na jej twarzy. Przez tę dobę zmizerniała nadzwyczajnie – policzki zapadnięte, pod oczami sinawe cienie, w szeroko rozwartych oczach chorobliwy smutek, popękane, spierzchnięte wargi. I dopiero ułamek sekundy później, kiedy powoli odchyliła się od ekranu, zauważyłem, że jej piękne włosy są starannie i nie bez kokieterii ułożone, a na szarej, surowego kroju sukience, widać ten naszyjnik z bursztynów.

– Tak, to ja... – powiedział bardzo strapiony dziennikarz Kammerer. – Dzień dobry. Ja właściwie... Czy Lew jest u siebie?

– Nie – odpowiedziała.

– Chodzi o to, że on się ze mną umówił... Chciałem...

– Tutaj? – żywo zapytała Głumowa i znowu przysunęła się do ekranu. – Kiedy?

– O dziesiątej. Po prostu zadzwoniłem na wszelki wypadek, chciałem się dowiedzieć... a okazuje się, że go nie ma...

– Na pewno umówił się z panem? Co powiedział dokładnie? – zapytała po dziecinnemu, patrząc na mnie zachłannie.

– Co powiedział? – powoli powtórzył dziennikarz Kammerer. A właściwie już nie dziennikarz Kammerer, tylko ja. – A więc tak, proszę pani. Nie ma co się oszukiwać. Lew najprawdopodobniej nie przyjdzie.

Teraz patrzyła na mnie jakby nie wierząc własnym oczom.

– Jak to? Skąd pan wie?

– Proszę zaczekać na mnie – powiedziałem. Wszystko pani opowiem. Będę za parę minut.

– Co się z nim stało? – krzyknęła przenikliwym, strasznym głosem.

– Jest cały i zdrowy. Niech się pani uspokoi. Ja zaraz...

Dwie minuty na ubranie się. Trzy minuty do najbliższej kabiny zero-T. Do diabła, kolejka. Przyjaciele, bardzo was proszę, przepuśćcie mnie, to niezmiernie ważne... Dziękuję, ogromnie dziękuję! Tak. Minuta na znalezienie indeksu. Co za indeksy mają tam na prowincji! Pięć sekund na wybranie indeksu. Wychodzę z kabiny do pustego, drewnianego westybulu uzdrowiskowego klubu. Jeszcze przez minutę stoję na szerokim ganku i kręcę głową. Aha, to tam... Idę na skróty przez zarośla jarzębiny i pokrzyw. Żebym tylko nie wpadł na doktora Hoanneka...

Czeka na mnie w hallu. Siedziała przy niskim stoliku z niedźwiadkiem trzymając na kolanach wideofon. Wchodząc machinalnie spojrzałem na drzwi do pokoju i Maja Głumowa powiedziała

pospiesznie.
– Rozmawiać będziemy tutaj.
– Jak pani sobie życzy – przystałem.

Umyślnie, nie spiesząc się, obejrzałem pokój, kuchnię i sypialnię. Wszędzie było czysto posprzątane i, oczywiście, pusto. Kątem oka widziałem, że Głumowa siedzi nieruchomo z dłońmi na wideofonie i patrzy prosto przed siebie.
– Kogo pan szuka? – zapytała chłodno.
– Nie wiem – przyznałem uczciwie. – Po prostu przedmiot naszej rozmowy jest delikatnej natury i chciałem się upewnić, że jesteśmy sami.
– Kim pan jest? – zapytała. – Tylko proszę, niech pan już więcej nie kłamie.

Wyłożyłem jej legendę numer dwa, wyjaśniłem, że chodzi o tajemnicę osobowości, dodałem, że za kłamstwa nie przepraszam – po prostu chciałem załatwić swoją sprawę i zaoszczędzić jej niepotrzebnych emocji.
– To znaczy, że teraz postanowił pan już się ze mną nie patyczkować? – zapytała.
– Ma pani jakiś inny sposób?

Nie odpowiedziała.
– Teraz pani tu siedzi i czeka na niego – powiedziałem. – Ale on nie przyjdzie. Wodzi panią za nos. Tak jak nas wszystkich, od dawna i końca tego nie widać. A czas upływa.
– Dlaczego pan myśli, że on tu nie wróci?
– Dlatego, że się ukrywa – powiedziałem. – Dlatego, że okłamuje każdego z kim rozmawia.
– Więc po co pan tu dzwonił?
– Ponieważ w żaden sposób nie mogę go odszukać! – odparłem wpadając powoli w furię. – Muszę wykorzystać każdą szansę, nawet najidiotyczniejszą.
– Co on zrobił? – spytała Głumowa.
– Nie wiem co zrobił. Być może nic. Nie dlatego szukam go, że coś zrobił. Szukam go dlatego, że jest jedynym świadkiem strasznego nieszczęścia. I jeśli go nie znajdziemy, nigdy nie dowiemy się, co się tam stało naprawdę...
– Gdzie tam?
– To nieistotne – odpowiedziałem niecierpliwie. Tam gdzie Lew pracował. Nie na Ziemi. Na planecie Saraksz.

Z jej twarzy było widać, że po raz pierwszy słyszy o planecie Saraksz.
– Więc dlatego on się ukrywa? – zapytała cicho.
– Nie wiemy. Jest na granicy psychicznego załamania. Można powiedzieć, że jest chory. Możliwe, że coś mu się zwiduje. Możliwe, że ma jakąś obsesję.
– Chory... – powiedziała wolno kiwając głową. – Być może tak... Być może nie... Czego pan chce ode mnie?
– Czy widzieliście się powtórnie?
– Nie – odpowiedziała. – Obiecał, że zadzwoni, ale nie zadzwonił.
– Dlaczego pani czeka na niego tu właśnie?
– A gdzie mam na niego czekać? – zapytała.

W jej głosie była taka gorycz, że odwróciłem oczy i czas jakiś milczałem. Potem zapytałem:
– A gdzie zamierzał dzwonić? Do pracy?
– Zapewne... Nie wiem. Pierwszy raz zadzwonił do pracy.
– Zadzwonił do Muzeum i powiedział, że tam przyjdzie?
– Nie. Od razu wezwał mnie do siebie. Tutaj. Wzięłam glider i poleciałam.

przeszkadzało. Przecież może człowiek nagle zasłabnąć na ulicy i w takim wypadku nieprzytomnego ktoś powinien dostarczyć do najbliższego lekarza... Odtransportuję go na nasz rakietodrom, to niedaleko, nawet nie zdąży przyjść do siebie. Tam zawsze są jakieś dwa – trzy dyżurne „widma". Wydzwonię Głumową i we trójkę wylądujemy na zielonej Rużenie w moim starym obozie. Po drodze wszystko Głumowej wyjaśnię, niech piekło pochłonie tajemnicę osobowości Lwa Abałkina. Tak. Właśnie na poboczu stoi odpowiedni glider. Wolny. Akurat to czego mi trzeba...

Kiedy ocknąłem się, moja głowa spoczywała na ciepłych kolanach nieznajomej starszej kobiety, a ja znajdowałem się jakby na dnie studni, a z góry patrzyły na mnie z trwogą nieznajome twarze, ktoś proponował, żeby się nie tłoczyć, nie utrudniać dostępu powietrza, ktoś inny podsuwał mi pod nos ohydnie śmierdzącą fiolkę, a rzeczowy głos przemawiał w tym sensie, że nie ma żadnych podstaw do obaw – przecież może człowiek nagle zasłabnąć na ulicy...

Miałem wrażenie, że moje ciało przemieniło się w nadmuchany balon, który cicho podzwaniając lekko kołysze się nad ziemią. Nic mnie nie bolało. Miałem wszelkie dane, aby przypuszczać, że nadziałem się na najzwyklejszy „przerzut dolny", co prawda zastosowany z takiej pozycji, z której nikt nigdy go nie stosował.
– To nic, już się ocknął, wszystko będzie w porządku...
– Niech pan leży, nic się nie stało, po prostu zasłabł pan...
– Zaraz będzie lekarz, pana przyjaciel już pobiegł po lekarza...

Usiadłem. Podtrzymywano mnie za ramiona. Wewnątrz mnie nadal brzęczało, ale głowę miałem zupełnie jasną. Powinienem wstać, jednakże na razie było to ponad moje siły. Poprzez częstokół otaczających mnie nóg i ciał zobaczyłem, że glider znikł. Ale jednak Abałkin nie doprowadził sprawy do końca. Gdyby trafił dwa centymetry na lewo, leżałbym nieprzytomny do wieczora. Ale albo chybił, albo w ostatniej chwili zadziałał mój instynktowny refleks samoobrony.

Ze świszczącym szelestem wylądował obok glider, wyskoczył z niego przez burtę szczupły mężczyzna i ruszył przez tłum pytając „Co tu się stało? Jestem lekarzem! O co chodzi?"

I skąd wziąłem siły? Zerwałem się na nogi, złapałem lekarza za rękaw, popchnąłem w stronę starszej kobiety, która przed chwilą podtrzymywała moją głowę i ciągle jeszcze klęczała na ulicy.
– Kobiecie zrobiło się słabo, niech pan jej pomoże...

Z trudem jeszcze poruszałem językiem. W zdumionej ciszy przedarłem się do glidera, przelazłem przez burtę na siedzenie i włączyłem silnik. Zdążyłem jeszcze usłyszeć protestująco zdumiony okrzyk: „Ależ proszę poczekać!"... i w następnej sekundzie rozwarł się pode mną zalany porannym słońcem Plac Gwiazdy.

Wszystko działo się jak w cyklicznym śnie. Jak sześć godzin temu. Biegłem przez sale, przez korytarze, lawirując między gablotami i szafkami wśród posągów i makiet podobnych do absurdalnych mechanizmów, wśród mechanizmów i aparatów podobnych do zdeformowanych posągów, tylko teraz wszystko wokół zalane było jasnym słonecznym światłem, a ja byłem sam i nogi uginały się pode mną. O, nie bałem się, że przybiegnę za późno, ponieważ byłem pewien, że i tak będzie za późno.

Już się spóźniłem.

Już.

Trzasnął strzał. Niegłośny, suchy strzał z „herzoga". Potknąłem się na prostej drodze. Skończone. Koniec. Pobiegłem resztką sił. Przede mną, po mojej prawej ręce mignęła między odrażającymi kształtami sylwetka w białym laboratoryjnym fartuchu. Grisza Serosowin o przezwisku Wodolej. Również się spóźnił.

Trzasnęły jeszcze dwa strzały, jeden za drugim. „Lowa, przecież ciebie zabiją". „To nie będzie takie proste". Do pracowni Mai Głumowej wpadliśmy jednocześnie – Grisza i ja.

oczywiście tego zrobić – byłaby to decyzja nieodwracalna).

Abałkin wchodzi do Muzeum (albo przedziera się szturmem, przecież tam czeka go Grisza Serosowin). W każdym razie pojawia się w Muzeum i znowu widzi tam Ekscelencję. Żywy obraz. I wtedy właśnie odbywa się prawdziwa rozmowa...

Ekscelencja zabije go, pomyślałem. Boże, zmiłuj się, pomyślałem w panice. On tu siedzi, bawi się z wiewiórkami, a za godzinę Ekscelencja go zabije. Przecież to proste jak drut. Po to właśnie czeka na niego w Muzeum, żeby obejrzeć film do końca, żeby zrozumieć, zobaczyć na własne oczy, jak to wszystko się odbywa, jak automat Wędrowców znajduje drogę, jak odszukuje bursztynowy futerał (wzrokiem, węchem, szóstym zmysłem?), jak otwiera ten futerał, jak wybiera swój detonator, co zamierza zrobić z detonatorem... tylko zamierza, nic więcej, ponieważ w tej samej sekundzie Ekscelencja naciśnie cyngiel, dlatego, że dłużej już nie można będzie ryzykować.

I powiedziałem sobie – nie, tak się to nie odbędzie.

Nie mogę twierdzić, że dokładnie przemyślałem wszystkie konsekwencje swojej decyzji. Jeśli mam być szczery w ogóle ich nie przemyślałem. Po prostu skręciłem w aleję i ruszyłem prosto w kierunku Abałkina.

Kiedy podszedłem, spojrzał na mnie bokiem i odwrócił się. Usiadłem obok.

– Lowa – powiedziałem – Wyjedź stąd. I to natychmiast.

– O ile pamiętam, prosiłem, żeby mnie zostawiono w spokoju – powiedział poprzednim cichym i bezbarwnym głosem.

– Nie zostawię cię w spokoju. Sprawy zaszły już zbyt daleko. Nikt nie podejrzewa ciebie osobiście. Ale dla nas nie jesteś już Lwem Abałkinem. Lew Abałkin przestał istnieć. Jesteś dla nas automatem Wędrowców.

– A wy dla mnie bandą oszalałych ze strachu idiotów.

– Nie przeczę – powiedziałem. – Ale właśnie dlatego powinieneś zwiewać stąd jak możesz najszybciej i jak możesz najdalej. Leć na Pandorę, posiedź tam kilka miesięcy, udowodnij, że nikt nie zakodował w tobie żadnego programu.

– A po co? – zapytał – Z jakiej racji mam komukolwiek cokolwiek udowadniać? Mam wrażenie, że to dosyć poniżające.

– Lowa – powiedziałem – gdybyś zobaczył przerażone dzieci, czy uważałbyś, że cię poniży jeśli się wygłupisz, żeby je trochę uspokoić?

Po raz pierwszy spojrzał mi prosto w oczy. Patrzył długo, prawie nie mrugając i zrozumiałem, że nie wierzy ani jednemu mojemu słowu. Siedział przed nim oszalały ze strachu idiota i kłamał najlepiej jak potrafił po to, żeby go znowu wypchnąć na kraniec Wszechświata, ale teraz już na zawsze, teraz już bez żadnej nadziei na powrót.

– Nie wysilaj się na próżno – powiedział. – Skończ to głupie gadanie i daj mi spokój. Na mnie czas. Ostrożnie odpędził wiewiórki i wstał. Ja również wstałem.

– Lowa – powiedziałem. – Przecież ciebie zabiją.

– To nie będzie takie proste – powiedział niedbale i odszedł.

Poszedłem za nim. Mówiłem przez cały czas. Gadałem jakieś głupstwa, że to nie jest ten przypadek, kiedy można sobie pozwolić na pretensje, że głupio jest ryzykować życie z powodu urażonej dumy, że starych też można zrozumieć – od czterdziestu lat siedzą jak na rozżarzonych węglach... Abałkin albo milczał albo odpowiadał złośliwościami. Parę razy nawet się uśmiechnął – moje zachowanie zdaje się bawiło go. Przeszliśmy całą aleję i skręciliśmy na ulicę Bzów. Szliśmy na Plac Gwiazdy.

Ludzi na ulicach było już dosyć dużo. To nie wchodziło w mój plan, ale też niespecjalnie mi

– Maja – powiedziałem – interesują mnie wszystkie szczegóły waszego spotkania... Pani opowiadała mu o sobie, o swojej pracy. On opowiadał o swojej. Proszę sobie to dokładnie przypomnieć.

Głumowa pokręciła głową.

– Nie. Nie rozmawialiśmy o niczym takim... Naturalnie, to jest rzeczywiście dziwne... Nie widzieliśmy się tyle lat... Dopiero później przyszło mi do głowy, dopiero w domu, że niczego się o nim nie dowiedziałam... Przecież pytałam go – gdzie byłeś, co robiłeś... ale on nie chciał o tym mówić, krzyczał, że to wszystko głupstwa, zawracanie głowy...

– To znaczy, że wypytywał panią?

– Ależ skąd znowu! To wszystko go nie interesowało... Co robię, jak żyję, czy jestem sama, czy mam kogoś... jak mi jest... Zachowywał się jak mały chłopiec. Nie chcę o tym mówić...

– Niech pani nie mówi o tym, o czym pani mówić nie chce...

– Ja o niczym nie chcę mówić!

Wstałem, poszedłem do kuchni, przyniosłem jej wody. Łapczywie wypiła całą szklankę, ochlapując wodą swoją szarą sukienkę.

– To nikogo nie powinno obchodzić – powiedziała oddając mi szklankę.

– Niech pani nie mówi o tym co nikogo nie obchodzi – powiedziałem jej siadając. – O co on panią wypytywał?

– Przecież powtarzam panu – o nic mnie nie wypytywał! Opowiadał, wspominał, rysował, spierał się ze mną, jak mały chłopiec... Okazuje się, że on wszystko zapamiętał! Nieomal każdy dzień! Gdzie stał on, a gdzie ja, co powiedział Reks, w którą stronę patrzył Wolf... Ja nic nie pamiętałam, krzyczał na mnie i zmuszał, żebym sobie przypomniała, więc przypomniałam sobie... jak się cieszył, kiedy przypomniałam sobie coś czego, na przykład, on sam nie pamiętał!

Zamilkła.

– I tylko o dzieciństwie? – odczekałem chwilę i zapytałem.

– Ależ, oczywiście! Przecież mówię, że to nikogo nie dotyczy oprócz nas! Naprawdę, zachowywał się jak szalony... Nie miałam już siły, zasypiałam, a on mnie budził i krzyczał w ucho – a kto spadł wtedy z huśtawki? I jeśli sobie przypominałam, chwytał mnie w objęcia, biegał ze mną po całym pokoju i krzyczał – zgadza się, tak właśnie było, zgadza się!

– I nie interesowało go, co się teraz dzieje z Nauczycielem, z kolegami szkolnymi?

– Przecież tłumaczę panu – nie pytał mnie o nic i o nikogo! Czy może pan to wreszcie zrozumieć? Opowiadał, wspominał i żądał, żebym wspominała razem z nim...

– Rozumiem, rozumiem – powiedziałem. – A co, zdaniem Pani, zamierzał dalej robić?

Głumowa spojrzała na mnie jak na dziennikarza Kammerera.

– Niczego pan nie zrozumiał – powiedziała.

– Maju – powiedziałem, z całej siły starając się mówić tonem bardzo stanowczym – proszę mi powiedzieć, co spowodowało u pani taką rozpacz, której byłem mimowolnym świadkiem w czasie naszego poprzedniego spotkania?

Wypowiedziałem to zdanie nie śmiąc patrzeć jej w oczy. Nie zdziwiłbym się, gdyby mnie natychmiast wyrzuciła za drzwi, albo trzasnęła wideofonem po głowie. Ale nie zrobiła ani jednego ani drugiego.

– Byłam głupia. Zachowałam się jak idiotka – powiedziała nawet dosyć spokojnie. – Jak histeryczna idiotka. Wydawało mi się wtedy, że Lew wycisnął mnie jak cytrynę i wyrzucił na śmietnik. A teraz już rozumiem – on naprawdę nie ma do mnie głowy. Na delikatność zabrakło mu i sił i czasu. Ciągle żądałam od niego wyjaśnień, a przecież on nie mógł mi wyjaśnić niczego. Przecież z całą pewnością wie, że go ścigacie...

– Bardzo pani dziękuję, Maju – powiedziałem. – Mam wrażenie, że nieco opacznie zrozumiała pani nasze zamiary. Nikt nie chce zrobić mu krzywdy. Jeśli go pani zobaczy, proszę podsunąć mu tę myśl.

Głumowa nie odpowiedziała.

3 czerwca 78 roku

Kilka słów o wrażeniach Ekscelencji

Stojąc na skarpie widziałem, że doktor Hoannek, na skutek braku pacjentów, zajęty jest łowieniem ryb. Składało się bardzo szczęśliwie, ponieważ do jego chaty z zero-T wychodkiem było bliżej niż do uzdrowiskowego klubu. Co prawda, na drodze, jak się okazało, była przesieka, której przez roztargnienie nie zauważyłem w czasie mojej pierwszej wizyty, tak że teraz musiałem się ratować skacząc przez jakieś dekoracyjne płoty, strącając z nich równie dekoracyjne makutry i dzbanki. Wszystko jednak skończyło się dobrze. Wpadłem na ganek z balustradą, wbiegłem do znajomej świetlicy i nie siadając zadzwoniłem do Ekscelencji.

Liczyłem, że ograniczę się do krótkiego meldunku, ale rozmowa trwała dosyć długo. Tak więc musiałem wynieść wideofon na ganek, aby mnie nie zaskoczył rozmowny i obrażalski doktor Hoannek.

– Po co ona tam siedzi? – zapytał w zadumie Ekscelencja.

– Czeka.

– On się z nią umówił?

– O ile wiem, to się nie umówił.

– Biedactwo... – mruknął Ekscelencja. Potem zapytał – Wracasz?

– Nie – odpowiedziałem. – Mam jeszcze w planie tego Jaszmaa i rezydencję Głowanów.

– Po co?

– W rezydencji – odpowiedziałem – przebywa obecnie Głowan Szczekn-Irtcz, ten właśnie, który uczestniczył razem z Abałkinem w operacji „Zamarły świat".

– Tak.

– O ile zrozumiałem ze sprawozdania Abałkina, stosunki między nimi były nie takie całkiem zwyczajne...

– W jakim sensie – nie całkiem zwyczajne?

Na chwilę zamilkłem szukając słów.

– Myślę, że niewiele ryzykuję nazywając to przyjaźnią... Pamięta pan sprawozdanie?

– Pamiętam. Rozumiem o co ci chodzi. Ale odpowiedz mi na następujące pytanie: w jaki sposób dowiedziałeś się, że Głowan Szczekn jest w tej chwili na Ziemi?

– Hm... To było dosyć skomplikowane. Po pierwsze...

Teraz do mnie dotarło, chociaż przyznaję, że nie od razu. Rzeczywiście. Jeżeli ja, pracownik Komkon-u 2, przy całym swoim ogromnym doświadczeniu w korzystaniu z WMI, z wielkim trudem odszukałem Szczekna, to co tu mówić o zwyczajnym Progresorze Abałkinie, który, na domiar wszystkiego, dwadzieścia lat spędził w głębokim Kosmosie i zna się na WMI nie lepiej od dwudziestoletniego studenta!

– Zgoda – powiedziałem. – Oczywiście, ma pan rację. Ale chyba, pomimo wszystko, zgodzi się pan ze mną, że nie jest to zadanie nie do rozwiązania. Naturalnie, jeżeli komuś zależy.

– Zgadzam się. Ale chodzi nie tylko o to. Nie przychodziło ci do głowy, że on cię wpuszcza w kanał?

– Nie – przyznałem uczciwie.

Wpuszczać w kanał – w przekładzie oznacza zostawianie fałszywego tropu, podsuwanie fabrykowanych dowodów, jednym słowem, mącenie w głowie. Rozumie się, że teoretycznie można założyć, że Lew Abałkin realizuje konkretny cel, a te wszystkie jego spotkania z Głumową, Nauczycielem i ze mną

prostu wyda ci się, że zachorowałeś... Błagam, zawiadom nas o tym. Nawet nie mnie. No, Gorbowskiego, Komowa, Bromberga w ostateczności...

I wtedy Abałkin odwrócił się do niego plecami i poszedł do drzwi. Ekscelencja prawie krzyczał za nim, wyciągając rękę:

– Tylko od razu! Od razu! Dopóki jeszcze jesteś Ziemianinem! Nawet jeśli ja cię skrzywdziłem, to przecież Ziemia nie jest niczemu winna!

– Zawiadomię, zawiadomię – powiedział Abałkin przez ramię – Pana osobiście.

Wyszedł i starannie zamknął za sobą drzwi.

Ekscelencja milczał przez kilka chwil wczepiony obu rękami w oparcie fotela i z napięciem nadsłuchiwał. Następnie rozkazał półgłosem:

– Za nim. W żadnym wypadku nie tracić go z oczu. Łączność przez bransoletkę. Będę w Muzeum.

4 czerwca 78 roku

Zakończenie operacji

Po wyjściu z budynku Komkon-u 2 Lew Abałkin nieśpiesznie spacerowym krokiem przemierzył ulicę Czerwonych Klonów, wszedł do budki wideofonicznej i do kogoś zadzwonił. Rozmowa trwała dwie minuty z czymś, a następnie Lew Abałkin równie nieśpiesznie, trzymając ręce za plecami, skręcił na bulwar i usiadł na ławeczce obok płaskorzeźby Strogowa.

Według mnie bardzo uważnie przeczytał wszystko co było wyryte na postumencie, potem rozejrzał się z roztargnieniem i ze dwadzieścia minut przesiedział w pozie człowieka odpoczywającego po ciężkiej pracy – rozkrzyżował ręce, głowę odrzucił do tyłu, wyciągnął na środek alejki skrzyżowane nogi. Wiewiórki przybiegały do niego, jedna skoczyła mu na ramię i wsadziła mordkę w ucho. Abałkin roześmiał się głośno, wziął wiewiórkę w dłonie i posadził na kolanie. Zwierzątko nie uciekło. Moim zdaniem Abałkin z nią rozmawiał. Słońce dopiero co wzeszło, ulice były prawie puste, na bulwarze oprócz niego nie było żywej duszy.

Nie miałem oczywiście żadnych złudzeń, że udało mi się zostać niezauważonym, świetnie wiedział, że nie spuszczam go z oczu i z pewnością wymyślił już sposób jak się mnie pozbyć w razie konieczności. Ale to mnie nie interesowało. Niepokoił mnie Ekscelencja. Nie rozumiałem, co mianowicie zamierza.

Kazał mi odnaleźć Abałkina. Chciał się spotkać z Abałkinem, żeby z nim porozmawiać w cztery oczy. W każdym razie tak sprawa wyglądała na początku, trzy dni temu. Potem przekonał się, a ściśle mówiąc przekonał sam siebie, że Abałkin musi zjawić się po detonator. Wtedy urządził zasadzkę. O rozmowie sam na sam nie było już mowy. Był natomiast rozkaz „brać go jak tylko dotknie chusty". I był pistolet. Na wypadek gdyby jednak nie udało się wziąć Abałkina. Teraz Abałkin sam do niego przychodzi. I gołym okiem widać, że Ekscelencja nie ma Abałkinowi nic do powiedzenia. I nic dziwnego – Ekscelencja jest przekonany, że program już działa, a wobec tego rozmowa z Abałkinem nie ma żadnego sensu (czy naprawdę program już działa – na ten temat miałem własny pogląd, ale było to bez znaczenia. Przede wszystkim musiałem zrozumieć zamiary Ekscelencji).

A więc pozwala Abałkinowi odejść zamiast go ująć od razu w gabinecie i oddać w ręce lekarzy i psychologów, pozwala mu odejść. Ziemi zagraża niebezpieczeństwo. Żeby do niego nie dopuścić, wystarczy izolować Abałkina. To można osiągnąć najprostszym sposobem. I postawić kropkę przynajmniej na tej sprawie. Ale Ekscelencja pozwala Abałkinowi odejść, a sam idzie do Muzeum. To może oznaczać tylko jedno – jest absolutnie przekonany, że Abałkin w najbliższym czasie też się tam pojawi. Przyjdzie po detonator. Bo po cóż innego? (Wydawałoby się – cóż prostszego – załadować ten bursztynowy futerał na „widmo", wysłać w podprzestrzeń do skończenia świata... Niestety, nie można

jakby drzemał stojąc. Ale czułem, że ten człowiek jest rozwścieczony do ostatecznych granic.

– A więc przyszedłem tu, żeby oświadczyć – przemówił Abałkin tym samym bezbarwnym głosem – że postąpił pan z nami głupio i paskudnie. Zrujnował pan moje życie i w rezultacie niczego pan nie osiągnął. Jestem na Ziemi i nie zamierzam już Ziemi opuścić. Proszę sobie także zapamiętać, że nie ścierpię dłużej pańskiego nadzoru i zlikwiduję go bez litości za pomocą wszystkich dostępnych środków.

– Jak Tristana? – niedbale zapytał Ekscelencja.

Wydawało się, że Abałkin nie słyszał pytania.

– Uprzedziłem pana – powiedział – teraz może pan mieć pretensję tylko do siebie. Zamierzam teraz żyć po swojemu i proszę więcej w moje życie nie ingerować.

– Dobrze. Nie będziemy ingerować. Ale powiedz mi, Lew, czy ci się nie podoba twoja praca?

– Teraz ja sam będę sobie wybierał pracę.

– Bardzo dobrze. Wyśmienicie. A w chwilach wolnych od pracy spróbuj, proszę, trochę pomyśleć i wyobrazić sobie siebie na moim miejscu. Jakbyś postąpił z „podrzutkami"?

Coś w rodzaju lekkiego uśmiechu przemknęło przez twarz Abałkina.

– Tu nie ma się nad czym zastanawiać – powiedział. – Tu wszystko jest jasne, oczywiste. Należało mi wszystko opowiedzieć i uczynić mnie świadomym sprzymierzeńcem...

– A gdybyś po kilku miesiącach odebrał sobie życie? To przecież bardzo straszne, jeśli człowiek uświadamia sobie, że stanowi zagrożenie dla ludzkości, nie każdy to wytrzyma...

– Zawracanie głowy. To wszystko brednie naszych psychologów. Jestem Ziemianinem. Kiedy dowiedziałem się, że nie wolno mi żyć na Ziemi, omal nie oszalałem. Tylko androidom nie wolno żyć na Ziemi. Miotałem się jak wariat – szukałem dowodów, że nie jestem androidem, że miałem dzieciństwo, że pracowałem z Głowanami... Pan się bał, że oszaleję? No więc nieomal się to panu udało!

– A skąd wiesz, że nie wolno ci żyć na Ziemi?

– A co – może to nieprawda? – zapytał Abałkin. – Może wolno mi żyć na Ziemi?

– Teraz – nie wiem... Zapewne tak. Ale sam się zastanów, Lowa! Na całej planecie Saraksz tylko Tristan wiedział, że nie wolno ci wracać na Ziemię. A on ci tego nie mógł powiedzieć... A może jednak powiedział?

Abałkin milczał. Jego twarz była nadal nieruchoma, ale na matowej bieli policzków wystąpiły szare plamy, niczym ślady starego liszaja – był teraz podobny do tybetańskiego derwisza.

Ekscelencja odczekał chwilę i powiedział – No dobrze. – Demonstracyjnie oglądał swoje paznokcie – Załóżmy, że Tristan ci to jednak powiedział. Nie rozumiem dlaczego to zrobił, ale niech będzie. Ale w takim razie dlaczego nie powiedział ci całej reszty? Dlaczego nie powiedział ci, że jesteś „podrzutkiem"? Dlaczego nie wyjaśnił przyczyn zakazu? Co byś o tym nie myślał, przecież istniały przyczyny tego zakazu i to przyczyny bardzo istotne...

Powolny grymas zdeformował szarą twarz Abałkina – jego rysy utraciły twardość i jakby obwisły – rozchyliły się wargi, oczy rozwarły się szeroko jakby w zdumieniu i po raz pierwszy usłyszałem jego oddech.

– Nie chcę o tym mówić... – powiedział głośno ochrypłym głosem.

– Wielka szkoda – powiedział Ekscelencja. – To jest dla nas niezmiernie ważne.

– A dla mnie jest ważne tylko jedno – powiedział Abałkin – Żeby pan zostawił mnie w spokoju.

Twarz jego znowu była twarda, powieki opadły, z matowych policzków schodziły szare plamy. Ekscelencja przemówił zupełnie innym tonem:

– Lowa. Rozumie się, że zostawimy cię w spokoju. Ale błagam cię, jeśli nagle poczujesz, że dzieje się z tobą coś niezwykłego, że masz jakieś niezrozumiałe odczucia, dziwne myśli, wrażenia... albo po

– to po mistrzowsku zorganizowana dezinformacja, nad którą powinniśmy teraz bezpłodnie łamać sobie głowy, tracąc nadaremnie czas i siły straciwszy z oczu to co najważniejsze.

– Nie wydaje mi się – oświadczyłem kategorycznie.

– No, a mnie się wydaje – powiedział Ekscelencja.

– Pan się zna na tym lepiej – powiedziałem oschle.

– Nie ulega kwestii – zgodził się. – Ale niestety, to są tylko moje wrażenia, a nie fakty. Jednakże, jeżeli się nie mylę, wydaje mi się mało prawdopodobne, żeby w tej sytuacji Abałkin przypomniał sobie Szczekna, stracił mnóstwo siły, żeby go odszukać, poleciał na drugą półkulę, odgrywał tam jakąś komedię – i wszystko tylko po to, żeby nas wpuścić w kolejny kanał. Zgaszasz się ze mną?

– Widzi pan, Ekscelencjo, ja nie wiem jaka jest jego sytuacja i być może właśnie dlatego nie mam pańskich wrażeń.

– A jakie masz? – zapytał z nieoczekiwanym zainteresowaniem.

– Nie ma mowy o żadnych kanałach. W jego zachowaniu jest jakaś logika i jest ono bardzo konsekwentne. Więcej – cały czas stosuje jeden i ten sam chwyt. Nie traci czasu ani wysiłku na wymyślanie nowych chwytów – zaskakuje człowieka jakimś oświadczeniem, a potem słucha, co taki nieszczęśnik bełkocze... Chce się czegoś dowiedzieć o sobie... Mówiąc precyzyjniej, o swoim życiu i losie. Coś co przed nim ukryto... – umilkłem, a potem powiedziałem – Ekscelencjo, Abałkin dowiedział się niewiadomym sposobem, że chodzi o tajemnicę jego osobowości.

Teraz milczeliśmy obydwaj. Na ekranie chwiała się piegowata łysina. Czułem, że przeżywam moment historyczny. Był to jeden z tych niebywale rzadkich wypadków, kiedy moje rozumowanie, wywód logiczny, zmusiły Ekscelencję do zrewidowania swoich wniosków.

Uniósł głowę i powiedział:

– Dobrze. Zobacz się ze Szczeknem. Ale pamiętaj, że najpotrzebniejszy jesteś tu, u mnie.

– Tak jest – powiedziałem i zapytałem – A co z Jaszmaa?

– Nie ma go na Ziemi.

– Jak to? – zapytałem. – Jaszmaa jest na Ziemi. W campingu Iana, pod Antonowem.

– Już od trzech dni jest na Gigandzie.

– Rozumiem – powiedziałem, siląc się na ironię. – Co za niezwykły zbieg okoliczności! Urodził się tego samego dnia co Abałkin, jest również pośmiertnym dzieckiem i też figuruje pod numerem...

– Dobrze, dobrze – wymruczał Ekscelencja. – Nie rozpraszaj się.

Ekran zgasł. Odniosłem wideofon na miejsce i wyszedłem na podwórze. Potem ostrożnie przelazłem przez zarośla gigantycznych pokrzyw i prosto z drewnianej wygódki doktora Hoanneka wyszedłem w nocny deszcz na brzegu rzeki Telon.

3 czerwca 78 roku

Rogatka na rzece Telon

Niewidzialna rzeka szumiała poprzez szelest deszczu, gdzieś bardzo blisko pod urwiskiem, a wprost przede mną połyskiwał wilgocią metalowy most, na którym świeciła wielka tablica z napisem w linkosie „Terytorium Narodu Głowanów". Dziwacznie wyglądał ten most, który zaczynał się wprost w wysokiej trawie – nie prowadził do niego nie tylko żaden podjazd, ale nawet najmniejsza ścieżka. Dwa kroki ode mnie świeciło samotne okienko okrągłego przysadzistego budynku – skrzyżowanie koszar z kazamatami. Powiało od niego niezapomnianą planetą Saraksz – zapachem zardzewiałego żelaza, martwoty przyczajonej śmierci. Dziwaczne rzeczy zdarzają się u nas na Ziemi. Wydawałoby się

– jesteś u siebie w domu i wszystko już tu poznałeś, wszystko jest takie miłe i zwyczajne – a tymczasem wcześniej czy później natrafisz na coś, co do niczego nie pasuje... Dobra. Co myśli na temat tego budynku dziennikarz Kammerer? O! Okazuje się że ma już w tej sprawie ostatecznie sprecyzowany pogląd.

Dziennikarz Kammerer znalazł w okrągłej ścianie drzwi, pchnął je stanowczym ruchem i znalazł się w półkoliście sklepionym pomieszczeniu, w którym nie było nic poza stołem za którym siedział opierając brodę na pięściach długowłosy chłopiec, podobny z powodu długich włosów i owalnej twarzy do Aleksandra Błoka, któremu nieposkromiona fantazja kazała zarzucić na ramiona meksykańskie poncho. Błękitne oczy młodzieńca spojrzały na dziennikarza Kammerera wzrokiem nieco zmęczonym i pozbawionym wszelkiego zainteresowania.

– Uroczy styl architektoniczny, nie powiem – oświadczył dziennikarz Kammerer strząsając z ramion krople deszczu.

– Im się podoba – beznamiętnie oznajmił Aleksander B. nie zmieniając pozy.

– Być nie może! – sarkastycznie powiedział dziennikarz Kammerer patrząc gdzie by tu usiąść.

Wolnych krzeseł w pomieszczeniu nie było, podobnie jak i foteli, kanap, tapczanów i ławek. Dziennikarz Kammerer spojrzał na Aleksandra B. Aleksander B. patrzył na niego z poprzednią obojętnością nie zdradzając najmniejszej ochoty okazania grzeczności, czy chociażby uprzejmości. Było to dziwne. Czy może raczej wbrew przyjętym zwyczajom. Ale czuło się, że tutaj jest to na porządku dziennym.

Dziennikarz Kammerer otworzył już nawet usta, żeby się przedstawić, ale wtedy niespodziewanie Aleksander B. z jakimś pokornym zmęczeniem opuścił długie rzęsy na swoje blade policzki i z mechanicznym przejęciem maszyny zaczął z pamięci recytować swój tekst:

– Drogi przyjacielu! Niestety, odbyłeś tę podróż nadaremnie. Nie znajdziesz tu dla siebie absolutnie nic interesującego. Wszelkie pogłoski, jakie spowodowały, że wybrałeś się do nas są znacznie przesadzone. Terytorium Narodu Głowanów w najmniejszym stopniu nie przypomina wesołego miasteczka. Głowany, nader specyficzny wspaniały naród, mówią o sobie „Jesteśmy zaciekawieni, ale nie ciekawi." Misja Głowanów reprezentuje swój naród jako placówka dyplomatyczna i nie może być obiektem nieoficjalnych kontaktów, a już w żadnym wypadku banalnego wścibstwa. Szanowny przyjacielu! Najlepsze co możesz obecnie uczynić – to ruszyć w powrotną drogę i wyjaśnić wszystkim swoim znajomym, jak się sprawy mają w rzeczywistości.

Aleksander B. zakończył i z wysiłkiem uniósł powieki. Dziennikarz Kammerer stał przed nim nadal, co zresztą nie wywołało żadnego zaskoczenia.

– Rozumie się, że zanim pan wyjdzie, odpowiem na wszystkie pańskie pytania.

– A czy nie musi pan przy tym wstać? – zainteresował się dziennikarz Kammerer.

Coś jakby ożywienie zabłysło w błękitnych oczach.

– Prawdę mówiąc, powinienem – przyznał Aleksander B. – Ale wczoraj stłukłem sobie kolano, do tej pory bardzo mnie boli, więc już proszę mi darować...

– Bardzo chętnie – powiedział dziennikarz Kammerer i przysiadł na krawędzi stołu. – Widzę, że zmęczyli pana ciekawscy.

– W ciągu mojego dyżuru jest pan szóstą grupą.

– Jestem sam jak palec! – zaprotestował dziennikarz Kammerer.

– Grupa jest jednostką przeliczeniową – wyjaśnił Aleksander B. ożywiając się znacznie. – Na przykład powiedzmy jak skrzynka. Skrzynka konserw. Kupon perkalu. Albo pudełko cukierków. Przecież może się tak zdarzyć, że w pudełku został tylko jeden cukierek. Samotny jak palec.

– Pańskie wyjaśnienie uważam za całkowicie wyczerpujące – powiedział dziennikarz Kammerer –

zgadza się z jego hipotezą „Żuk w mrowisku"... Ach, jakie to byłoby wspaniałe! Jak chciałbym w to wierzyć! Jacyś mędrcy z czysto naukowej ciekawości wpuścili żuka w mrowisko i z niezwykłą dokładnością rejestrują wszystkie niuanse mrówczej psychologii, wszystkie subtelności społecznej organizacji. A wystraszone mrówki krzątają się, przeżywają, gotowe są oddać życie za ojczysty kopiec i nie wiedzą biedactwa, że żuk wypełznie koniec końców z mrowiska i pójdzie swoją drogą, nie czyniąc nikomu żadnej szkody... Wyobrażasz to sobie, Mak? Żadnej szkody! Przestańcie się roić! Wszystko będzie dobrze... A jeśli to nie „żuk w mrowisku"? Jeśli to „łasica w kurniku"? Wiesz co to takiego, Mak – łasica w kurniku?

I w tym momencie wybuchnął. Walnął pięściami w stół i wrzasnął wybałuszając na mnie rozwścieczone zielone oczy:

– Łajdaki! Czterdzieści lat życia mi zabrali! Przez czterdzieści lat przerabiają mnie na mrówkę! O niczym innym nie potrafię już myśleć! Zrobili ze mnie tchórza! Uciekam przed własnym cieniem, nie wierzę własnej głupiej głowie... No, i czego się na mnie gapisz? Za czterdzieści lat będziesz taki sam, a może nawet znacznie wcześniej, dlatego że wszystko potoczy się teraz błyskawicznie! Ruszy w takim tempie, że my starcy nawet nie jesteśmy tego w stanie przewidzieć i dlatego w komplecie pójdziemy na zieloną trawkę, ponieważ nie będziemy umieli sobie z tym poradzić. I wszystko spadnie na was! Ale wy też sobie nie poradzicie! Dlatego, że wy...

Zamilkł. Patrzył już nie na mnie, tylko wyżej ponad moją głową. I powoli wstawał zza biurka. Odwróciłem się.

Na progu, w otwartych drzwiach, stał Lew Abałkin.

7 czerwca 78 roku

Lew Abałkin we własnej osobie

– Lew – powiedział Ekscelencja ze zdumionym wzruszeniem w głosie – Mój Boże! A my tu już straciliśmy nadzieję, że cię odszukamy.

Lew Abałkin zrobił jakiś ruch i nagle od razu znalazł się przy biurku. Bez żadnych wątpliwości to był prawdziwy Progresor nowej szkoły, zawodowiec i do tego zapewne jeden z najlepszych – kosztowało mnie wiele wysiłku, żeby nadążyć za nim własną percepcją.

– Pan jest Rudolf Sikorski, szef Komisji do spraw Kontaktów – powiedział Abałkin cichym, zdumiewająco bezbarwnym głosem.

– Tak – powiedział Ekscelencja z gościnnym uśmiechem. Ale dlaczego tak oficjalnie? Siadaj, Lew...

– Będę mówił stojąc – powiedział Lew Abałkin.

– Daj spokój, Lew, co za ceremonie. Siadaj, proszę cię. Czeka nas przecież długa rozmowa, prawda?

– Nieprawda – powiedział Abałkin. Na mnie nawet nie spojrzał. – Nie będzie długiej rozmowy. Nie mam ochoty rozmawiać z panem.

Ekscelencja był wstrząśnięty.

– Jak to – nie masz ochoty? – zapytał – Jesteś mój drogi na służbie, jesteś zobowiązany złożyć sprawozdanie. Do tej pory nie wiemy co się stało z Tristanem... Co to znaczy – nie mam ochoty?

– Jestem jednym z „trzynastu"?

– To ten Bromberg... – powiedział z niezadowoleniem Ekscelencja. – Tak, Lowa. Niestety – jesteś jednym z „trzynastu".

– Nie wolno mi przebywać na Ziemi? I przez całe życie muszę być pod nadzorem?

– Tak, Lowa. Rzeczywiście tak jest.

Abałkin znakomicie panował nad sobą. Jego twarz była nieruchoma, oczy na wpół przymknięte,

studiami nad pewnym zjawiskiem przyrodniczym, z jaką rozkoszą uznałbym to wszystko za zbieg idiotycznych przypadków! Przypadkowo zginął Tristan – nie on pierwszy, nie on ostatni. Przyjaciółka z lat dziecinnych Abałkina przypadkiem okazała się strażniczką detonatorów. Abałkin zupełnym przypadkiem wybrał mój zastrzeżony numer, chociaż zamierzał dzwonić do całkiem kogoś innego... Przysięgam ci, że to mało prawdopodobne połączenie mało prawdopodobnych wydarzeń, wydawałoby mi się znacznie bardziej prawdopodobne niż idiotyczne, absurdalne przypuszczenie o jakimś belzebubim programie zakodowanym w ludzkich zarodkach... Dla uczonych wszystko jest jasne – nie należy mnożyć zbytecznych bytów bez bezwzględnej konieczności. Ale my nie jesteśmy uczonymi. Pomyłka uczonego to w ostatecznym rachunku jego prywatna sprawa. A my nie możemy się mylić. Wolno nam zyskać opinię obskurantów, mistyków, zabobonnych kretynów. Jednego nam nigdy nie wybaczą – jeśli nie docenimy niebezpieczeństwa. I jeśli w naszym domu zapachniało nagle siarką nie mamy po prostu prawa dyskutować o molekularnych fluktuacjach – mamy obowiązek założyć, że gdzieś opodal pojawił się diabeł z rogami i przedsięwziąć odpowiednie środki do zorganizowania produkcji wody święconej włącznie, i to w skali przemysłowej. I Bogu dzięki, jeśli okaże się, że to była tylko fluktuacja i cała Rada Światowa będzie się z nas śmiać do rozpuku, razem z dziećmi w wieku przedszkolnym... – z irytacją odsunął od siebie filiżankę. – Nie mogę już pić tej kawy i spać nie mogę czwarty dzień z rzędu...

– Ekscelencjo – powiedziałem – no co też pan, doprawdy... Dlaczego koniecznie diabeł z rogami? Koniec końców co złego możemy powiedzieć o Wędrowcach? Weźmy na przykład operację „Zamarły świat"... przecież tam jakby nie było uratowali ludność całej planety! Kilka miliardów ludzi!

– Pocieszasz mnie – powiedział Ekscelencja z ponurym uśmiechem. – A przecież Wędrowcy nie ratowali tam wcale ludności! Ratowali planetę przed ludnością. Z dużym powodzeniem... a co się stało z ludźmi – tego do dzisiaj nie wiemy...

– Dlaczego – planetę? – zapytałem skonsternowany.

– A dlaczego ludność?

– No dobrze – powiedziałem. – Nie o to przecież chodzi. Nawet jeśli ma pan rację – program, detonatory, diabły z rogami... Co on nam może zrobić? Przecież jest sam jeden.

– Chłopcze – powiedział Ekscelencja nieomal tkliwie. – Zastanawiasz się nad tym pół godziny, a ja łamię sobie głowę już czterdzieści lat. I nie tylko ja. I nic nie wymyśliliśmy, oto co jest najgorsze. I nigdy niczego nie wymyślimy dlatego, że nawet najmądrzejsi i najbardziej doświadczeni z nas są zaledwie ludźmi. Nie wiemy czego oni chcą. Nie wiemy co oni mogą. I nie dowiemy się nigdy. Jedyna nasza nadzieja – że miotając się, działając na oślep, będziemy co chwila robić coś, czego oni nie przewidzieli. Nie mogli przecież przewidzieć wszystkiego. Tego nikt nie może. A pomimo to za każdym razem kiedy podejmuję jakąś decyzję łapię się na myśli, że tego oni właśnie ode mnie oczekują, a więc właśnie tego robić nie należy. Doszedłem do tego, że ja, stary idiota, cieszę się, że nie zniszczyliśmy tego sarkofagu od razu, pierwszego dnia... Tagorianie zniszczyli – i spójrz teraz na nich! Znaleźli się w okropnej, ślepej uliczce... Być może to jest właśnie skutek tego, że postąpili w sposób najrozsądniejszy i najbardziej racjonalny wtedy, półtora wieku temu... Ale przecież z drugiej strony Tagorianie wcale nie uważają, że znajdują się w ślepej uliczce! To ślepy zaułek, z naszego, ziemskiego, punktu widzenia! A ze swego punktu widzenia przeżywają rozkwit, złoty wiek i niewątpliwie są pewni, że zawdzięczają to swojej radykalnej, podjętej w odpowiednim czasie decyzji... Albo na przykład postanowiliśmy nie dopuszczać oszalałego Abałkina do detonatorów. A może właśnie tego Wędrowcy od nas oczekiwali?

Oparł swą łysą czaszkę na dłoni i potrząsnął głową.

– Jesteśmy tacy zmęczeni, Mak – powiedział. Tak strasznie zmęczeni. Nie możemy już więcej myśleć na ten temat. Ze zmęczenia stajemy się beztroscy i coraz częściej mówimy sobie „A, jakoś tam będzie!" Poprzednio Gorbowski był w mniejszości, a teraz siedemdziesiąt procent członków Komisji

ale ja nie chcę nic zwiedzać. Przyszedłem w konkretnej sprawie.

– Osiemdziesiąt trzy procent wszystkich grup pojawia się tu właśnie w konkretnych sprawach – bez wahania odparł Aleksander B. – Ostatnia grupa składająca się z pięciu egzemplarzy licząc razem z małoletnimi dziećmi i psem chciała się umówić z kierownictwem misji w sprawie lekcji języka Głowanów. Ale w ogromnej większości to zbieracze ksenofolkloru. Epidemia! Wszyscy zbierają ksenofolklor. Ja też zbieram ksenofolklor. Ale Głowany nie mają folkloru! To kaczka dziennikarska! Humorysta Long Müller wydał książkę podobnie jak kiedyś Osjan i wszyscy powariowali... „O kosmate drzewa wieloogoniaste, które zataiłyście swoje marzenia w puszystych, ciepłych koronach! Macie tysiące tysięcy ogonów i ani jednej głowy..." A tymczasem u Głowanów w ogóle nie istnieje pojęcie ogona. Ich ogon jest organem zmysłu orientacji i jeśli już tłumaczyć adekwatnie, to chodzi nie o ogon tylko kompas... „O drzewa wielokompasowe!" Ale widzę, że nie jest pan folklorystą...

– Nie, uczciwie przyznał dziennikarz Kammerer. – Znacznie gorzej. Jestem dziennikarzem.

– Pisze pan książkę o Głowanach?

– Do pewnego stopnia. A bo co?

– Nie, nie. Proszę. Nie pan pierwszy, nie pan ostatni. Widział pan kiedyś Głowana?

– Oczywiście.

– Na ekranie?

– Nie. Dowcip polega na tym, że to właśnie ja odkryłem ich na planecie Saraksz.

– Więc pan jest Kammerer?

– Do usług.

– Nie, to już raczej ja jestem do pańskich usług, doktorze! Proszę rozkazywać, żądać, decydować...

Momentalnie przypomniałem sobie rozmowę z Abałkinem i wyjaśniłem śpiesznie:

– Ja ich tylko odkryłem, nic poza tym. Nie jestem wcale specjalistą od Głowanów. A teraz interesuje mnie tylko jeden jedyny Głowan, tłumacz misji. Więc jeśli nie ma pan nic przeciwko temu... pójdę tam do nich, dobrze?

– Ależ doktorze! – Aleksander B. klasnął w dłonie. – Panu mam wrażenie wydaje się, że my tu siedzimy, jeśli tak można powiedzieć, na straży. Nic błędniejszego! Proszę, niech pan idzie! Bardzo wielu tak robi. Tłumaczysz mu, że pogłoski są mocno przesadzone, a on kiwa głową, żegna się, a potem jak tylko wyjdzie – wali przez most...

– No i co?

– Po jakimś czasie wraca. Bardzo rozczarowany. Nikogo i niczego nie zobaczył. Lasy, górki, wąwozy, czarowne widoki – to wszystko oczywiście jest na miejscu, a Głowanów brak. Po pierwsze Głowany prowadzą nocny tryb życia, po drugie mieszkają pod ziemią, a po trzecie i najważniejsze spotykają się tylko z tymi z którymi chcą się spotkać. Z tego powodu właśnie dyżurujemy – w charakterze, powiedzmy, łączników...

– Jacy – wy? – zapytał dziennikarz Kammerer. – Komkon?

– Tak. Praktykanci. Dyżurujemy tu po kolei. Zabezpieczamy obustronną łączność... O jakiego tłumacza chodzi panu konkretnie?

– Potrzebny mi jest Szczekn-Irtcz.

– Spróbujemy. Czy on zna pana?

– Raczej wątpię. Ale proszę mu powiedzieć, że chcę z nim porozmawiać o Lwie Abałkinie, którego on zna z całą pewnością.

– Ja myślę! – powiedział Aleksander B. i przysunął do siebie mikrofon.

Dziennikarz Kammerer (zresztą przyznaję, że i ja też) z podziwem przechodzącym w zachwyt obserwował jak ten młodzieniec o subtelnej twarzy romantycznego poety nagle szpetnie wytrzeszczył

oczy, zwinął urocze wargi w nieprawdopodobny ryjek i zakukał jak trzydzieści trzy Głowany jednocześnie i dźwięki te wydawały się zupełnie właściwe w tym sklepionym, pustym koszarowym pomieszczeniu o szerokich nagich ścianach. Potem zamilkł, skłonił głowę wsłuchując się w serię trzasków i pohukiwań dobiegających z lasu, a jego wargi i dolna szczęka w dalszym ciągu poruszały się dziwacznie, jakby je utrzymywał w stałej gotowości do podtrzymania rozmowy. Widowisko to było raczej nieprzyjemne i dziennikarz Kammerer przy całym swoim podziwie uznał, że stosowniej będzie jednak odwrócić oczy.

Zresztą rozmowa nie trwała zbyt długo. Aleksander B. odchylił się na oparcie krzesła i czule masując dolną szczękę smukłymi bladymi palcami powiedział nieco zasapany:

– Mam wrażenie, że się zgodził. Zresztą niech pan przesadnie na to nie liczy – wcale nie jestem pewien, że wszystko dobrze zrozumiałem. Dwie warstwy znaczeniowe chyba pojąłem, ale moim zdaniem tam była jeszcze trzecia... Słowem, proszę przejść przez most, tam będzie ścieżka. Ścieżka prowadzi do lasu. On tam pana spotka. To znaczy, prawdę mówiąc popatrzy na pana... Nie, jakby to powiedzieć... Wie pan, może nie jest tak trudno zrozumieć Głowana, jak później przetłumaczyć. Na przykład to reklamowe zdanie „Jesteśmy zaciekawieni, ale nie ciekawi". To nawiasem mówiąc wzorzec dobrego przykładu. „Nie jesteśmy ciekawi" można zrozumieć na przykład „Nie ciekawią nas rzeczy najistotniejsze", a zarazem „Jesteśmy dla was nieciekawi". Rozumie pan?

– Rozumiem, powiedział dziennikarz Kammerer złażąc ze stołu. – On popatrzy na mnie i dopiero potem zadecyduje czy warto ze mną rozmawiać. Przepraszam za kłopot.

– Co znowu! Cała przyjemność po mojej stronie... Chwileczkę, niech pan weźmie mój płaszcz, na dworze pada...

– Dziękuję, nie trzeba – powiedział dziennikarz Kammerer i wyszedł na deszcz.

3 czerwca

Głowan Szczekn-Irtcz

Była mniej więcej trzecia nad ranem czasu miejscowego, niebo zachmurzone, a las bardzo gęsty i ten nocny świat wydawał mi się szary, płaski i zmętniały jak niedoświetlona stara fotografia.

Oczywiście on mnie zauważył pierwszy i zapewne z pięć a może dziesięć minut szedł równoległym kursem, ukryty w gęstym poszyciu. Kiedy go wreszcie dostrzegłem, zrozumiał to błyskawicznie i natychmiast znalazł się na ścieżce, przede mną...

– Jestem tu – zawiadomił mnie.

– Widzę – odpowiedziałem.

– Będziemy rozmawiać tu – powiedział.

– Dobrze – powiedziałem.

Od razu usiadł zupełnie jak pies, który rozmawia ze swoim panem.

– Czego chcesz? – zapytał wprost.

– Powiedzieli ci kim jestem?

– Tak. Jesteś dziennikarzem. Piszesz książkę o moim narodzie.

– Niezupełnie. Piszę książkę o Lwie Abałkinie. Ty go znasz.

– Cały mój naród zna Lwa Abałkina.

To było coś nowego.

– I co myśli twój naród o Lwie Abałkinie?

– Mój naród nie myśli o Lwie Abałkinie. Mój naród go zna. Zdaje się, że wdepnąłem w jakieś lingwistyczne grzęzawisko.

ginie. A Lew Abałkin ucieka na Ziemię. Lew Abałkin się ukrywa. Lew Abałkin łączy się ze mną kanałem, który znał tylko Tristan... – jednym haustem wypił kawę i na chwilę zamilkł poruszając wargami. – Moim zdaniem nie zrozumiałeś tego, co najważniejsze, Mak. Mamy teraz do czynienia nie z Abałkinem tylko z Wędrowcami. Lew Abałkin już nie istnieje. Zapomnij o nim. Idzie na nas automat Wędrowców. Zamilkł znowu. – Mówiąc otwarcie nie wyobrażam sobie jaka siła była w stanie zmusić Tristana, aby zdradził mój numer komukolwiek, a cóż dopiero Lwu Abałkinowi. Boję się, że nie zabito go tak zwyczajnie...

– A więc sądzi pan, że program każe mu szukać detonatora?

– Nic innego mi nie przychodzi do głowy.

– Ale przecież on nie ma pojęcia o detonatorach... Czy też może Tristan?

– Tristan też nic nie wiedział. I Abałkin nic nie wie. Za to program wie dobrze!

Powiedziałem:

– Proszę mnie tylko dobrze zrozumieć, Ekscelencjo. Proszę nie myśleć, że staram się pomniejszyć, złagodzić... Ale przecież pan go nie widział. I nie widział pan ludzi, z którymi Abałkin się spotykał. Wszystko rozumiem – śmierć Tristana, ucieczka, telefon do pana, ukrywa się, odnajduje Głumową u której znajdują się detonatory... Wygląda to zupełnie jednoznacznie. Bezbłędny ciąg logiczny. Ale przecież mamy i inne fakty! Spotkanie z Głumową – i ani słowa o Muzeum, tylko miłość i wspomnienia z dzieciństwa. Spotkanie z Nauczycielem – i tylko żal, że jakoby Nauczyciel złamał mu życie... Rozmowa ze mną – pretensja, że ukradłem mu priorytet... Nawiasem mówiąc, po co w ogóle spotkał się z Nauczycielem? Ze mną, to można jeszcze jako tako zrozumieć, chciał sprawdzić kto go śledzi... a po co z Nauczycielem? Teraz Szczekn – idiotyczna prośba o azyl, to już w ogóle kupy się nie trzyma!

– Trzyma się, Mak. Wszystko się dobrze trzyma. Program – programem, a świadomość – świadomością. Przecież on nie rozumie co się z nim dzieje. Program żąda od niego tego co nieczłowiecze, a świadomość stara się przetransformować to żądanie w coś, co można pojąć... Abałkin miota się, postępuje dziwacznie i absurdalnie. Oczekiwałem czegoś w tym rodzaju... Po to potrzebna była tajemnica osobowości, w ten sposób mamy chociaż trochę czasu w zapasie... A jeżeli chodzi o Szczekna, nie zrozumiałeś ni cholery. Nie było żadnej prośby o azyl. Głowany poczuły, że Abałkin już nie jest człowiekiem i demonstrują nam swoją lojalność. Oto co tam się zdarzyło...

Ekscelencja nie przekonał mnie. Jego logika była prawie nieskazitelna, ale to ja widziałem Abałkina i rozmawiałem z nim, to ja widziałem Nauczyciela i Maję Głumową i rozmawiałem z nimi. Tak, Abałkin miotał się. Zachowywał się dziwnie, ale przecież nie absurdalnie. Miał w tym jakiś cel, tylko w żaden sposób nie mogłem zrozumieć jaki mianowicie. A poza tym Abałkin był żałosny, więc nie mógł być niebezpieczny...

Ale opierałem się tylko na własnej intuicji, a dobrze wiedziałem ile jest warta intuicja. Niewiele ją ceniliśmy w naszej pracy. Oprócz tego intuicja to element ludzkiego doświadczenia, a tu mieliśmy do czynienia z Wędrowcami.

– Czy mogę jeszcze dostać kawy? – poprosiłem.

Ekscelencja wstał i poszedł parzyć nową porcję.

– Widzę, że masz wątpliwości – powiedział stojąc do mnie plecami. – Sam bym wątpił, gdybym miał do tego prawo. Jestem starym racjonalistą, Mak, widziałem wiele, zawsze kierowałem się rozumem i rozum jeszcze nigdy mnie nie zawiódł. Brzydzą mnie te wszystkie fantastyczne sztuczki, te wszystkie tajemnicze programy zmontowane przez kogoś tam czterdzieści pięć tysięcy lat temu, które włączają się i wyłączają na niepojętej zasadzie, wszystkie te mistyczne pozaprzestrzenne relacje między żywą istotą i głupawym krążkiem schowanym w futerale. Rzygać mi się chce od tego wszystkiego!

Przyniósł kawę i nalał ją do filiżanek.

– Gdybyśmy obaj byli zwyczajnymi uczonymi – mówił dalej – i gdybyśmy po prostu zajmowali się

zameldował w panice, że detonator nr 02 (znak „ukośna gwiazda") znikł bez śladu nie pozostawiając w gnieździe wyścielonym ruchomymi włóknami z pseudopolietylenu nawet pyłka.

Teraz istnienie pewnego na wpół mistycznego związku między każdym z „podrzutków" a odpowiednim detonatorem nie ulegało najmniejszej wątpliwości. I wszyscy członkowie Komisji byli pewni, że w przewidywalnej przyszłości Ziemianom nie dane będzie zrozumieć całej tej historii.

4 czerwca 78 roku

Dyskusja o sytuacji

To wszystko i jeszcze wiele innych rzeczy opowiedział mi Ekscelencja tej samej nocy, kiedy wróciliśmy z Muzeum do jego gabinetu.

Świtało już, kiedy zakończył opowieść. Zamilkł, uniósł się ciężko i nie patrząc na mnie poszedł parzyć kawę.

– Możesz zadawać pytania – wymruczał.

Do tego momentu byłem opanowany tylko jednym uczuciem – ogromnym bezgranicznym żalem, że wiem już to wszystko i że teraz jestem zmuszony w tym uczestniczyć. Oczywiście gdyby na moim miejscu był jakiś inny normalny człowiek, prowadzący normalny tryb życia, zajęty normalną pracą, odebrałby tę historię jak którąś z rzędu groźną i fantastyczną baśń, zrodzoną na pograniczu znanego i niewiadomego, z tych które docierają do nas w zmienionym do niepoznania kształcie i mają tę zachwycającą właściwość, że niezależnie od tego jak straszne i groźne by nie były, nie mają bezpośredniego związku z naszą ciepłą i jasną Ziemią i żadnego bezpośredniego wpływu na nasze życie codzienne nie wywierają, że wszystko to ktoś tam gdzieś załatwiał, albo właśnie załatwia, albo załatwi w najbliższym czasie.

Ale ja, niestety, nie byłem normalnym człowiekiem w takim sensie tego słowa. Niestety byłem akurat jednym z tych, którym przypadło załatwiać wszystko co mogło się stać niebezpieczne dla ludzkości i postępu. Właśnie dlatego tacy jak ja trafiali czasami na obce planety i grali tam cudze role. Na przykład rolę oficera w feudalnym imperium na planecie Saraksz, którą grał w swoim czasie Abałkin.

Wiedziałem, że z ciężarem tej tajemnicy na barkach będę teraz chodzić do końca życia. Że razem z tajemnicą wziąłem na siebie jeszcze jedną odpowiedzialność, o którą nie prosiłem i która doprawdy nie była mi potrzebna. Że od dzisiaj moim obowiązkiem jest podejmowanie decyzji, a to znaczy, że muszę teraz dokładnie rozumieć to, co było już jasne dla innych, a być może nawet więcej. A to znaczy, że muszę ugrzęznąć w tej tajemnicy obrzydliwej jak wszystkie nasze tajemnice, a może nawet jeszcze obrzydliwszej, ugrzęznąć jeszcze głębiej niż do tej pory. I poczułem jakąś dziecinną wdzięczność dla Ekscelencji, który starał się do ostatniej chwili utrzymać mnie na krawędzi tej tajemnicy. I jeszcze bardziej dziecinne rozdrażnienie – że mnie jednak na tej krawędzi nie utrzymał.

– Nie masz żadnych pytań? – zainteresował się Ekscelencja.

Ocknąłem się.

– A więc pan przypuszcza, że program się włączył i że Abałkin zabił Tristana?

– Spróbujmy myśleć logicznie – Ekscelencja ustawił filiżanki, ostrożnie nalał kawy i usiadł na swoim miejscu. – Tristan był jego prowadzącym lekarzem. Regularnie raz na miesiąc spotykali się gdzieś w dżungli i Tristan przeprowadzał okresowe badania. Jakoby w ramach rutynowej kontroli napięcia psychicznego Progresora, a naprawdę po to, żeby się upewnić czy Abałkin nadal jest jeszcze człowiekiem. Na całej planecie Saraksz tylko Tristan znał numer mojego specjalnego kanału łączności. Trzydziestego maja, a najpóźniej trzydziestego pierwszego powinienem otrzymać od niego trzy siódemki „wszystko w porządku". A tymczasem dwudziestego ósmego, w dniu badań Tristan

– Chciałem zapytać, jaki stosunek ma twój naród do Lwa Abałkina?

– Zna go. Każdy. Od urodzenia i do śmierci.

Naradziłem się z dziennikarzem Kammererem i postanowiliśmy chwilowo zmienić temat. Zapytaliśmy:

– Co ty możesz powiedzieć o Lwie Abałkinie?

– Nic – odparł krótko.

Tego właśnie obawiałem się najbardziej. Bałem się do tego stopnia, że podświadomie odrzucałem samą możliwość zaistnienia takiej sytuacji i byłem na nią zupełnie nie przygotowany. Zgłupiałem, a on podniósł przednią łapę i zaczął hałaśliwie coś wygryzać między pazurami. Nie po psiemu, tylko tak jak to czasem robią nasze koty.

Zresztą jednak starczyło mi zimnej krwi. W porę do mnie dotarło, że gdyby ten pies-sapiens nie chciał mieć ze mną do czynienia, po prostu uniknąłby spotkania.

– Wiem, że Lew Abałkin jest twoim przyjacielem – powiedziałem. – Mieszkaliście i pracowaliście razem. Wielu Ziemian chciałoby wiedzieć co myśli o Abałkinie jego przyjaciel i współpracownik Głowan.

– Po co? – zapytał krótko.

– Doświadczenie – odparłem.

– Bezużyteczne.

– Żadne doświadczenie nie jest bezużyteczne.

Teraz zabrał się do drugiej łapy i po kilku sekundach powiedział niewyraźnie:

– Zadawaj konkretne pytania.

Pomyślałem.

– Wiadomo mi, że ostatni raz pracowałeś z Abałkinem piętnaście lat temu. Czy pracowałeś później z innymi Ziemianami?

– Pracowałem. Dużo razy.

– Czy zauważyłeś jakąś różnicę?

Zadając to pytanie właściwie niczego szczegółowego nie miałem na myśli. Ale Szczekn nagle zamarł, następnie powoli opuścił łapę i uniósł swoją wielką głowę. Jego oczy na mgnienie zabłysły mrocznym czerwonawym blaskiem. Jednak nie minęła nawet sekunda i znowu zaczął obgryzać pazury.

– Trudno powiedzieć – wymruczał. – Różne zajęcia, ludzie też różni. Trudno.

Uchylił się od odpowiedzi. Dlaczego? Moje niewinne pytanie sprawiło, że jakby się potknął. Zmieszał się na całą sekundę. Czy może to znowu lingwistyka? Zresztą lingwistyka to dobry wynalazek. Ruszamy do ataku. Do frontalnego ataku.

– Spotkałeś się z nim – oświadczyłem. – Znowu zaprosił cię do pracy. Zgodziłeś się?

To mogło oznaczać: „Gdybyś się z nim spotkał i on zaprosiłby cię do współpracy, czy byś się zgodził?" Albo do wyboru „Spotkałeś go i on (jak mi wiadomo) zaproponował ci współpracę. Zgodziłeś się?" Lingwistyka. Nie przeczę, był to dosyć żałosny manewr, ale co mi pozostało do zrobienia? I lingwistyka uratowała mnie.

– On nie zapraszał mnie do współpracy – zaprotestował Szczekn.

– W takim razie o czym rozmawialiście? – zdziwiłem się umacniając sukces.

– O przeszłości – burknął. – Nic ciekawego dla nikogo.

– Jak ci się wydało – zapytałem wycierając w myśli uznojone czoło – czy bardzo się zmienił przez te piętnaście lat?

– To też nieciekawe.

– Nie. To bardzo ciekawe. Też go widziałem niedawno i zobaczyłem że się bardzo zmienił. Ale ja jestem Ziemianinem i chcę znać twoją opinię.

– Moja opinia – tak.

– No widzisz! I na czym twoim zdaniem polega ta zmiana?

– Nie obchodzi go już naród Głowanów.

– Ach tak? – zdziwiłem się szczerze. – A ze mną rozmawiał tylko o Głowanach.

Jego oczy zabłysły czerwono. Zrozumiałem to w ten sposób, że moje słowa go zmieszały.

– Co on ci powiedział? – zapytał Szczekn.

– Dyskutowaliśmy, który Ziemianin zrobił więcej dla kontaktów z narodem Głowanów.

– A jeszcze?

– To wszystko. Tylko na ten temat.

– Kiedy to było?

– Przedwczoraj. A dlaczego uważasz, że go już nie obchodzi naród Głowanów?

Oświadczył niespodziewanie:

– Tracimy czas. Nie zadawaj pustych pytań. Zadawaj prawdziwe pytania.

– Dobrze. Zadaję prawdziwe pytanie. Gdzie jest teraz Abałkin?

– Nie wiem.

– Co on zamierza robić?

– Nie wiem.

– Co on ci powiedział? Dla mnie jest ważne każde jego słowo.

I w tym momencie Szczekn przybrał dziwną, powiedziałbym nawet nienaturalną pozę – przysiadł na sprężynujących łapach, wyciągnął szyję i popatrzył na mnie z dołu do góry. Następnie rytmicznie kołysząc ciężką głową w lewo i w prawo przemówił wyraźnie akcentując słowa:

– Słuchaj uważnie, zrozum dobrze i zapamiętaj dokładnie. Naród Ziemi nie miesza się w sprawy Narodu Głowanów. Naród Głowanów nie miesza się w sprawy Narodu Ziemi. Tak było, tak jest i tak będzie. Sprawa Abałkina jest sprawą Narodu Ziemi. Tak zdecydowano. A dlatego nie szukaj tego czego nie ma. Naród Głowanów nigdy nie udzieli azylu Lwu Abałkinowi.

A to ci historia. Wyrwało mi się pytanie:

– Czy Lew Abałkin prosił o azyl? Ciebie?

– Powiedziałem tylko to, co powiedziałem – Naród Głowanów nigdy nie udzieli azylu Lwu Abałkinowi. Więcej nic. Zrozumiałeś to?

– Zrozumiałem. Ale mnie to nie interesuje. Powtarzam pytanie – co on ci powiedział?

– Odpowiem. Ale najpierw powtórz najważniejsze, co ci powiedziałem.

– Dobrze, powtórzę. Naród Głowanów nie wtrąci się w sprawę Abałkina i odmawia udzielenia mu azylu. Tak?

– Tak. I to jest najważniejsze.

– Teraz odpowiedz na moje pytanie.

– Odpowiadam. Zapytał mnie czy jest różnica między nim a innymi ludźmi, z którymi pracowałem. Dokładnie takie pytanie, jakie zadałeś ty.

Ledwie skończył mówić, odwrócił się i śmignął w zarośla. Nie drgnęła ani jedna gałązka, ani jeden liść, a Szczekna już nie było. Znikł.

Brawo Szczekn! ...Uczyłem go języka, i jak korzystać z Linii Dostaw. Nie odchodziłem od niego kiedy chorował na te swoje straszne choroby... Znosiłem jego fatalne maniery, nie reagowałem na jego bezceremonialne wypowiedzi, wybaczałem mu to, czego nie wybaczam nikomu na świecie... Jeśli

I zdarzył się jeszcze jeden wypadek, ale znacznie później, już w 62 roku, kiedy Rudolf Sikorski według miejscowego kryptonimu „Wędrowiec" był rezydentem na planecie Saraksz.

Rzecz w tym, że korzystając z jego nieobecności grupie psychologów wchodzących w skład Komisji do sprawy Trzynastki udało się uzyskać zezwolenie na częściowe ujawnienie tajemnicy osobowości jednemu z „podrzutków". Uczestnikiem eksperymentu został wybrany Korniej Jaszmaa – numer 11, znak „Elbros". Po niezwykle starannym przygotowaniu opowiedziano mu całą prawdę o jego pochodzeniu. Opowiedziano mu tylko o nim. Więcej o nikim.

Korniej Jaszmaa kończył wtedy szkołę Progresorów. Sądząc po wynikach wszystkich badań, był to człowiek o niezwykle odpornej psychice, niezwykle silnej woli, i w ogóle nieprzeciętny, na co wskazywały także inne cechy jego charakteru. Psychologowie nie omylili się. Korniej Jaszmaa odniósł się do informacji ze zdumiewająco zimną krwią – najwidoczniej otaczający go świat był dla niego znacznie bardziej interesujący niż tajemnica własnego pochodzenia. Delikatne ostrzeżenia psychologów, że być może zakodowano w nim ukryty program, który w każdej chwili może skierować jego działania przeciwko interesom ludzkości – przyjął całkowicie obojętnie. Szczerze wyznał, że chociaż rozumie, że stanowi potencjalne zagrożenie, absolutnie w to nie wierzy. Chętnie przystał na regularną samoobserwację, włącznie z codziennym pomiarem swoich uczuć za pomocą indykatora emocji. I nawet sam zaproponował przeprowadzenie dowolnie głębokiej mentoskopii. Słowem Komisja mogła być zadowolona – przynajmniej jeden z „podrzutków" stał się teraz świadomym i silnym sojusznikiem Ziemi.

Kiedy Rudolf Sikorski dowiedział się o tym, początkowo bardzo się rozgniewał, ale potem doszedł do wniosku, że w ostatecznym rachunku taki eksperyment może przynieść korzyść. Od samego początku nalegał na zachowanie tajemnicy osobowości „podrzutków" przede wszystkim ze względu na bezpieczeństwo Ziemi. Nie chciał, żeby do dyspozycji „podrzutków", kiedy i jeśli program się włączy, oprócz tego podświadomego programu była jeszcze pełna świadomość tego kim są i co się z nimi dzieje. Wolałby, żeby się miotali nie wiedząc czego szukają, żeby zachowywali się dziwnie i absurdalnie. Ale koniec końców dla kontroli dobrze było mieć jednego (ale nie więcej) „podrzutka" dysponującego pełnią informacji o sobie. Jeżeli program w ogóle istnieje, to niewątpliwie jest tak zorganizowany, że żadna świadomość nie będzie w stanie mu przeciwdziałać. Inaczej Wędrowcom nie opłaciłaby się skórka za wyprawkę. Ale bez wątpienia zachowanie człowieka świadomego istnienia programu, będzie się biegunowo różnić od zachowania pozostałych.

Jednakże psychologowie nie zamierzali spocząć na laurach. Uskrzydleni sukcesem z Korniejem Jaszmaa, w trzy lata później (Rudolf Sikorski wciąż jeszcze był na planecie Saraksz) powtórzyli eksperyment z Thomasem Nilsonem (numer 02 znak – „ukośna gwiazda") nadzorcą rezerwatu w Gorgonie. Wyniki były zadowalające i przez kilka miesięcy Thomas Nilson rzeczywiście w dalszym ciągu spokojnie pracował, najwidoczniej nie przejmując się tajemnicą swojej osobowości. W ogóle był człowiekiem raczej flegmatycznym, mało skłonnym do ujawniania emocji.

Starannie wykonywał wszystkie przypisane mu czynności, prowadził samoobserwację, swoją sytuację traktował z właściwym sobie nieco przyciężkim humorem, ale kategorycznie odrzucił propozycję przeprowadzenia mentoskopii, podając jako powód przyczyny natury osobistej. A w sto dwudziestym ósmym dniu eksperymentu Thomas Nilson zmarł na planecie Gorgonie w okolicznościach nie wykluczających samobójstwa.

Dla Komisji jako całości, a dla psychologów szczególnie, był to straszny cios. Sędziwy Pak Chin oświadczył, że występuje z Komisji, porzucił Instytut, swoich uczniów, krewnych i udał się na wygnanie. A sto trzydziestego drugiego dnia licząc od początku eksperymentu pracownik Komkon-u, do którego obowiązków należał między innymi comiesięczny przegląd futerału z bursztynowca,

nowca. Trzynaście dziwacznych hieroglifów, tych samych nad którymi przestał sobie łamać głowę, świetnie znanych hieroglifów ze zdjęć trzynastu dziecinnych rąk. Po znaczku na krążek. Po krążku na każdy łokieć.

To nie mogło być przypadkiem. To musiało coś oznaczać. Coś bardzo ważnego. Pierwszym odruchem Rudolfa Sikorskiego była chęć natychmiastowego sprowadzenia z Muzeum tego „elementu 15/156A" i ukrycia go w sejfie. Przed wszystkimi. Przed samym sobą. Rudolf Sikorski przestraszył się. A najgorsze było to, że sam nie rozumiał dlaczego tak się boi.

Iwanow był również przerażony. Wymienili spojrzenia i zrozumieli się bez słów. Zobaczyli ten sam obraz – trzynaście opalonych, podrapanych bomb z wesołym krzykiem biega, pływa, łazi po drzewach w różnych punktach kuli ziemskiej a tu, o dwa kroki stąd trzynaście detonatorów do tych bomb w złowieszczej ciszy czeka na swoją godzinę.

Oczywiście była to chwila słabości. Przecież nic strasznego się nie stało. Znikąd nie wynikało, że krążki ze znaczkami – to detonatory bomb, przełączniki ukrytego programu. Po prostu z przyzwyczajenia przewidywali najgorsze, kiedy sprawa dotyczyła „podrzutków". Ale nawet jeśli ta panika wyobraźni nie była fałszywa, nawet w tym ostatecznym wypadku na razie nie stało się nic strasznego. W każdej chwili detonatory można było zniszczyć. W każdej chwili można je było zabrać z Muzeum i wysłać gdzieś na koniec Galaktyki, na kraniec zamieszkałego Wszechświata, a gdyby zaszła konieczność jeszcze dalej.

Rudolf Sikorski zadzwonił do dyrektora Muzeum i poprosił go, aby przysłał eksponat taki a taki, do dyspozycji Rady Światowej – do rąk własnych, jego, Rudolfa Sikorskiego. Nastąpiła nieco zdumiona, idealnie grzeczna odmowa. Okazało się (Sikorski nie miał o tym poprzednio zielonego pojęcia), że eksponatów z Muzeum i to nie tylko z Muzeum Kultur Pozaziemskich, ale dowolnego muzeum na Ziemi nie wydaje się – ani osobom prywatnym, ani Radzie Światowej, ani nawet samemu Panu Bogu. Gdyby nawet Stwórca osobiście zapragnął popracować nad jakimś eksponatem, musiałby w tym celu przyjść do Muzeum, okazać odpowiednie pełnomocnictwa i dopiero wtedy w murach Muzeum mógłby przeprowadzać swoje badania, dla przeprowadzenia których stworzono by mu wszelkie warunki – laboratoria, aparaturę, konsultacje i tak dalej i temu podobne.

Sprawa skomplikowała się w sposób nieoczekiwany, ale pierwszy szok już minął. Koniec końców dobre chociaż i to, że bombie po to, żeby połączyć się z detonatorem potrzebne będą w najgorszym razie przynajmniej „odpowiednie pełnomocnictwa". I wreszcie tylko od Rudolfa Sikorskiego zależało czy przekształci Muzeum w sejf o nieco większych niż zwykle rozmiarach. A właściwie po jakiego diabła? Skąd bomby będą wiedzieć gdzie znajdują się detonatory i że one w ogóle istnieją? Nie, to była po prostu chwila słabości. Jedna z niewielu takich chwil w jego życiu.

Detonatorami zajęto się teraz bardzo starannie. Odpowiednio dobrani ludzie zaopatrzeni w odpowiednie pełnomocnictwa i listy polecające przeprowadzili w świetnie wyposażonych laboratoriach Muzeum cykl starannie przemyślanych eksperymentów. Rezultaty tych eksperymentów można by nazwać śmiało zerowymi, gdyby nie jedna dziwna i mówiąc otwarcie tragiczna okoliczność.

–Jeden z detonatorów poddano próbom na regenerację. Eksperyment dał rezultat ujemny – w odróżnieniu od wielu przedmiotów materialnej kultury Wędrowców detonator nr 12 (znak – „gotyckie M"), kiedy go zniszczono nie zrekonstruował się. A dwa dni później w Północnych Andach trafiła pod kamienną lawinę grupa uczniów z internatu Templado – dwadzieścioro dziewcząt i chłopców wraz z Nauczycielem. Wiele z nich było rannych i potłuczonych, ale wszyscy uszli z życiem, oprócz Edny Lasco, personalna teczka nr 12, znak „gotyckie M".

Niewątpliwie mógł to być przypadek. Ale eksperymenty nad detonatorami przerwano i przez Radę Światową udało się uzyskać zakaz kontynuowania ich w przyszłości.

zajdzie potrzeba, będę o niego walczył jak o Ziemianina, jak o samego siebie. A on? Nie wiem..." Brawo, Szczekn-Irtcz.

3 czerwca 78 roku

Ekscelencja jest zadowolony

– Bardzo ciekawe – powiedział Ekscelencja, kiedy zakończyłem meldunek. – Słusznie postąpiłeś Mak, nalegając na wizytę w tym zwierzyńcu.

– Nie rozumiem – powiedziałem z irytacją odrywając rzepy od mokrej nogawki. – Widzi pan w tym jakiś sens?

– Tak.

Wytrzeszczyłem oczy.

– Poważnie pan myśli, że Abałkin mógł prosić o azyl?

– Nie. Tak nie myślę.

– W takim razie o jakim sensie można mówić? Czy to znowu jakiś kanał?

– Być może. Ale nie o to chodzi. Nieważne co miał na myśli Lew Abałkin. Reakcja Głowanów – oto co jest ważne. Zresztą nie łam sobie nad tym głowy. Przywiozłeś mi istotną informację. Dziękuję. Jestem zadowolony. I ty bądź zadowolony.

Znowu zacząłem oddzielać rzepy. Co tu gadać, Ekscelencja niewątpliwie był zadowolony. Jego zielone ślepia płonęły, było to widać nawet w półmroku gabinetu. Dokładnie w taki sam sposób patrzył kiedy młody, wesoły i zadyszany zameldowałem mu, że Myszka Preszt złapany został wreszcie na gorącym uczynku i siedzi w samochodzie z kneblem w pysku gotowy do użytku. To ja ująłem Myszkę, ale nie wiedziałem jeszcze wtedy tego, co świetnie wiedział Wędrowiec – teraz już koniec z sabotażem i pociągi ze zbożem spokojnie dojadą do Stolicy...

Tak i teraz wyraźnie wiedział coś takiego, o czym ja nie miałem pojęcia, ale ja sam nie odczuwałem nawet elementarnej satysfakcji. Nikogo nie ująłem, nikt nie czekał na przesłuchanie z zakneblowanymi ustami, tylko po ogromnej serdecznej Ziemi miotał się okaleczony przez los, zagadkowy człowiek, miotał się, nie mogąc znaleźć dla siebie miejsca, miotał się jak trędowaty i zarażał każdego z kim się zetknął swoją krzywdą i rozpaczą, sam zdradzał i sam stawał się ofiarą zdrady...

– Jeszcze raz przypominam ci, Mak – powiedział nagle Ekscelencja – On jest niebezpieczny. Tym bardziej niebezpieczny, że sam o tym nie wie.

– Więc kto to taki u diabła? – zapytałem. – Oszalały android?

– Android nie może mieć tajemnicy osobowości – powiedział Ekscelencja. – Nie rozpraszaj się.

Wsadziłem rzepy do kieszeni kurtki i usiadłem prosto.

– Teraz możesz iść do domu – powiedział Ekscelencja. – Jesteś wolny do dziewiętnastej zero-zero. Następnie bądź w pobliżu, nie opuszczaj miasta i czekaj na moje wezwanie. Niewykluczone, że dzisiejszej nocy on zechce się dostać do Muzeum. Wtedy go weźmiemy.

– Dobrze – powiedziałem bez odrobiny entuzjazmu.

Ekscelencja spojrzał na mnie nie ukrywając, że mnie ocenia.

– Mam nadzieję, że jesteś w formie – powiedział. – Brać go będziemy we dwóch, a ja już jestem za stary do takich ćwiczeń.

4 czerwca 78 roku

Muzeum Kultur Pozaziemskich. Noc.

01.01. radiobransoletka zapiszczała na moim nadgarstku i przygłuszony głos Ekscelencji wymamrotał: „Mak, Muzeum, główne wejście, szybko..."

Zasunąłem kołpak kabiny, żeby nie znokautował mnie prąd powietrza, włączyłem silnik na start pionowy. Glider, jak świeca wystartował w gwiaździste niebo. Trzy sekundy na hamowanie. Dwadzieścia dwie sekundy na ślizg i orientację w przestrzeni. Na Placu Gwiazdy pusto. Przed głównym wejściem też nikogo nie ma. Dziwne... Aha. Z kabiny zero-T przy rogu Muzeum wychodzi ciemna chuda postać. Przemyka się do głównego wejścia. Ekscelencja.

Glider bezszelestnie wylądował przed głównym wejściem. Natychmiast na pulpicie zapaliło się zielone światełko i miękki głos cyber-inspektora powiedział z wyrzutem. „Lądowanie gliderów na Placu Gwiazdy jest zabronione..." Odsunąłem kołpak i wyskoczyłem na jezdnię. Ekscelencja już majstrował przy drzwiach za pomocą magnetycznego wytrycha. „Lądowanie gliderów na Placu Gwiazdy..." z uczuciem wygłaszał cyber-inspektor.

– Zamknij mu twarz... – nie odwracając się wycedził przez zęby Ekscelencja.

Zasunąłem kołpak. I w tej chwili główne wejście stanęło otworem.

– Za mną! – rzucił Ekscelencja i dał nura w ciemność.

A ja za nim. Zupełnie jak w dawnych czasach.

Prowadził mnie po jakiejś skomplikowanej krzywej z sali na salę między stelażami mechanizmów i aparatów i wśród mechanizmów i aparatów przypominających posągi. Światła nie było nigdzie – zapewne zostało zawczasu wyłączone – ale nie pomylił się ani razu, chociaż wiedziałem, że w nocy widzi znacznie gorzej ode mnie. Dobrze się przygotował do tej nocnej operacji nasz Ekscelencja i jak do tej pory wychodziło mu to zupełnie nieźle, jeśli nie liczyć oddechu. Oddychał zbyt głośno, ale na to nie było już żadnej rady. Wiek. Przeklęte lata.

Nagle zatrzymał się i ledwie stanąłem obok zacisnął palce na moim ramieniu. W pierwszej chwili przestraszyłem się, że sforsował serce, ale zaraz zrozumiałem, że jesteśmy na miejscu, a on po prostu chce się wysapać.

Rozejrzałem się. Puste stoły, wzdłuż ścian stelaże zastawione dziwadłami z innych planet. Ksenograficzne projektory pod najdalszą ścianą. Wszystko to już widziałem. Byłem tu już. To była pracownia Mai Głumowej. Oto jej stół, a w tym fotelu siedział dziennikarz Kammerer...

Ekscelencja puścił moje ramię, podszedł do stelaży, pochylił się i ruszył wzdłuż nich nie prostując się – czegoś wypatrywał. Potem zatrzymał się, z wysiłkiem podniósł coś i podszedł do stołu usytuowanego przy samym wejściu. Z lekka odchylony do tyłu niósł w opuszczonych rękach podłużny przedmiot, jakąś płaską sztabkę o zaokrąglonych krawędziach. Ostrożnie, bez najmniejszego hałasu postawił ten przedmiot na stole, na mgnienie oka znieruchomiał, a potem nagle jak sztukmistrz wyciągnął z kieszeni na piersi długi szal z frędzlami. Wyprostował go zręcznym ruchem i narzucił na tę sztabkę. Potem odwrócił się do mnie, pochylił nad moim uchem i wyszeptał ledwie dosłyszalnie:

– Kiedy dotknie chustki – weźmiesz go. Jeśli przedtem nas zauważy – weźmiesz go. Stań tutaj.

Stanąłem po jednej stronie drzwi, Ekscelencja po drugiej.

Początkowo nie słyszałem nic. Stałem przywierając plecami do ściany, mechanicznie rozpatrując możliwe warianty rozwoju wydarzeń i patrzyłem na szal rozścielony na stole. Ciekawe w jakim celu Lew Abałkin będzie go dotykał. Jeśli tak bardzo potrzebna mu jest ta sztabka, to skąd będzie wiedział że schowana jest pod szalem. I co to za sztabka? Wygląda na futerał przenośnego interwizjonera. Albo jakiegoś muzycznego instrumentu. Zresztą, raczej nie. Zbyt ciężki. Nic nie rozumiem. To jest wyraźnie przynęta, ale jeśli przynęta, to nie dla człowieka.

W tym momencie usłyszałem hałas. Trzeba powiedzieć, że hałas był dość potężny, gdzieś we wnętrzu Muzeum spadło coś dużego, z metalu, coś co rozlatuje się przy upadku. Spojrzałem na Ekscelencję. Ekscelencja też nasłuchiwał i też się dziwił.

Brzęk, szczęk i łoskot stopniowo ucichł i znowu zapanowała cisza. Dziwne. Żeby Progresor,

kilkadziesiąt lat temu. A kiedy sześcioletniego Lwa Abałkina przeniesiono wraz z całą jego grupą do szkoły w Syktywkarze, Jadwiga Lekanowa uznała, że pora jej już popracować z dziećmi w wieku szkolnym i przeniosła się na posadę lekarza do tej samej szkoły.

Lew Abałkin rósł i rozwijał się jak każdy zwyczajny chłopiec, być może skłonny do niejakiej melancholii, skryty, ale odchylenia od norm psychicznych nie wykraczały poza przeciętną i znacznie odbiegały od możliwych skrajnych odchyleń. Równie zadowalająco przebiegał jego rozwój fizyczny. Nie różnił się od innych dzieci ani nadmierną delikatnością, ani przesadną siłą. Krótko mówiąc był to mocny, zdrowy, zupełnie przeciętny chłopiec, różniący się od swoich kolegów, przeważnie Słowian, tylko kruczoczarnymi prostymi włosami, z których był nadzwyczaj dumny i starał się, żeby sięgały mu co najmniej do ramion. Tak było do listopada czterdziestego siódmego roku.

16 listopada przeprowadzając okresowe badania Jadwiga Lekanowa zauważyła u Lwa w zgięciu łokcia niewielki siniak i lekką opuchliznę. Siniak u chłopca nie jest niczym dziwnym i Jadwiga Lekanowa nie zwróciła na niego uwagi, a potem oczywiście w ogóle o wszystkim by zapomniała, gdyby po tygodniu, 23 listopada nie okazało się, że siniak nie tylko nie znikł, ale przeszedł dziwną metamorfozę. Właściwie nie można już go było nazwać siniakiem, było to coś w rodzaju tatuażu – żółtawobrązowy niewielki znak w kształcie stylizowanej litery. Ostrożna rozmowa wykazała, że Lew Abałkin nie ma pojęcia skąd się to wzięło i dlaczego. Było jasne, że do tej pory po prostu nie wiedział i nie zauważył co się tam u niego pojawiło na zgięciu prawego łokcia.

Po namyśle Jadwiga Lekanowa uznała za swój obowiązek zawiadomić o tym odkryciu Rudolfa Sikorskiego. Rudolf Sikorski wysłuchał informacji bez żadnych emocji, jednakże w końcu grudnia nagle zadzwonił do Jadwigi Lekanowej i zainteresował się jak wygląda sprawa ze znamieniem na ręku Lwa Abałkina. Bez zmian, odpowiedziała nieco zaskoczona Jadwiga Lekanowa. Jeśli to pani nie sprawi trudności, poprosił Rudolf Sikorski, to proszę kiedyś, tak, żeby chłopiec tego nie zauważył, sfotografować to znamię i przysłać mi zdjęcie.

Lew Abałkin był pierwszym „podrzutkiem", u którego na zgięciu prawego łokcia pojawiło się znamię. W ciągu następnych dwóch miesięcy znamiona o mniej lub więcej wymyślnym rysunku pojawiły się u jeszcze ośmiu „podrzutków" w identycznych okolicznościach – początkowo siniak, lekka opuchlizna bez żadnej przyczyny, bez żadnego bólu, a po tygodniu – żółtobrązowy znak. Pod koniec 48 roku „piętno Wędrowców" nosiła już cała trzynastka. I wtedy właśnie dokonano doprawdy zdumiewającego i strasznego odkrycia, które zrodziło pojęcie „detonatora".

Kto pierwszy użył tego słowa nie sposób już teraz dojść. Zdaniem Rudolfa Sikorskiego, słowo to wyjątkowo precyzyjnie i groźnie oddawało istotę rzeczy. Jeszcze w 39 roku, rok po narodzinach „podrzutków" ksenotechnicy, którzy zajmowali się demontażem opustoszałego inkubatora znaleźli w jego wnętrzu podłużną skrzynkę z bursztynowca, zawierającą trzynaście szarych, grubych krążków dziwnie oznakowanych. W inkubatorze znaleziono wówczas przedmioty znacznie bardziej zagadkowe niż ta skrzynka-futerał i dlatego nikt nie zwrócił na nią szczególnej uwagi. Futerał przetransportowano do Muzeum Kultur Pozaziemskich, opisano w tajnym biuletynie „Materiały dotyczące inkubatora-sarkofagu", jako element systemu zabezpieczającego, następnie futerał z honorem przetrzymał słaby atak jakiegoś uczonego, który próbował dowiedzieć się co to takiego i do czego mogłoby się przydać, a następnie powędrował do przepełnionego działu przedmiotów kultury materialnej o niewyjaśnionym przeznaczeniu, gdzie o nim szczęśliwie zapomniano na całe dziesięć lat.

W początkach 49 roku pomocnik Rudolfa Sikorskiego do sprawy „podrzutków" (powiedzmy, że nazywał się Iwanow) wszedł do gabinetu swego szefa i położył przed nim projektor włączony na 211 stronie szóstego tomu „Materiałów". Ekscelencja spojrzał i zdębiał. Zobaczył fotografię elementu „systemu zabezpieczającego 15/156A" – trzynaście szarych krążków w gniazdach futerału z burszty-

ności oficjalnych obserwatorów Tagory na naszej planecie. Kiedy oficjalna część rozmowy została zakończona i malutki doktor As-Su zaczął popijać swój ulubiony ziemski napój (zimna kawa zbożowa ze sztucznym miodem) wysokie strony zaczęły się wymieniać zabawnymi i strasznymi opowieściami na tematy historyczne, co było od dawna ich ulubionym zajęciem i w czym obydwaj osiągnęli mistrzostwo.

W szczególności doktor As-Su opowiedział, jak sto pięćdziesiąt ziemskich lat temu przy budowie fundamentów dla Trzeciej Wielkiej Maszyny budowniczowie odkryli w bazaltowej skale Przypolarnego Kontynentu zdumiewające urządzenie, które używając ziemskiej terminologii można by nazwać wylęgarnią i która zawierała dwieście trzy poczwarki Tagorian w stanie latentnym. Wieku znaleziska nie udało się precyzyjnie określić, jednakże było oczywiste, że owa wylęgarnia została umieszczona w skale długo przed Wielką Rewolucją Genetyczną, to znaczy w tych czasach, kiedy każdy Tagorianin przechodził w swoim rozwoju stadium larwy...

– Niebywałe – wymamrotał Sikorski. – Czyżby w tamtych czasach Tagorianie mieli już tak rozwiniętą technikę?

– Oczywiście, że nie! – odpowiedział doktor As-Su – Niewątpliwie było to dzieło Wędrowców.

– Ale po co?

– Zbyt trudno na to odpowiedzieć. Nawet nie próbowaliśmy odpowiedzieć.

– I co dalej się stało z tymi dwoma setkami maleńkich Tagorian?

– Hm... Zadaje pan dziwne pytanie. Larwy zaczęły się spontanicznie rozwijać, więc oczywiście natychmiast zniszczyliśmy całe to urządzenie wraz z jego zawartością... Czyżby pan mógł wyobrazić sobie społeczność, która w tej sytuacji zachowałaby się inaczej?

– Mógłbym – odpowiedział Sikorski.

Następnego dnia, 8 stycznia 38 roku, Najwyższy Ambasador Zjednoczonej Tagory ze względu na stan zdrowia powrócił do ojczyzny. A po jeszcze kilku dniach na Ziemi i na wszystkich pozostałych planetach, na których osiedlili się i pracowali Ziemianie nie został ani jeden Tagorianin. A po upływie miesiąca wszyscy bez wyjątku Ziemianie, którzy pracowali na Tagorze zostali postawieni przed koniecznością powrotu na Ziemię. Kontakty z Tagorą zostały przerwane na dwadzieścia pięć lat.

Urodziły się jednego dnia – pięć dziewczynek i ośmiu chłopców, silne, wrzaskliwe, idealnie zdrowe noworodki. W chwili ich narodzin wszystko już było przygotowane. Przyjęli je i zbadali najwybitniejsi lekarze, członkowie Światowej Rady i konsultanci Komisji Opieki nad Trzynastką. Wykąpane i spowite w pieluchy, tego samego dnia specjalnie przygotowany statek kosmiczny dostarczył na Ziemię. Wieczorem w trzynastu żłobkach rozrzuconych na wszystkich sześciu kontynentach troskliwe piastunki krzątały się wokół trzynastu sierot, które nigdy nie zobaczą swoich rodziców i jedyną matką których będzie od dzisiaj cała ogromna i dobrotliwa ludzkość. Legendy o ich pochodzeniu były już przygotowane przez samego Rudolfa Sikorskiego i za specjalną zgodą Rady Światowej wprowadzone do WMI.

Los Lwa Abałkina podobnie jak losy jego dwanaściorga braci i sióstr był od tego momentu zaprogramowany na wiele lat z góry i przez długi czas absolutnie niczym nie różnił się od losów milionów jego zwyczajnych ziemskich rówieśników.

W żłobku jak każdy niemowlak początkowo leżał, potem pełzał, potem raczkował aż wreszcie zaczął biegać. Otaczały go identyczne niemowlęta, troszczyli się o niego dorośli tacy sami jak w setkach tysięcy innych żłobków na całej planecie.

Co prawda miał wyjątkowe szczęście, jakie przypadło w udziale tylko niewielu. Tego samego dnia, kiedy go przywieziono do żłobka zaczęła tam pracować jako zwyczajny lekarz Jadwiga Lekanowa – jedna z najwybitniejszych na świecie specjalistek w dziedzinie psychologii dziecięcej. Z jakiegoś powodu postanowiła zejść ze szczytów czystej nauki i powrócić do tego od czego zaczynała

zawodowiec, mistrz cichociemnych... wpadł jak ślepy na taki wielki przedmiot? Nieprawdopodobne. Oczywiście mógł zaczepić rękawem za jeden jedyny sterczący kolec... Nie, nie mógł. Progresor nie mógł zaczepić. Czy też może tutaj na bezpiecznej Ziemi Progresor zdążył już trochę sobie odpuścić... Raczej wątpliwe. Zresztą zobaczymy. W każdym razie teraz zastygł stojąc na jednej nodze, nadsłuchuje i będzie tak nadsłuchiwał co najmniej pięć minut...

Nie miał najmniejszego zamiaru stać na jednej nodze i nadsłuchiwać. Wyraźnie zbliżał się do nas i jego przemarszowi towarzyszyła cała kakofonia najrozmaitszych dźwięków nader niestosownych dla Progresora. Powłóczył nogami, szurał podeszwami butów. Obijał się o ściany i framugi. Raz jeden wpadł na jakiś mebel i zareagował na to serią niewyraźnych okrzyków o przewadze syczących spółgłosek. A kiedy na ekrany projektorów padł blady odblask elektrycznego światła, moje wątpliwości przerodziły się w pewność.

– To nie on – powiedziałem do Ekscelencji prawie głośno.

Ekscelencja przytaknął skinieniem głowy. Wyglądał na zawiedzionego i pełnego najgorszych przeczuć. Stał teraz bokiem do ściany i twarzą do mnie, nieco pochylony na rozstawionych nogach i łatwo można było sobie wyobrazić jak za moment schwyci tego lże-Progresora za klapy, potrząśnie nim i zaryczy „Kim jesteś i co tu robisz, ty mały sukinsynu?"

I tak wyraźnie zobaczyłem ten obraz, że w pierwszej chwili nawet się nie zdziwiłem, kiedy Ekscelencja lewą ręką odchylił połowę swojej kurtki, a prawą zaczął tam wpychać swój ulubiony „herzog", kaliber dwadzieścia sześć – jakby oswobadzał ręce po to, by łapać i potrząsać.

Ale kiedy dotarło do mnie, że przez cały ten czas tak stał z tą ośmiokrotną czarną śmiercią w ręku, zwyczajnie zamarłem. Mogło to oznaczać tylko jedno – Ekscelencja był gotów zabić Lwa Abałkina. Właśnie zabić, ponieważ Ekscelencja nigdy nie wyjmował broni, aby straszyć, grozić, albo wywierać wrażenie – tylko po to, żeby zabijać.

Byłem tak oszołomiony, że zapomniałem o wszystkim na świecie. Ale w tym momencie do pracowni wpadła jasna smuga białego silnego światła i zaczepiwszy się ostatni raz o framugę w drzwiach pojawił się lże-Abałkin.

Właściwie to był nawet trochę podobny do Lwa Abałkina – mocny, dobrze zbudowany, niewysoki, z długimi czarnymi włosami do ramion. Miał na sobie biały obszerny płaszcz i trzymał przed sobą latarkę elektryczną „Turysta", a w drugiej niósł coś w rodzaju maleńkiej walizki, albo przeciwnie, wielkiej teczki. Zatrzymał się w progu, przesunął promieniem latarki po stelażach i powiedział:

– No, zdaje się, że to tu.

Głos miał skrzypiący, a ton sztucznie zuchwały. Takim tonem rozmawiają sami ze sobą ludzie, kiedy jest im głupio, albo trochę straszno, albo odrobinę wstyd, słowem kiedy czują się nie w swoim sosie. „Jedną nogą w rowie" jak mawiają Chotijczycy.

Teraz zobaczyłem, że jest to człowiek bardzo stary. Być może nawet starszy od Ekscelencji. Miał długi ostry nos z garbkiem, ostry podbródek, zapadłe policzki i wysokie bardzo białe czoło. W gruncie rzeczy był nie tyle podobny do Lwa Abałkina ile do Sherlocka Holmesa. Chwilowo mogłem o nim powiedzieć z pewnością tylko jedno – że nigdy w życiu jeszcze go nie widziałem.

Pośpiesznie rozejrzał się, podszedł do stołu, postawił na kwiaciastej chuście tuż obok naszej sztabki swoją walizeczkę – teczkę, a sam świecąc sobie latarką zaczął oglądać stelaże, metodycznie i nieśpiesznie. Przez cały czas mamrotał coś do siebie pod nosem, ale zrozumieć można było tylko pojedyncze słowa: „...No, to wszyscy wiedzą...bur-bur-bur...Zwyczajne iluzje... bur-bur-bur... Śmiecie jak śmiecie... bur-bur...Może i nie na miejscu... Wepchnęli, schowali, wetknęli... bur, bur, bur..."

Ekscelencja śledził te wszystkie manipulacje założywszy ręce do tyłu, a twarz jego zastygła w niezwykłym i obcym mu grymasie, może była to beznadzieja i zmęczenie, czy też zmęczenie i nuda

jakby obserwował coś, co mu bezgranicznie obrzydło, obrzydło na wieki, a zarazem coś od czego nie sposób się odczepić, czasem należy się poddać z pokorą bez żadnej nadziei na wybawienie. Przyznam, że początkowo nieco się zdziwiłem – dlaczego zrezygnował z tak naturalnego zamiaru – złapać oburącz za klapy i z rozkoszą potrząsnąć. Jednak teraz patrząc na jego twarz rozumiałem – to nie miało sensu. Potrząsaj, nie potrząsaj... nic się nie zmieni, wszystko wróci na swoją orbitę, będzie łazić i szperać, mamrotać pod nosem, stać jedną nogą w rowie, przewracać eksponaty w muzeach i uniemożliwiać starannie przemyślane akcje...

Kiedy stary dotarł wreszcie do najdalszej sekcji, Ekscelencja ciężko westchnął, podszedł do stołu, usiadł na jego krawędzi obok teczki i powiedział zrzędnie:

– No i czego tam szukasz, Bromberg? Detonatorów?

Stary Bromberg pisnął cieniutko i odskoczył w bok przewracając krzesło.

– Kto tu jest? – wrzasnął, gorączkowo machając latarką wokół siebie. – Kto?

– Ja, oczywiście, że ja! – powiedział Ekscelencja jeszcze zrzędniej. – Przestań dygotać!

– Kto? Ty? Co jest u diabła! – strumień światła trafił na Ekscelencję. – A, Sikorski! No, oczywiście!

– Zabierz latarkę – rozkazał Ekscelencja osłaniając twarz dłonią.

– Wiedziałem, że to twoje sztuczki! – wrzasnął stary Bromberg. – Od razu wiedziałem, kto stoi za tym spektaklem!

– Zabierz latarkę, bo ci ją rozbiję! – ryknął Ekscelencja.

– Proszę na mnie nie wrzeszczeć! – zapiszczał Bromberg, ale przestał oślepiać. – I żebyś nie śmiał ruszyć mojej teczki!

Ekscelencja wstał i ruszył na Bromberga.

– Nie waż się do mnie podchodzić! – wrzeszczał Bromberg. – Nie jestem byle smarkaczem! Wstydź się! Taki staruch jak ty!

Ekscelencja podszedł do niego, odebrał latarkę i postawił na najbliższym stole reflektorem do góry.

– Siadaj, Bromberg – powiedział. – Musimy porozmawiać...

– Znam te twoje rozmowy – wyburczał Bromberg i usiadł.

Zdumiewające, ale teraz był całkiem spokojny. Rześki, godny szacunku staruszek. Moim zdaniem nawet w dobrym humorze.

4 czerwca 78 roku

Izaak Bromberg, bitwa żelaznych starców

– Spróbujmy porozmawiać spokojnie – zaproponował Ekscelencja.

– Spróbujmy, spróbujmy! – raźno zgodził się Bromberg. – A co to za młody człowiek podpiera ścianę przy drzwiach? Od kiedy chodzisz z gorylem?

– To jest Maksym Kammerer, pracownik Komkon-u. Maksym, to jest doktor Izaak Bromberg, historyk nauki.

Ukłoniłem się, a Bromberg natychmiast oświadczył:

– Tak sobie od razu pomyślałem. Jasne, bałeś się, że nie dasz sobie ze mną rady sam na sam, Sikorski... Niech pan siada, młody człowieku, niech pan siada wygodnie. O ile znam pańskiego zwierzchnika, rozmowa będzie długa...

– Siadaj, Mak – powiedział Ekscelencja.

Usiadłem w znajomym fotelu dla interesantów.

– Czekam na twoje wyjaśnienia, Sikorski – zaczął Bromberg. – Co ma znaczyć ta pułapka?

– Widzę, że się mocno wystraszyłeś.

Pierwsze. Wszystkie prace w najmniejszym chociażby stopniu związane z tą historią muszą być ściśle tajne. Informacje o nich w żadnych okolicznościach nie mogą być ogłaszane. Podstawa – dobrze znane wszystkim Prawo o tajemnicy osobowości.

Drugie. Żaden „podrzutek" nie może wiedzieć, w jakich okolicznościach przyszedł na świat. Podstawa – jak wyżej.

Trzecie. „Podrzutki" zaraz, natychmiast po urodzeniu muszą być rozdzielone, a w przyszłości należy zrobić wszystko, aby nie tylko nic o sobie nawzajem nie wiedziały, ale by się ze sobą nie zetknęły. Podstawa – elementarne powody, których nie mam tu zamiaru przytaczać

Czwarte. Wszystkie powinny otrzymać w przyszłości specjalności pozaziemskie, z tym żeby okoliczności ich pracy i życia utrudniały im powrót na Ziemię w naturalny sposób, nawet na krótki czas. Podstawa – wspomniana już elementarna logika. Na razie jesteśmy zmuszeni, żeby iść na pasku Wędrowców, ale powinniśmy zrobić wszystko co możliwe, żeby w przyszłości (im prędzej, tym lepiej) zejść z drogi, którą nam wytyczono.

Jak należało się spodziewać „cztery żądania Sikorskiego" wywołały eksplozję niechęci. Uczestnicy narady jak wszyscy normalni ludzie nie znosili żadnych tam tajemnic, zabronionych tematów, przemilczeń, zresztą w ogóle Komkon-u. Ale Sikorski trafnie przewidział, że psychologowie i pedagodzy, kiedy już dadzą wyraz zrozumiałym emocjom, pójdą po rozum do głowy i opowiedzą się stanowczo po jego stronie. Z Prawem o tajemnicy osobowości nie ma żartów. Można z łatwością i bez żadnej przesady wyobrazić sobie mnóstwo wyjątkowo nieprzyjemnych sytuacji, które mogłyby powstać w przyszłości, gdyby nie przyjęto pierwszych dwóch żądań. Spróbujcie wyobrazić sobie psychikę człowieka, który dowiaduje się o sobie, że przyszedł na świat w inkubatorze skonstruowanym czterdzieści pięć tysięcy lat temu przez niewiadome potwory w niewiadomym celu i jeszcze do tego wie, że wszyscy dookoła o tym wiedzą. A jeśli jego wyobraźnia jest w najmniejszym chociaż stopniu rozwinięta musi dojść do wniosku, że on, Ziemianin do szpiku kości, on który nie zna i nie kocha niczego prócz Ziemi być może nosi w sobie jakieś straszne niebezpieczeństwo dla ludzkości. Taka myśl może spowodować taki uraz psychiczny, z którym nie poradzą sobie najlepsi specjaliści...

Rozumowanie psychologów zostało wzmocnione niespodziewanym i niezwykle ostrym wystąpieniem Mahiro Sinody, który oświadczył, że zbyt wiele myślimy o trzynastu jeszcze nie narodzonych smarkaczach, a zbyt mało zastanawiamy się nad potencjalnym niebezpieczeństwem, jakie mogą oni stanowić dla naszej starej Ziemi. W rezultacie wszystkie „cztery żądania" zostały przyjęte większością głosów, a Rudolfowi Sikorskiemu polecono opracowanie i realizację odpowiednich środków. I w samą porę.

3 stycznia do Rudolfa Sikorskiego zadzwonił lekko zaniepokojony Leonid Gorbowski. Okazuje się, że pół godziny temu rozmawiał ze swoim starym przyjacielem, ksenologiem z Tagory akredytowanym przez ostatnie dwa lata przy moskiewskim uniwersytecie. W czasie rozmowy, Tagorianin jakby bez zainteresowania zapytał czy potwierdziła się informacja o niezwykłym znalezisku w systemie EN 9173. Zaskoczony tym pytaniem znienacka Gorbowski zaczął coś niejasno przebąkiwać w tym sensie, że już od dawna nie jest Zwiadowcą, że to już dawno leży poza sferą jego zainteresowań, i że w ogóle nie bardzo wie o co chodzi, a w końcu z ulgą i całkiem szczerze oznajmił, że owej informacji nie czytał. Tagorianin natychmiast zmienił temat, ale ta część rozmowy pozostawiła po sobie nieprzyjemny osad.

Rudolf Sikorski zrozumiał, że rozmowa ta niewątpliwie będzie miała jeszcze dalszy ciąg. I nie omylił się.

7 stycznia nieoczekiwanie odwiedził go świeżo przybyły na Ziemię kolega, jeśli tak można powiedzieć po fachu, wielce szanowny doktor As-Su. Celem tej wizyty było sprecyzowanie wielu rzeczywiście niezmiernie istotnych szczegółów dotyczących planowanego rozszerzenia strefy działal-

I właśnie wtedy po raz pierwszy wyobraźnia Rudolfa Sikorskiego ukazała mu apokaliptyczny wizerunek istoty, która ani anatomią ani fizjologią nie różni się od człowieka, więcej, niczym nie różni się od człowieka pod względem psychicznym – ani sposobem rozumowania, ani emocjami, ani światopoglądem, żyje i pracuje wśród ludzi, i jest nosicielem nieznanego, groźnego programu, a co najstraszniejsze sama nie wie nic o tym programie i nie dowie się nawet w owym nieokreślonym momencie, kiedy ten program włączy się i zacznie działać, zniszczy w niej Ziemianina i poprowadzi... dokąd? Do jakiego celu? I już wtedy Rudolf Sikorski z pełną beznadziejnością zrozumiał, że nikt – a w pierwszej kolejności on, Rudolf Sikorski – nie ma prawa uspokajać siebie przekonaniem, że prawdopodobieństwo takiej hipotezy jest nieskończenie, fantastycznie małe.

Kiedy dyskusja była w zenicie Genadij Komow otrzymał kolejną zaszyfrowaną depeszę od Fokina. Przeczytał ją, zmienił się na twarzy i pękniętym głosem zakomunikował: „Fatalna sprawa – Fokin i Van Blërcom zawiadamiają, że we wszystkich komórkach jajowych nastąpił pierwszy podział".

To był paskudny Nowy Rok dla wszystkich wtajemniczonych. Od wczesnego rana 1 stycznia 38 roku trwało praktycznie permanentne posiedzenie spontanicznie powołanego Komitetu do sprawy Inkubatora. Sarkofag przemianowano teraz na inkubator i dyskutowano w istocie rzeczy tylko jeden problem – jak biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności zorganizować los trzynastu przyszłych obywateli Ziemi.

Projekt zniszczenia inkubatora zszedł z porządku obrad, chociaż wszyscy członkowie Komisji w tym również ci, którzy początkowo domagali się inicjacji komórek jajowych, czuli się bardzo nieswojo. Nie opuszczał ich niewyraźny lęk, wydawało się im, że 31 grudnia w jakimś zenicie utracili samodzielność i teraz skazani są na realizowanie planu narzuconego z zewnątrz. Zresztą sama dyskusja miała charakter w pełni konstruktywny.

Już w owych dniach w ogólnych zarysach sformułowano zasady systemu wychowawczego przyszłych nowo narodzonych, wyznaczono im piastunki, prowadzących lekarzy, nauczycieli, wszelkich opiekunów, a także określono kierunki zasadnicze antropologicznych i psychologicznych badań. Wyznaczono i niezwłocznie skierowano do oddziału Fokina specjalistów w dziedzinie ksenotechnologii w ogóle i ksenotechniki Wędrowców w szczególności z zadaniem dokładnego przestudiowania budowy sarkofagu-inkubatora, w celu zapobieżenia „błędom w sztuce", a głównie w nadziei, że uda się odkryć części tej maszyny, które w przyszłości pomogą ustalić i skonkretyzować program przyszłych prac z „podrzutkami". Zostały nawet opracowane rozmaite warianty organizacji opinii publicznej na wypadek realizacji wszystkich hipotez o celach Wędrowców.

Rudolf Sikorski w dyskusji udziału nie brał. Słuchał jednym uchem, a całą swoją uwagę skoncentrował na tym, żeby zarejestrować w pamięci każdego kto choćby w najmniejszym stopniu brał w tych wydarzeniach udział. Lista rosła w przytłaczającym tempie, ale Sikorski rozumiał, że chwilowo nie ma na to żadnej rady, że tak czy inaczej w tę niebezpieczną i dziwaczną historię będzie zamieszanych mnóstwo ludzi.

Wieczorem 3 stycznia na ostatnim posiedzeniu, kiedy podsumowano wnioski i żywiołowo utworzone podkomisje zostały formalnie zatwierdzone, poprosił o głos i powiedział mniej więcej co następuje:

Odwaliliśmy tu niezły kawał roboty i mniej więcej przygotowaliśmy się na możliwy rozwój wydarzeń – o ile to było możliwe przy istniejącym zasobie informacji i w tej, powiedzmy sobie wprost, głupawej sytuacji, w której znaleźliśmy się nie ze swojej woli tylko z woli Wędrowców. Postanowiliśmy nie popełniać czynów nieodwracalnych i na tym polega istota naszych decyzji! Ale jako kierownik Komkon-u, organizacji odpowiedzialnej za bezpieczeństwo ziemskiej cywilizacji, przedstawiam wam następujące żądania, do których musimy się bezwzględnie zastosować w naszej przyszłej działalności.

– Co za nonsens – błyskawicznie zapalił się Bromberg. – Bzdura! Bogu dzięki, nie jestem strachliwy! I już jeżeli ktoś potrafi mnie nastraszyć, to nie ty, Sikorski...

– Ale tak strasznie krzyczałeś i przewróciłeś tyle mebli...

– No wiesz, gdyby tobie nad uchem w zupełnie pustym pomieszczeniu, nocą...

– Nie ma absolutnie żadnego powodu, żeby wchodzić do pustych budynków po nocach...

– Po pierwsze, to absolutnie nie jest twój interes, Sikorski, gdzie ja chodzę i o której godzinie! A po drugie, kiedy mam chodzić? W dzień mnie nie wpuszczają. W dzień urządzają tu jakieś podejrzane remonty, jakieś bzdurne zmiany ekspozycji... Słuchaj, Sikorski – przyznaj się, że to był twój pomysł zamknąć dostęp do Muzeum! Jest mi pilnie potrzebne odświeżenie w pamięci pewnych danych. Przychodzę tutaj. Nie wpuszczają mnie. Mnie! Członka Rady Naukowej tego Muzeum. Dzwonię do dyrektora – o co chodzi? Dyrektor, najmilszy Grant Chaczikian, w jakimś sensie mój uczeń... Biedak kręci, biedak czerwieni się ze wstydu przede mną i ze wstydu za siebie... Ale nic nie może poradzić, on obiecał! Ciekawe kto taki go poprosił? Być może niejaki Rudolf Sikorski? Nie! O nie! Nikt tu nawet nie słyszał nazwiska Rudolfa Sikorskiego! Ale ja się nie dam nabrać! Od razu wiedziałem czyje uszy sterczą zza kulis. I ja bym jednak chciał się dowiedzieć, Sikorski, dlaczego od dwóch godzin milczysz i nie odpowiadasz na moje pytania? Ja zapytuję, po co ci to wszystko było potrzebne! Zamknięcie Muzeum! Haniebna próba wyniesienia z Muzeum należących do niego eksponatów! Nocne zasadzki! I kto u diabła wyłączył tu elektryczność? Nie wiem co bym zrobił, gdyby w moim gliderze nie znalazła się latarka. Nabiłem sobie guza, o tutaj, niech cię diabli wezmą! Coś tam wywróciłem! Chciałbym, z całej duszy chciałbym wierzyć, że to była tylko makieta... I módl się do Boga, Sikorski, żeby to była tylko makieta, dlatego, że jeśli to był oryginał, to sam go będziesz układał pod moim okiem! Do ostatniego weddlingu! A jeśli ten ostatni weddling gdzieś zginie to ty sam, sam polecisz po niego na Tagorę...

Zerwał mu się głos i w ataku męczącego kaszlu dwoma pięściami zaczął się bić w piersi.

– Czy otrzymam kiedyś odpowiedź na swoje pytanie? – wściekle wychrypiał przez kaszel.

Siedziałem jak w teatrze i wszystko robiło na mnie wrażenie raczej komiczne, ale spojrzałem na Ekscelencję i zbaraniałem.

Ekscelencja, Wędrowiec, Rudolf Sikorski, ta bryła lodu, ten pokryty szronem pomnik Zimnej Krwi i Opanowania, ten niezawodny mechanizm do wytłaczania informacji – od czubka łysiny pociemniał od przypływu krwi, ciężko sapał, spazmatycznie zaciskał i rozwierał kościste, piegowate pięści, jego sławne uszy płonęły i przerażająco podrygiwały. Zresztą jeszcze panował nad sobą, ale zapewne tylko on jeden wiedział ile go to kosztowało.

– Chciałbym wiedzieć, Bromberg – powiedział zdławionym głosem – w jakim celu potrzebne ci były detonatory?

– Ach, chciałbyś to wiedzieć! – jadowicie wyszeptał doktor Bromberg i pochylił się do przodu zaglądając Ekscelencji w twarz w takiej małej odległości, że jego długi nos omal nie znalazł się w zębach mojego szefa. – A co jeszcze chciałbyś o mnie wiedzieć? Może interesuje cię mój stolec? Albo na przykład o czym przed chwilą rozmawiałem z Pilgujem?

Wzmianka o Pilguju w takim kontekście bardzo mi się nie podobała. Pilguj zajmował się biogeneratorami, a mój wydział już drugi miesiąc zajmował się Pilgujem. Ekscelencja przepuścił Pilguja mimo uszu. Sam pochylił się do przodu i to tak gwałtownie, że Bromberg ledwie zdążył się uchylić.

– Swoim stolcem będziesz łaskaw interesować się sam! – zaryczał. – A ja chciałbym wiedzieć jakim prawem pozwalasz sobie włamywać się do Muzeum, dlaczego wyciągasz łapę po detonatory, chociaż powiedziano ci wyraźnie, że przez najbliższe kilka dni...

– Zdaje się, że zamierzasz krytykować moje postępowanie? Ha! Kto! Sikorski! Mnie! O właśnie! Chciałbym wiedzieć jak sam dostałeś się do Muzeum? No? Odpowiadaj!

– To nie ma nic wspólnego ze sprawą, Bromberg!

– Jesteś włamywaczem, Sikorski! – oznajmił Bromberg celując w Ekscelencję długim wykrzywionym palcem. – Na co ci przyszło? Włamywacz!

– To ty jesteś włamywacz, Bromberg! – zaryczał Ekscelencja. – Ty! Powiedziano ci wyraźnie i jednoznacznie – wstęp do Muzeum jest zamknięty! Każdy normalny człowiek na twoim miejscu...

– Jeśli normalny człowiek styka się z kolejnym przejawem tajnej działalności, to jego obowiązkiem...

– Jego obowiązkiem jest chwilę pomyśleć, Bromberg! Jego obowiązkiem jest przypomnieć sobie, że nie żyje w średniowieczu. Jeśli zetknął się z tajemnicą, z sekretem, to powinien wiedzieć, że to nie jest ani czyjś kaprys, ani zła wola...

– Tak, ani kaprys, ani zła wola, tylko twoja wstrząsająca pewność siebie, Sikorski, twoje śmieszne, doprawdy średniowieczne, idiotycznie fanatyczne przekonanie o tym, że ty właśnie jesteś predestynowany do decydowania co powinno być jawne, a co tajne! Jesteś już niedołężnym starcem, Sikorski, ale ciągle jeszcze nie chcesz zrozumieć, że to jest przede wszystkim amoralne!

– Śmieszy mnie rozmowa o moralności z człowiekiem, który, aby zaspokoić swoją dziecinną chęć protestu decyduje się na włamanie! Nie jesteś po prostu starcem, Bromberg, jesteś żałosnym zdziecinniałym starym próchnem!

– Znakomicie! – powiedział Bromberg i znowu się uspokoił. Wsadził rękę do kieszeni swego białego płaszcza, wyciągnął z niej jakiś lśniący przedmiot i ze stukiem położył na stole przed Ekscelencją. – Oto mój klucz. Jak każdy pracownik Muzeum mam własny klucz od służbowego wejścia, więc użyłem go, aby wejść tutaj...

– Ciemną nocą i wbrew zakazowi dyrektora Muzeum? – Ekscelencja nie miał klucza, miał magnetyczny wytrych, więc cóż mu pozostało innego? Musiał atakować.

– Ciemną nocą, ale jednak za pomocą klucza! A gdzie twój klucz, Sikorski? Pokaż mi, jeśli łaska twój klucz!

– Nie mam klucza! Nie jest mi potrzebny! I jestem tu z obowiązku, a nie dlatego, że mam takie widzimisię, ty stary rozhisteryzowany głupcze!

Co tu się zaczęło! Jestem pewien, że nigdy przedtem ściany tej skromnej pracowni nie słyszały takiego ochrypłego ryku na zmianę ze skrzekliwym wrzaskiem. Takich epitetów. Takich bachanalii emocji. Takich absurdalnych argumentów i jeszcze absurdalniejszych kontrargumentów. Co tam zresztą ściany. W końcu to były tylko ściany cichej akademickiej pracowni, odległej od prawdziwych namiętności. Ale i ja, człowiek już nie pierwszej młodości, który wydawałoby się, widział niejedno, nawet ja nigdy i nigdzie nie słyszałem niczego podobnego, a w każdym razie od Ekscelencji. Co chwila pole walki zasnuwał dym, w którym nie sposób już było odnaleźć przedmiot sporu.

Jednakże czasem dym się rozpraszał i wtedy przed moimi zdumionymi oczami rozpościerała się doprawdy zdumiewająca retrospektywa. Rozumiałem wtedy, że bitwa, której przypadkowym widzem się stałem była po prostu jedną z niezliczonych i nieznanych światu potyczek bezdźwięcznej wojny, która zaczęła się jeszcze wtedy, kiedy moi rodzice ledwie zdążyli ukończyć szkołę.

Dosyć szybko przypomniałem sobie, kto to taki ten Izaak Bromberg. Rozumie się, słyszałem już o nim dawniej, być może wtedy kiedy jako zupełny smarkacz pracowałem w grupie Wolnego Rekonesansu. Jedną z jego książek „Jak to było naprawdę" – niewątpliwie czytałem, była to historia Koszmaru z Massachusetts. O ile pamiętam, książka ta nie spodobała mi się, za bardzo przypominała pamflet, autor zbyt się starał, aby obedrzeć z romantyzmu tę rzeczywiście straszną historię i zbyt wiele miejsca poświęcił szczegółom dyskusji o politycznych aspektach niebezpiecznych eksperymentów, dyskusji, która wówczas nie interesowała mnie w najmniejszym stopniu.

możliwość genetycznej degeneracji nielicznych wówczas plemion homo sapiens spróbowali w ten sposób umożliwić rekonstrukcję gatunku ludzkiego w przyszłości.

Pod tym samym hasłem „Nie należy źle myśleć o Wędrowcach" wystąpił również sędziwy Pak Chin. Podobnie jak Bader był przekonany, że mamy do czynienia z genotypem Ziemian, ale przypuszczał, że Wędrowcy mają tu cel raczej natury oświatowej. Sarkofag jest swojego rodzaju „bombą czasu" i jeśli ta bomba eksploduje Ziemianie uzyskają możliwość przekonania się naocznie jak wyglądali zewnętrznie, jaka była anatomia i fizjologia naszych dalekich przodków.

Genadij Komow postawił problem znacznie szerzej. Według jego opinii każda cywilizacja, która osiągnęła określony poziom nie może nie dążyć do kontaktów z innymi cywilizacjami. Jednakże kontakt między cywilizacjami humanoidalnymi i niehumanoidalnymi jest niezwykle utrudniony, jeśli w ogóle możliwy. Czy nie mamy do czynienia z próbą zasadniczo nowej metody kontaktu – utworzenia istoty pośrednika, humanoida, w którego genotypie zakodowane są pewne istotne cechy psychologii niehumanoidalnej? I znalezisko powinniśmy rozpatrywać jako początek zasadniczo nowego etapu w historii Ziemian i w historii Wędrowców. Zdaniem Komowa, komórki jajowe powinny być niezwłocznie inicjowane. Jego, Komowa, osobiście mało wzrusza fakt, że sarkofag odkryto za wcześnie – Wędrowcy obliczając tempo rozwoju ludzkości z łatwością mogli się pomylić o kilka stuleci.

Riposta Komowa wywołała ożywioną dyskusję, w czasie której po raz pierwszy wyrażono wątpliwość czy współczesna pedagogika będzie w stanie zastosować z powodzeniem swoją metodykę przy wychowywaniu ludzi, których psychika w znacznym stopniu różni się od psychiki humanoidów.

Jednocześnie niezmiernie ostrożny Mahiro Sinoda, wybitny znawca Wędrowców, zadał w pełni uzasadnione pytanie – dlaczego właściwie szanowny Genadij jak również niektórzy inni koledzy są tak przekonani o życzliwości Wędrowców dla Ziemian. Nie dysponujemy żadnymi świadectwami, które świadczyłyby, że Wędrowcy w ogóle są zdolni do życzliwości wobec kogokolwiek włączając w to humanoidów. Wręcz przeciwnie, fakty (wprawdzie nieliczne) raczej świadczą o tym, że Wędrowcy odnoszą się do obcych cywilizacji z całkowitą obojętnością i skłonni są je traktować jako środek do osiągnięcia własnych celów, a nie jako partnerów, z którymi chcą nawiązać kontakt. Czy szanowny Genadij nie uważa, że jego hipotezę można poprowadzić w diametralnie przeciwnym kierunku, to znaczy założyć, że hipotetyczne istoty-pośrednicy mają według Wędrowców spełniać zadania z naszego punktu widzenia raczej negatywne? Dlaczego by nie uznać zgodnie z logiką szanownego Genadija, że sarkofag jest ideologiczną bombą z opóźnionym zapłonem, a owi pośrednicy swego rodzaju dywersantami przeznaczonymi do wszczepienia w naszą cywilizację? Dywersant – to oczywiście określenie pejoratywne. Ale na przykład pojawiło się u nas niedawno inne słowo – Progresor – człowiek Ziemi, którego działalność ma na celu zachowanie pokoju wśród humanoidalnych cywilizacji. Dlaczego nie założyć, że istoty-pośrednicy to swego rodzaju progresorzy Wędrowców? Cóż my koniec końców wiemy, jaki jest punkt widzenia Wędrowców na tempo i formy naszego postępu i rozwoju?...

Uczestnicy narady niezwłocznie podzielili się na dwie frakcje – optymistów i pesymistów. Punkt widzenia optymistów wyglądał rzecz jasna znacznie bardziej prawdopodobnie. Istotnie trudno i właściwie nawet niemożliwe było wyobrazić sobie supercywilizację zdolną nawet nie do otwartej agresji, ale powiedzmy do nietaktownych eksperymentów z młodszymi braćmi. W ramach wszystkich istniejących wyobrażeń o prawidłowości rozwoju Rozumu punkt widzenia pesymistów wyglądał mówiąc łagodnie archaicznie. Ale z drugiej strony zawsze istniała szansa, powiedzmy minimalna, że zostanie popełniony błąd. Mogli pomylić się interpretatorzy. A co najważniejsze mogli pomylić się sami Wędrowcy. Skutków tego rodzaju pomyłki dla losów ziemskiej ludzkości nie sposób było ani obliczyć ani kontrolować.

Komow poinformował zebranych i postawił problem na ostrzu noża – co teraz robić? Zapewne można było zamknąć sarkofag i zostawić wszystko jak było, zadowalając się na przyszłość bierną obserwacją. Można było popróbować zainicjować rozwój jajeczek i zobaczyć co z tego wyniknie. Wreszcie można było w celu uniknięcia przyszłych komplikacji zniszczyć sarkofag.

Rozumie się, Genadij Komow, człowiek wówczas już wystarczająco doświadczony, świetnie rozumiał, że ani ta nadzwyczajna narada, ani nawet dziesięć następnych sprawy nie rozwiążą. Jego celowo ostre wystąpienie miało na celu jedno – sprowokować zebranych i zmusić ich do dyskusji.

Trzeba powiedzieć, że cel swój osiągnął. Pośród wszystkich uczestników zebrania tylko Leonid Gorbowski i Rudolf Sikorski zachowali, przynajmniej zewnętrznie, zimną krew. Gorbowski – ponieważ był rozumnym optymistą. Sikorski zaś dlatego, że już wtedy stał na czele Komkon-u 2. Wypowiedziano wielką mnogość słów – rozpalonych do białości i zimnych jak lód, lekkomyślnych i przepełnionych głębokim sensem, dawno zapomnianych i takich, które weszły na trwałe w słownik referatów, legend, sprawozdań i zaleceń. Jak należało oczekiwać jedyną decyzją, jaką podjęto była decyzja zwołania nowej poszerzonej narady z udziałem innych jeszcze członków Rady Światowej – specjalistów od psychologii społecznej, pedagogiki i środków masowego przekazu.

W ciągu całej tej narady Rudolf Sikorski milczał. Nie uważał się za dostatecznie kompetentnego, żeby wypowiadać się za takim czy innym wariantem rozwiązania. Jednakże ogromne doświadczenie w dziedzinie historii eksperymentalnej jak również znajomość faktów dotyczących działalności Wędrowców jednoznacznie skłaniały go do następującej decyzji – niezależnie od ostatecznej decyzji Światowej Rady, decyzję tę, podobnie jak wszystkie okoliczności sprawy należy na czas nieokreślony zachować w kręgu osób o najwyższym stopniu społecznej odpowiedzialności. I w takim sensie wypowiedział się pod sam koniec narady. „Decyzja, żeby zostawić wszystko jak było i biernie obserwować w ogóle nie jest decyzją. Istnieją tylko dwa autentyczne rozwiązania – zniszczyć albo zainicjować. Nie jest ważne kiedy zostanie przyjęte jedno z tych dwóch rozwiązań – jutro czy za pięćdziesiąt lat, ale każde z nich będzie niezadowalające. Zniszczyć sarkofag – to znaczy uczynić coś nieodwracalnego. Wszyscy tu znamy cenę czynów nieodwracalnych. Zainicjować – to znaczy iść na pasku Wędrowców, których zamiary łagodnie mówiąc są nam nieznane. Nie chcę na nic wpływać i w ogóle nie uważam, żebym miał prawo głosować za takim czy innym rozwiązaniem. Jedyne o co proszę i czego się domagam to pozwolenie zorganizowania barier uniemożliwiających przeciek informacji. Chociażby tylko po to, żeby nas nie zalał ocean niekompetencji...

31 grudnia odbyła się narada w rozszerzonym składzie. Wzięło w niej udział osiemnastu ludzi, a w tym zaproszony przez Gorbowskiego przewodniczący Rady Światowej ds. zagadnień społecznych. Wszyscy zgodzili się, że sarkofag znaleziono całkowicie przypadkowo, a więc przedwcześnie. Wszyscy zgodzili się również, że zanim będzie możliwe podjęcie jakiejkolwiek decyzji należy spróbować zrozumieć, a jeśli nie zrozumieć to przynajmniej wyobrazić sobie pierwotny zamysł Wędrówców. Padło też kilka mniej lub bardziej egzotycznych hipotez.

Kirył Aleksandrow, znany ze swoich antropomorficznych poglądów sformułował przypuszczenie, że sarkofag jest skarbcem genotypu Wędrowców. Wszystkie znane mu dowody na to, że Wędrowcy nie są humanoidami, oświadczył, w istocie swojej są dowodami poszlakowymi. A tymczasem w samej rzeczy Wędrowcy mogą się okazać genetycznymi bliźniakami człowieka. Takie przypuszczenie nie stoi w sprzeczności z żadnym z dotychczas dostępnych nam faktów. Wychodząc z takiego założenia Aleksandrow proponował zaprzestać wszelkich badań, doprowadzić sarkofag do poprzedniego stanu i opuścić system EN 9173.

Zdaniem Augusta Johanna Badera sarkofag jest – tak! – skarbcem genotypu, ale nie żadnych Wędrowców tylko Ziemian. Czterdzieści pięć tysięcy lat temu Wędrowcy zakładając teoretyczną

Zresztą w pewnych środowiskach nazwisko Bromberga było znane i cieszyło się znacznym autorytetem. Można by go było określić jako „skrajnie lewego" w znanym ruchu dzjunistów, którego założycielem był Lamodoix, który głosił prawo nauki do rozwoju bez żadnych ograniczeń.

Ekstremiści tego ruchu wyznają zasady, które na pierwszy rzut oka wydają się zupełnie naturalne, ale w praktyce bezustannie okazują się niewykonalne na każdym określonym poziomie rozwoju ludzkiej cywilizacji (pamiętam ogromny szok, jakiego doznałem studiując historię cywilizacji Tagory, gdzie przestrzegano tych zasad z całą bezwzględnością od niepamiętnych czasów ich Pierwszej Rewolucji Przemysłowej).

Każde naukowe odkrycie, które może zostać zrealizowane, z całą pewnością będzie zrealizowane. Trudno się nie zgodzić z tą zasadą, chociaż i tu powstaje mnóstwo zastrzeżeń. A co począć z odkryciem kiedy już zostało zrealizowane? Odpowiedź – kontrolować jego skutki. Znakomicie. A jeśli nie jesteśmy w stanie przewidzieć tych skutków? A jeśli jedne przecenimy, a innych przeciwnie nie docenimy? Jeśli wreszcie staje się zupełnie jasne, że nie jesteśmy w stanie kontrolować tych oczywistych i nieprzyjemnych skutków? Jeśli dla kontroli okażą się niezbędne absolutnie niewyobrażalne moce energetyczne i moralne (jak to zresztą stało się z maszyną w Massachusetts kiedy na oczach oszołomionych naukowców poczęła się i zaczęła wyrastać nowa odczłowieczona cywilizacja na Ziemi)?

Przerwać eksperyment! – nakazuje zwykle w takich wypadkach Rada Światowa.

W żadnym razie! – protestują w odpowiedzi ekstremiści. – Wzmóc kontrolę. Owszem. Zainteresować odpowiednie moce? Tak. Zaryzykować? Tak! „Co nie piją i nie palą, bardzo zdrowi umierają"! (z wystąpienia patriarchy ekstremistów Johna G. Preensohna). Ale nie ma zgody na zakazy! Moralno-etyczne zakazy w nauce są groźniejsze od moralnego szoku, który powstaje lub może powstać w rezultacie najbardziej ryzykownych zwrotów w rozwoju nauki. Pogląd niewątpliwie imponujący swoim dynamizmem, mający wielu apologetów wśród młodych uczonych, ale diablo niebezpieczny, kiedy podobne zasady wyznaje wybitny i utalentowany specjalista, który ma znaczny wpływ na dynamiczny i zdolny zespół oraz dysponuje znacznymi mocami energetycznymi.

Właśnie tacy ekstremiści-praktycy stanowili podstawową klientelę naszego Komkon-u 2. Zaś stary Bromberg był ekstremistą teoretykiem i prawdopodobnie z tego właśnie powodu nigdy jeszcze nie znalazł się w polu mego widzenia. Za to, jak teraz widziałem, przez całe życie Ekscelencji przeleżał mu na wątrobie.

Specyfika naszej działalności Komkon-u 2 polega na tym, że nigdy nikomu nie zakazujemy niczego. Po prostu za słabo orientujemy się w problemach współczesnej nauki. Zakazy wydaje Rada Światowa. A nasze zadanie sprowadza się do tego, żeby dopilnować wykonania tych zakazów i zapobiec przeciekowi informacji, ponieważ właśnie przeciek informacji w takich wypadkach nieuniknienie doprowadza do katastrofalnych skutków.

Najwidoczniej Bromberg albo nie mógł, albo nie chciał tego zrozumieć. Walka o zlikwidowanie wszelkich barier na drodze rozpowszechniania naukowej informacji stała się dosłownie jego manią prześladowczą. Posiadał przy tym fantastyczny temperament i niewyczerpalną energię. Miał nieograniczoną mnogość kontaktów w środowiskach naukowych i wystarczyło, żeby zasłyszał, że rezultaty jakichś obiecujących badań zostały zamrożone, aby natychmiast wpaść w zoologiczną furię i zaczynał demaskować, oskarżać i zrywać zasłony. Nic nie można było na to poradzić. Nie uznawał kompromisów, więc nie sposób było się z nim porozumieć, nie uznawał porażek, więc nie sposób było go pokonać. Nie poddawał się żadnej kontroli niczym kosmiczny kataklizm.

Ale widocznie najbardziej abstrakcyjna teoria wymaga konkretnego punktu odniesienia. I takim punktem konkretnym uosabiającym siły mroczne i wsteczne, z którymi walczył stał się dla niego Komkon-2 i nasz Ekscelencja w szczególności. „Komkon-2! – syczał jadowicie naskakując na

Ekscelencję i natychmiast odskakując. – O cóż za jezuityzm! Wzięli znaną wszystkim abrewiaturę Komisji do kontaktów z pozaziemskimi cywilizacjami! Jakie to wzniosłe i szlachetne! Chwalebne! I ukryć za tym działalność waszego zbrodniczego urzędu! Komisja Kontroli, widzicie ich! Komando Konserwatystów, a nie Komisja Kontroli! Kompania Konspiratorów..."

Rzecz jasna, Bromberg nie był w stanie w jakiś istotny sposób zaszkodzić naszej sprawie. To nie leżało w jego mocy. Ale w jego mocy było nieprzerwanie hałasować, trąbić, postulować, odrywać od pracy, nie dawać spokoju, wtykać jadowite szpilki, żądać bezwzględnego przestrzegania wszystkich formalności, mobilizować opinię publiczną przeciwko dyktaturze formalistów – jednym słowem zamęczać do ostateczności. Wcale bym nie był zdziwiony, gdyby się okazało, że Ekscelencja dał dyla w krwawą kaszę na planecie Saraksz, głównie dlatego, żeby chociaż trochę odpocząć od Bromberga. Było mi szczególnie przykro z powodu Ekscelencji jeszcze i dlatego, że Ekscelencja był człowiekiem nie tylko pryncypialnym, ale i w najwyższym stopniu sprawiedliwym i najwidoczniej zdawał sobie sprawę z tego, że działalność Bromberga, jeśli odrzucić jej formę, spełnia pewną pozytywną funkcję – to był również rodzaj kontroli społecznej – kontrola nad kontrolą.

Jeśli zaś chodzi o jadowitego Bromberga to kto jak kto, ale on był doszczętnie pozbawiony elementarnego poczucia sprawiedliwości, uważał, że cała nasza praca nadaje się do wyrzucenia, uważał ją za szkodliwą i nienawidził z całej duszy. Przy tym formy w jakich przejawiała się ta nienawiść były do tego stopnia paskudne, maniery tego napastliwego starca były do takiego stopnia nieznośne, że Ekscelencja przy całej swojej zimnej krwi i nadludzkim opanowaniu, całkowicie tracił twarz, zamieniał się w kłótliwego, głupiego i złośliwego krzykacza, za każdym razem kiedy spotykał się o tak, twarzą w twarz z Brombergiem. „Przemądrzały półgłówek! – chrypiał zdartym głosem. – Pasożytujesz na błędach olbrzymów! Sam nie potrafisz wynaleźć sosu do spagetti, a uzurpujesz sobie prawo decydowania o przyszłości nauki! Tylko dyskredytujesz sprawę, której rzekomo bronisz, specjalisto od płaskich dowcipów!..."

Widocznie starcy od dawna nie mieli okazji do pojedynku i teraz ze szczególną zaciekłością wylewali na siebie wzajemnie zgromadzone zapasy jadu i żółci. Widowisko było z wielu względów dosyć pouczające, chociaż zadawało kłam powszechnie lansowanym tezom, że człowiek z natury jest dobry, i że do tego brzmi dumnie. Najbardziej w tej chwili przypominali nie ludzi a dwa wyliniałe bojowe koguty. Po raz pierwszy zobaczyłem, że Ekscelencja jest już bardzo stary.

Jednakże, chociaż bardzo nieestetyczny, spektakl ten był dla mnie źródłem całej lawiny bezcennej informacji. Wielu aluzji zwyczajnie nie zrozumiałem, widocznie mowa była o sprawach dawno już zamkniętych i zapomnianych. Niektóre historie były mi dobrze znane. Ale coś niecoś usłyszałem i zrozumiałem po raz pierwszy.

Dowiedziałem się na przykład co to takiego operacja „Zwierciadło". Okazuje się, że tak były nazwane globalne, ściśle tajne manewry w celu przygotowania się do odparcia ewentualnej agresji (przypuszczalnie inwazji „Wędrowców") przeprowadzone czterdzieści lat temu. O tej operacji wiedziały dosłownie jednostki i miliony ludzi biorących w niej udział nawet nie podejrzewały tego. Pomimo wszystkich środków ostrożności, jak to zwykle bywa w sprawach o takim zasięgu, kilku ludzi zginęło. Jednym z szefów tej akcji odpowiedzialnych za zachowanie tajemnicy był Ekscelencja.

Dowiedziałem się jak powstała sprawa „Monstrum". Jak wiadomo, Jonatan Pereira z własnej inicjatywy przerwał prace w dziedzinie teoretycznej eugeniki. Zamrażając całą tę dziedzinę nauki Rada Światowa postąpiła w istocie rzeczy zgodnie z jego rekomendacjami. Okazuje się, że nasze drogi Bromberg wywęszył, a następnie entuzjastycznie rozpaplał szczegóły teorii Pereiry, w rezultacie czego pięcioro diabelnie utalentowanych sowizdrzałów z laboratorium Schweizera z Bamako rozpoczęło i omal nie doprowadziło do końca eksperymentu z nowym wariantem homo super.

Historia z androidami w ogólnych zarysach była mi znana wcześniej, głównie dlatego, że przeważ-

odkrytych jeszcze w ubiegłym wieku ruin budowli przypisywanych Wędrowcom.

24 grudnia zdjęcia zrobione za pomocą introwizora wykazały, że pod ruinami znajduje się obszerne pomieszczenie wykute w skale na głębokości ponad trzech metrów.

25 grudnia Borys Fokin przy pierwszej próbie, bez żadnych problemów dotarł do tego pomieszczenia. Miało kształt półkuli o promieniu dziesięciu metrów. Półkula ta była wyłożona bursztynowcem, materiałem nader charakterystycznym dla cywilizacji Wędrowców, a pod jej kopułą znajdowała się zwalista aparatura z lekkiej ręki jednego ze Zwiadowców ochrzczona sarkofagiem.

26 grudnia Borys Fokin zwrócił się do odpowiedniego wydziału Komkon-u z prośbą o zgodę na zbadanie sarkofagu własnymi siłami i zgodę taką uzyskał.

Działając według swojego zwyczaju nieludzko metodycznie i ostrożnie, prześlęczał nad sarkofagiem trzy doby. W tym czasie zdołano określić wiek znaleziska (czterdzieści – czterdzieści pięć tysięcy lat), wykryć że sarkofag pobiera energię i nawet ustanowić niewątpliwy związek między sarkofagiem i wznoszącymi się nad nim ruinami. Już wtedy powstała hipoteza, w przyszłości całkowicie potwierdzona, że owe „ruiny" w ogóle nie są żadnymi ruinami, tylko częścią wielkiego, zajmującego całą powierzchnię planety systemu przeznaczonego dla pochłaniania i transformacji wszystkich rodzajów darmowej energii, zarówno planetarnej jak i kosmicznej (ruchy sejsmiczne, fluktuacja pola magnetycznego, promieniowanie centralnego słońca, promienie kosmiczne i tak dalej).

29 grudnia Borys Fokin połączył się bezpośrednio z Komowem i zażądał, aby przysłano najlepszego specjalistę embriologa. Komow rzecz jasna poprosił o wyjaśnienia, ale Fokin objaśnień nie udzielił i zaproponował Komowowi, aby ten przyjechał osobiście, ale koniecznie w towarzystwie embriologa. Kiedyś, w czasach zamierzchłej młodości, Komow pracował razem z Fokinem i zostały mu nie najlepsze wspomnienia. Dlatego sam nie miał zamiaru lecieć, jednakże embriologa wysłał, co prawda bynajmniej nie najlepszego tylko po prostu pierwszego, który się zgodził lecieć – niejakiego Marka Van Blercoma (później Komow niejednokrotnie rwał sobie włosy z głowy na samo wspomnienie tej decyzji, ponieważ Marc Van Blercom okazał się najserdeczniejszym przyjacielem znanego Izaaka Bromberga).

30 grudnia Marc Van Blercom wyruszył do dyspozycji Borysa Fokina i już po kilku godzinach wysłał do Komowa otwartym tekstem wstrząsający komunikat. W komunikacie tym stwierdzał, że tak zwany sarkofag w rzeczywistości jest swego rodzaju embrionalnym sejfem fantastycznej konstrukcji. Sejf zawiera trzynaście zapłodnionych jajeczek gatunku homo sapiens, przy czym wszystkie są zdolne do życia, chociaż znajdują się obecnie w stanie latentnym.

Konieczne jest oddanie sprawiedliwości dwum uczestnikom całej tej historii, a mianowicie Borysowi Fokinowi i członkowi Komkon-u Komowowi. Borys Fokin jakimś szóstym zmysłem odgadł, że o tym co znaleziono nie należy krzyczeć na cały świat – depesza Marca Van Blercoma była pierwszą i ostatnią depeszą nadaną otwartym tekstem wśród innych depesz, które oddział wymieniał z Ziemią. Dlatego też cała ta historia w potoku masowej informacji na naszej planecie doczekała się zaledwie króciutkiej wzmianki, której potem nie potwierdzono, w związku z czym prawie nikt nie zwrócił na nią uwagi.

Jeżeli zaś chodzi o Genadija Komowa to nie tylko od razu uchwycił istotę problemu, ale także w jakiś sposób potrafił wyobrazić sobie konsekwencje. Przede wszystkim zażądał od Fokina i Blercoma potwierdzenia otrzymanych danych (specjalnym kodem, kanałem alarmowym) i kiedy to potwierdzenie otrzymał natychmiast zwołał naradę tych kierowników Komkon-u, którzy jednocześnie zasiadali w Światowej Radzie. Byli wśród nich tacy koryfeusze jak Leonid Gorbowski i August Johann Bader, młody i narwany Kirył Aleksandrow, ostrożny, trapiony wiecznymi wątpliwościami, Machiro Sinoda, a także energiczny sześćdziesięciodwuletni Rudolf Sikorski.

zagadkową i diabelnie przez to kuszącą legendę, którą jakoby zebrał po kawałeczkach nie odrzucając nawet najmniej wiarygodnych plotek. Legendę tę Bromberg ma zapisaną ze wszystkimi szczegółami, ale teraz raczej nie ma sensu jej streszczać. Właściwie wizyta Aleksandra Dymoka miała jeden cel – aby najwybitniejszy na świecie znawca zakazanej nauki, Izaak Bromberg, chociaż trochę wyjaśnił tę dziwną historię.

Najwybitniejszy znawca Bromberg zagłębił się w swojej kartotece, ale nie znalazł o małżonkach Dymok ani jednej wzmianki. Młody człowiek był wyraźnie zmartwiony tą okolicznością i właściwie zamierzał już wyjść, kiedy przyszedł mu do głowy szczęśliwy pomysł. Nie można wykluczyć, powiedział, że nazwisko jego rodziców brzmi całkiem inaczej. Również niewykluczone, że cała legenda nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Być może doktor Bromberg spróbuje sobie przypomnieć czy nie było w nauce wydarzeń zagadkowych, a następnie nie dopuszczonych do publikacji w latach zbliżonych do daty narodzin Aleksandra Dymoka (luty 36), ponieważ rodziców swoich utracił kiedy miał rok, a może dwa lata...

Znawca Bromberg znowu zagłębił się w kartotece, tym razem w jej części chronologicznej. W okresie od 33 do 39 znalazł w sumie osiem różnych incydentów, w tym historię z sarkofagiem-inkubatorem. Razem z Aleksandrem Dymokiem starannie przeanalizowali każdy z tych incydentów i doszli do wniosku, że żaden z nich nie może mieć związku z losem małżonków Dymok.

I dlatego „ja, stary idiota, uznałem, że los ofiarował mi historię, która w swoim czasie umknęła mojej uwadze. Wyobrażasz sobie? Nie twój jakiś tam parszywy zakaz, tylko zniknięcie dwojga biochemików. Tego bym ci nigdy nie wybaczył, Sikorski!". I jeszcze dwie bite godziny Bromberg przesłuchiwał Aleksandra Dymoka domagając się, aby ten przypomniał sobie najmniejsze szczegóły, wszystkie nawet najgłupsze plotki, uzyskał od niego uroczystą obietnicę, że Dymok podda się głębokiej mentoskopii, w rezultacie czego przez ostatnią godzinę rozmowy młody człowiek marzył wyraźnie tylko o jednym – aby czym prędzej zwiać do domu...

Już pod sam koniec rozmowy Bromberg zupełnie przypadkowo zauważył „znamię". To znamię nie mające jak się wydawało żadnego związku ze sprawą, utkwiło w mózgu Bromberga. Młody człowiek już dawno sobie poszedł. Bromberg zdążył już zadać kilka pytań WMI, porozmawiano z dwoma czy trzema specjalistami na temat małżonków Dymok (bez rezultatu) ale ten przeklęty znak w żaden sposób nie chciał wyjść mu z głowy. Bromberg był absolutnie pewien, że taki znak już kiedyś widział, a po drugie nie opuszczało go wrażenie, że o tym znaczku, albo o czymś co ma z nim związek była mowa w czasie jego rozmowy z Aleksandrem Dymokiem. I dopiero wtedy, kiedy zrekonstruował w pamięci całą rozmowę słowo po słowie, dotarł wreszcie do sarkofagu, przypomniał sobie detonatory i wtedy olśniło go – zrozumiał kim jest naprawdę Aleksander Dymok.

W pierwszym odruchu chciał natychmiast zadzwonić do swojego gościa i zawiadomić go, że tajemnica jego pochodzenia została odkryta. Ale właściwa jemu, Brombergowi, naukowa rzetelność, domagała się pewności absolutnej, nie dopuszczającej żadnych wątpliwości. Dlatego najpierw zadzwonił do Muzeum...

– Jasne – powiedział Ekscelencja posępnie. – Dziękuję ci, Izaak. A więc on teraz już wie o sarkofagu...

– A dlaczego nie miałby o nim wiedzieć? – z oburzeniem zapytał Bromberg.

– Rzeczywiście – powoli odpowiedział Ekscelencja. – Dlaczego nie?

Tajemnica osobowości Lwa Abałkina

21 grudnia 37 roku oddział Zwiadowców pod dowództwem Borysa Fokina wylądował na kamienistym płaskowyżu bezimiennej planetki w systemie EN 9173. Zadaniem oddziału było zbadanie

nie przytacza się ją w charakterze klasycznego przykładu nierozwiązywalnego problemu natury etycznej. Jednakże z zainteresowaniem usłyszałem, że doktor Bromberg wcale nie uważa sprawy androidów za zamkniętą. Problem „przedmiot czy podmiot"? w danym wypadku w ogóle dla niego nie istnieje. Tajemnica osobowości uczonych zajmujących się androidami po prostu mu zwisa, a prawo androidów do tajemnicy osobowości uważa za nonsens i katachrezę. Wszystkie szczegóły tej sprawy powinny zostać opublikowane ku nauce potomnych, a prace z androidami powinny być kontynuowane.

I tak dalej.

Wśród historii, o których nigdy nic nie słyszałem moją uwagę przyciągnęła jedna. Mowa była o jakimś przedmiocie, który oni nazywali to sarkofagiem, to inkubatorem. Z tym sarkofagiem-inkubatorem w swoim sporze w niejasny dla mnie sposób łączyli „detonatory" – widocznie te właśnie, po które przyszedł Bromberg i które leżały teraz przede mną na stole przykryte kwiecistą chustą. O detonatorach zresztą ledwie wspominano (wprawdzie niejednokrotnie) a kłótnia dotyczyła głównie „zasłony dymnej ohydnej tajemniczości", którą rozpostarł Ekscelencja nad sarkofagiem-inkubatorem. Właśnie w rezultacie tego doktor taki a taki, który uzyskał unikalne rezultaty w dziedzinie antropometrii i fizjologii człowieka z kromanionu zmuszony był trzymać te swoje rezultaty pod korcem, hamując w ten sposób rozwój paleoantropologii. A inny doktor taki a taki, który odgadł zasadę działania sarkofagu-inkubatora, znalazł się w dwuznacznej i krępującej sytuacji człowieka, któremu środowisko naukowe przypisuje odkrycie tej zasady, w rezultacie czego w ogóle zarzucił działalność naukową i maluje teraz bardzo przeciętne pejzaże...

Nadstawiłem uszu. Detonatory były związane z tajemniczym sarkofagiem. Po detonatory przyszedł tu Bromberg. Detonatory Ekscelencja wystawił jako przynętę dla Lwa Abałkina. Zacząłem nadsłuchiwać ze zdwojoną uwagą, licząc że w ogniu dyskusji starcy wygadają się z czymś jeszcze i wreszcie dowiem się czegoś istotnego o Lwie Abałkinie. Ale to co istotne, usłyszałem dopiero wtedy, kiedy obaj się uspokoili.

4 czerwca 78 roku

Lew Abałkin u doktora Bromberga

Uspokoili się nagle, obaj jednocześnie, jakby jednocześnie wyczerpali resztki energii. Zamilkli. Przestali przeszywać się nawzajem ognistymi spojrzeniami. Bromberg sapiąc wyciągnął staroświecką chustkę do nosa i zaczął wycierać twarz i szyję.

– Izaak – powiedział Ekscelencja i cmoknął. – Co będziesz robił kiedy ja umrę?

– Odtańczę kaczuczę – powiedział Bromberg ponuro. – Nie gadaj głupstw.

– Izaak – zapytał Ekscelencja. – Powiedz, po co ci były detonatory? Poczekaj, nie zaczynaj wszystkiego od początku. Wcale nie zamierzam wtrącać się w twoje osobiste sprawy. Gdybyś się zainteresował detonatorami tydzień temu, albo też w przyszłym tygodniu, nigdy nie zadałbym ci tego pytania. Ale przyszedłeś akurat dzisiaj. Akurat tej nocy, kiedy powinien przyjść po nie zupełnie inny człowiek. Jeżeli to tylko niezwykły zbieg okoliczności to powiedz wprost i wtedy rozstaniemy się.

Zaczęła mnie boleć głowa.

– A kto powinien po nie przyjść? – podejrzliwie zapytał Bromberg.

– Lew Abałkin – odpowiedział Ekscelencja zmęczonym głosem.

– A kto to taki?

– Nie znasz Lwa Abałkina?

– Pierwsze słyszę – oznajmił Bromberg.

– Wierzę – powiedział Ekscelencja.

– Ja myślę! – powiedział wyniośle Bromberg.

– Tobie wierzę – powiedział Ekscelencja. – Ale nie wierzę w zbiegi okoliczności... Posłuchaj Izaak, czy to naprawdę takie trudne, zwyczajnie bez błaznowania opowiedzieć dlaczego właśnie dzisiaj przyszedłeś po detonatory...

– Nie podoba mi się słowo „błazeństwo"! – powiedział Bromberg kłótliwie, ale już bez poprzedniej zapalczywości.

– Wycofuję je – powiedział Ekscelencja.

Bromberg ponownie zaczął ocierać pot.

– Nie mam żadnych tajemnic – zakomunikował. – Wiesz przecież Rudolf, do jakiego stopnia nienawidzę tajemnic. To ty sam postawiłeś mnie w sytuacji, w której muszę błaznować i grać komedię. A tymczasem wszystko jest bardzo proste. Dziś rano przyszedł do mnie... Koniecznie chcesz znać nazwisko?

– Nie.

– Pewien młody człowiek. Temat naszej rozmowy nie powinien cię interesować, jak przypuszczam. Miała ona wystarczająco osobisty charakter. Ale w czasie rozmowy zauważyłem u niego o, w tym miejscu... – Bromberg dotknął palcem w zgięcie łokcia prawej ręki – dosyć dziwne znamię. Nawet zapytałem: „Co to takiego, tatuaż"? Wiesz przecież Rudolf, że tatuaż to moje hobby... „Nie, odpowiedział – to jest znamię". Najbardziej przypominało literę w cyrylicy, albo powiedzmy japoński hieroglif „sandziu" – „trzydzieści". Czy ci to niczego nie przypomina Rudolfie?

– Przypomina – powiedział Ekscelencja.

Mnie to również coś przypominało, coś co musiałem widzieć bardzo niedawno, coś co wydało mi się dziwne i zarazem nieistotne.

– Ty co – od razu sobie skojarzyłeś? – zapytał Bromberg z zawiścią.

– Tak – odpowiedział Ekscelencja.

– A ja – nie od razu. Młody człowiek już dawno sobie poszedł, a ja siedziałem i wciąż usiłowałem sobie przypomnieć, gdzie widziałem taki znak... Nie podobny, ale dokładnie taki sam. Wreszcie przypomniałem sobie. Musiałem to sprawdzić, rozumiesz? Jak na złość ani jednej reprodukcji pod ręką. Biegnę do Muzeum – Muzeum zamknięte...

– Mak – powiedział Ekscelencja – bądź tak dobry i podaj mi ten przedmiot, który leży pod chustą.

Wykonałem polecenie.

Sztaba była ciężka i ciepła w dotyku. Postawiłem ją na stole przed Ekscelencją. Ekscelencja przysunął ją bliżej do siebie i widziałem teraz, że to jest rzeczywiście futerał z gładko wypolerowanego materiału o kolorze bursztynu, wzdłuż którego biegła idealnie prosta linia oddzielająca nieco wypukłą pokrywkę od masywnej podstawy. Ekscelencja spróbował unieść pokrywę, ale jego palce ześliznęły się i nic z tego nie wyszło.

– Daj to mnie – niecierpliwie powiedział Bromberg. Odepchnął Ekscelencję, ujął pokrywkę oburącz, podniósł ją i odłożył na bok.

Te właśnie przedmioty oni najwidoczniej nazywali detonatorami, szare krążki o średnicy mniej więcej siedemdziesięciu milimetrów, starannie ułożone obok siebie w dopasowanych gniazdach. Detonatorów było jedenaście, dwa gniazda były puste i było widać, że wyścielone są białawymi włoskami przypominającymi pleśń i że włoski te są w ciągłym ruchu niczym żywe, zresztą w jakimś tam sensie zapewne były żywe.

Jednakże przede wszystkim rzuciły mi się w oczy dość skomplikowane hieroglify wyobrażone na powierzchni detonatorów, na każdym jeden i każdy inny. Były duże, różowawobrązowe, nieco rozlane, jakby namalowane kolorowym tuszem na wilgotnym papierze. Jeden z nich poznałem od razu – nieco zamazana stylizowana litera, (albo jeśli ktoś woli japoński hieroglif „sandziu") – maleńki oryginał

powiększonej kopii na odwrocie arkusza nr 1 w aktach 07. Ten detonator był trzeci licząc od lewej z mojego punktu obserwacyjnego i Ekscelencja zawiesiwszy nad nim swój długi palec wskazujący zapytał:

– Ten?

– Tak – tak – niecierpliwie odpowiedział Bromberg – odpychając jego rękę – Nie przeszkadzaj. Nic przecież nie rozumiesz...

Ujął paznokciami brzeg detonatora i ostrożnymi ruchami zaczął go jakby wykręcać z gniazda mamrocząc przy tym: „Tu w ogóle nie o to chodzi... Co za głupstwa..." Wreszcie wyciągnął detonator z gniazda i zaczął ostrożnie coraz wyżej i wyżej unosić go nad futerałem i wtedy można było zobaczyć jak za szarym grubym dyskiem ciągną się cienkie białawe nici, jak stają się coraz cieńsze, jak pękają jedna po drugiej, a kiedy zerwała się ostatnia Bromberg odwrócił dysk i wtedy na jego odwrotnej stronie zobaczyłem wśród poruszających się półprzezroczystych włosków ten sam hieroglif tylko czarny, maleńki i bardzo wyraźny, jakby wytłoczony w szarym materiale.

– Tak – powiedział triumfująco Bromberg – Dokładnie taki sam. Wiedziałem, że nie mogę się mylić.

– W czym mianowicie? – zapytał Ekscelencja.

– Rozmiar! – odpowiedział Bromberg – Wielkość, szczegóły, proporcje. Rozumiesz, to jego znamię nie jest po prostu podobne do tego znaku – jest identyczne – uważnie spojrzał na Ekscelencję. – Słuchaj Rudolf, usługa za usługę. Czy to ty ich wszystkich oznakowałeś?

– Jasne, że nie.

– A więc oni to mieli od samego początku? – zapytał Bromberg stukając palcem w zgięcie prawej ręki.

– Nie. Te znaki pojawiły się u nich między dziesiątym a dwunastym rokiem życia.

Bromberg ostrożnie wkręcił detonator z powrotem w gniazdo i z zadowoleniem opadł na fotel.

– No cóż – powiedział – Właśnie tak to wszystko zrozumiałem... No, panie polizei-prezident, ile jest warta wasza cała czujność? Mam jego kanał i jak tylko złotopalcy Feb rozjarzy wierzchołki tych waszych architektonicznych koszmarów, niezwłocznie połączę się z nim i porozmawiamy sobie do woli... I nie próbuj mnie od tego odwieść Sikorski! – wrzasnął machając palcem przed nosem Ekscelencji. – On sam do mnie przyszedł, a ja sam – sam, rozumiesz? – sam przy pomocy swego starego mózgu zrozumiałem kto siedzi przede mną i teraz on jest mój! Nie próbowałem przeniknąć waszych parszywych tajemnic! Troszeczkę szczęścia, odrobina inteligencji...

– Dobrze, dobrze – powiedział Ekscelencja. – Na Boga, nie mam nic przeciwko temu. On jest twój, spotykaj się z nim, rozmawiajcie sobie. Ale proszę cię, tylko z nim. I z nikim więcej.

– No-oo... – z ironicznym powątpiewaniem odpowiedział Bromberg.

– A zresztą, jak tam sobie chcesz – powiedział nagle Ekscelencja. – To wszystko jest teraz nieważne... Powiedz mi Izaak, o czym właściwie rozmawialiście?

Bromberg splótł ręce na brzuchu i zakręcił młynka kciukami. Zwycięstwo, które odniósł nad Ekscelencją było tak wielkie i niepodzielne, że bez wątpienia mógł pozwolić sobie na wielkoduszność.

– Rozmowa nasza, muszę przyznać, była dosyć chaotyczna – powiedział. – Teraz oczywiście rozumiem, że ten kromanioniec zrobił mnie w konia...

Dzisiaj, a mówiąc ściśle wczoraj wieczorem przyszedł do niego młody człowiek mniej więcej czterdziesto-czterdziestopięcioletni i przedstawił się jako Aleksander Dymok, konfigurator automatyki dla potrzeb rolnictwa. Średniego wzrostu, twarz bardzo blada, długie, proste i bardzo czarne włosy jak u Indianina. Żalił się, że w ciągu wielu miesięcy starań w żaden sposób nie udaje mu się wyjaśnić okoliczności, w jakich zaginęli jego rodzice. Opowiedział Brombergowi w najwyższym stopniu

KRWAWE JEZIORO

(fragment powieści)

– Uciekajmy – krzyczała Oona.

Teraz oboje dobrze zrozumieli taktykę atakującego – posuwał się nieznacznie w ich stronę, a tę nieznaczność ułatwiała mu doskonale soplowata postać i jej jak gdyby zrośnięcie się z gruntem. Zwłaszcza dla kogoś mało obeznanego z prawdziwym wyglądem tego świata pochwycenie ruchu Grana było w praktyce prawie niemożliwe. Na ucieczkę brakowało czasu. Oona znowu w skrajnym zdenerwowaniu zaczęła wydobywać z siebie trudne do identyfikacji dźwięki.

Już się jednak trochę do jej mowy przyzwyczaił. Wołała do Grana prawdopodobnie:

– Nie podchodź, nie przybliżaj się więcej, będę go bronić. Tak jest, ja go obronię.

– Ty, jego? Przecież on nam obojgu chce umknąć, nie masz prawa mu w tym pomagać. Odsuń się.

Alk nie mógł nie widzieć, że teraz ona z kolei wykonuje ten sam manewr co Gran i właśnie ku Granowi niepostrzeżenie się posuwa. Robiła to zresztą zręczniej niż jej współrodak. Posuwała się nagłymi, błyskawicznymi zwodami soplowatej sylwetki. Jeszcze ułamek sekundy wcześniej obejmowała Alka, aby go wciągnąć w rytm ucieczki, a teraz była już od niego daleko. Już zatrzymywała się przed Granem.

– Słyszysz, bez niego byłabym zginęła – powiedziała mu w soplowatą twarz. – Byliśmy razem w tym piekle, razem, słyszysz i wołałam ciebie na pomoc, widziałam jak jechałeś pod chmurami, widzieliśmy to.

– Widzieliście? – A ja was nie dostrzegłem.

Gran odpowiadał mimochodem, co innego przygotowywał, miał zaabsorbowaną uwagę. Jego dwie ręce-wypustki podniosły się, następnie wysunął dwie inne wypustki, jakby parę ciężkich płetw, wyrosłych z części biodrowej ciała. Podparły przedmiot, który dotąd dźwigał w położonych wyżej kończynach.

– Uważaj, Alk – wrzasnęła Oona.

Wczepiła się swoim obłym ciałem w obłe cielsko Grana, zwalili się w grząski grunt, jednocześnie Alka dotknął i poraził świst, od którego ogłuchł i poczuł się nagle nieważki. Na trąbie powietrznej podrzuciło go wysoko, wysoko nad las. Ujrzał z góry rybie łuski morza i natychmiast ciężko opadł z powrotem, jak w czasie kataklizmu. Uderzyło go podobieństwo doznań.

Było duszno, powietrze wydawało się widoczne, jakby i ono składało się z wielkich, obłych granul. Gran nie spodziewał się najwidoczniej ataku Oony, udało się jej wytrącić mu z wypustek przedmiot, który dzierżył, ale wtedy tymi wypustkami ją pochwycił i zdławił. Tarzali się, nie do odróżnienia, na tle gąbczastej, lekko jak oni połyskliwej, jakby czasami odartej ze skóry, ziemi. Tylko pulsowanie na przemian to szarości to czerwieni z ich ciał ilustrowało podniecenie i wysiłek walczących.

To co nastąpiło w mgnieniu oka było już tylko normalną, jakby ziemską konsekwencją nagłego ataku Oony i jej walki z istotą silniejszą. Nagłe wspomnienie ziemskich praw i doświadczeń sprawiło zapewne, że przez moment Alk dojrzał całkiem ziemską Oonę, dręczoną przez zupełnie ziemskiego Grana i wzbudziło to w nim gwałtowną chęć odwetu.

Jęki i krzyki Oony także były typowo ludzkie. Rzucił się w ich kierunku. Na pomoc. Ale natychmiast stwierdził swoje złudzenie. Ani Oona ani Gran nie byli faktycznie ludzcy, nic w nich z człowieka. Ciężki, długi sopel dławił i wduszał w ziemię słabszą od niego glistę. Ziemia porowata i obrzydliwa zginała się pod ciężarem odrażających cielsk. Jęki Oony zatraciły ziemskość, było to rzężenie dobiegające z wnętrza ziemi, chrapanie niszczonego potwora.

Znowu poczuł pogardę i odrazę, odwrócił się i wiedziony instynktownym strachem jak najszybciej starał się oddalić od tego miejsca.

– Co z ciebie za człowiek – doszedł go również chrapliwy okrzyk Grana.

Alk nie umiał wykrzesać z siebie ani odrobiny współczucia dla znieruchomiałej już Oony. Właściwie nie było jej prawie zupełnie widać, a może nie istniała wcale, wdeptana w grunt?

Nie było jej nigdy?

Kim był więc ten potwór, który wołał za nim, że nie jest człowiekiem, czym były otaczające go nieludzkie krajobrazy? Jeśli nie jestem człowiekiem – myślał – to czemu się boję, że ulegnę temu bydlakowi, dlaczego jeszcze mną pomiata ten zwierzęcy strach, instynktowne przerażenie i odraza, niechęć do otaczającego świata?

Ogarnęła go panika, wzniecająca równocześnie pogardę; wstydził się siebie, swego instynktownego strachu, swego ludzkiego pochodzenia. Wyrzucał sobie, że nie potrafi bronić istoty, która dała wyraźne dowody mocnej ku niemu miłości, skacząc do oczu potworowi, w dodatku potworowi wyraźnie z nią uprzednio zaprzyjaźnionemu. Nie umiał jej bronić, a najgorzej, że wcale nie chciał, bo ohydna, bo odrażająca. Nie można tego kochać – usprawiedliwiał się.

Wiedział, że każdy następny krok będzie zabijał w nim resztki człowieczeństwa, że tak jest zawsze w chorobie, w bólu, w chwilach prześladowania. Przestaje się po kawałku żyć, zanim jeszcze śmierć uśmierzy wszelkie cierpienia. Naprawdę ostatnim ludzkim odczuciem musi być zawsze nieludzka męka.

– Tchórzu – powiedział przeciwnik stając tuż za nim i dotykając go śliską, wydłużoną wypustką.

Alk nagłym półobrotem obydwoma dłońmi strącił z siebie ten śliski dotyk. Zwrócił się przodem do Grana, nie chciał umierać niespodzianie, pragnął zobaczyć przeciwnika. Łapał boleśnie oddech, był zupełnie zmęczony, zabrakło sił do walki.

– Nieprawda, że kiedyś byłeś w tamtym świecie – powiedział bardzo po człowieczemu, wyraźnie i spokojnie potwór, trzymający teraz obydwie bezkształtne wypustki nad swą głową, jakby szykował je do ostatecznego ciosu. – Nigdy tam ciebie nie było. Dokonujesz beznadziejnej i karalnej próby ucieczki z tego naszego wspólnego świata, ze świata, który jest dobry, jak Oona, która cię broniła, jak ja, co ciebie tolerowałem tyle, tyle czasu. Przestań wierzyć w tamte mrzonki. Wiesz, że musisz się poddać mej próbie.

Gran mówił to wolniutko. Jak poprzednio Oona skandował także swe słowa. Gdy się je analizowało pojedynczo, nie był to język ludzki, nie było żadnego mówienia, tylko głuche, czasami chrapliwe dudnienie, idące jakby z ziemi.

– Może rzeczywiście nie jestem z tamtego świata – powiedział Alk.

– Nareszcie, nareszcie – odparł natychmiast Gran – i wyrażasz skruchę, to także postęp.

Huk jego słów paraliżował resztki woli. Alkowi było tylko ogromnie żal wymarzonej w tej chwili tamtej strony błysku, majaku sennego o żonie i dzieciach, o swojskim domu-bungalowie wśród dzikiej puszczy, pełnej egzotycznych istot, zwanych zwierzętami, o wymyślnych sanitariatach i łaźniach. Wsiadało się z tą rodziną, tak z rodziną, do elektrołazu w dalekich stronach wśród rozpędzonych pojazdów, sztucznych potworków ze stali i kompozytów, i już po kilku godzinach, przeskakując całe kilometry nad zielenią, nad błękitem rzek i jezior lądowało się na zdziczałej łące. Wypoczywało się na tych zielonych łąkach, syn prosił, aby mu ojciec dał wreszcie strzelbę, a on samodzielnie zapoluje na zwierza, dziewczynka głaskała go po włosach, a żona (dobrze widział jej twarz okoloną krótkim czarnym włosem) śmiała się głośno z tej infantylności i bała się jej, o właśnie, bała się także.

– Mój dom – bełkotał Alk – moja rodzina.

– Patrz – zahuczał Gran.

Ziemia wokół Alka zabulgotała, jakby się gotowała, gąbka jak nadmuchana wypuczała się w wieniec wzgórków, które go otoczyły. Znalazł się w głębi krateru. Za wieńcem wzgórz wznosiła się naprzeciw soplowata wyniosłość postaci Grana zakończona cienką główką, wykrzywioną ciągle tym samym grymasem rechotu. Grzmiał ten nieznośny ryk śmiechu jak burza.

Alka uderzyła absurdalność sytuacji, nonsensownej grozy i bezsilnego strachu.

Śmiech potwora wzbudził poczucie komizmu, za dużo było grozy, za dużo niespodzianek – sam wybuchnął śmiechem. Wspiął się szybko na jeden z pagórków, za którym sterczał Gran i poszło mu to nadzwyczaj łatwo. Przeskoczył więc tę przeszkodę i zderzył się z Granem, mającym teraz nagle ludzką twarz, wykrzywioną śmiechem zamarłym, nagle zdławionym.

Gran porażony z kolei strachem. Oczy wybałuszone, usta otwarte na oścież w niemym krzyku, nie mogącym się wydobyć ze ściśniętej krtani. Stał wrośnięty ludzkimi nogami w grząską ziemię, niezdolny nie tylko do

ucieczki, ale do wszelkiego ruchu. Sparaliżowany. Stał i drżał coraz mocniej, gdy Alk począł walić go gdzie popadło kikutem grubego konaru. Wokoło walało się na skraju puszczy mnóstwo takich wielkich gałęzi.

Alk bił i bił, aż Gran skurczony, złamany, począł się cofać, człapać wolno i niedołężnie jak gdyby nigdy dotychczas nie potrafił normalnie chodzić czy biec, chociaż grunt już wcale nie był grząski, tylko trochę błotnisty po niedawnym deszczu. Alk wpadł w szał. Gran upadł.

Wtedy pokonanego i zwycięzcy dopadł kobiecy krzyk. Oona. Musiała widzieć doskonale wszystko. Wołała na Alka.

– Nie niszcz go, o, nie dobijaj.

Mimo że broniła wroga ogarnęło go wzruszenie, fala miłości zalała piersi, miłości i tkliwości dla tej kobiety. Zostawił leżącego. Wziął Oonę jak piórko na ręce i poniósł ku morzu.

– Chciał ciebie i mnie zabić – tłumaczył się przed nią ze swej zaciekłości w walce.

– Nie bronię go, o nie – mówiła. – Ale nie chę, żebyś tu dłużej pozostał. Zrozum, nie sposób pozostać tutaj po tym wszystkim. Sam rozumiesz. Znowu będę ohydna. A potem, bardzo niedługo potem ty także, za zawsze.

Czuł się jak nie z tego świata. Było to tak oczywiste, że doskonale pojmował sens każdego jej słowa, jednakże wcale nie miał pewności czy potrafi się z nią teraz rozstać. Nie mógł zrozumieć dlaczego jeszcze przed chwilą, gdy nie wyglądała po ludzku, gardził nią, brzydził się jej. Jestem jak kameleon. A ona?

– Nie zaatakuje nas ponownie? – zapytał.

– Już nie. Ale musimy działać szybko. Nie jestem zresztą całkiem pewna...

– Skrywasz coś przede mną, nie mówisz ciągle pełnej prawdy, zależy ci na nim?

– Gdybym ci opowiedziała wszystko o sobie i o nas nie pojąłbyś, to tak dalekie od ciebie, zresztą nie umiałabym wytłumaczyć. Gran potrzebował cię do swoich prób. Najpierw chciał się przekonać czy faktycznie jesteś inny. Nie dowierzał bowiem ani mnie, ani tobie. On już jest taki.

– Co to za próby? Na czym polegają?

– Po co mówić, twój czas mija, mija, mija.

– Mów.

Zrobił taki ruch, jakby chciał zawrócić. Drzewa były tu coraz rzadsze, pojawiały się łachy piasku na przemian z trawiastymi poletkami, koło których lśniły tafle wielkich kałuż, otoczone czarnym błockiem. Zatrzymała go, całowała.

– Nie całkiem rozumiem te próby. W pobliżu naszych domków jest dolinka, do której schodzi się zamaskowanym wśród urwistych skałek przejściem, jakby wąskimi, krętymi schodkami. Podobno nie myśmy te schodki budowali, tak słyszałam, tak wyjaśniano mi odkąd pamiętam, ale nie wiem gdzie zaczyna się moja pamięć. To wspomnienie dolinki budzi we mnie strach.

Na jej dnie lśni krwawe jezioro,wokół niego i nad nim pulsują cienie żywych istot – raz jakby naszych, to znowu jakby waszych, ludzkich. Jezioro czyni wrażenie martwego, nie mącą jego powierzchni najmniejsze nawet drgnienia, choć znad skał wieją tu wiatry, czasem huraganowe. Ono jednak nie drgnie. Musiałam się tam niejednokrotnie przenosić, nad tę stojącą czerwoną wodę. To niedaleko wielkiego błysku. Tam się podobno niektórzy z nas uczą patrzenia po ludzku i mowy ludzkiej.

– „Zapach świeżej krwi zwabił błędne dusze zmarłych, które poczęły zlatywać się niby muchy. Każda pragnęła napić się krwi ciepłej, aby na chwilę odzyskać świadomość, myśl i słowo". Ty mi ożywiasz stare legendy – powiedział Alk – stare ludzkie opowieści.

– Moja historia jest może po ludzku ponura – odparła. – Gran za każdym razem, za każdym... kazał mi...

Patrzył na nią jakby ją dopiero odkrył.

– To tak – powiedział – to tak?

Skinęła głową.

– Musisz uciekać stąd.

– Powiedz wszystko – nalegał.

– To niemożliwie. Mogę ci tylko powiedzieć, że Gran ciągnął tam każdego człowieka, który pochodził z twego świata, lub wydawało się, że pochodzi. Ciągnął, a ludzie szaleli, opierali się wszelkimi siłami, walczyli. Wtedy huragan powalał mnie i podobnych do mnie, nie byłam tam sama, na kolana. Jezioro wychodziło z brzegów w powietrze, woda stawała dęba, robiła się pionowym lasem wodnym. Krwawy deszcz rozpryskiwał się na wszystkie strony, rozprzestrzeniał dokoła, siekł nas i szarpał, wciskał swą słodkawą treść do naszych wnętrz.

Rozlegało się wtedy coś w rodzaju wycia, jakaś pieśń tych mar, co latały nad wodą i koło wody. Roiło się od pokiereszowanych kadłubów, jak wówczas, podczas kataklizmu, z którego wyszliśmy cało. Człowiek przyciągnięty przez Grana znikał, Gran zaś unosił się na szczycie wodnych drzew. Ale po chwili wszystko cichło, fale opadały potulnie, powierzchnia jeziora zastygała. Gran podchodził do mnie i wycierał mi twarz.

– Ludzką? – spytał Alk.

– Może i ludzką, tak, wtedy chyba ludzką. On mi dziękował.

– Kto, Gran, za co ci dziękował?

– Byłam jego narzędziem, wabiłam przybyszów od was i oddawałam w jego ręce.

– W jego krwawe, mordercze łapska?

– Niech i tak będzie. W te krwawe, mordercze.

– A mnie?

– Ciebie nie chciałam. Sam widziałeś.

Milczeli.

Alk podejrzewał jeszcze większy upadek tej dziewczyny, ile trzeba z niej zdzierać kolejnych świństw, ile warstw, ile kręgów upadku ma morale istoty myślącej, pragnącej żyć, zachować odrobinę egzystencji. Zdzierasz wierzchnie i dokopujesz się do coraz głębszego bagna. Powiedział jej to.

– To znaczy, że i ty nie jesteś czysty? – zapytała.

Znał swoje grzechy, ale nie chciał ich pamiętać, nie miał najmniejszego zamiaru ich wyliczać. Zwłaszcza wobec niej.

– Rozumiem, że powinienem stąd odejść, porzucić ciebie, że w tym tkwi jeszcze jakaś szansa mojej dalszej, ludzkiej egzystencji; w ucieczce stąd, ale najpierw, najpierw muszę zobaczyć to jezioro, wiesz że muszę.

– Słuchaj, Gran nie wróci dopóki będziesz potrafił być ludzki, a przysięgam ci, że to zaraz minie, minie na pewno.

– Przestanę być człowiekiem?

– Tak jest.

– Idźmy tam prędko. Muszę zobaczyć to jezioro.

Całowała go po nogach, rękach. Klękała. Nie ustępował. Dopiero gdy ją zobaczył jako bezkształtny sopel, począł się łamać. Krajobraz uległ gwałtownej metamorfozie, błysk wwiercał się w mózg, wzywał, znowu trudno było brnąć po grząskim gruncie. Żywe słońce wydawało się obszarpanym, martwym tworem.

– Zrozumiałeś nareszcie?

Odsunął się od niej.

Wróciła z ogromną siłą ta potworna odraza do całego jej świata i do niej. Największa.

Ale ona nie dała się odepchnąć. Objęła go glistowatymi mackami, chłodna, gąbczasta, pulsująca raz szarością to znowu czerwienią. Ciągnęła ku morzu, nad którym przewalały się chmury jakby zrobione ze sztucznej masy. Czego tam szukać – pomyślał, czego mam gdzieś indziej szukać?

Przeraził się tej swojej refleksji.

– Prędzej, jak najprędzej – zachęcała go i ciągnęła Oona.

Jej głos znowu stawał się nieartykułowany i wychodził jakby z głębi gruntu pod nogami.

Gąbczaste fale co chwila dotykały jego stóp. Bardzo przykre to było, wprost ohydne uczucie. Prawie tak drażniące jak uprzednie stąpanie po piachu plaży, który wcale piaskiem nie był.

– Śmiało, w to wstrętne morze, przemóż naturę, wskocz w te niby-fale.

Stała koło niego – sopel gąbczastej materii. Wahając się i ociągając wstawił stopę do tego co tylko przypominało wodę. Gąbka morza ugięła się i poszarpała pod ciężarem, ale utrzymała stopę prawie że na samej swej powierzchni. Z determinacją spróbował postawić drugą.

– Bardzo dobrze – usłyszał szept, trochę jakby schrypnięty, unoszący się znad powierzchni morza. – Patrz już teraz nie pod nogi, ale w górę, tak jest, w górę, szukaj prędko błysku, łów ten błysk.

– Szukam go, Oona – odparł.

Powiedział to ze skruchą, miał ciągle wyrzuty sumienia z powodu swej odrazy i swej fugi z tego świata, w którym ją musiał zostawić. Na pastwę kataklizmu, lub w ręku Grana, do najgorszych upodleń lub na śmierć. Szukał w sobie i na niebie błysku jak zbawienia, bo mimo wyrzutów jakie sobie robił, a właściwie na przekór nim, chciał najgoręcej pozostać sobą – człowiekiem. Mierziła go gąbczasta śliskość tego świata, to łażenie po falach morskich, to uzależnienie od sił, które mogły go unicestwić. Także Oona była niebezpieczna, może nawet najniebezpieczniejsza: ją mógł kochać, dla niej mógł się zatracać, wzbogacając, karmiąc sobą nie tylko ją, lecz takich jak Gran. Wstrząsała nim taka ewentualność, a także rzecz jasna, zdawała się go rozgrzeszać. Czemuż to miałby się stać igraszą ohydnych potworów? Szedł po morzu coraz śmielej, nie chciał żeby Oona była przy nim, uciekał od niej.

– Doskonale, świetnie – słyszał jej zachrypnięty, niewyraźny głos – już możesz nie spoglądać w górę. Nie musisz. Łapiesz już ten błysk, nie rób sobie żadnych wyrzutów. Więcej, więcej pogardy, więcej nienawiści, one ci pomagają. Nie zaprzeczaj. Wiem wszystko, jest świetnie. Musisz odejść. A teraz zobacz swoje odbicie w wodzie, nasze odbicia, zanim mnie zostawisz. Obejrzyj sobie siebie i mnie jak wyglądamy i odejdź, bo to konieczne. Nie tylko dla twego dobra. Konieczne, słyszysz?

Jej słowa zahamowały krok. Zatrzymał się gwałtownie i spojrzał pod nogi. Przejrzał się w tym morzu łuskowatym i lśniącym jak kark olbrzymiej jaszczurki.

Odbijało dwa duże sople. Jeden starał się wysforować przed drugiego, uciekał. Złapał się na tym, że na swój i jej widok wpada w panikę. Ucieka.

– A widzisz, ostrzegałam – posłyszał w mózgu wołanie Oony.

Przerażony, że zostanie na zawsze w tej postaci przestał na nią zwracać uwagę, uczył się pędzić po tych nierównych, uginających się pod nogami falach morza, które nie było morzem, które odbijało chmury, jakie chmurami nie były, i jego ciało, które prawdziwym ciałem nie było.


Mateusz Stryjecki

Poczęli szybko posuwać się po powierzchni morza, Oona dogoniła go, zanim się spostrzegł i przyspieszył. Ciągnęła go w kierunku prawego cypla zatoki. Stamtąd zdawały się wyskakiwać coraz silniejsze błyski.

– Tam jest ta śluza – mówiła – tam powinna być, ale nie wiem, nie mam pojęcia gdzie właściwie znajduje się naprawdę, może nigdzie jej nie ma poza tobą i trochę poza mną?

Odczuł i jej przestrach. Szła, to znaczy posuwała się niby niedołężnie w swej soplowej postaci. Jęczała, schylała się, zawodziła.

– Jak cię stąd wyprowadzić, jak wyprowadzić, o Boże.

Kroczył za nią, myśląc źle o sobie. Rozumiał jej poświęcenie. Wyrzekała się go, mimo że narażała się na zemstę Grana, mimo iż przy najbliższym ataku kataklizmu była skazana. Bez Alka była na nią skazana na pewno. Pojmował, że nie ma prawa przyczyniać się do jej śmierci. Dręczyły go znowu wyrzuty sumienia. Na tafli morskiej odbijały się ciągle dwa obłe sople gąbczastej masy, wpatrzył się w nie, bo one jednak były jakimś prawdziwym usprawiedliwieniem całej okrutnej historii. Szli i szli, słyszał swój coraz bardziej zadyszany oddech i to była jedyna oznaka jego cielesnego człowieczeństwa.

Ona także oddychała świszcząco, przenikliwie, trochę nawet po ludzku. Musiała być też niezmiernie zmęczona.

Dopiero gdy zbliżyli się do stromego cypla, który był najdalej wysuniętym w morze punktem na tej ziemi, dojrzeli oślepiające błyski, które natychmiast połączyły się z błyskami w mózgu.

Zatrzymał się. Oona także stanęła, obojgu trudno było złapać normalny rytm oddechu. Dusili się.

– Wedrzyj się na ten cypel – powiedziała – to nie będzie łatwe w tym stanie, lecz spróbuj. Musisz się tam wedrzeć.

Spróbował. Czepiał się śliskimi swymi wypustkami-rękami równie śliskiej i gąbczastej masy lądu. Zsuwał się na elastyczną powierzchnię fal, znowu usiłował wdrapać się na górę. Brakowało sił, serce i płuca odmawiały posłuszeństwa.

– Beznadziejne – jęknął. – Beznadziejne i nie ma sensu. Zostanę. Będzie lepiej dla ciebie jeśli zostanę z tobą. I uczciwiej.

– Nigdy. Nigdy – zawołała. – Błagam, spróbuj raz jeszcze, jeden jedyny raz, chwilkę odpocznij i próbuj.

Błyski poczęły oślepiać.

– Nareszcie – posłyszał okrzyk. I to mu dodało otuchy.

Wbił się w piach rękami i nogami, podciągnął, znowu wbił się, Oona została na dole, a on był coraz wyżej.

– Nie oglądaj się lepiej – prosiła.

Miała rację, nie chciał jej widzieć, nie chciał aby mu w pamięci pozostało wspomnienie oślizgłego sopla, ohydy.

– Ja już dalej nie mogę – usłyszał. Nie wolno mi, wiem to z doświadczenia. Nie wolno.

Mimo woli ze szczytu cypla rzucił na nią wzrok. Znowu szok. Była ludzka, cielesna, z tą swoją niewysłowienie słodką twarzą, na której odbijała się i łagodność i zmysłowość. Jaka wspaniała.

– Oona – krzyknął – Oona, kocham cię – wracam.

– Zaczekaj sekundę! Spójrz jeszcze raz. No patrz. Na mnie. Zanim zejdziesz!

Nie schodził, dojrzał już co się z nią stało: była znowu soplem, znowu ohydą, kiedy istniała naprawdę?

– Widzisz, że moja cielesność to złudzenie, oszustwo – mówiła.

Ohydny sopel jej ciała poruszał się niedołężnie na falach u podnóża cypla.

– Tak, to oszustwo, spowodowane tymi błyskami. Prawda jak oślepiają, jest coraz bardziej biało?

– Biało – powtórzył jak echo, już w ogóle od blasku tracąc z oczu ją i całe otoczenie.

– Biało, biało. A gdy ta biel dojdzie do zenitu, kiedy nic już innego oprócz niej nie dojrzysz, spróbuj powrotu do domu. Po prostu zejdź z cypla ostrożnie, bo woda tu głęboka u podnóża i popłyń na swoją plażę. Pamiętaj, popłyń. Będziesz mógł płynąć, to ważne.

– Oona, skąd to wiesz, Oona, a ty byś nie mogła ze mną, tam do domu?

Zeskoczył nagle, chciał ją uścisnąć ale po omacku dotknął jej galaretowatego ciała, odskoczył. Znowu z trudem wdarł się na szczyt cypla. Błyski jakby ustawały, ich nasilenie zmalało, częstotliwość rzedła.

Widział Oonę znowu gąbczastą i niedołężną jak przesuwała się powoli i ostrożnie po elastycznych falach gąbczastego, nieruchomego, ale żywego morza, odbijającego jej ohydną oślizgłą postać.

Odwrócił się i spojrzał w kierunku błysków. Nagle go znów oślepiały. Białość stała się aż bolesna, oczami wciskał się ten straszny ból do wnętrza ciała.

Nie miał pojęcia, kiedy opuścił cypel, kiedy znalazł się w orzeźwiającej morskiej wodzie, kiedy przepłynął do środka łuku zatoki.

Dopiero gdy z fali wydostał się na piach, poczuł, że jest to na pewno piach sypki, szorstki, miałki, prawdziwie ziemski.

ADAM HOLLANEK – ur. we Lwowie, debiutował w 1958 roku powieścią SF „KATASTROFA NA SŁOŃCU ANTARKTYDY". Z tego gatunku pochodzą również tomy jego opowiadań „MUZYKA DLA WAS CHŁOPCY" (Iskry), „UKOCHANY Z KSIĘŻYCA" (KAW) oraz powieści „ZBRODNIA WIELKIEGO CZŁOWIEKA" (Śląsk) i „JESZCZE TROCHĘ POŻYĆ" (Iskry). Oprócz SF Hollanek pisuje również współczesną prozę. M.in. wydał tomy opowiadań „PLAŻA W EUROPIE" (Wyd. Literackie) oraz w 1982 „BANDYCI I POLICJANCI" (Czytelnik) Adam Hollanek jest także popularyzatorem nauki, dziennikarzem, redaktorem naczelnym naszego miesięcznika.

„Prawdziwego mężczyznę poznać nawet nago"
STANISŁAW JERZY LEC



Maryna Wiśniewska

Pomóż swojej gwieździe

– Witam panów. Przepraszam, panią także witam jak najserdeczniej. Dopiero teraz, dopiero teraz... zauważyłem. Nie, proszę nie wstawać, niech pani leży. Ślicznie pani wygląda bez pelerynki, korony, bez pasa i sztyletu. Bez opaski i napierśników. Prześlicznie! A więc panie i panowie, księżniczka i ja... Proszę nie przeszkadzać drogi panie. Pytania i odpowiedzi będą potem. I proszę mnie nie oślepiać fleszami. Zresztą dobrze, tę wątpliwość rozproszę od razu. Mówi pan, że jeszcze dziś rano mieliście inne informacje. Ja także drogi panie, ja także. Ale wszystko się już zmieniło. Więc proszę łaskawie przestać gadać i otworzyć notesy. Magnetofon? Proszę bardzo, możecie państwo włączyć magnetofony. Kamerzystom również zezwalam podjechać nieco bliżej. Tak więc księżniczka i ja, panowie, księżniczka i ja uroczyście zawiadamiamy o naszych... Proszę o ciszę!

– Panowie, niech was nie zmyli mój strój. Znaczy, w tej chwili nie mam na sobie żadnego stroju. Myślę, że mi wybaczycie. Pani w każdym razie nie ma nic przeciw temu, zgadłem, prawda? A więc panowie, chciałbym, żebyście wiedzieli, że nie jestem księciem, ani oficerem gwardii, ani nikim takim. Będziecie musieli to przełknąć. Wy i mój zacny przyszły teść i wszyscy jego poddani. Takie życie, panowie. Jestem, właściwie byłem... śmieciarzem. Proszę o ciszę! Jednym z pierwszych, jeśli nie pierwszym pośród śmieciarzy tego miasta. W każdym razie jestem śmieciarzem, który jak widać zawędrował wyżej niż wszyscy inni śmieciarze w naszym królestwie.

– Uspokoję panią i panów. Nie byłem śmieciarzem tuzinkowym, nie wypadłem sroce spod ogona. Bynajmniej, panowie. Pracowałem w prostym fachu, lecz w swojej branży byłem pierwszym między pierwszymi. Miałem swój wóz, swoich ludzi, mógłbym nie brudzić rąk. Ale ja lubię swoją pracę. Gdyby nie tacy jak ja, utonęlibyśmy w nieczystościach, a zakłady przerobu odpadków pracowałyby na jałowym biegu. Beze mnie i bez moich kolegów już wkrótce jedlibyśmy ogryzki i wysysali kości; beze mnie bardzo szybko zabrakłoby materiału na puszki i butelki, dzięki którym możecie sączyć wasze drinki i popijać piwo. Więc po raz ostatni proszę o ciszę. Więcej szacunku, nie chciałbym wyrzucać was z sali, panowie.

– Przez długi czas, to już prawie trzydzieści lat, byłem prostym człowiekiem, znałem swoje miejsce w szyku. Nie wiem czy któryś z was mógłby powiedzieć coś podobnego o sobie. Rozpychacie się i nie potraficie czekać, ot choćby teraz. Cierpliwości, powoli, powoli i zaspokoję całą waszą ciekawość. Szło mi dobrze, panowie, tak dobrze, że czułem iż mógłbym z powodzeniem sięgnąć wyżej, wziąć na siebie inne jeszcze, bardziej skomplikowane i odpowiedzialniejsze zadania. Czułem, że coś mnie wyróżnia, że jestem lepszy, twardszy od wszystkich ludzi, których spotykam w życiu. Czułem to i milczałem, nie wynosiłem się nad innych jak wy, panowie. Proszę, spojrzyjcie na moją pierś, uda, na plecy, pośladki i łydki. Żadnego tatuażu, żadnej blizny, prawda? Tatuaż i sznytowanie, panowie, to najmodniejszy sposób dodawania sobie uroku i powagi w mojej branży. Ale ja nie uciekłem się do tego sposobu. Coś mi mówiło, że to niepotrzebne, że wystarczę taki jaki jestem, bez ozdób, żeby kiedyś zdobyć świat. Czułem, że przyjdzie taki dzień... mówiły mi to gwiazdy, ta obietnica powtarzała się w każdym horoskopie. Czułem, że przyjdzie taki moment. Przyszedł dziś rano.

– Teraz ja, jedno pytanie, jedno jedyne dla ciekawości, panowie. Czy ktoś z was interesował się astrologią, swoim znakiem zodiaku, swoim horoskopem? Proszę podnieść ręce. Raz, dwa, trzy... ach, pani też. Wspaniale! Co, i nikt więcej? Źle panowie. Źle robicie. Myślicie pewnie, że horoskopy to zabawa dla ciemniaków, dla ubogich jak ja. Opium dla ludu. Nie, nie jestem zresztą ubogi. Mógłbym kupić niejednego z was z jego połyskliwym sprzętem, marną daczą pod miastem, z jego tanimi trofeami przywiezionymi z zagranicznych wojaży, z mnóstwem kłamstw na sumieniu i pychą w sercu. Tą pychą, która każe wam tak wiele oddawać śmieciarzom, panowie. Zgromadziłem niezłą bibliotekę, z tego co wy wyrzuciliście do koszy. Horoskopy, zabawa dla ludzi

bez szans. Ha, dziś jeden z tych bez szansy gra wam na nosie.

– Rano, wszyscy dobrze pamiętamy, co było dziś rano. Jeden z was przypomniał mi o tym na początku konferencji. Dziś rano radio, telewizja, prasa i wszystkie uliczne gigantofony trąbiły o... Och, pan zapewne był w szkole nieznośnym prymusem i to zostało panu do dziś. Ale dobrze, racja jest po pana stronie, zgadza się. Dziś rano zawiadomiono nas wszystkich za jednym zamachem i o urodzinach i o zaręczynach księżniczki. W pewnym sensie było to zresztą najprawdziwszą prawdą. Hm, zważcie panowie, w pewnym sensie.

– Ciekawość, powodowała mną tylko ciekawość... Zresztą pani mogę się przyznać: zrobiło mi się trochę żal naszej pięknej księżniczki. Ten żal i ciekawość sprawiły, że zajrzałem do horoskopów. Coś mnie tknęło, panowie. Trójkąty, koła, kwadraty, tabele; żmudne obliczanie domów i ascendentów, znowu koła, ustalanie wpływu gwiazd, planet i innych obiektów astralnych... jeszcze nigdy w życiu nie pracowałem tak szybko. Ale warto było, zapewniam was. Sprawdziłem horoskop księżniczki parę razy i na wiele sposobów. Nie znalazłem żadnej pomyłki, możecie mi wierzyć. Ha, właściwie musicie. Księżniczka była mi pisana, gwiazdy stwierdziły to jednoznacznie. Tak jest, panowie, to było w gwiazdach: długie i szczęśliwe życie z księżniczką, założenie nowej dynastii, mądre panowanie i tak dalej. Jak skończę, możecie sobie to sprawdzić. Więc zrobiłem wykresy, a tu uszy aż puchną od oficjalnych komunikatów. Księżniczka, urodziny, zaręczyny, wsławiony w zwycięskich bitwach oficer gwardii, oboje przyjmują gratulacje w pałacu... Człowieku, powiedziałem sobie, nie możesz siedzieć na tyłku jak gdyby nigdy nic, nie przegrywaj bez walki, idź tam i pomóż swojej gwieździe! A co wy zrobilibyście na moim miejscu, panowie? Ja w każdym razie wskoczyłem do wanny, ubrałem się w co miałem najlepszego i wybiegłem na ulicę. Przed wyjściem tylko przelotnie rzuciłem okiem na horoskop szczęśliwego narzeczonego. I coś mnie tknęło po raz drugi.

– Zatrzymał mnie widok pierwszego ulicznego automatu Zodiaxu. Ha, panowie, gdybym przy nim nie stanął, zabrakłoby mi sekund. Parę sekund i wypuściłbym z ręki swoją szansę. Wcześniej wszedłbym do pałacu i wcześniej bym go opuścił. Z kolei gdybym zatrzymał się przy automacie minutę dłużej, spóźniłbym się na najważniejsze i pałacowe drzwi do szczęścia także zatrzasnęłyby mi się przed nosem. Ha, panowie, pozwoliłem sobie na chwilę niepewności i postanowiłem sprawdzić swoje obliczenia. Ale gwiazdy były po mojej stronie, pomogły mi i tym razem.

– Nacisnąłem matrymonialny klawisz Zodiaxu i wprowadziłem do automatu dane księżniczki. Zamruczał, zadzwonił, błysnął neonówkami: „Horoskop zastrzeżony" – wycharczał. „Ochrona rodziny panujących. Nie wyjawiać bez rzeczowego powodu". Znowu nacisnąłem klawisze. „Urodziny księżniczki – powiedziałem – prezent. Chcę z okazji urodzin i zaręczyn kupić prezent, taki żeby się spodobał księżniczce. To chyba jest powód". Automat przyznał mi rację i podał wszystkie dane, które już znałem z obliczeń, a także parę innych, na których oznaczenie nie starczyło mi czasu. Zgadzało się wszystko. Wprowadziłem więc do Zodiaxu swoją datę urodzin. Przerwa trwała dłużej, znowu nerwowo zamigotały lampki. Bodaj po minucie, tak jest panowie, po całej długiej minucie, automat zamiast odpowiedzieć na pytanie, zadał mi swoje. W jego tonie było tym razem coś uroczystego: „Wyjątkowo korzystne rokowanie. Niestety sprawa nieaktualna. 99999999999 na 100000000000 że już nic nie da się zrobić. Jaki zawód, status i klasa pytającego?" Zrobiłem dwa kroki do tyłu, krok w bok i powiedziałem głośno i wyraźnie to, co mówię wam teraz: „śmieciarz!" Zodiax bez namysłu strzelił stalowymi chwytnikami, które objęły powietrze i plunął obok mnie jakąś smrodliwą mazią. „Obrona czystości rodziny panujących" – zawrzasnął tak głośno, że było go chyba słychać w połowie stolicy. Błąd panowie, gwiazdom nie warto się sprzeciwiać. Gdzieś w głębi ulicy zawyła syrena, ale nie dałem się złapać.

– Do pałacu, jak wiecie, wpuszczano dziś wszystkich. Zresztą nie tylko ja na tym skorzystałem. Ruch jak w młynie lub w ulu. Strażnicy popatrywali na gawiedź i na tłoczących się arystokratów bez zwyczajnej czujności. Nastrój był uroczysty, ludzie mieli w rękach kwiaty i mnóstwo małych pakunków w kolorowych papierkach. Audiencja odbywała się w sali kolumnowej, to wiecie także. Wisi tam najbardziej kompletna w królestwie kolekcja średniowiecznego malarstwa, stoi do diabła i trochę przeróżnych w ogóle nie zabezpieczonych złotych precjozów. Przed południową ścianą sali księżniczka, nasza piękna księżniczka i Harsman, oficer gwardii, przyjmowali osobiste życzenia od arystokratów. Tuż przy wejściu po prawej stał Sumator Życzeń przeznaczony dla gawiedzi. Arystokraci wręczali kwiaty księżniczce i całowali jej dłoń, a szarzy obywatele z zapałem pedałowali dźwignią Sumatora, jakby od tego zależało ich życie. Nazwiska są w Sumatorze zanotowane, nie zapomnę o tych ludziach panowie. Mimo, że oni wcale wtedy jeszcze nie wiedzieli, iż życząc księżniczce wszystkiego najlepszego pedałują na moje konto.

– Zgadnijcie, panowie, w której kolejce się ustawiłem, do Sumatora, czy do szczęśliwej pary? Ha, nie, panowie... i pani... pani także nie zgadła. Powiedziałem przecież, że znam swoje miejsce w szyku i umiem czekać. Stanąłem, tak jest, stanąłem proszę państwa przy Sumatorze. Stamtąd patrzyłem na naszą piękną księżniczkę, na jej koronę i pelerynkę, na mały kosztowny sztylecik na pięknym biodrze. Czy cierpiałem... nie sądzę, panowie. Och, widzę, że pani sprawia to zawód. Czyż mężczyźni zawsze powinni cierpieć z waszego powodu? Nie wystarczy wam, kiedy mężczyzna jest wściekły? Tak jest, panowie, oglądałem naszą piękną księżniczkę przy boku tego obwiesia, tego łotra spod ciemnej gwiazdy i przeżuwałem przekleństwa. Kiedy przyszła na mnie kolej, machnąłem parę razy dźwignią Sumatora z taką siłą, że wskazówka przekroczyła skalę i weszła na czerwone pole. Ale gdybym tam tkwił i machał dźwignią choćby do końca świata, nigdy nie zdobyłbym ręki księżniczki i prawa do korony.

– Widzę w Waszych oczach zdziwienie. Tak proszę państwa, o tym, że Harsman może być łotrem wiedziałem już wybiegając z domu. Mówię wyraźnie może, nie powiedziałem musi. To był facet urodzony pod Ciemną Gwiazdą, wspominałem już, że przed wyjściem sprawdziłem także jego horoskop. Tacy zwykle zachodzą bardzo daleko, czy to w łajdactwie, czy w cnotach. Bezpardonowa walka i najbardziej awanturnicze pomysły są ich żywiołem. Wszystko zależy od tego, czy ci osobnicy opanują swój bezwzględny charakter i niszczycielskie instynkty, czy też zechcą im pofolgować. Ich oddziaływanie na innych ludzi graniczy z magią. To mówią horoskopy, panowie, z których wy się śmiejecie. Najlepszy dowód, że nawet księżniczka... Tak jest, myślcie sobie co chcecie, ale Harsman to nie był tuzinkowy przeciwnik. W końcu to on, nie ja, miał do dziś na swym koncie same wygrane bitwy.

– To było zuchwale pomyślane, panowie, i przyznam, że nie odgadłem wszystkiego od razu. Kiedy kilku facetów spośród tłumu wizytujących książęcą parę przywdziało maski, odrzuciło barwne paczuszki i wyciągnęło spod szat automaty, przyszło mi do głowy, że idzie im o obrazy i precjoza. Nie domyślałem się niczego więcej. Potem, kiedy ustawili nas pod ścianami i, trzymając zebranych na celownikach, kazali wszystkim bez różnicy rozebrać się do naga, pomyślałem, że... że skoro tak, to przynajmniej dokładnie obejrzę sobie księżniczkę. Panią to bawi, hm, rozumiem, ale wtedy nie było pani do śmiechu. Jak zresztą nikomu w tamtej sali. Ale oszczędzili księżniczkę. Natomiast musiał rozebrać się Harsman.

– Stałem tuż przy nim, panowie. To był wysoki, postawny, pięknie zbudowany mężczyzna. Ale ja nie jestem ani niższy, ani mniej postawny, ani gorzej zbudowany od niego. Trafiają się i tacy śmieciarze, musicie sobie poradzić z tym fantem. Harsman zauważył to także, obrzucił mnie szybkim taksującym spojrzeniem

MACIEJ PAROWSKI (ur. 1946 r. w Warszawie) – do 1974 r. praktykujący mgr inż. elektryk. Potem dziennikarz, krytyk filmowy, publicysta kulturalny, a nawet krótko w 1981 r. redaktor naczelny Tygodnika Studenckiego „Politechnik". Od 1968 r. publikował na łamach prasy szkice, recenzje, felietony i opowiadania – nie tylko SF. Autor zbioru felietonów kulturalnych i literackich miniatur „BEZ DUBBINGU" (MAW-78) oraz powieści SF „TWARZĄ KU ZIEMI" (Czytelnik-81). Udział w antologiach „Wołanie na mlecznej drodze" (Nasza Księgarnia-76), jedno z opowiadań nagrodzonych i „Spotkanie w przestworzach 2 – antologia młodych'79" (KAW-82).

i wtedy, panowie, wtedy spostrzegłem, że jest wściekły. Nie z powodu tego złota i obrazów, które przepadną, i nie dlatego, że go upokorzono w obecności księżniczki, i nie dlatego, że zamaskowani rabusie biegają po sali przetrząsając garderobę jego gości, a on nic nie może poradzić. Nie, panowie, Harsman był wściekły, bo tuż obok, o krok, stał mężczyzna nie gorszy od niego. Spadło to na mnie jak natchnienie.

– Panowie, to był chorobliwy efekciarz i ryzykant, którego poplątanej jaźni i skomplikowanej intrygi nie zdołamy do końca przeniknąć. Możemy się tylko domyślać planowanego zakończenia napadu. Może zorganizował go tak, by błysnąć klasą nieustraszonego wojownika już wtedy, na sali. Może chciał się popisać dopiero potem, przy organizowaniu pościgu. Nie wiem, może kosztowności miały przepaść bezpowrotnie. W każdym razie tam pod lufami automatów zrozumiałem jedno: swoją obecnością, swoim wyglądem psułem mu spektakl. Harsman miał być tam najwspanialszy, najpiękniejszy, a tu nagle tuż obok zjawia się jakiś śmieciarz, na którym bezwiednie zatrzymuje swe spojrzenie księżniczka. Pani nie zaprzecza, prawda? Tak więc panowie, za sprawą mojej obecności diabli wzięli dużą część wypracowanego efektu Harsmanowego entrée.

– Od momentu, w którym to sobie uświadomiłem, moje oczy poczęły dostrzegać więcej, a myśl krążyła szybciej niż kiedykolwiek. On się porozumiewał z rabusiami, panowie, nieuchwytnymi ruchami warg i dłoni dawał im znaki, wskazywał cele, wydawał dyspozycje. Po każdej takiej dyspozycji następowała wyraźna zmiana w działaniu rabusiów. Poza tym, co za zuchwałość, co za spryt, Harsman blokował swym ciałem dostęp do aparatury alarmowej. Dostrzegłem to po kilkudziesięciu sekundach. Jego ludzie buszowali wśród ubrań, obrazów i kosztowności, a on nagi, pozornie bezradny, zabezpieczał najważniejszy punkt sali. Wystarczyło go odepchnąć i dopaść czerwonego przycisku. Jak to się teraz łatwo mówi, panowie.

– Będę szczery. Uważałem się zawsze za człowieka silnego i odważnego, ale w moim zawodzie nie miałem okazji sprawdzić, czy zdolny jestem do aktu odwagi za cenę życia. Poza tym, zrozumcie panowie, nie chciałem się zbłaźnić. Ta sprawa poczynała wyglądać zbyt groteskowo. O księżniczkę byłem spokojny, wszystko wskazywało, że spektakl na sali przeznaczony jest dla niej. Hm, spektakl... Rabusie byli prawdziwi, automatów nie wykonano z plastyku, parę osób, jak wiecie, zdążyli postrzelić, a Harsman okazał się jak najbardziej realną bestią w ludzkim ciele dwumetrowej bez mała wysokości. Nie chciałem dać się zarżnąć jak cielak... panowie. Rozważając gorączkowo jak właściwie powinienem się zachować, spostrzegłem nagle, że Harsman pokazuje mnie jednemu z rabusiów nieuchwytnym dla innych ruchem oczu. Panowie, tego szaleńca tak bardzo drażniła moja obecność, że postanowił mnie zniszczyć.

– Wtedy wszystko potoczyło się bardzo już szybko, nie miałem innego wyjścia. Rzuciłem się na Harsmana. Rabusie zgłupieli, podobnego wariantu musiało brakować w najwymyślniejszym z ich planów. Bronić Harsmana, to przyznać, że są z nim w zmowie. Spleceni w kłębek, potoczyliśmy się z Harsmanem po posadzce. Mimo ryzyka dekonspiracji, po chwili osłupienia, jeden z zamaskowanych mężczyzn spróbował nas jednak rozdzielić. Rozdzielić, znaczyło dla nich zatłuc mnie kolbą automatu albo jeszcze lepiej, posłać mi kulę. Połączonego z Harsmanem w morderczym uścisku trudno było mnie trafić, ale zwłoka nie mogła przecież trwać długo. Krzyknąłem: „Harsman jest z nimi w zmowie!" W sali zawrzało. Wtedy ktoś, nie wiem kto, lecz będę się modlił za tę osobę do końca życia, włączył alarm. Zawyły syreny, wszyscy prócz rabusiów padli plackiem. „Zapłacisz mi" – wyharczał Harsman, to były jego ostatnie słowa. Jeden z jego ludzi roztrzaskał mu głowę. Potem, po sekundzie namysłu, zamaskowany rabuś wycelował także we mnie, lecz nie zdążył drugi raz pociągnąć za spust. Salwa nadbiegającej straży położyła go trupem. Zdarto mu maskę, okazało się, że to jeden z niższych oficerów gwardii.

– Będę kończył, panowie. Na sali wśród zwłok zamaskowanych mężczyzn leżały porozrzucane ubrania. Nie znalazłem swojego, więc włożyłem szamerowany złotem, ozdobiony gwiazdkami, sznurami i orderami galowy mundur Harsmana. Potem wziąłem księżniczkę na ręce i przez nikogo nie zatrzymany przyniosłem ją do tej komnaty... Księżniczki są podobne do innych kobiet, panowie, mówię o tym z radością i... ulgą. W każdym razie na pewno nie mówię tego po to, by uchybić księżniczce. Tak więc musiałem w komnacie rozebrać się tego dnia po raz wtóry. Pani protestuje? Rzeczywiście, „musiałem" to nie jest najtrafniejsze określenie. Dobrze więc, wycofuję to słowo. Księżniczka natomiast zechciała rozebrać się tego dnia po raz pierwszy.

– Panowie, jak już mówiłem, jestem śmieciarzem. Przepraszam, byłem śmieciarzem. Księżniczka i ja jak najuroczyściej zawiadamiamy o naszych zaręczynach. A uprzedzając wasze wątpliwości, nie sądzę, panowie, bym jako były śmieciarz miał szczególne kłopoty z królestwem. Śmietnik i królestwo to są w końcu podobne sprawy. Z jednego i drugiego można wycisnąć wiele pożytecznych rzeczy, jeśli się w to włoży trochę pracy i serca. Tak, panowie, i to byłoby wszystko. Dziękuję za uwagę. Teraz z przyjemnością wysłucham waszych pytań...

– No i jak ci się to podobało? – spytałem księżniczki.

Leżała naga, równomiernie opalona, piękna w błękitnej pościeli pod baldachimem na złotych kolumnach. Uśmiechała się do mnie czule i bardzo radośnie. Teraz, po namyśle, dochodziłem do wniosku, że pas, że sztylecik, że opaska i pelerynka są mocno przereklamowane i właściwie odbierały księżniczce połowę urody.

– Naprawdę chcesz opowiedzieć im tę bajeczkę? – spytała przeciągając się rozkosznie. – O tym, że byłeś śmieciarzem? Myślisz, że ci uwierzą? Poza tym komu to potrzebne?

– Tutaj nie ma nic do ukrywania – powiedziałem – muszą przyjąć mnie takim jaki jestem. To mój warunek. Inaczej nie będziesz mnie miała. Albo bierzesz śmieciarza, albo szukaj nowego księcia!

Księżniczka żachnęła się.

– Jesteś nieznośnym chwalipiętą – fuknęła. – Jeszcze słowo powiesz tym tonem i przestanę cię kochać.

– Lubisz to – powiedziałem. – Lubisz wszystko cokolwiek powiem lub zrobię. To także jest w gwiazdach.

Za pałacowym oknem gigantofony powtarzały radosną wieść o tajemniczym księciu, który zdemaskował Harsmana i ocalił życie księżniczki. Widziałem coraz większe i większe grupy wiwatujących, którzy podchodzili pod ogrodzenie pałacu.

– Sam słyszysz – westchnęła księżniczka – to nie będzie proste. Musisz mi dać trochę czasu do namysłu i na przygotowanie wszystkiego. Więc proszę nie sterczy nago przy oknie, tylko chodź tutaj. Zrozum, ja też sprawdzałam dziś rano horoskop i wie...

– Znasz mój warunek!

– Och, nieznośny jesteś. Coś ci powiem. Słuchaj, to ja wtedy włączyłam alarm. Ale ostrzegam... same modlitwy mi nie wystarczą.

– To nic nie zmie... Zaraz! Naprawdę ty to zrobiłaś?

– Tak – powiedziała księżniczka – ja to zrobiłam. I zgadzam się już na wszystko, tylko do diabła przestań wreszcie gadać i wróć tu do mnie. Mam takie dziwne wrażenie, że wspominałeś przed chwilą o jakimś urodzinowym prezencie.

■

PRZEPIS NA NIEŚMIERTELNOŚĆ

Zdobycie cudownego eliksiru życia zawsze kusiło ludzi. Pragnienie niespodziewanego odmłodzenia bywało tak silne, że częstokroć nie wahano się nawet zapisać duszy diabłu, zwłaszcza jeśli flaszeczka z drogocennym eliksirem wabiła pięknym blaskiem krwistoczerwonego płynu i obietnicą powrotu do niezapomnianych chwil lekkomyślnej przeszłości. Faustyczny motyw odzyskania zagubionej młodości pojawia się w „Sędziwoju" (1845) Józefa Bohdana Dziekońskiego, magicznym, fantastyczno-historycznym moralitecie o Człowieku Wiecznym. Skłócony z otoczeniem, dostrzegający przewagę swego pseudonaukowego wykształcenia, pilny uczeń Paracelsusa i Philalety usiłuje zrealizować marzenia w sposób niewiele odbiegający od późniejszych metod chemii doświadczalnej. Efektem konsekwentnych, uporczywych działań Sędziwoja jest zdobycie przepisu na produkcję kamienia filozoficznego, który zamienia metale w złoto. Możliwości niezwykłego środka sięgają jednak znacznie dalej: rozpuszczony w winie daje nieśmiertelność stając się skuteczną odtrutką na wszystkie choroby i zagrożenia przedwczesną starością. Wnętrze pracowni wielkiego maga przypomina do złudzenia laboratorium profesora Geista, jednego z bohaterów „Lalki" (1899) Bolesława Prusa. Widok komnaty, zagraconej odczynnikami, retortami i nieznanymi maszynami, opis destylatorów, pras hydraulicznych i potężnych kotłów, z których buchają kłęby dymu, zwraca uwagę na zewnętrzne oznaki doświadczeń, maskując doskonale istotę prowadzonych zabiegów, która równie dobrze może potwierdzać wagę zaklęć kabalistycznych, jak i formuł naukowych z pogranicza wiedzy ścisłej. Spadkobierca systemu Paracelsusa nie ukrywa jednak swych niepokojących kontaktów: mieszka w samotnym, ponurym domu, w którym podobno „straszy". Jego doświadczenia rozpoczynają się ciemną nocą i trwają aż do mrocznego świtu. Nic dziwnego, iż przechodnie, zabłąkani przypadkiem w okoliczne zaułki, czynią znak krzyża, szepcząc: „apage satanas!" Źródłem niepokoju jest tu lęk przed drugim człowiekiem, którego podejrzewamy o „inność", odmienność, o intymny kontakt ze światem, który nie jest ludzki.

„Sędziwoj" – pisze A. Gromadzki – „jest przede wszystkim psychologiczną powieścią o człowieku, obrazuje konflikt jednostki szlachetnej z pospolitością i interesownym spojrzeniem na świat i życie". Bohater, postawiony wobec faustowskiego „wyboru", miotający się pomiędzy Dobrem i Złem, przechodzi fazę byronicznej pogardy dla tłumu wielbiącego jedynie doczesne rozrywki, potęgę wymowy i złudny blask złota. „Na dźwięk tego przeklętego metalu ginie nawet granica podłości i hańby" – twierdzi odkrywca nieśmiertelności. „Gdybym zdradził tajemnicę kamienia filozoficznego połowa świata wymordowałaby drugą połowę. (...) Szczęścia nie ma – wszystko można za złoto" – dodaje z goryczą, zwątpiwszy w sens ludzkiej egzystencji, zrywając więzy ze społeczeństwem, poświęcając miłość w imię zdobycia nieśmiertelności. Osiągnięcie celu może nastąpić tylko kosztem osobistych wyrzeczeń. Nauka bez wiary prowadzi jednak do zbrodni, obłąkania, zemsty. „Teraz wszystko złe com od ludzi dostał z lichwą im oddam" – szydzi alchemik, starszy brat profesora Geista oczekującego z niecierpliwością wyniku paryskiego eksperymentu chemicznego.

Marzenie o nieśmiertelności, przejęte z formuł baśni ludowych, spełnia dziś nadal magia czarodziejskiego zaklęcia, skoro niektóre, dwudziestowieczne utwory literackie wykorzystują z powodzeniem motyw cudownego eliksiru o tajemniczych składnikach (np. poetycka opowieść Stanisława Balińskiego „Miasto księżyców" (1924), gdzie czarodziejski napój posiada właściwości uwalniania człowieka z jego cielesnych, fizycznych kształtów). Szansa nieśmiertelności wiąże się jednak częściej z postulatami prozy przyszłościowej i nieprzypadkowo problem szczęśliwej wieczności zostaje przerzucony na barki następnych pokoleń. Dwudziestowieczny rozwój chemii pozwala bowiem na rezygnację z alchemicznej struktury cudownego eliksiru.

Pierwszą polską powieścią realizującą temat nieśmiertelności środkami programowo empirycznymi, nawiązującymi do ówczesnych eksperymentów Jaworskiego, Steinacha i Woronowa, jest „Eliksir profesora Bohusza" (1923) Stefana Barszczewskiego. „Uteraźniejszona" przyszłość zostaje tu przybliżona do czytelnika w sensie intencjonalnym. Profesora Bohusza poznajemy w momencie krytycznym: obserwacji działania tajemniczej substancji, którą zaaplikował sobie nie tyle z ciekawości czy pasji poznawczej, ile w celu zyskania pierwotnej postaci człowieka młodego, beztroskiego, stałego bywalca kawiarń, domów gry i studenckich hulanek. Oczywiście, Bohusz płaci za to odpowiednio wysoką cenę. Nauka wietrzeje mu z głowy, nie może zrozumieć tego, co sam niedawno jeszcze napisał, zdaje mu się, że czyta prace obce, których dotychczas nie znał. Wraz z rosnącą sławą i popularnością ulega poprawie pozycja finansowa profesora. Broniąc teorii nieśmiertelności kieruje na siebie uwagę zamożnych sfer przemysłowych i po kilku miesiącach staje się udziałowcem międzynarodowego syndykatu wyrabiającego miliony buteleczek z cudownym antidotum. U szczytu powodzenia Bohusz dostrzega jednak pierwsze niekonsekwencje natury etycznej i obyczajowej. Nadchodzi moda kokietowania wiekiem, na ulicach, w restauracjach, w miejscach publicznych widać wyłącznie młodzież, następcy tronu muszą uciekać się do radykalnych metod, jeśli chcą zdobyć władzę, zdarzają się i takie przypadki, w których „odmłodzony dziadek, ożeniwszy się ze stryjeczną wnuczką, staje się ojcem swego prawnuczka". Profesor, uwikłany w faustyczne pułapki świata materialnego, opętanego żądzą zdrady, bogactwa, fałszywych pozorów i rewolucji pałacowych, odkrywa z przerażeniem, że jego cudowny lek wyrządza więcej szkody niż przynosi pożytku. Jakby zza grobu kłania mu się szyderczo zjawa Sędziwoja. Pewnego wieczoru, przeżywszy zbyt silnie zawód miłosny, Bohusz staje się znów starcem. „Eliksir nie wytrzymał nadmiaru cierpienia, huraganu wrażeń, nawału uczuć (...), ale może znajdą się tacy, którzy choć na krótko będą chcieli odzyskać swoją młodość?" – takim znakiem zapytania kończy się historia Barszczewskiego przemycająca w schemacie współczesnej awantury problemy wcale nie błahe, oczekujące pogłębienia w powojennej powieści science fiction.

I tak też jest istotnie. W rozważaniach Bohdana Peteckiego („Operacja wieczność", 1975) i Krzysztofa Borunia („Próg nieśmiertelności", 1975) idea „życia nieskończonego" zyskuje aprobatę wynalazku opartego na ekstrapolacji dwudziestowiecznych osiągnięć genetycznych. U Peteckiego „każdy człowiek ma swą kopię w stadium embrionalnym z pełnym zapisem osobowości, nie tylko kodu genetycznego, ale i cech nabytych. Jeśli ktoś umiera, wtedy ekipa techniczna umieszcza go w specjalnym inkubatorze, nakłada na matrycę genetyczną pełny akt zapisu osobowości (...) i po 14 miesiącach kopia otrzymuje nową świadomość". W powieści Krzysztofa Borunia funkcję embrionalnych genoforów przejmuje tajemnicza neurodryna, substancja, która odtwarza świadomościowy zapis procesów kory mózgowej. Aczkolwiek w obu przypadkach tematem utworów są przemyślenia dotyczące niecodziennych hipotez rozwoju biocybernetyki, obserwujemy raczej skutki psychicznych reakcji na wtargnięcie „cudownego wynalazku" w ustabilizowany świat pojęć i ocen światopoglądowych. Bohaterowi powieści Peteckiego, pracującemu w zespole stacji granicznych Drugiego Pasa Planetarnego, szansa nieśmiertelności odbiera wartość życia polegającą na bezustannym igraniu z niebezpieczeństwem. Reorientację ówczesnego modelu zachowania potwierdza lapidarność wniosku o proweniencji alpinistycznej: „góry to próba, która ma sens tylko wtedy, kiedy jej ostateczny wynik jest wątpliwy. Teraz nikt się nie wspina, bo nie można spaść". Nie przystosowany pilot-outsider pragnie tak jak dawniej igrać ze śmiercią, nie zgadza się na zdjęcie zapisu osobowości, w wielu pełnych napięcia sekwencjach stwarza i niszczy serię swoich sobowtórów, wykazując publicznie konsekwencje pochopnej decyzji Ziemian. Spełnienie marzeń nie będzie zbawieniem osiągniętym dzięki potędze nauki, ale rzeczywistym przedsionkiem piekieł. Naszą aksjologię determinuje bowiem biologiczna skończoność jednostek. W czasie ustalania reguł nowego kodeksu karnego pada niepokojące pytanie o sens ludzkiej egzystencji: czy za dwieście lat nasza planeta nie będzie cywilizacją starców? Nie grozi jej przynajmniej przeludnienie, wręcz przeciwnie – sprawa nowych pokoleń przedstawia się niejasno, skoro nie będzie potrzeby odnawiania gatunku w sposób naturalny. Człowiek, którego życie zostanie wydłużone, będzie skazany na swoistą izolację – proces ten wystąpi tym wyraźniej, im szybszy okaże się bieg historii. „Jednostka rozpłynie się w ludzkości, kiedy przekroczone zostaną granice indywidualnej pamięci, która zawiera zbyt wiele, by pozostać sobą" – twierdzi J. Kagarlicki. Człowiek żyjący w nieskończoność przestaje być indywidualnością. Dlatego też fantastyka nie akceptuje nieśmiertelności. Obawia się jej Harey z „Solaris" (1961) Stanisława Lema. Wieczności wyrzekają się także bohaterowie „Wizji lokalnej", najnowszej powieści tego autora. Przepis na nieśmiertelność może być bowiem fatalną pułapką, rodzajem zapaści etycznej i psychicznej, z której cywilizacja nie potrafi już się wydobyć. „My do tej pory nie wiemy, czy dar nieśmiertelności jest dobrodziejstwem" – twierdzi profesor Bonnard, literacki rezoner Krzysztofa Borunia. „Nie ma chyba wynalazku, którego nie można by wykorzystać przeciwko człowiekowi" – dodaje kierownik Instytutu Neurocybernetyki. Wymowę tych stwierdzeń potwierdza w sposób oczywisty historia scjentyficznego „przepisu na nieśmiertelność".

■

Krzysztof Boruń (1923–)

Literat, publicysta, dziennikarz

Urodził się w roku 1923. Przez wiele lat był nauczycielem matematyki i fizyki. Debiutuje w latach 40-tych artykułem popularyzującym temat energetyki jądrowej. W roku 1952 publikuje po raz pierwszy na łamach „Tygodnika Demokratycznego". Jest współzałożycielem „Polskiego Towarzystwa Astronautycznego" i „Polskiego Towarzystwa Cybernetycznego". Współtwórca „Małego Słownika Cybernetycznego". Autor wielu książek popularyzujących rozwój astronautyki, cybernetyki i psychotroniki: „Księżyc zdobyty" (1958), „Tajemnice sztucznych zwierząt" (1961), „Kto, kiedy, dlaczego w Kosmosie" (1967), „Tajemnice parapsychologii" (1971). Członek ESSF i PSMF. Ogłasza artykuły, szkice i recenzje poświęcone literaturze SF, problematyce społecznej i futurologicznej.

Na dorobek fantastyczno-naukowy Borunia składają się: **„Zagubiona przyszłość"** (Iskry 1954) – **„Proxima"** (Iskry 1955) – **„Kosmiczni bracia"** (Iskry 1959) (współautor: i A. Trepka), **„Fabryka szczęścia"** (Tygodnik Demokratyczny 1958/51–52), **„Antyświat i inne opowiadania"** (zawartość: „Antyświat", „List", „Koszmar"; Wiedza Powszechna 1969), **„Próg nieśmiertelności"** (Iskry 1975), **„Ósmy krąg piekieł"** (KAW 1977), **„Toccata"** (zawartość: „Trzecia możliwość", „Algi", „Toccata", „Fantom", „Cogito ergo sum"; KAW 1978), **„Człowiek z mgły"** (w: „Gość z głębin"; Czytelnik 1979). W przygotowaniu: **„Małe zielone ludziki"** (KAW 1982).

W przekładach obcojęzycznych ukazały się: „Fantom" (Biblioteka fantastyki i puteśestvij, t. 4, Moskwa 1965), „Grań bezsmertija" (Izd. „Mir", Moskwa 1967) i „Porig bezsmertija" (Kijv 1973), „Vos'me kolo pekla" (wyd. „Veselka", Kijv 1968), „Antivilag Tudomanyos" (fantasztikus elbeszelesek, Budapest 1970).

Krzysztof Boruń jest współautorem libretta do jedynego w Polsce musicalu cybernetycznego **„Wygnanie z raju"**, do muzyki Jerzego Abratowskiego i Krzysztofa Komedy (prapremiera odbyła się w Teatrze Muzycznym w Gdyni w 1969 r.).

... „Kosmos fantastyki naukowej bywa coraz częściej nie tyle terenem nieograniczonej ekspansji człowieka, ile zwierciadłem ukazującym człowiekowi jego właściwy wymiar i sens istnienia" – pisał przed kilku laty radziecki teoretyk SF, Julij Kagarlicki. To interesujące rozpoznanie odnosi się do całej twórczości Krzysztofa Borunia, jednego z najpopularniejszych i zarazem uparcie ignorowanych przez rodzimą krytykę literacką – autorów beletrystyki fantastycznej.

Tematem „Kosmicznych braci" staje się dramat człowieka, twórcy potężnej cywilizacji, której nie może uratować wobec ubocznych skutków opanowywania przyrody i biologicznych efektów automatyzacji życia. Projekcja technologii przejmuje funkcję zwierciadła naszej słabości, przewiduje niebezpieczeństwo zaufania mocy instrumentalnej, demonstrując etyczne konsekwencje zastosowania wynalazków przyszłości. „Byłoby rzeczą naiwną mniemać" – twierdzi Krzysztof Boruń w artykule „Człowiek i technika" – „że moralność jest czymś stałym, wieczystym (...) bowiem pod wpływem warunków zewnętrznych, rozwoju gospodarczego, zmieniają się sądy i oceny moralne, wyrażając wzajemny stosunek jednostki do społeczeństwa".

Autor „Fabryki szczęścia" stawia jedno z najistotniejszych pytań fantastyki naukowej: „co będzie – jeżeli?", próbując przewidzieć zarówno dodatnie, jak i negatywne aspekty procesu doskonalenia cywilizacyjnego. Przyszłość jest nie tylko źródłem naszej ciekawości, ale zarazem przedmiotem lęków i nadziei, pragnień i obaw. „Nie traktuję postępu jako rzeczy samej w sobie, lecz jako jednego z zasadniczych czynników wpływających na życie i przyszłość człowieka" – twierdzi współautor „Proximy". Funkcja społeczna fantastyki sprowadzałaby się do prognoz

POŻÓŁKŁE KARTKI ● POŻÓŁKŁE KARTKI ● POŻÓŁKŁE KARTKI ● POŻÓŁKŁE

Fabryka szczęścia

Krzysztof Boruń

Zaraz po starcie, gdy tylko rakieta wyszła z gęstszych warstw atmosfery, Tin opuściła kabinę nadkontroli i wstąpiła do baru.(...) Przy bufecie natychmiast dosiadł się do niej ten sam gadatliwy młody człowiek, który hałaśliwym zachowaniem zwracał na siebie już w hallu TGR – portu Werona, powszechną uwagę.

– Kapitanie, my się chyba skądś znamy – usiłował obcesowo zagaić rozmowę.

– To bardzo mało prawdopodobne – odparła Tin chłodno, wyjmując szklankę z podajnika.(...)

– Jestem pewny, że gdzieś panią poznałem i to niedawno. Czy była pani w lutym na Timen? No wie pani, na tej pływającej wyspie.

– Nie.

– A może miesiąc temu w czasie wiosennych igrzysk w Betelgong? Zatrzymałem się w...

– Nie było mnie w tym czasie na Ziemi – przerwała łagodnie, lecz stanowczo.

– Wobec tego może po prostu gdzieś w czasie przelotu. Czy stale prowadzi pani maszyny na tej linii?

– Od tygodnia.

– A przedtem?

– Pół roku w ogóle nie latałam.

– Można wiedzieć dlaczego?

– Nie można.(...)

Nieznajomy umilkł.(...) Ale zanim zdążyła wyjść z kabiny – gadatliwy pasażer zeskoczył z taboretu i zatrzymał ją w połowie drogi.

– Już wiem, gdzie panią spotkałem! – zawołał tak głośno, że kilka par oczu zwróciło się na Tin.(...) – Na „Żółtym Jakubie", u Alla.(...)

Tin nie była w stanie zdobyć się na coś więcej, niż gołosłowne zaprzeczenie.(...) I nie czekając na nowe pytanie wyszła z baru.

(...) Gdy tafla drzwi stłumiła wszystkie dźwięki dochodzące z baru – Tin odczuła wzrastający niepokój. Może ów młody człowiek wie o niej coś więcej, niż tylko to, że widział ją na „Żółtym Jakubie"? Może mówi w tej chwili o tym współtowarzyszom podróży?

Zapragnęła sprawdzić szybko, jak najszybciej, o czym rozmawiają pasażerowie. Usiłowała stłumić w sobie ten odruch, ale nogi zdawały się nieść ją same. W progu kabiny kapitańskiej zawahała się jeszcze, lecz już tylko na krótko.

Po chwili na małym ekraniku ukazało się wnętrze baru z grupą pasażerów zebranych przy automacie bufetowym. Tin poczęła teraz operować gałką stereodźwięku i do uszu jej dobiegł głos natrętnego młodzieńca: (...) ... wówczas postanowiłem polecieć na „Żółtego Jakuba". All jest jednak bardzo sprytny (...) Nie dziwię się zresztą. To jest człowiek naprawdę niezwykły. Jeśli chodzi o psychologię i neurofizjologię – nie ma genialniejszego speca (...) Zaraz na początku zabrano mi kamerę. Nie zamieniłem z żadnym pacjentem nawet jednego zdania!

– A przecież twierdził pan przed chwilą, że rozmawiał z naszym kapitanem – wtrąciła na brąz opalona młoda blondynka (...)

– Wcale nie mówiłem, że rozmawiałem. Po prostu widziałem ją na oddziale rehabilitacyjnym na „Żółtym Jakubie". Spacerowała po parku w towarzystwie bardzo przystojnego, choć nieco podtatusiałego jegomościa. Rozmawiałem tam z pewną współpracownicą Alla. Nie chciała mi w niczym pomóc, ani nawet udzielić najprostszych informacji. Nie pomogła nawet próba zagrania na ambicji.

– Ale w końcu udało się panu coś z niej wydobyć?

– Niewiele, ale i to coś znaczy. Opowiedziała mi interesującą historię...

– Może mi pan ją powtórzyć? Umiem zachować dyskrecję.(...)

– Historia jest krótka. Otóż jeden ze współpracowników Alla poznał kiedyś przypadkowo pewną kobietę, która znajdowała się w stanie głębokiego załamania psychicznego. Okazało się, że przyczyną był dość typowy, nie tylko dla naszych czasów, konflikt małżeński. Początkowo małżeństwo było szczęśliwe, lecz coś poczęło się psuć. Coraz częściej dochodziło do niesnasek na tle zazdrości z jej strony i zdaje się jego trybu życia. Chyba raczej zazdrość była uzasadniona, bo okazało się w końcu, że ta „trzecia" istnieje rzeczywiście. Oboje należeli jednak do ludzi subtelnych, jak to się mówi „ze skrupułami". Kobieta cierpiała bardzo, że mąż już jej nie kocha. On zdawał sobie sprawę z tego, że ona bardzo ciężko przeżyje rozstanie i ... i nie mógł zdecydować się na odejście. Z kolei ona odczuwała wyrzuty sumienia, że... on cierpi, nie decydując się na odejście do tej, którą naprawdę

postulatywno-ostrzegających, stanowiących diagnozę psychologicznych uwarunkowań obecnych sposobów poznawania tajemnic Przyrody.

Aby zrozumieć tę zasadę wystarczy sięgnąć do zbioru opowiadań „Antyświat". Autor stawia nas wobec niezwykle istotnego pytania: jak zachowa się przedstawiciel społeczności ziemskiej o dzisiejszym, egoistycznym sposobie myślenia, jeśli spotka „kosmicznych braci", wyląduje na obcych zamieszkałych planetach? Odpowiedź nie jest optymistyczna. Obraz eksploracji antymaterialnego świata zawiera wszelkie cechy wypraw konkwistadorskich, tyle że „zdobywcy" zamiast pancerzy noszą skafandry i operują znacznie bardziej przerażającymi możliwościami destrukcji. „Fabryka szczęścia" określa etyczne granice eksperymentów naukowych: uwolnienie od dręczących wspomnień prowadzi do utraty osobowości, jest niemoralnym zabiegiem dokonanym na bezbronnej psychice. Ingerując w najintymniejszą sferę doznań i przeżyć, pogłębiamy jedynie poprzednie konflikty, akceptując jeszcze gorszą pułapkę świadomościowego podporządkowania. Osią kompozycyjną „Progu nieśmiertelności" staje się hipoteza niecodziennego odkrycia biocybernetycznego, ale autora interesuje nie tyle aspekt techniczny, ile psychologiczne konsekwencje wtargnięcia medycznego antidotum w ustabilizowany świat pojęć i ocen światopoglądowych.

Odkrywanie kulturowych uwarunkowań nauki metodą eksperymentu intelektualnego stawia działalność literacką Krzysztofa Borunia w rzędzie najciekawszych osiągnięć prozy przyszłościowej. Nic dziwnego, że właśnie na niego, obok Lema, powołują się młodzi adepci fantastyczno-naukowego pisarstwa, jako na swego mistrza i nauczyciela.

BIBLIOGRAFIA
OGÓLNA:
– A. Wójcik „Na imię mi człowiek" w: A. Wójcik i M. Englender „Budowniczowie gwiazd", t. I, Warszawa 1980, ss. 116–135,
– A. Niewiadowski „Czerń i biel" w: Argumenty 1978/9,
– E. Zielińska „Rozmowa z pisarzem" w: Kurier Polski 1978/92.

RECENZJE WYBRANE:
„Zagubiona przyszłość" (Nowe Książki 1957/22; Pomorze 1955/2),
„Proxima" (L. Znicz „O trudnościach prozy fantastyczno-naukowej" w: Ilustrowany Kurier Polski 1956/186; Książki dla Ciebie 1956/15),
„Kosmiczni bracia" (S. Sapało w: Tygodnik Demokratyczny 1959/21),
„Antyświat" (J.Z. Lichański „Wobec przyszłości" w: Tygodnik Kulturalny. Orka 1960/52),
„Próg nieśmiertelności" (J. Siewierski „Eliksir życia" w: Nowe Książki 1975/23),
„Ósmy krąg piekieł" (M. Ruszczyc w: Nowe Książki 1978/9; A. Krzepkowski „Wymierność potrzeby" w: Perspektywy 1978/25; A. Krzepkowski w: Argumenty 1978/24).

KARTKI ● POŻÓŁKŁE

kocha. I tak dalej i dalej, w kółko. Melodramat, dylemat...

– Śmieszni ludzie...

– Możliwe, ale dowodzi to zarazem dużej subtelności uczuć. W każdym razie ona była już bliska decyzji popełnienia samobójstwa, co w naszych czasach zdarza się rzadko. Wstrzymywało ją od tego kroku jedno – bała się, że jej śmierć zatruje mu szczęście, że on może odczuwać wyrzuty sumienia. Widzi pani, co znaczy prawdziwa miłość! I wówczas zjawił się ten współpracownik Alla jak wybawienie.(...) Nie chodziło tu o zwykłą zmianę uczuć, o jakąś kurację zobojętniającą. Ta kobieta chciała naprawdę zapomnieć o swym niewiernym małżonku. Na szczęście, nie mieli dzieci, więc sprawa była dość prosta. W instytucie Alla usunięto z jej pamięci nie tylko to, co wiązało się z osobą męża i ich pożyciem małżeńskim, ale również, aby zapobiec możliwości ponownego spotkania i przypadkowych konfliktów – wszelkie skonkretyzowane wspomnienia osobiste z całego życia. Pozostawiono tylko strzępy, urywki obrazów niezbędnych do zachowania tzw. minimum doświadczenia życiowego. Jednocześnie przy pomocy chirurgii plastycznej zmieniono rysy jej twarzy, tak iż po zmianie nazwiska kobieta ta nie mogła być rozpoznana przez nikogo ze swych dawnych znajomych. Ostatnim etapem kuracji była przyśpieszona reedukacja dla przygotowania pacjentki do nowego życia. Ta kobieta stała się zupełnie nowym człowiekiem, popełniając niejako „psychiczne samobójstwo".

– Więc jednak wiele jest prawdy w plotkach? Pan przypuszcza, że nasz kapitan przebyła też podobną operację?



Maryna Wiśniewska

– Tak. Wszystko na to wskazuje. Ale to jeszcze nie koniec historii, którą opowiedziała mi ta młoda współpracowniczka Alla.(...) Niech pani sobie wyobrazi, że ów niewierny małżonek po niedługim czasie również przyleciał na „Żółtego Jakuba"! Chłop nie miał szczęścia. Nowa żona rzuciła go po paru tygodniach pożycia. Zdecydował się pójść w ślady swej pierwszej małżonki. Nie wiem, czy tak rozpaczał po utracie tej drugiej, czy też po prostu był znudzony dotychczasowym życiem, że postanowił również popełnić psychiczne samobójstwo. All widocznie wiedział o tym i nasunął mu się pomysł iście szatańskiego eksperymentu. Otóż po dokonaniu zabiegów skierowano pechowego małżonka na ten sam oddział rehabilitacyjny, na którym była jego dawna żona. Oczywiście jedno o drugim nie wiedziało nic. Byli dla siebie zupełnie obcymi ludźmi. Nie wiem w jakim stopniu All zaaranżował dalszy rozwój sytuacji. Fakt pozostał faktem, że oboje zbliżyli się szybko do siebie, stali się nieodłącznymi przyjaciółmi, a po opuszczeniu „Żółtego Jakuba" zamieszkali podobno jako nowe małżeństwo.

– Ale czy oni o tym wiedzą, że...

– Oczywiście, że nie wiedzą. Nikt im tego nie może powiedzieć. Chyba tylko sam All lub jego współpracownicy. W tym czasie na „Żółtym Jakubie" skojarzono kilka par...

(...) Przeciągłe buczenie przerwało rozmowę (...) Tin nacisnęła guzik automatu (...) i wstała z fotela. Chwilę patrzyła w zamyśleniu na martwą tablicę superkontroli, potem wstrząsnęła nerwowo głową, jakby chciała w ten sposób odpędzić złe myśli.

Machinalnie wyjęła z szufladki automatu puszkę z raportem i ruszyła wolno ku drzwiom...

Tygodnik Demokratyczny 1958/51–52 (fragm.)

POLSKA I RESZTA ŚWIATA

mówi red. LECH JĘCZMYK, kierownik redakcji angielskiej „Czytelnik"

– W 1977 roku Lech Jęczmyk, jeden z najbardziej zasłużonych na polskim gruncie promotorów i popularyzatorów SF przechodzi z „Iskier" do „Czytelnika", osierocając tam lubiane, sprawdzone serie „Fantastyka Przygoda" oraz „Kroki w nieznane". W „Czytelniku" zakłada ambitną serię „z kosmonautą", ale jednocześnie obejmuje tu kierownictwo redakcji angielskiej i od tej pory jego związki z SF nieco słabną... Czy ta decyzja nie świadczy o pana znużeniu science fiction?

– Niezupełnie. Z „Iskier" właściwie mnie wyrzucono; z powodu zatargów z dyrekcją nie miałem tam możliwości dalszej pracy. Próbując się zatrudnić w „Czytelniku" zacząłem od propozycji założenia nowej serii i od razu spotkałem się z życzliwością i zrozumieniem. W przypadku Polski, gdzie wielu wydawców do dziś traktuje SF z wielką nieufnością, było to ewenementem. Później okazało się, że nie ma warunków do rozwijania tej nowej dziedziny, tak jak ona na to zasługiwała – ambitne plany moje i wydawnictwa zostały więc z konieczności zredukowane. Staram się jako opiekun serii wydawać kilka ambitnych tytułów rocznie, ale pierwotny zamiar przedstawienia klasycznej XX-wiecznej SF nie mógł zostać zrealizowany. Zachodnich pisarzy zgadzających się publikować za złotówki jest bardzo niewielu. Cieszę się natomiast, że udało mi się wylansować Dicka i przedstawić w serii kilku polskich autorów uprawiających fantastykę społeczną, nawet polityczną – czerpiących materiał do powieści z sytuacji, realiów i doświadczeń moralnych naszego społeczeństwa. Jeśli nuży mnie czasem SF, to na pewno nie ten typ fantastyki, w której autorzy konstruują modele przyszłych bądź, mówiąc ogólnie, możliwych światów, wychodząc w swych wizjach od sytuacji realnych.

– Więc jednak nie wymyśliłem sobie tego znużenia?

– Niewątpliwie widzi się w tym gatunku masę powtórzeń i zmarnowanych okazji. Po latach zajmowania się fantastyką rozumiem Lema, który zaczyna pomstować; musi drażnić w fantastyce bezmiar nie wykorzystanych możliwości, smuci jej zjeżdżanie w dół – myślę tu zwłaszcza o fantastyce amerykańskiej. Jest ona niesamowicie skomercjalizowana; żeby się utrzymać na rynku pisarze muszą produkować to, czego oczekuje czytelnik. Ale jednocześnie pozostaje tu pewna ilość książek świetnie napisanych, które błyszczą. Powtarzam to obsesyjnie: strasznie trudno o bezbłędną fantastykę nierealistyczną. Najbardziej ufam tym, którzy startują od realiów, dodają do nich jakiś nowy element i dopiero z tego budują fantastyczne modele.

– Czy na dnie tego wszystkiego nie czai się podejrzenie: fantastyka jest gorszą, drugorzędną odmianą literatury? Ergo – nie jest literaturą prawdziwą?

– Na pewno nie da się fantastyki rozpatrywać wyłącznie w kategoriach czysto literackich, nie da się jej sprowadzić do problemu stylu i pięknego pisania. Fantastyka poszerza możliwości literatury, dostarcza pisarzom większej ilości instrumentów, ale skorzystanie z tej szansy wymaga po prostu nowego, innego rodzaju talentu. Często bywa tak, że kiksują zarówno pisarze fantastyczni próbujący uprawiać literaturę normalną, literaturę głównego nurtu, jak i odwrotnie – dobrzy pisarze tradycyjni ponoszą klęski na terenie SF.

– Czyli jednak getto?

– Niekoniecznie, to co mówiłem dotyczy głównie rynku amerykańskiego. Amerykanów obciąża tradycja, ich fantastyka rodziła się w podrzędnych, brukowych pisemkach poza głównym nurtem literackim. Na przykład to wszystko co w fantastyce europejskiej wraz z towarzyszącym jej ruchem fanów jest podrzędne – stanowi sztuczny import ze Stanów powstały pod naciskiem tamtejszego układu. Ale i tak poziom fanów europejskich jest znacznie wyższy. To Europa odkryła Dicka, Amerykanie od Francuzów dowiedzieli się, że mają tak wspaniałego pisarza. W ogóle czytelniczy rynek europejski prezentuje wyższy poziom, tu nigdy nie było getta SF – uprawiali fantastykę Wells, Čapek, Verne – punkt wyjścia i dojścia fantastyki europejskiej jest inny. W literaturze brytyjskiej na przykład nie ma podziałów, wielu pisarzy przechodzi swobodnie od jednego gatunku do drugiego. W Polsce, w której fantastyka ma bardzo przyzwoitych literackich antenatów, istnieje silny nacisk rynku na dobrą, ambitną SF.

– Może dlatego, jak słychać, w USA w przeciwieństwie do Europy, notuje się załamanie rynku SF?

– Tak, istnieje tam taki efekt, lecz wiąże się również z głębszymi przekształceniami kulturowymi. Młodzież w Stanach odchodzi nie tylko od

Recenzje

LF, CZYLI LEM-FICTION

Najnowsza powieść Lema rozwija się zwodniczo, napięcie równomiernie narasta, stężenie problemów także i krytyk próbujący ułatwić sobie pracę czynieniem notatek na bieżąco, im dalej zagłębia się w lekturę, tym bardziej podejrzewa, iż – być może – nie wybrał właściwej metody. Zrazu, że użyję porównania właściwego dla okolic, w których Lem przebywa, jest to spacerek równą polną drożyną. Potem ścieżka wchodzi na łagodne pagórki. „Nic to" – mówimy, ale oto zaczynają się kamyki, potem skalista wspinaczka z klamrami... Wreszcie trawersujemy nieskończoną liczbę przewieszek i klnąc przewodnika, który zmylił nas początkową łatwością, gramolimy się na szczyt. Za nami wysokogórska wspinaczka, przed nami perspektywa trudnego powrotu i strome skaliste urwisko wielokilometrowej głębokości. W dodatku zjawia się mgła i zapamiętane wrażenia z pierwszej części wycieczki przestają być jakby istotne. Oto strukturalny opis książki Lema, taki jak ja ją postrzegam.

Na tym pierwszym etapie lektury czytelnik nie może oprzeć się wrażeniu, że przyłapuje Lema na autoplagiacie. Jak Giorgio Chirico, który, gdy mu nie wyszło z odrzuceniem przyjętej a pokupnej konwencji malowania, wracał po kryjomu do oficjalnie zarzuconej techniki i kierując się żądzą zysku wypuszczał na rynek antydatowane obrazy, tak i Lem zdaje się zrazu naśladować siebie z wcześniejszego okresu. W szwajcarskiej przygodzie Ijona Tichego z kombinatorem Küssmichem, we wplecionej w to, świetnej nawiasem mówiąc, powracającej jak echo dykteryjce o srebrnych łyżeczkach i dochodzącej sprzątaczce, w językowych żartach i fabularnie niezobowiązującej szarży, w nabijaniu się z ziemskich dziwactw z punktu widzenia zdziwionego Marsjanina (Encjanina) – czuje się dawnego Lema. Tego od „Cyberiady" i „Ratujmy kosmos". Przejścia do tematyki poważniejszej są trudno uchwytne. Jeszcze kiedy Lem pokazuje nam Tichego jak w zuryskich archiwach Instytutu Maszyn Dziejowych, krzepiąc się kawą, keksami i koniakiem studiuje materiały MSZ (Ministerstwo Spraw Zaziemskich) na temat przyszłego życia na Encji – jeszcze, powiadam, smakuje to jak swoista Lemowska groteska, której walory rozrywkowe przeważają nad ładunkiem myślowym. Byłożby to to samo pióro, które poczęło krytyczną „Fantastykę i futurologię" i perfekcyjną „Doskonałą próżnię" – pytamy z przekąsem – Lem się cofa? Ale on się nie cofa, tylko bierze rozbieg.

Skok na Encję, planetę leżącą gdzieś w przestrzeni, o 249 lat odległą w przyszłość, jest zarazem skokiem w sam środek naszych ziemskich problemów. Problemów – nie realiów. Encjanie są swoistym skrzyżowaniem ptaków i ludzi, a Encja jest planetą podzieloną na dwa obozy. Mieszkańcami jednego są Luzańczycy; szczęście powszechne uczynili oni regułą, żyją w technologicznym raju, którego przed agresją wewnętrzną i zewnętrzną strzeże etykosfera i jej miecze – bystry – mądre, tresowane do czynienia dobra atomy. Obóz drugi wyznaje ideę miastochodu; jego obywatele mieszkają w trzewiach olbrzymich stworzeń zwanych kurdlami i mimo licznych niewygód, w myśl wskazań Przewodniczącego, poczytują sobie taką wersję istnienia za idealną. To znaczy taki jest oficjalny obraz sytuacji. W praktyce jedni i drudzy są zadowoleni nie do końca, jednym brakuje wygód, drugim odrobiny przeciwieństw i przemocy, będących solą rozkoszy. W kurdlach jest ciemno, ciasno i hałaśliwie. Z kolei kiedy dłoń Luzańczyka zaciśnie się w pięść by porazić swojaka, przesycony bystrami rękaw marynarki nagle tężeje na stal uniemożliwiając wyprowadzenie ciosu. Bystry, inteligentne atomy, są – jak widać – rozwiązaniem jurystycznie poręcznym, ale Luzańczycy, nie mogąc uczynić na co dzień bliźniemu nic złego, podobnie jak byłoby z ludźmi na ich miejscu, męczą się piekielnie. Z kolei mieszkaniec kurdla, mimo iż uważa swą egzystencję za dolegliwą, kiedy przyjdzie mu opowiadać o swym losie przybyszowi z Ziemi – słowem pokrętnym, zniewolonym, przeczącym sobie, broni jednak idei miastochodu. Widać inaczej już nie umie albo takie właśnie zachowanie poczytuje sobie za swą patriotyczną powinność. Luzańczycy zazdroszczą trochę Kurdlandczykom i odwrotnie... W tym krótkim streszczeniu czynię Lemowską alegorię kostropatą i dosadną, ale ona taka nie jest, o czym łatwo się przekonać sięgając po książkę. Zresztą czy jest to alegoria?

Właśnie. Czyniono Lemowi zarzuty, że jego podteksty i aluzje są tak wysmakowane, tak wytarzane w kulturze, językowych persyflażach, fabularnych igraszkach i perlistym dowcipie, iż w krańcowym przypadku jedynym czytelnikiem rozumiejącym przesłania Lema jest on sam (i ewentualnie przygarść przyjaciół). „Alegoria sparaliżowana" – to tytuł eseju poświęconego Lemowi, który znalazł się w książce A. Zagajewskiego i J. Kornhausera

fantastyki, ale od czytania w ogóle. Czytelnictwo przegrywa już nie tylko z telewizją, lecz także z olbrzymim przemysłem gier video, który ma budżet kilkakrotnie większy od hollywoodzkiego. Są to gry bardzo skomplikowane, gry strategiczne, gry dające możliwość wchodzenia w pewne role w sposób bardzo intensywny i angażujący. W związku z przeludnieniem i tłokiem społeczeństwa masowego zyskuje prymat rozrywka nie wymagająca wychodzenia z domu i kontaktów z innymi. Człowiek wraca tam z pracy, ze szkoły i gra z komputerem, zakłada słuchawki, przesłania oczy specjalną opaską dod a jącą do muzyki efekty barwne – słowem podłącza się do kontaktu. To fascynujące i niebezpieczne zjawisko, zawiera się w nim możliwość katastrofalnej atomizacji społecznej. Ale przecież podobnie człowiek czytający był głuchy na otoczenie, żył cudzym życiem, także czytając „gramy" w cudzy model świata. Nie chciałbym potępiać tej nowej kultury, stwierdzam jej inność i trochę boleję nad schyłkiem mojej formacji.

– Ludzi książki i słowa takie zjawiska wyrzucają na margines kultury. Choćby dlatego powinniśmy się przed nimi bronić.

– A może powinniśmy spróbować zaszczepić na tej nowej kulturze wartości, które pozostają wieczne – niezależnie od form i środków, jakimi się je przekazuje? Można przyjąć wobec tych nowych zjawisk postawę ciekawości i akceptacji albo przeciwnie – opierać się, nie przyjmować zmian do wiadomości, nostalgizować przeszłość tak jak to robi Bradbury. Może wybrać jakieś rozwiązania pośrednie – dać się częściowo nieść temu nurtowi zachowując postawę badacza i eksperymentatora... Tylko że, mówiąc prawdę, to nie są polskie problemy. Potrzebujemy w Polsce dobrej prozy SF, a tu tymczasem do problemów dewizowych dołącza się lęk i niepewność wydawców wobec gatunku. Trudno jest o debiut SF; autorzy dobrzy, sprawdzeni czekają na wydanie wartościowych książek po trzy lata i więcej. I w tej sytuacji niewyrobiony kandydat na czytelnika nie tyle dostaje się w otchłanie elektronicznych rajów i psychodelicznych uniesień, ile zostaje wydany na pastwę półamatorów i hochsztaplerów SF. Widziałem książkę wydaną prywatnie, była tam nowela „Gwiezdne wojny" koszmarnie przetłumaczona, bez przecinków przed „który" i „że". Egzemplarz kosztuje 500 zł i są ludzie, którzy to kupują, a to jest już czyste szkodnictwo kulturalne.

– Wielu wydawców uruchomiło jednak serie fantastyki. Liczba książek SF, a w tym i dobrych książek, będzie się więc chyba zwiększać. Podobnie zasada samofinansowania wydawnictw będzie raczej działać na korzyść polskich autorów SF. A może powinniśmy domagać się dodatkowych inicjatyw?

– Była interesująca próba promowania fantastyki – nieco zagadkowa Nagroda MKiS za polską książkę SF. Przyznano ją raz jeden w 1980 roku Januszowi Zajdlowi za powieść „Cylinder Van Troffa". Kontynuacja tego przedsięwzięcia na pewno miałaby sens, nadawałaby tej literaturze jakąś rangę, wzbudzałaby dodatkowe zainteresowanie. Ale oczywiście i bez tego polska SF rozwija się nie najgorzej, choć na różnych poziomach. Natomiast wydawcy dopiero uczą się myśleć nowymi kategoriami, negatywne skutki wydania złej, niechodliwej książki były i ciągle są jeszcze dla nich zbyt małe. Stąd udają się i dziś różne naciski, istnieje pewien typ doskonale zbędnych wydań prestiżowych, wydawcy nie nauczyli się jeszcze odmawiać ludziom upartym i obrotnym, a piszącym książki pozbawione większej wartości. Trwają nieuczciwe praktyki ze zbiorami opowiadań, w których więcej niż połowa to teksty już znane. Był to taki nie sformułowany expressis verbis program dofinansowania autorów, ale to będzie musiało się skończyć.

– Parę słów o polskiej SF. Widzę jakby dwie pułapki czyhające na autorów. Z jednej strony pokusa mnożenia niezobowiązujących kosmicznych igraszek i prób rodzimej „fantasy", z drugiej groźba ugrzęźnięcia na długo w dystopijnej „political fiction".

– Tego drugiego nie nazwałbym pułapką, lecz raczej krańcem polskiej SF. Owszem, igraszki są pułapką, korzystanie z realiów z trzeciej ręki, mnożenie fabuł dziejących się w nieokreślonej przyszłości, unikanie problemów współczesnych, lokowanie akcji w wyobrażonej Ameryce Południowej i Północnej – to symptomy podrzędnej literatury. Ale kiedy pisarz mówi o tym co boli, kiedy czerpie z rzeczywistości swego społeczeństwa, to musi być dobre, także w fantastyce. Zestawienie realistycznego szczegółu z fantastycznymi sytuacjami dostarcza siły prozie. Uważam to właśnie za najmocniejszą cechę polskiej fantastyki, że odwołuje się, choćby nie wprost, do znanych sytuacji. Taką literaturę robi Lem, Zajdel, Wnuk-Lipiński... W taki cykl społecznej SF układają się na przykład wszystkie polskie powieści, które dotychczas wydałem w „Czytelniku". Podobnych książek nie ukazało się u nas jeszcze zbyt wiele, natomiast zainteresowania społeczne naszych autorów są dobrze widoczne w polskim opowiadaniu; to znamienna cecha odróżniająca naszą literaturę od światowej.

Ciąg dalszy na str. 56

„Świat nie przedstawiony" (1974), stawiającej całej polskiej prozie powojennej zarzut nieumiejętności przedstawienia świata, w którym żyjemy. Od tego czasu wiele się jednak zmieniło, dziś wszyscy rozumieją wszystko, ba, szukają aluzji i alegorii także tam gdzie ich nie ma. A takim czytelnikom Lem, wczorajszy i dzisiejszy, nie ułatwi czytelniczej drogi na skróty. Owszem, rozpoznajemy w „Wizji lokalnej" okruchy otaczającego nas świata. Jest tam i banda czworga, i terroryzm, i napomknienie o Pol Pocie, i wdrażane przymusowo społeczne raje, i fiaska tych wdrożeń, i propagandowe przemilczenia, i wyścig zbrojeń, i szaleństwa filozofów i polityków, i obsesja powszechnej inwigilacji... Nie ma jednoznacznego przesłania przeciw komuś lub czemuś, takiego jak przesłanie na przykład „Małej apokalipsy" Konwickiego.

Lem biega w innej konkurencji niż Konwicki, mimo powieściowego sztafażu jest znacznie mniej werystyczny; jeśli „Wizja lokalna" jest jednak powieścią, to jest to przede wszystkim powieść idei, a nie powieść-przedstawienie. Trudno jednocześnie powiedzieć co tu jest wykoncypowanym szyfrem, a co osobistą predylekcją. Sądzę, że więcej jest drugiego niż pierwszego. Natura talentu Lema jest taka, iż w dziele literackim nie daje mu satysfakcji oświetlenie problemu z jednej tylko strony, lecz z wielu, i że musi się to dziać nie na poziomie poglądów potocznych, lecz na szczytach ludzkiej myśli. Wyklucza to raczej jednoznaczność, przesłanie jest nie do odklejenia od fantastyczności i odwrotnie – jest to swoistość, na którą trzeba umieć przystać i którą warto się delektować.

Oczywiście, ma „Wizja lokalna" składową stałą – jest nią niewiara w ostateczną społeczną i indywidualną doskonałość, w egzystencję idealną, bez cierpień. Jeśli doniosą wam kiedyś, że się taka sztuczka udała – zdaje się mówić Lem – nie wierzcie, to wszystko musi być podszyte tęgim fałszem, a czasem i potężnym łajdactwem (zagłada Kliwii). Ale Lem nie mówi tego wszystkiego wprost, lecz na przykład konstruuje scenę, w której „skasetowani filozofowie" mogą się spierać za sprawą maszyny, a podobnie skasetowany Szekspir dołącza się do ich sporu na temat ludzkiego szczęścia piękną mową wiązaną. Jest to alegoria, a jakże, ale mimo iż rozumiem intencje Zagajewskiego, przecież nie paraliż okazuje się cechą dojmującą alegorii Lema, lecz raczej nadlotność.

Lem, chcąc czy nie chcąc, wytwarza obecnie obiekty kultury; problematyka dzieła nie wiąże mu się na poziomie indywidualnego dramatu, lecz na poziomie globalnego sporu idei. Jest to uzasadnione o tyle, że również problemy naszego świata są nie do rozwikłania na poziomie jednostkowym i trzeba je będzie gryźć globalnie. Tak więc, może poza zakończeniem, przygoda Tichego na Encji nie zyskuje tej autopsyjnej intensywności, jaka była jeszcze w „Solaris" czy „Niezwyciężonym". I z tego zapewne powodu mistrz już od lat zostawia na zakrętach całe masy nie nadążających czytelników spragnionych wartkich przejrzystych fabuł. Na szczęście, czy na nieszczęście, dzisiejszy czas przysporzy mu, przynajmniej w Polsce, nowych czytelników, nową publiczność, dla której problematyka społeczna i pytania o granice socjalnego zorganizowanego szczęścia nie są ani fantastyczne ani abstrakcyjne.

Gorzej z tymi, którzy dostrzegą w „Wizji lokalnej" jedynie sporą garść nowych SF-istycznych pomysłów do podchwycenia w swej raczkującej gettowej prozie. Bystry, etykosfera, socjomaty, Ministerstwa Spraw Zaziemskich i bezlik dowcipnych pomysłików, które autor rozrzucił po książce i uszeregował w dołączonym do niej Appendixie – dadzą się łatwo wykorzystać, to jasne. Nieożywione Lemowskimi, a więc i naszymi dylematami, staną się jednak jedynie liczmanami pustej zabawy. Będzie tak, jakby ktoś naśladował Szekspira pisząc sztukę do jego dekoracji i kostiumów, zapamiętując z „Hamleta" to jedynie, że powinien być król, królowa, duch, zamek i grabarz bawiący się czaszkami.

To zresztą sprawa tła. Dziś interesujące i ważne jest jedno. Mistrza bawi jeszcze fantastyka i chce mu się ją pisać. To dobrze, miliony czytelników potencjalnych i wirtualnych odetchnęły z ulgą. Tak mało mamy mistrzów.

Maciej Parowski

Stanisław Lem *„Wizja lokalna"* Wydawnictwo Literackie, Kraków 1982. Cena 100 zł.

■

POLSKA I RESZTA ŚWIATA

Ciąg dalszy ze str. 55

– Czym w takim razie zajmuje się świat?

– Następuje wzrost znaczenia fantastyki baśniowej. Wpływ Tolkiena obrodził tam takim zainteresowaniem. Ta literatura, częściowo eskapistyczna, „ucieczkowa", wiąże się z rozczarowaniem w stosunku do techniki i nauki, z ogólną rehabilitacją magii, astrologii, metod medycyny ludowej. Ale kiedy dochodzi do tej tematyki problematyka moralna, otrzymujemy w efekcie prozę równie ważką jak każda inna.

– Po Lemie będącym wielkością samą dla siebie, po Zajdlu, Fiałkowskim, Hollanku, Boruniu, Prostaku, Snergu – zjawia się w polskiej prozie SF nowa generacja. Idą dwudziestotrzydziestoparoletni. Czy zna Pan tych nowych tak dobrze jak poprzedników? Jakie są wyróżniki tej nowej generacji?

– Młodzi przyszli do literatury w nowej sytuacji. Istniał już ruch, oni chcieli pisać SF, znali literaturę zagraniczną z tłumaczeń i oryginałów. Sytuacja jest jeszcze nie wyjaśniona, nie wiadomo który z nich i kiedy zostanie rasowym pisarzem. Dużo w tym wtórności, jak zawsze kiedy się zaczyna i próbuje, ale pozytywne jest, że ta generacja nie odczuwa przytłoczenia Lemem. Zna go, uznaje, ale nie występuje tu już efekt zapatrzenia. Dziesięć lat temu każdy zaczynający pisał przynajmniej jeden kawałek pod Lema. Teraz, może dlatego że jest więcej wzorów, nie ma tej prawidłowości; wielu ludzi poza tym idzie własną drogą. Tamta starsza generacja była może bardziej techniczna, ta jest raczej literacka, pluralistyczna. To są dzieci duchowego kryzysu, wiele złudzeń upadło, istotna jest dla nich problematyka moralna, sięganie po wzorce z naszego życia. Nie tkwię po uszy w ruchu fanów, jak kiedyś, ale wielu z nich znam: Zimniaka, Krzepkowskiego; jestem zaprzyjaźniony z Oramusem, Żwikiewiczem. Krzepkowski ma interesujące rzeczy; nie widziałem jego do końca udanej realizacji, ale on poważnie podchodzi do swojej twórczości. Zimniak – interesujący talent, delikatny. Żwikiewicz – bardzo interesujący, robi literaturę jakby neoromantyczną, szkoda że trochę za mało opublikował, wielu rzeczy nie ukończył, ma je w portfelu, ale i tak wywiera istotny wpływ na młodą generację. Pisze trudną literaturę, operuje obrazami, to jest rozbuchane, czasem męczące, ale myślę, że opłaca się zajrzeć do jego światów. Tam się dzieją interesujące rzeczy.

– To czemu Pan nie wydaje jego książki?

– Muszę na nią namówić redakcję literatury polskiej, ale jak powiedziałem, Żwikiewicz nie złożył jeszcze swego cyklu w całości. Chciałbym, żeby to zrecenzował Henryk Bereza, on lubi popierać rzeczy wymagające inteligentnego czytelnika, któremu chce się współpracować z autorem. Przy poparciu Berezy może się uda.

– Mimo trudności zdołał Pan w ciągu paru lat wydać kilkanaście znaczących i komplementarnych wobec siebie pozycji. Dwie książki Dicka, powieści Strugackich, Leibera, Harrisona; nowela polska, amerykańska, radziecka; kilku Anglosasów, jeden Francuz, cztery powieści polskie... Co zapowiada „Czytelnik" w najbliższej przyszłości?

– Bayleya „Kurs na zderzenie", Vonneguta „Syreny z Tytana", Comptona „Śmierć na żywo" i opowiadania Kuttnera – dowcipne, inteligentne teksty amerykańskkiego autora, który dominował na tamtym rynku pod wieloma pseudonimami w latach czterdziestych. Z powieści polskich – nową rzecz Zajdla i brawurowy debiut Marka Oramusa „Senni zwycięzcy".

– A czego moglibyśmy się spodziewać, gdyby życie nie rzucało nam kłód pod nogi? Jakie książki ukazałyby się w serii, gdyby niemożliwe okazało się raptem możliwe?

– Wydałbym ważne powieści A. Bestera, T. Sturgeona, Ch. Priesta, B.W. Aldissa, R. Heinleina, U. Le Guin... W przypadku Le Guin to istotna sprawa, znamy jej opowiadania, ale ona akurat najlepsza jest w powieściach.

– Spróbujemy nie czekać z założonymi rękami i podjąć próbę wydrukowania którejś z tych książek na naszych łamach. Bardzo dziękuję Panu za rozmowę.

Notował **Maciej Parowski**

● ●

KOSMOS ZACZYNA SIĘ NA ZIEMI

Przelicytował Dänikena

Trzydziestoczteroletni Austriak Walter Hein, pracujący jako operator komputera, od wielu lat jest zafascynowany problematyką odwiedzin z kosmosu. Uważa on, że skoro NASA nie znalazła – mimo nieustannych poszukiwań – śladów życia istot rozumnych na Marsie, to jest to najwymowniejszy dowód, że to życie istniało. Na poparcie swojej tezy przytacza teorię, według której seria wybuchów bomb wodorowych w atmosferze i w morzach naszej planety zmieniłaby skład ziemskiej atmosfery. Pod olbrzymim ciśnieniem i w temperaturze rzędu milionów stopni jądra azotu zmieniłyby się w jądra krzemu w efekcie gigantycznej reakcji łańcuchowej. Pokryta piaskiem martwa Ziemia wyglądałaby jak dzisiejszy Mars. Hein twierdzi również, że Marsjanie musieli uciec przed zagładą na Ziemię. Jego książkę „My z Marsa", wydaną przez Ellenberg Verlag, reklamuje się jako: „trzymającą w napięciu i nie obciążoną zbytnim balastem naukowym".

Laser w każdym domu

Do tej pory była to kosztowna zabawka – laser potrzebuje stosunkowo dużej energii zasilania, by mógł funkcjonować jako wzmacniacz światła. Prowadzone od kilku lat prace naukowców z NASA (laboratorium w Langley, USA) dowiodły, iż jest możliwe bezpośrednie zasilanie laserów energią słoneczną. Skonstruowany już laser gazowy, zasilany baterią światłowodów, ma na razie moc kilku watów i sprawność rzędu 0,1%. Przewiduje się, że udoskonalone wersje tego typu lasera znajdą zastosowanie w badaniu przestrzeni kosmicznej. Może jednak już za parę lat lasery te wrócą na Ziemię?

Astronomowi na urlopie...

... na pewno przyda się Astrocan 2001, czyli przenośny teleskop o kształcie kuli. Waży zaledwie 4 kg i ma długość 40 cm, dzięki czemu można go swobodnie nosić na ramieniu. 144-krotne powiększenie uzyskuje się dzięki zwierciadłu o średnicy 10,8 cm. Za pomocą Astrocanu można dojrzeć pierścienie Saturna, a także dokonać zdjęć, używając go jako teleobiektywu o ogniskowej 1 100 mm. Przy tych parametrach Astrocan 2001 powinien okazać się doskonałym sprzętem także i dla wszystkich ufologów. W braku NOL-i zawsze można przecież poobserwować sąsiadów.

SF po szwedzku

Denis Lindbohm z Malmö postanowił założyć własne przedsiębiorstwo, zajmujące się sprzedażą książek SF i fantastycznych oraz wszelkiego rodzaju artykułów związanych z tym tematem. Firma ma nie być nastawiona na zyski, w co jest o tyle łatwo uwierzyć, że fundusze na ten zbożny cel pan Denis zamierza zdobyć sprzedając (i drukując) książkę pt. „Echo nad mostem" poświęconą... reinkarnacji.

Znany szwedzki pisarz Sam J. Lundwall postanowił powrócić do swojego pierwszego zawodu – piosenkarza. Nagrał dla radia piosenkę pt. „Elle Dolores" napisaną wspólnie ze swoim przyjacielem Michaelem Tretowem, inżynierem i producentem zespołu Abba. Ta nagła miłość do piosenki może być związana z najnowszą nowelą Lundwalla pt. „Crash", opartą na „dzikim życiu podczas konwencji Amerykańskiego Stowarzyszenia Pisarzy SF w Nowym Jorku". Mówi się w związku z tą nowelą, że jej zawartość nie jest oparta wyłącznie na wyobraźni autora.

AAS...

... to Stowarzyszenie Paleoastronautyki. Jego celem jest poszukiwanie, wymiana i publikowanie poszlak wskazujących na fakty, że w czasach prehistorycznych Ziemia gościła rozumne istoty z kosmosu oraz, że nasza obecna cywilizacja nie jest pierwszą na Ziemi, lecz jedynie którąś kolejną w cyklu. Wydawany w kilku językach „Ancient Skies" jest oficjalnym biuletynem AAS, zamieszczającym wszelkie, nawet najbardziej karkołomne teorie. W listopadzie bieżącego roku odbyła się w Wiedniu 8. Światowa Konferencja AAS. Niestety, nie przybył na nią żaden starożytny paleoastronauta.

Ze świata fikcji

Wiceprzewodnicząca Amerykańskiego Stowarzyszenia Pisarzy SF Marta Randall oznajmiła latem tego roku, że pisarce Lizie Tuttle nie wolno jest wycofać swojej książki „The Bone Flute" z listy książek nominowanych do nagrody Nebula. Pani Tuttle zażądała wycofania swojej książki z puli pozycji, spośród których wybiera się laureata tej nagrody, motywując to tym, że wiele nominacji jest „załatwianych" przez rozsyłanie darmowych egzemplarzy wśród członków Amerykańskiego Stowarzyszenia Pisarzy SF. Mimo to jej książka uzyskała Nebulę 1982 w dziedzinie opowiadań.

■

NASZA LISTA BEST-SELLERÓW

Wrzesień okazał się miesiącem dosyć dla czytelników fantastyki naukowej łaskawym. Nakładem czterech wydawnictw ukazało się na księgarskich ladach pięć nowych książek. Są to: od dawna oczekiwane *„Zadanie"* węgierskiego pisarza Petera Zsoldosa (książka zapowiadana przez „Iskry" od siedmiu lat), nowa książka Stanisława Lema *„Wizja lokalna"* wydana nakładem „Wydawnictwa Literackiego", tegoż „Wydawnictwa Literackiego" publikacja klasycznej, mało znanej polskiemu czytelnikowi fantastycznej powieści Marka Twaina *„Tajemniczy przybysz"*, dwudziesty drugi tomik popularnej serii „Naszej Księgarni" „Stało się jutro" – *„We własnej skórze"* Dariusza Filara oraz umownie tylko do fantastyki zaliczana symboliczna powieść Jamesa Grahama Ballarda *„Wyspa"* wydana nakładem „Czytelnika". Ceny wszystkich pozycji, jak na obecne warunki księgarskiego rynku, stosunkowo przystępne, więc i żadna z wymienionych pozycji długo na księgarskich ladach miejsca nie zagrzała.

Nieprzyjemną raczej niespodzianką jest nowa (trzecia już z kolei) forma edytorska serii „Fantastyka-Przygoda" „Iskier". To fakt, że w dobie kryzysu poligraficznego wydanie książki coraz bardziej uzależnione jest od warunków technicznych, lecz jej wystrój graficzny to już sprawa wydawcy. Złaknieni miłośnicy SF *„Zadanie"* wykupili, ale z pewnością wielu zaklęło szpetnie będąc zmuszonymi do zaakceptowania kolejnej zmiany wyglądu zasłużonej bądź co bądź serii.

„Czytelnik" wydał Ballarda poza serią i było to na pierwszy rzut oka pociągnięcie słuszne. Chociaż... skoro książka wyskoczyła z gatunkowego getta, byłaby to tylko nobilitacja i tak najciekawszej na naszym rynku serii, a tym samym pewna nobilitacja gatunku. Taka bowiem bywa współczesna fantastyka i trzeba to sobie jasno powiedzieć. Na ostatnim kongresie SF widziałem kilka różnych wydań *„A Concrete Island"* i wszystkie zupełnie dobrze mieściły się w szatach serii fantastycznych. A potem będziemy po raz kolejny mówić o słabości i miałkości gatunku...

Trzy spośród wymienionych książek trafiły na naszą wrześniową listę. Zamknięta zgodnie z zasadami 30 września przedstawia się tym razem następująco:

A.W.

W drodze powrotnej ze swego biura młody architekt – Robert Meitland staje się ofiarą wypadku samochodowego. Jego wóz przebija chroniącą autostradę barierę i ląduje na niewielkim wrakowisku, 10 metrów poniżej poziomu drogi. Sam bohater doznaje licznych obrażeń, nie na tyle jednak groźnych, by nie mógł podjąć prób wydostania się ze swojej pułapki. Wkrótce okazuje się, że na pozornie bezludnej wyspie rzuconej w nurt betonowych dróg nie jest sam...

Symboliczna powieść znanego brytyjskiego pisarza, jednego z najgłośniejszych twórców współczesnej fantastyki.

J.G. Ballard *„Wyspa"* Czytelnik 1982, nakład 20000 egz., cena 60 zł.

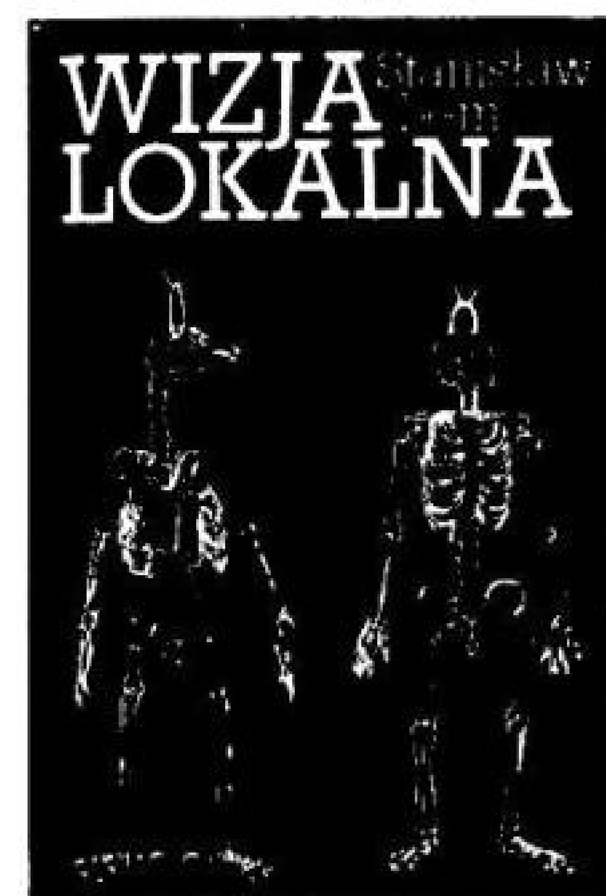
1.	1.	**Stanisław Lem – Solaris** „Iskry"
2.	2.	**Philip K. Dick – Słoneczna loteria** „Czytelnik"
3.	–.	**Stanisław Lem – Wizja lokalna** „Wydawnictwo Literackie"
4.	3.	**Antologia – Spotkanie w przestworzach** „KAW"
5.	5.	**Stanisław Lem – Niezwyciężony** „Iskry"
6.	–.	**James G. Ballard – Wyspa** „Czytelnik"
7.	10.	**Andrzej Krzepkowski – KREKS** „KAW"
8.	4.	**Harry Harrison – Planeta śmierci** „Czytelnik"
9.	–.	**Mark Twain – Tajemniczy przybysz** „Wydawnictwo Literackie"
10.	–.	**Maciej Parowski – Twarzą ku ziemi** „Czytelnik"
—	7.	**Andrzej Krzepkowski – Śpiew kryształu** „Wydawnictwo Lubelskie"
—	–.	**Dariusz Filar – We własnej skórze** „Nasza Księgarnia"
—	8.	**Stefan Wul – Remedium** „KAW"
—	9.	**Janusz A. Zajdel – Ogon diabła** „KAW"
—	–.	**Kate Wilhelm – Gdzie dawniej śpiewał ptak** „Czytelnik"

Trójka młodych chłopców mieszkających w XVI-wiecznej Austrii spotyka na swej życiowej drodze tajemniczego przybysza – szatana, a zarazem anioła. Spotkanie to staje się bodźcem do zstąpienia w podświadomość... Wspaniała, klasyczna opowieść znanego amerykańskiego pisarza, którą z pewnością uznać można za jeden z pierwowzorów tak modnej w ostatnich latach „inner space".

Mark Twain *„Tajemniczy przybysz"* Wydawnictwo Literackie 1982, nakład 100000 egz., cena 60 zł.







KOSMICZNE STATKI PROROKA EZECHIELA

Zawarte w Piśmie Świętym wzmianki o dziwacznych urządzeniach od wielu wieków były pożywką dla spekulacji i domysłów mających na celu znalezienie, jeśli nie racjonalnych, to przynajmniej dających się zaakceptować sposobów wyjaśnienia starożytnych wydarzeń. Do zrekonstruowania modelu czegoś, co przed dwoma i pół tysiącami lat widział i czego doświadczył jeden z czterech wielkich proroków żydowskich, wykorzystano współczesną wiedzę techniczną i najnowsze metody badawcze.

Moje zaangażowanie w sprawę gości z kosmosu zaczęło się od reakcji skrajnie negatywnej. Pracując od 1934 r. jako inżynier lotnictwa – najpierw przy konstruowaniu i badaniu samolotów, a następnie przez 15 lat przy konstruowaniu i unowocześnianiu zarówno urządzeń nośnych, jak i statków kosmicznych – w sposób niejako naturalny znalazłem się w doskonale obwarowanym obozie tych, którzy utrzymywali, że odwiedziny przybyszów z kosmosu są niemożliwe.

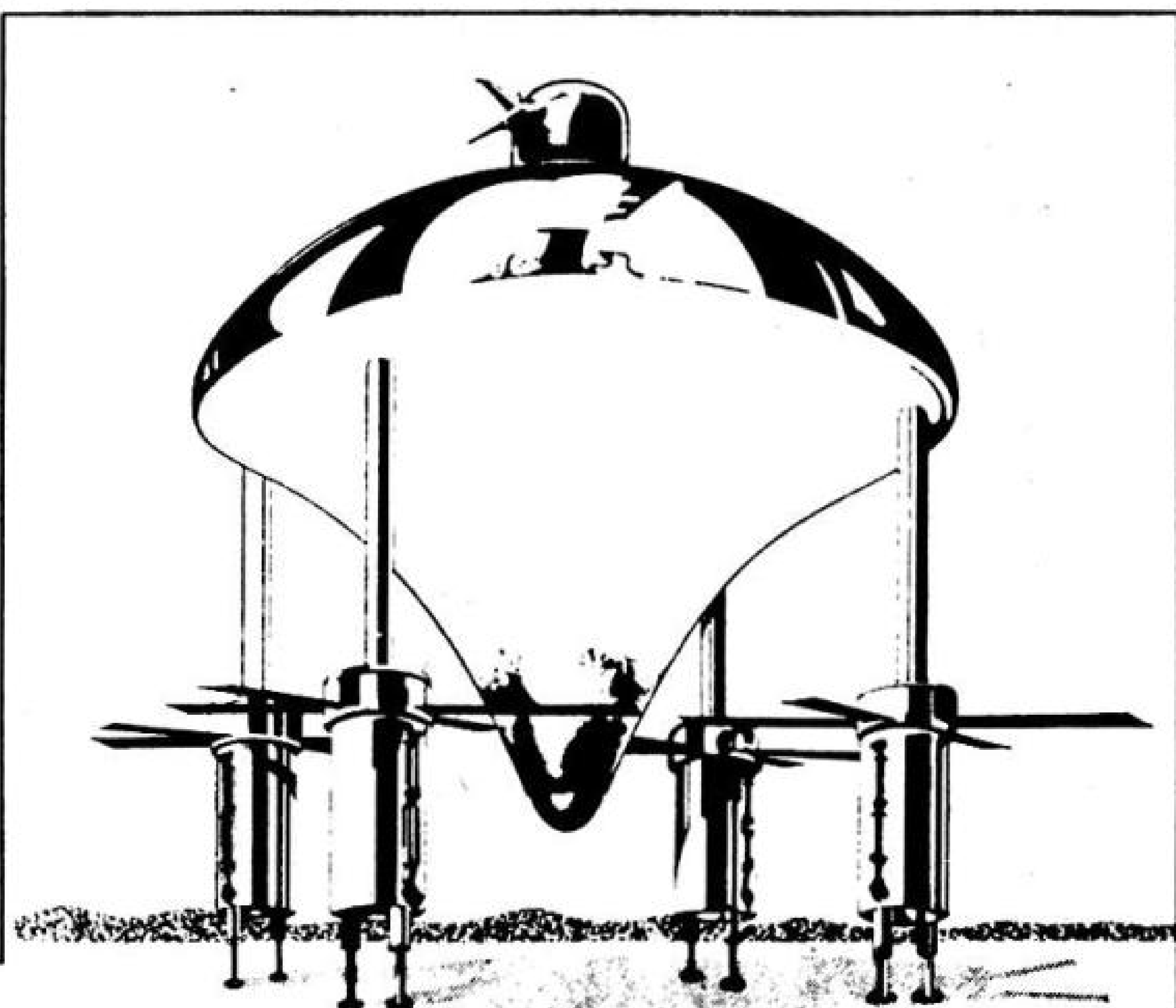
Z takim też nastawieniem zacząłem czytać książkę Ericha von Dänikena „Rydwany Bogów". Fakt, że autor utrzymuje w niej, iż prorok Ezechiel miał spotkanie z istotami kosmicznymi zachęcił mnie do uważnego przeczytania biblijnej Księgi Ezechiela. Chciałem udowodnić, że von Däniken nie ma racji. Jednak zanim dotarłem do Wersetu 7 w pierwszym rozdziale złapałem się na tym, że interpretuję opis nóg służących do lądowania, nóg jakiegoś latającego pojazdu: „Ich nogi były proste, a stopa ich nóg była jako kopyto cielęcia i lśniły jak polerowany brąz". Ponieważ sam byłem konstruktorem podobnych urządzeń, a później je testowałem, nie mogłem zaprzeczyć, że można było w tekście odnaleźć bezpośredni, choć uproszczony, opis techniczny.

Kontrast, jaki stanowił ten całkowicie zrozumiały ustęp z absolutnie niejasnymi obrazami naszkicowanymi w pozostałej części rozdziału sprawił, że pojąłem, iż prorok nie mógł zdawać sobie sprawy z tego, co zobaczył – i nie mógł tego zrozumieć. Pojąłem, co zresztą było niewątpliwie konsekwencją pierwszej refleksji, że prorok Ezechiel swoje spotkania z pojazdami kosmicznymi i ich załogami był w stanie opisać jedynie za pomocą dostępnych mu pojęć i porównań, a więc pojęć znanych jemu i jego współczesnym. Od tego momentu zacząłem brać Ezechiela poważnie – w sensie inżynierskim.

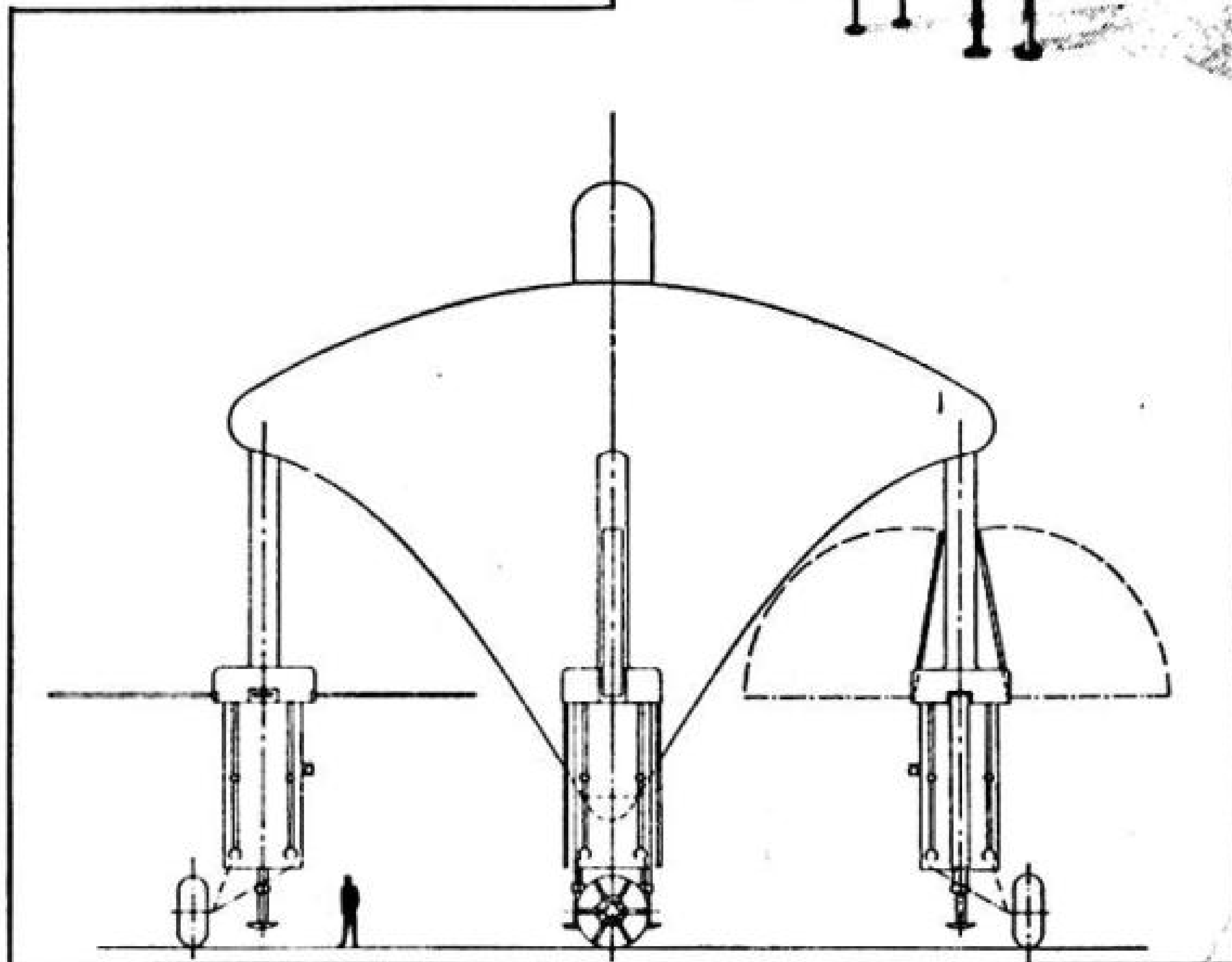
Ponieważ w dalszej pracy musiałem oprzeć się na tłumaczeniach Biblii, korzystałem z sześciu różnych jej wydań (powstałych od początku XIX wieku do roku 1972) i opracowanych przez tłumaczy żydowskich, rzymskokatolickich i protestanckich. Ponadto korzystałem z dwóch bardzo szczegółowych komentarzy do Biblii.

Po zastosowaniu do opisu proroka zasad inżynierii lotniczej (w szczególności zasad konstrukcyjnych śmigłowców) oraz inżynierii statków kosmicznych – mogłem już zweryfikować wizualne opisy Ezechiela i zamiast nich zastosować znane układy strukturalne. Końcowy wynik ukazują zamieszczone ilustracje. Widzimy na nich korpus w kształcie stożka wsparty na czterech urządzeniach uwieńczonych łopatami typu śmigłowcowego; na korpusie umieszczona jest kapsuła systemu kierowania pojazdem z zaokrągloną górną częścią. Trzeba wziąć pod uwagę, że pojazd ten Ezechiel zobaczył po raz pierwszy z odległości 1000 m. W tym momencie jądrowy silnik pojazdu zakończył pracę. Prawdopodobnie pojawiły się przy tym białe obłoki pary (spowodowane fazą „ochładzania się" silnika) wystrzelające w górę wzdłuż korpusu pojazdu.

W tym ognistym, kipiącym otoczeniu Ezechiel dostrzega obracające się łopaty śmigieł, widzi wysunięte odnóża i mechaniczne ramiona przymocowane do urządzeń opatrzonych śmigłami. Jego pierwszą reakcją było porównanie tych urządzeń do sylwetek ludzi. Później jednak używając terminu „żywe istoty" wyraża pełne podziwu wahanie, niepewność. Podczas końcowej fazy podejścia do lądowania i podczas samego lądowania pojazdu Ezechiel zauważa pokrywy ochronne mechanizmów napędowych łopat, które określa przez porównanie ich z ludzkimi twarzami. Rejestruje także rozpaloną do czerwoności chłodnicę – „Coś jakby węgle rozżarzone w ogniu" (Rozdział 1, Werset 13) – pokrywającą część dolną korpusu. Zafascynowany jest „kołami", które dzięki ich znajomej formie są jedynym elementem pojazdu, jaki rozpoznaje, a więc i opisuje bardzo szczegółowo.



Artystyczna wizja statku kosmicznego, jaki widział Ezechiel. Widok z odległości ok. 60 m.



Wizualny opis kół mylnie interpretowano w wielu tekstach i na licznych rysunkach. Nikt nigdy nie brał poważnie opisu funkcjonowania tych kół, który wskazuje, że mogły one poruszać się w dowolnym kierunku bez potrzeby sterowania nimi. Skłoniło mnie to do opracowania precyzyjnej interpretacji technicznej tego opisu. Opatentowałem ją potem w Biurze Patentowym Stanów Zjednoczonych. Szczególnie przydatne jest zastosowanie tego pomysłu do wózków inwalidzkich osób niepełnosprawnych. Znacznie zwiększają one możliwości poruszania się takich wózków.

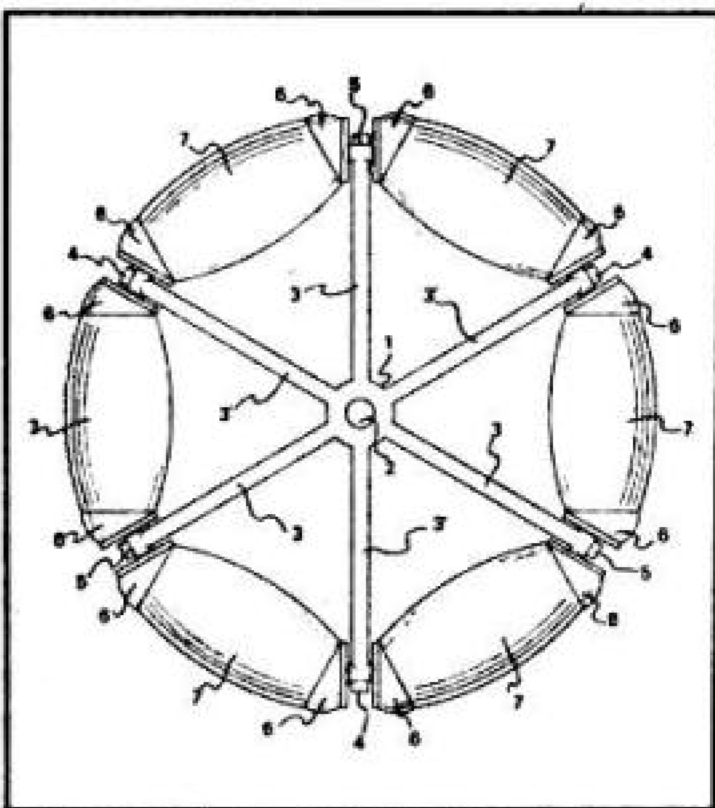
Analityczne badania naukowe

Ezechiel zakończył opis techniczny pojazdu komentarzem na temat członu dowodzenia i samego dowodzącego. Zaskakująca jest liczba szcze-

Wersja inżynierska pojazdu kosmicznego

gółów zawartych w opisie. Znamienny jest również fakt, że prorok opisuje cechy pojazdu mające niewielkie znaczenie, ale które dla nie przygotowanego oka mogą dźwigać ten sam ciężar, co właściwe elementy konstrukcyjne. Korpus statku kosmicznego o stożkowatym kształcie, idealnie przystosowany do współpracy z obracającymi się śmigłami, a zatem najważniejsza struktura pojazdu – już istnieje i jest wynikiem pracy inżynierów. Opracowano go w Langley Research Center przy NASA i przebadano analitycznie, przeszedł też serię testów aerodynamicznych.

Po ustaleniu ogólnej budowy statku kosmicznego dokonałem jego szczegółowej analizy. Jak się wydawało, konstrukcja ta była rozsądna pod względem strukturalnym i funkcjonalnym. To, czy była możliwa do wykonania można było wykazać jedynie poprzez dowód, że waga, rozmiary, funkcje i inne zasadnicze cechy pojazdu mieszczą się w granicach rozsądku. Analiza ta została przeprowadzona parametrycznie, tzn. wymiary, masa i sposób funkcjonowania poszczególnych elementów różniły się w następujących po sobie krokach i były wybrane z szerokiego wachlarza możliwości. Począwszy od pierwszego zgrubnego obliczenia aż po końcową szczegółową analizę, wyniki nie pozostawiały



Wielokierunkowe koło

wątpliwości co do wykonalności takiego pojazdu. Ujawniły one takie ogólne zasady konstruowania statków kosmicznych, które niewiele wykraczają poza nasze najdoskonalsze współczesne rozwiązania. Jedynym elementem, jakiego nie jesteśmy jeszcze w stanie zbudować, jest reaktor jądrowy w układzie napędowym statku. Silnik taki, działający na zasadzie rozszczepienia jąder, musiałby dawać impuls właściwy[1] wynoszący co najmniej 2000 sek. Istniejące współcześnie silniki jądrowe mają impuls właściwy 900 sek. Istnieją jednak podstawy do tego, aby przyjąć, że po upływie kilku dziesięciolecі i po zainwestowaniu odpowiedniego wysiłku badawczego, moglibyśmy dysponować taką mocą.

W rezultacie tych wszystkich dociekań objawił się nam pojazd kosmiczny ponad wszelką wątpliwość technicznie wykonalny i bardzo dobrze przystosowany do spełnienia swoich zadań. Zastosowana do jego budowy technologia wcale nie wydaje się dziwaczna, wręcz przeciwnie, w swoich najbardziej skrajnych aspektach niemal leży w zasięgu naszych obecnych możliwości. Co więcej, wyniki analizy wskazują, że statek kosmiczny widziany przez Ezechiela działał we współpracy z pojazdem macierzystym pozostającym na orbicie okołoziemskiej. Nie mamy, niestety, punktu odniesienia, dzięki któremu moglibyśmy dokładnie oszacować wymiary lądownika. Możemy jedynie podać je w przybliżeniu, i to tylko te, które ustaliłem w trakcie swoich dociekań. Ilustracja ukazuje kształt lądownika i jego proporcje. Średnica korpusu miałaby w tym wypadku wynosić około 18 m, średnica wirników 11 m. Całkowita masa startowa pojazdu, przy starcie z Ziemi do lotu powrotnego w kierunku statku macierzystego, wynosiłaby 100 t. Impuls właściwy silnika 2080 sek. Pojazd mógłby unosić dwóch lub trzech pasażerów.

Wobec takich wniosków musiałem przyznać się do porażki. Napisałem do Ericha von Dänikena list powiadamiający go, że moje wysiłki obalenia jego teorii skończyły się konstrukcyjnym i analitycznym potwierdzeniem istotnej części jego hipotezy. Określenie samej formy, a także wymiarów i zasad funkcjonowania tego czegoś, co widział Ezechiel powoduje, że te ustępy w jego tekście, które przy innej interpretacji nic nie znaczą, nagle stają się zrozumiałe. Jest to w dużej mierze pomocne dla odróżnienia proroczych, wizjonerskich ustępów Księgi Ezechiela, od tych jej fragmentów, które zawierają opisy statków kosmicznych (swoje studium ograniczyłem do tych ostatnich).

Jako inżynier nie czuję się kompetentny w zakresie analiz „nieinżynierskich" fragmentów Księgi.

Kim był Ezechiel, co i gdzie zobaczył?

Ezechiel w ciągu 20 lat miał cztery spotkania ze statkami kosmicznymi. Pierwsze miało miejsce w 592 r. p.n.e., w pięć lat po wygnaniu Ezechiela wraz z około 8 tys. innych Żydów do Babilonii. Prorok miał wtedy 30 lat, był żonatym kapłanem, pochodził z klasy wyższej. Gdy po raz pierwszy ujrzał statek kosmiczny, to niezwykłe doświadczenie tak nim wstrząsnęło, że doznał silnego szoku. O konstrukcji i funkcjonowaniu statku najwięcej możemy dowiedzieć się z pierwszego rozdziału jego Księgi. Choć pisze później, że w pobliżu Tel-Abib, gdzie mieszkał, zabrany został na pokład statku, a następnie z powrotem odwieziony na to samo miejsce – z samego lotu pamięta niewiele. Pochłonięty niezwykłym doświadczeniem leci „w zaprawionym goryczą podnieceniu ducha" (Rozdział 3, Wersety 3–14). Następne spotkanie odbyło się po kilku miesiącach. Jego opis jest skąpy i fragmentaryczny (Rozdział 3, Werset 22–24).

W opisie trzeciego spotkania, które nastąpiło w rok po pierwszym (Rozdział 8–11) Ezechiel relacjonuje fascynujące wydarzenie, którego punktem kulminacyjnym było coś, co wydaje się wskazywać, że obserwował on czynności konserwacyjne urządzeń lub był świadkiem usuwania awarii statku kosmicznego. Mechaniczne ramię urządzenia wirnikowego sięga w kierunku rozgrzanego do czerwoności obszaru w dolnej części korpusu (Rozdział 10, Werset 7) i podaje jakiś „gorący" przedmiot jednemu z członków załogi stojącemu na ziemi, któremu uprzednio wydano polecenie zajęcia pozycji w pobliżu konstrukcji wirnikowych. Członek załogi zabiera ten gorący przedmiot. Porównanie świątyni, jaką opisuje Ezechiel z planem świątyni Salomona (wówczas jeszcze istniejącej) wskazuje, że Ezechiel opisuje jakąś inną świątynię. Ale gdzie?

Takie samo pytanie pojawiło się przy opisie czwartego spotkania, które nastąpiło w 20 lat po pierwszym spotkaniu. (Rozdział 40 i następne). Przybycie Ezechiela do dużego kompleksu budowli było na pewno spodziewane. Proroka oczekiwał człowiek ubrany jak dowódca statku, który zabrał go następnie na długą przechadzkę po świątyni. Relacja z tego spotkania, jak również Księga Ezechiela urywają się nagle w tym miejscu. Należy więc je traktować jako fragment większej całości.

W przekazie tych wszystkich epizodów nigdzie nie znajdziemy sprzeczności. Dotyczy to zarówno powtarzających się opisów pojazdu, jak również opisów tego, co działo się ze statkiem lub co było z nim związane. Odtworzona przeze mnie konstrukcja wykorzystująca nowoczesną wiedzę techniczną i słowa zawarte w Biblii pokrywają się absolutnie i dokładnie.

Kogo spotkał Ezechiel?

Ezechiel był z pewnością człowiekiem bardzo inteligentnym i mającym rzadki dar obserwacji. Posiadał też niewiarygodną wprost zdolność do zachowania intelektualnej równowagi mimo niezwykle silnych przeżyć emocjonalnych, jakie bezsprzecznie wywołało pierwsze spotkanie. Gdy obserwował dowódcę statku znajdował się jednak w szoku. Ezechiel pisze, że po tym doświadczeniu przychodził do siebie przez siedem dni. Należałoby się zatem spodziewać, że prorok powie: „zobaczyłem Boga i Bóg do mnie przemówił". Nic z tego. Sylwetkę dowódcy Ezechiel porównuje z sylwetką „Adama" lub „Człowieka" i bardzo rzeczowo pisze: „ów do mnie przemówił". Nigdy, w trakcie żadnego ze swoich spotkań z dowódcą statku i z innymi członkami załogi, nie okazywał im żadnej czci.

Informacje przekazane przez Ezechiela pozwalają przypuszczać, że spotkał się on z częścią grupy ekspedycyjnej. W jego zapisie znajdujemy niedwuznaczną sugestię dotyczącą rangi członków załogi (porozumiewających się w tonie formalnym) i organizacji grupy. W połączeniu z założeniem, że cywilizacje pozaziemskie musiałyby również kierować się względami ekonomicznymi, prowadzi to do przypuszczenia, że – choćby właśnie z powodów ekonomicznych – spotkanie z Ezechielem nie mogłoby być wyłączną przyczyną i celem przedsięwzięcia.

Zastosowanie do interpretacji Biblii wiedzy inżynierskiej nie pozostawia miejsca na inną interpretację tekstu. Próby wyjaśnienia tych samych zjawisk wizjami, halucynacjami, reakcjami psychologicznymi czy astrologią wymagałyby zaakceptowania długiego ciągu zbiegów okoliczności. Zbiegi okoliczności byłyby niezbędne w celu uzyskania tej niesprzeczności, którą osiągnąłem korzystając z „rozumowania technicznego".

Współczesne podejście do problemu wizyty „obcych", podejście, które ma już ustaloną pozycję można sprowadzić do następującego stwierdzenia: „nie wiemy skąd przybyli, ani w jaki sposób do nas dotarli, nie mogli więc tu być". Z czasem jednak dowody ułożą się w ciąg bardziej przejrzysty na tyle, że będziemy mogli przyznać: „byli tutaj, a więc musieli tutaj przybyć". Nowoczesna technika pozwala na dokonywanie postępu w tej dziedzinie i mam nadzieję, że będzie w stanie wzbudzić wystarczająco duże zainteresowanie tą sprawą w środowisku inżynierów (nie tylko specjalistów od konstrukcji i struktur), na tyle duże, by podjęli oni podobne badania.

Nie będziemy jednak mogli owocnie pracować bez wsparcia naukowców z innych dziedzin – fizyków, archeologów i etnologów. Najbardziej potrzebna jest współpraca umysłów otwartych – i o nią proszę.

Przełożyli z angielskiego:
MiA Komudowie

[1] Impuls właściwy – jeden z parametrów określających pracę silnika rakietowego. Jest to kilogram siły ciągu wytwarzanego z każdego kilograma materiału napędowego pochłanianego w 1 sekundzie. Wyraża się w sekundach.

Joseph F. Blumrich pochodzi ze Steyr w Austrii. Jest inżynierem, autorem wielu patentów. Do niedawna był szefem Systems Layot Branch w Marshall Space Flight Center przy NASA. Pracował nad konstrukcją urządzeń wspomagających Saturna V i współuczestniczył w budowie Skylaba. Opuścił NASA, aby cały swój czas poświęcić studiom dotyczącym pozaziemskich wizyt w czasach starożytnych. Jest autorem książki „Statki kosmiczne Ezechiela".

CZYŻBY ROZWIĄZANIE ZAGADKI PŁASKOWYŻU NAZCA?

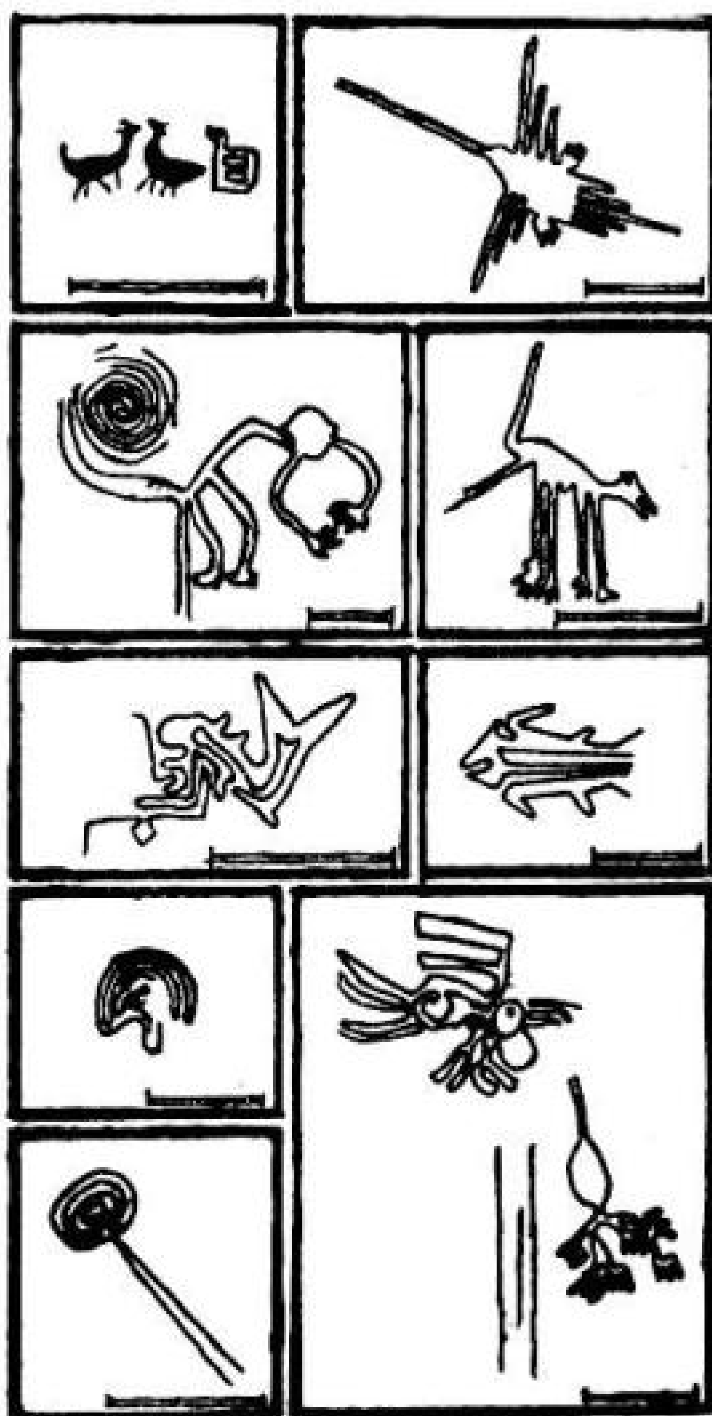
Przygotowuję obecnie do druku książkę dość nietypową. Każdy jej rozdział będzie stanowić streszczenie innej książki, która ukazała się za granicą i poświęcona jest jakiemuś (jednemu) problemowi paleoastronautycznemu. Podczas tej pracy, która zmusiła mnie do intensywnej lektury, nasunęły mi się pewne skojarzenia czy wnioski mogące mieć dla interesujących nas tu problemów paleoastronautycznych dość istotne znaczenie. Niektórymi z nich chciałbym się podzielić z czytelnikami, zanim moja książka ukaże się na półkach księgarskich.

Nazwą paleoastronautyki określa się dzisiaj te hipotezy, które głoszą, iż mamy na świecie w formie legend, mitów i rzeczowych przekazów wiele dowodów świadczących o tym, że w bliżej nieokreślonej przeszłości lądowali na Ziemi przedstawiciele jakiejś hipotetycznej cywilizacji pozaziemskiej. Ci pradawni astronauci (paleoastronauci), jak głoszą te hipotezy, mieli odegrać wielką rolę w dziejach naszego gatunku. Nie zamierzam wypowiadać się na temat prawdziwości tych hipotez. Ich wartość osądzą czytelnicy mojej książki „O tych co w kosmosie".

Jedną z pozycji, które w niej streściłem jest praca Josepha F. Blumricha pt. „Kaskara i siedem światów". To właśnie inżynier Blumrich jest autorem astronautycznej interpretacji widzenia Ezechiela. Pierwsza książka Blumricha wywołała w swoim czasie wiele hałasu. Ale to nic w porównaniu z wrzawą, jaka się podniosła, gdy światło dzienne ujrzała druga jego książka.

„Kaskara i siedem światów" poświęcona jest legendom Indian północnych amerykańskiego plemienia Hopi. W pierwszej części swej książki Blumrich relacjonuje przekazane mu przez wodza tych Indian legendy, opowieści i mity dotyczące ich dziejów. W drugiej części natomiast, Blumrich konfrontuje treść tych przekazów z najnowszymi osiągnięciami wiedzy, jak też z hipotezami naukowymi dotyczącymi zarówno przeszłości Ameryki, jak i Oceanu Spokojnego.

Otóż legendy Indian Hopi związane są z zagadką, która do dziś jest niezupełnie wyjaśniona, a mianowicie ze sprawą pojawienia się człowieka na kontynencie amerykańskim. Oficjalna wersja głosi, jak wiadomo, że przed tysiącami lat, kiedy Cieśnina Beringa była jeszcze przesmykiem łączącym Azję z Ameryką, tamtędy właśnie przedostały się na kontynent amerykański hordy pierwotnych myśliwych w pogoni za zwierzyną łowną. I oni to właśnie, od północy, mieli zaludnić Amerykę. Hipoteza ta nie wyjaśnia wielu innych niezrozumiałych faktów, jak chociażby powstania najbardziej rozwiniętych cywilizacji indiańskich właśnie na południu, na terenach najbardziej niedostępnych, a nie na północy na terenach mlekiem i miodem płynących. Legendy Indian Hopi podobnie jak legendy Inków, Azteków czy Majów głoszą, że pierwotną ojczyzną Indian był ląd znajdujący się daleko, za morzami i że stamtąd, od zachodu, mieli przybyć pierwsi Indianie. Przed mniej więcej osiemdziesięcioma tysiącami lat, istniał na Pacyfiku wielki ląd, który uległ katastrofie. Ląd ten nosił właśnie nazwę Kaskary. Katastrofa Kaskary nie nastąpiła nagle, ale rozciągnęła się na kilkadziesiąt wieków, po



których ląd z resztkami rozkwitłej na nim cywilizacji miał zanurzyć się całkowicie w falach oceanu. Ludność częściowo zginęła, ale duża jej część uratowała się emigrując w różne strony świata, przede wszystkim na wschód, w kierunku Ameryki Południowej.

Ale co to wszystko ma wspólnego z paleoastronautyką? Otóż w legendach indiańskich, a przede wszystkim w legendach Indian Hopi wiele miejsca zajmują istoty, które przybyć miały z odległej planety i które od zarania dziejów owej legendarnej Kaskary opiekować się miały jej ludnością i kierować jej rozwojem cywilizacyjnym. Owe istoty nazywane są przez Indian Hopi – Kaczynami. Gdy istnieniu cywilizacji i lądu Kaskary zagroziła katastrofa, Kaczyni – posiadając umiejętność i możliwości poruszania się w powietrzu na specjalnych aparatach – stwierdzili, że wraz z powolnym i nieuchronnym zanurzaniem się Kaskary w oceanie, na wschodzie, w odległości kilku tysięcy kilometrów od Kaskary wyłania się z oceanu nowy ląd. Była to Ameryka Południowa.

Decyzją Kaczynów rozpoczęła się emigracja ludności Kaskary na nowy ląd. Trwała ona wiele tysięcy lat. Wreszcie Kaskara całkowicie zanurzyła się w oceanie, pozostawiając po sobie jedynie wyspy Oceanii, Hawaje na północy oraz Wyspę Wielkanocną na południu. Z braku miejsca pomijam tu bardzo istotne szczegóły tych legend.

Według przekazów Indian Hopi ludność Kaskary dzieliła się na klany, których członkowie związani byli zarówno wspólnotą krwi, jak i specjalizacją zawodową w społecznym podziale pracy. Wieloma drogami wiedli Kaczyni (których nietrudno zidentyfikować z Wirakoczami Inków) ludność Kaskary na ląd Ameryki Południowej. Emigracja ta odbywała się klanami – Kaczyni umożliwiali przeniesienie się na nowy ląd przede wszystkim tym klanom, które w pierwszym okresie były najbardziej potrzebne w budownictwie, budowaniu dróg, dostarczaniu żywności, niesieniu pomocy zdrowotnej, formowaniu się życia społecznego itp.

Spis tych klanów zajmuje w opowieści wodza Indian Hopi niewiele miejsca. Czytając jednak tę część relacji Białego Niedźwiedzia nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że obracam się w kręgu spraw skądś mi znanych. Rozmówca Blumricha wymienia np. Klan Węża, Klan Kondora, Klan Jaszczurki, Klan Ognia, Klan Małpy itp. Ten zestaw brzmiał mi dziwnie znajomo... No i wreszcie przypomniałem sobie...

Ale zanim wyjaśnię, jakie skojarzenia nasunął mi ten zestaw nazw, pozwolę sobie przypomnieć jeden z koronnych argumentów, jakie na słuszność hipotez paleoastronautycznych przedstawiają ich obrońcy (aczkolwiek argument to nie najmocniejszy). Chodzi o płaskowyż Nazca.

Nazca znajduje się w Peru. Na przestrzeni kilkuset kilometrów kwadratowych rozciągają się tu na ziemi długie, proste, o różnej szerokości pasma do złudzenia przypominające pasy startowe współczesnych lotnisk. Nic dziwnego, że wielu uznało je za autentyczne pasy startowe, kiedyś – w zamierzchłej przeszłości – wykorzystane. Ale to tylko jedna zagadka tego płaskowyżu. Drugą stanowią wyrysowane, a właściwie wyryte na ziemi, na wspomnianych pasach zarysy różnych zwierząt, ptaków czy przedmiotów. Rysunki te (grabados) są olbrzymie, dochodzą do kilkusetmetrowej długości.

Całość tę odkrył w roku 1939 astronom amerykański Paul Kosok, a Simone Waisbard, wybitna znawczyni Ameryki Południowej określiła płaskowyż nazkański jako „najbardziej niezrozumiałą zagadkę archeologiczną wszystkich czasów". W zakończeniu swojej książki poświęconej zagadkom tego płaskowyżu wylicza ona skrupulatnie wszystkie naukowe hipotezy, które usiłują te zagadki wyjaśnić. Wśród nich jest jedna, do której jeszcze wrócę.

... Czytelnicy zorientowali się już zapewne co zwróciło moją uwagę w szczegółach legend indiańskich mówiących o emigracji ludności Kaskary na ląd Ameryki Południowej. Nazwy klanów odpowiadały w zasadzie rysunkom wyrytym na płaskowyżu nazkańskim!

Rozmówca Blumricha nie ograniczył się tylko do okresu zagłady. Katastrofa, która dotknęła Kaskarę, to tylko fragment jego relacji. W legendach Indian Hopi zawarta jest jak gdyby całość dziejów Indian amerykańskich – od chwili opuszczenia przez nich Kaskary, aż do przybycia Hiszpanów. Otóż, jak głoszą owe legendy – klany po znalezieniu się na terenie nowego kontynentu nie rozpadły się. Pełniły nadal swoją funkcję społeczną, wciąż będąc kierowane przez Kaczynów-Wirakoczów. W późniejszych dziejach Indian były okresy względnego spokoju, były też okresy chaosu. Były też wielokrotnie ponawiane przez Kaczynów próby zorganizowania dla coraz bardziej rozpraszającej się po kontynentach Ameryki ludności, ośrodka władzy administra-

cyjnej i duchowej. Po dziś dzień, podkreśla Biały Niedźwiedź, należy on do Klanu Kojotów...
Gdy skończyłem pracę nad książką Blumricha postanowiłem do niego napisać. Zresztą znajomość między nami datuje się od dosyć dawna. Oto treść tej korespondencji:

24.VIII.1981.

Joseph Blumrich
Laguna Beach, USA

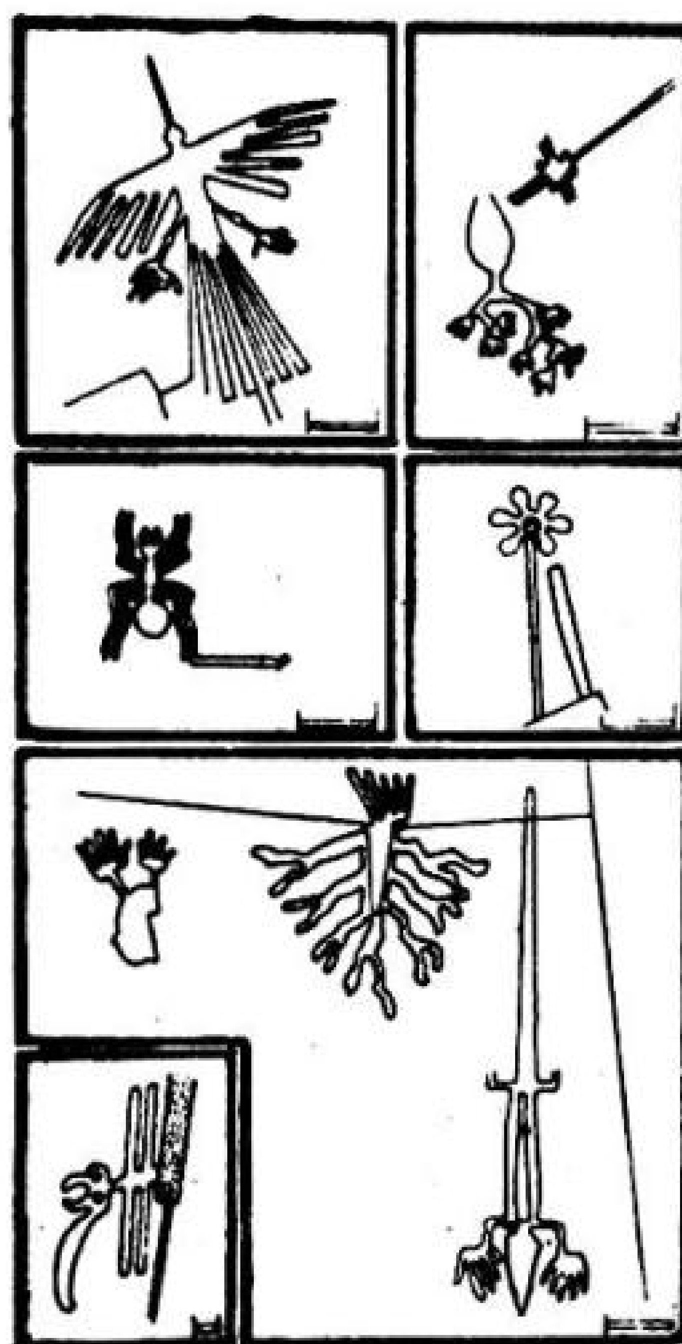
Szanowny Panie!
Przygotowuję obecnie książkę mającą zaprezentować polskiemu czytelnikowi najnowsze osiągnięcia w dziedzinie badań z zakresu paleoastronautyki. Na książkę tę złożą się streszczenia najciekawszych pozycji książkowych, jakie zostały w tej dziedzinie ogłoszone. Jest to jedyny sposób przedstawienia w Polsce nowości wydawniczych, jako że nie ma obecnie warunków, które pozwoliłyby na zakup licencji umożliwiających wydanie tych książek w naszym kraju.
Nie zdziwi Pana fakt, że na pierwszym miejscu wśród tych najciekawszych pozycji znajduje się Pańska książka „Kaskara i siedem światów". Jest to książka żywo napisana, dobrze udokumentowana i przede wszystkim przekonywająca, co jako popularyzator potrafię ocenić.
Czytając Pańską książkę, a przede wszystkim jej część poświęconą wypowiedziom Białego Niedźwiedzia, nie mogłem pozbyć się przekonania, że przybycie rozbitków z Kaskary do Ameryki Południowej łączy się z częściowym przynajmniej rozwiązaniem zagadki Nazca. Pozwala, moim zdaniem, wyjaśnić cel i istotę owych widzianych wyłącznie z pewnej wysokości rysunków przedstawiających różne zwierzęta, ptaki czy przedmioty. Większa część znanych mi rysunków z równiny Nazca odpowiada treścią nazwom klanów przybyłych z Kaskary. Klanowi Orła odpowiada rysunek orła (obojętne czy uchodzi on za rysunek kondora), Klanowi Węża odpowiada rysunek węża, Klanowi Kojota odpowiada rysunek kojota. Mowa jest w legendach o Klanie Pająka – mamy w Nazca rysunek pająka. Mowa jest o Klanie Jaszczurki – mamy rysunek jaszczurki. Mowa jest o Klanie Ognia – jeden z rysunków można uznać za przedstawiający ogień.
Niestety, nawet u Simone Waisbard („Szlaki Nazca"), autorki najpełniejszej książki poświęconej zagadkom tej równiny, nie ma dokładnego wyliczenia wszystkich istniejących tam rysunków (jest ich przecież ok. 200), jak też nie ma w Pana książce nazw wszystkich klanów. Dlatego też chciałbym poznać opinię Pana o mojej hipotezie, mimo że oparta jest ona o niepełne przecież dane. Byłaby to, zdaje się, pierwsza konkretna i adekwatna próba wyjaśnienia rysunków nazkańskich.
Zwracam uwagę, że w teoriach próbujących wytłumaczyć sławne linie czy szlaki Nazca, znaleźć można między innymi hipotezę Artura Jimeneza, który wraz z archeologiem Hansem Korkheimerem jest zwolennikiem genealogicznej próby wyjaśnienia pasów Nazca. Jimenez pisze (cytuję za Simone Waisbard): „...siatka przecinających się dróg obrzędowych kierowała prawdopodobnie różne plemiona na miejsca, w których spotykały się wyłącznie one".
Co Pan o tym wszystkich sądzi? Gdyby przypuszczenie moje było słuszne, za jednym zamachem potwierdzona zostałaby wiarygodność opowieści Indian Hopi i wyjaśniona sprawa rysunków w Nazca.
Będę Panu wdzięczny za odpowiedź. Pozostaję z szacunkiem i pozdrawiam.

Arnold Mostowicz

24.VIII.1981.

Arnold Mostowicz
Warszawa, Polska

Drogi Panie!
Bardzo Panu dziękuję za Pański list. Cieszy mnie też Pańska opinia o mojej książce...
Jeśli idzie o Nazca, to jestem przekonany, że ma Pan rację i że znajdujące się tam rysunki są znakami klanów. Sam również o tym pomyślałem i kilka lat temu pokazałem Białemu Niedźwiedziowi te rysunki. Był nimi zachwycony.
Jednak sprawa jest bardziej skomplikowana. Równina Nazca leży niewiele ponad sto metrów nad poziomem morza, Tiahuanaco zaś ok. 3900. W czasie więc imigracji Indian, kiedy Tiahuanaco musiało być portem, równina Nazca znajdowała



się pod wodą i to co najmniej na głębokości 3700 metrów. Jeśliby Nazca miała w tej imigracji odegrać jakąś rolę musiała być lądem. To zakłada, jeśli idzie o wynurzanie się Ameryki Południowej z oceanu, nieprawdopodobne tempo jednego metra rocznie. (Chodzi o to, że okres między początkiem a końcem osiedlenia się rozbitków Kaskary na lądzie Ameryki Południowej trwał ok. 4000 lat – A.M.) Dlatego nie sądzę, by Nazca związana była z epoką przybycia rozbitków z Kaskary. Natomiast wydaje mi się prawdopodobne, że Nazca odegrała dużą rolę w okresie, który określiłem w mojej książce jako „drugą fazę" obecności i działania Kaczynów. Jest to dynamiczna faza, podczas której obydwa kontynenty, Ameryka Południowa i Północna – zostały zaludnione. Wykorzystanie w tym czasie symboli klanowych dla zebrania czy ponownego zjednoczenia wszystkich klanów, wydaje się całkowicie uzasadnione.
Inicjatywa taka była widać niezbędna skoro nie cofnięto się przed użyciem niezwykle rozwiniętej techniki, bez której trudno sobie wyobrazić wykonanie zarówno rysunków, jak i owych linii geometrycznych.
Sądzę, że przebieg odtworzonych przeze mnie wydarzeń współgra z hipotezą genealogiczną Jimeneza i Korkheimera. Byłbym Panu wdzięczny, gdyby zechciał Pan któregoś z tych autorów o tym powiadomić.
Jeśli idzie o klany w ogóle to było ich wiele. Dzielono je na grupy zależne od tego, w jaką stronę – lewą czy prawą – zataczały one koło podczas swoich wędrówek po kontynencie północnoamerykańskim. Ale w tym wypadku nie ma to znaczenia. W każdym razie istniały klany: Niedźwiedzia, Pająka, Orła, Papugi, Kojota, Wody, Borsuka, Fletu, Kukurydzy, Węża, Sokoła, Wrony, Lamy, Dymu, Mgły, Żurawia (!) itd. Dane te pochodzą z książki Franka Watersa, która wkrótce ukaże się w języku niemieckim.

Zasyłam serdeczne pozdrowienia
Joseph F. Blumrich

Co z tego wynika?
Po pierwsze – to fakt, że legendy indiańskie rzucają zupełnie nowe światło na rysunki nazkańskie. Po drugie – stanowi to pomost łączący Nazca z epoką osiedlania się Indian na kontynencie amerykańskim. A po trzecie – weryfikuje to za jednym zamachem pozostałą część relacji Białego Niedźwiedzia, dotyczącą obecności na Ziemi owych tajemniczych istot, jakimi byli Kaczyni. (Kaczynami po dziś dzień nazywają się sporządzane od wieków przez Indian Hopi lalki, które przedstawiają Kaczynów i mają uwiecznić ich w pamięci członków plemienia.)
Tymi ostatnimi sprawami zajmuję się szerzej w mojej książce, przypominając, że prawie wszystkie, nierzadko odległe od siebie o dziesiątki tysięcy kilometrów dawne cywilizacje, czy stare kultury pozostawiły po sobie legendy, które w jednym punkcie zawsze są ze sobą zgodne: kiedy wspominają o obecności na naszej planecie jakichś bogów, którzy przybyli z innych planet i kiedy podkreślają rolę cywilizacyjną, jaką ci przybysze odegrali na naszej planecie. Wszystko to brzmi może absurdalnie, ale wypada zapytać za Levy-Straussem, czy do pomyślenia jest, aby ludzkość większą część swoich dziejów poświęciła na przekazywanie sobie i potomnym bzdur i absurdów?

■


DIEGO SOL - WIELKA HALA ROZRYWKI...
12 C
UWAGA, UWAGA!
2082 MISS


OTO MISS UNIVERSUM 2082!
TYLKO NIE ZAKOCHAJ SIĘ, FUNKY...
AAARH!
JEA JEA!

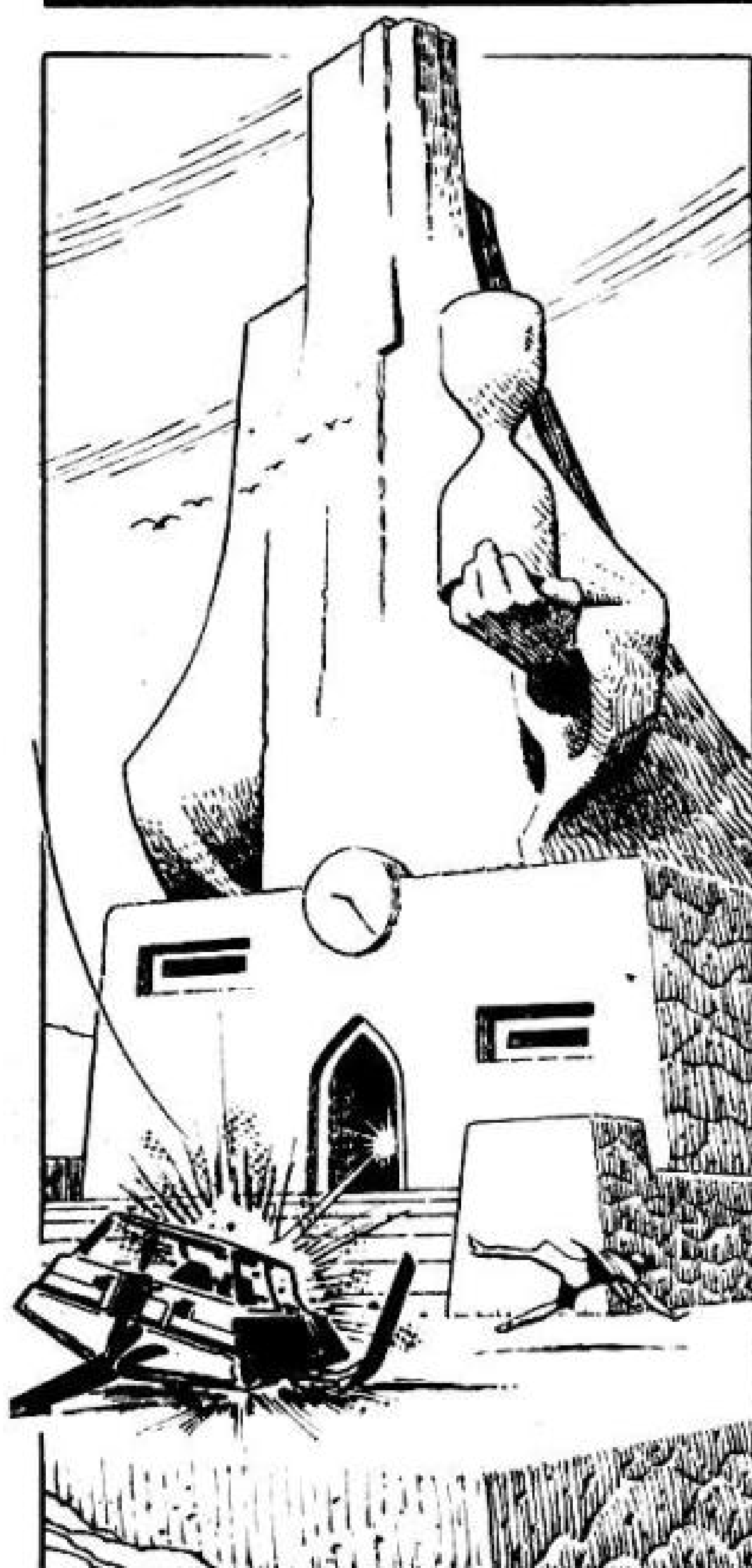

...NIE PO TO TU JESTEŚMY.
ZAUWAŻYŁAŚ JUŻ COŚ, BRENDA?


NAGLE!...
!?!
GAZ!
AAAA...
UNIVERSUM
!!!
FUNKY, CO SIĘ DZIE...

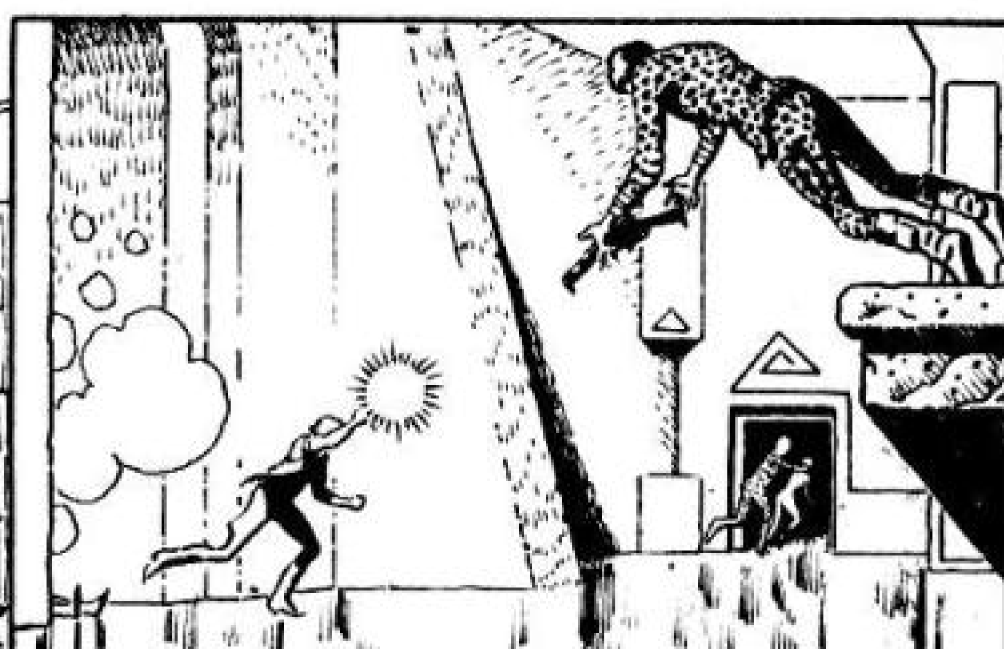

HEJ?
SHOP


PÓŁ GODZINY PÓŹNIEJ.
SZEFIE! LĄDUJĄ W KWADRACIE X-7. TO ŚWIĄTYNIA TEMPORYSTÓW. GONIĘ ZA NIMI.


SZEFIE! ZROBILI TO! STARTUJĄ!
TRZYMAJ SIĘ TUŻ ZA NIMI. ALE BEZ SZALEŃSTW, KOVAL!








! WINDA CZASU? ?
DOSTA-NĘ CIĘ, DRANIU!


PO CHWILI...
W DROGĘ.


TYMCZASEM W AGENCJI UNIVERSS...
STRACIŁEM Z NIM KONTAKT. SZUKAJCIE ICH W KWADRACIE X-7.
POŚPIESZ-CIE SIĘ!


GDZIEŚ W ODLEG-ŁEJ PRZESZŁOŚCI.
BRAĆ GO! JEST OSZO-ŁOMIONY!


TY MOŻE NAWET PRZEŻYJESZ DO JUT-RA. DZIŚ WIELKI MAG ŚWIĘCI NARODZINY SWOJEJ CÓRKI.
CO CHCE-CIE ZROBIĆ Z DZIEW-CZYNĄ?


ZŁOŻĄ JĄ W OFIERZE ?! MUSZĘ DZIAŁAĆ.






TERAZ!


NIE!

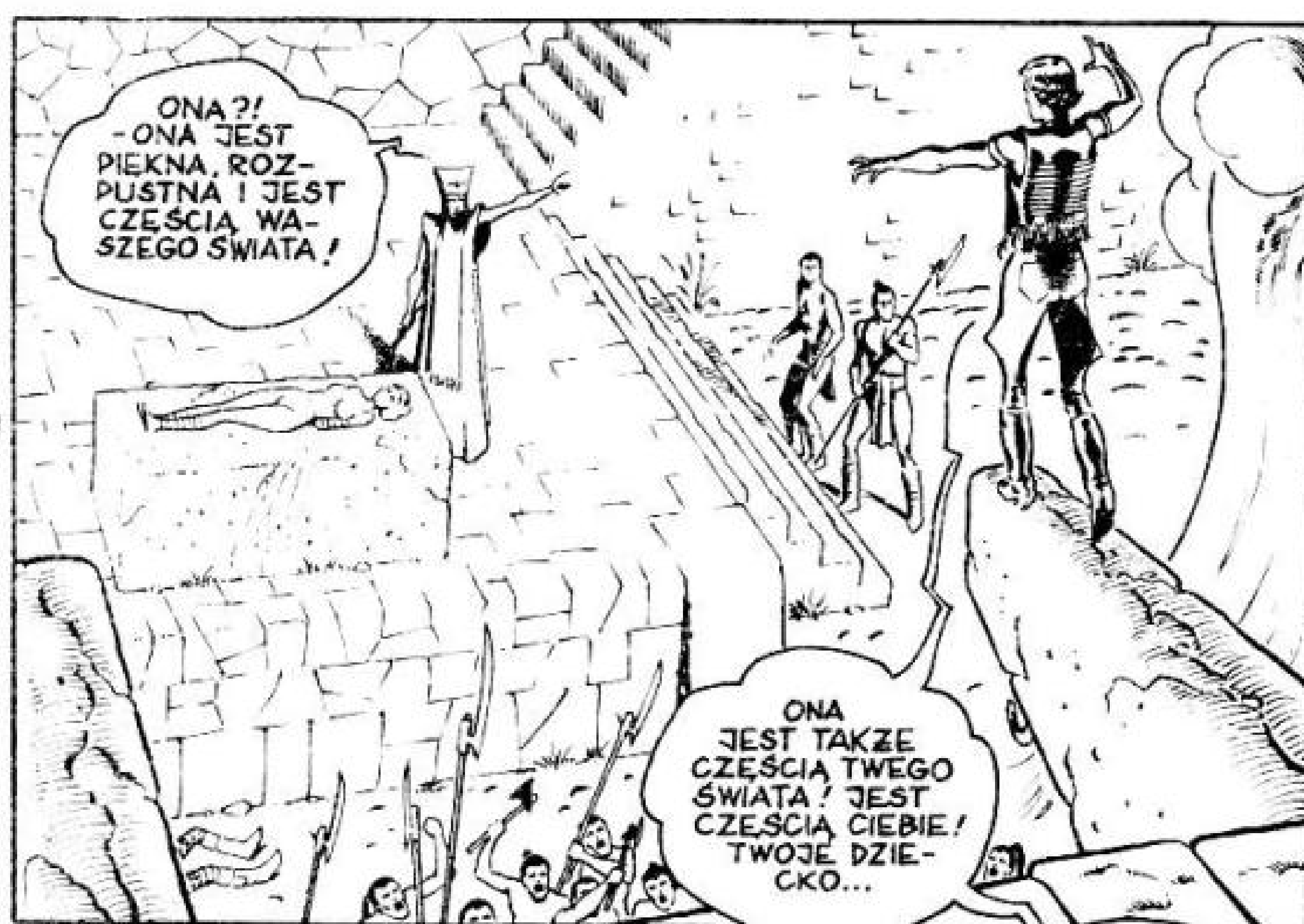

MAGOWI URODZIŁA SIĘ CÓRKA. MUSZĘ TO WYKORZYSTAĆ, ALE JAK ?!


ZATRZYMAJ SIĘ, WIELKI MAGU! NIE WIESZ, CO CZYNISZ!!!
NIE SŁUCHAJ TEGO...


TY KANALIO!
ZIP!


AAARR...


NIE BARDZIEJ SZALENI NIŻ TY! ONA JEST NIEWINNA!
WEŹCIE TAKŻE JEGO! WSZYSCY W WASZYM ŚWIECIE SĄ ŻĄDNI ZŁOTA, ZEPSUCI I SZALENI!


ONA?! -ONA JEST PIĘKNA, ROZPUSTNA I JEST CZĘŚCIĄ WASZEGO ŚWIATA!
ONA JEST TAKŻE CZĘŚCIĄ TWEGO ŚWIATA! JEST CZĘŚCIĄ CIEBIE! TWOJE DZIECKO...


...BĘDZIE KIEDYŚ MATKĄ. I JEJ CÓRKA TAKŻE ZOSTANIE MATKĄ. I TAMTA... TO TWOJA KREW WIELKI MAGU. MÓWISZ, ŻE WIESZ WSZYSTKO O NASZYM ŚWIECIE, ALE NAJWAŻNIEJSZEGO NIE WIEDZIAŁEŚ!

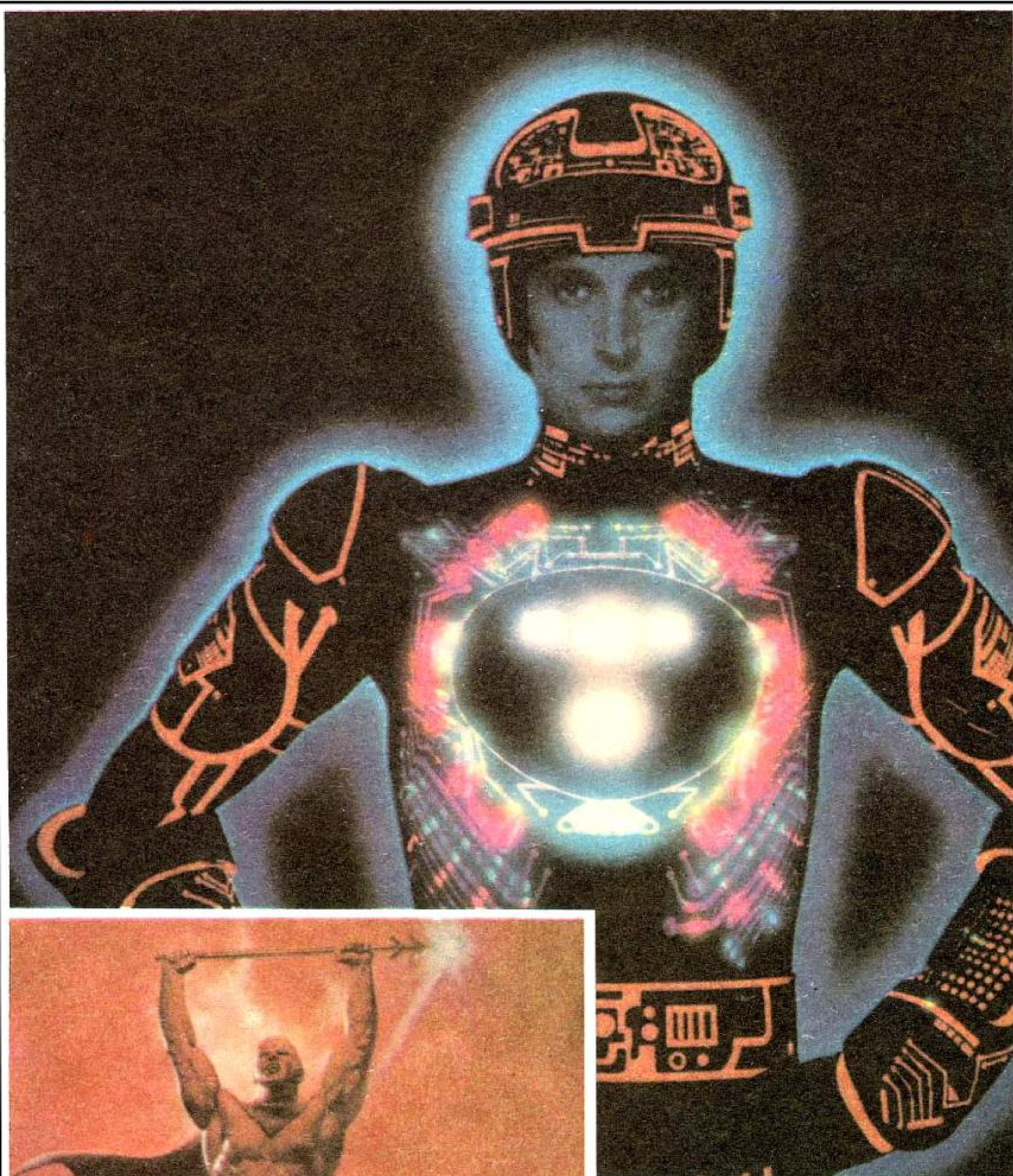

WIĘC WEŹ JĄ SOBIE MŁODZIEŃCZE I WRACAJ TAM SKĄD PRZYBYŁEŚ.


PO CHWILI.
ŻEGNAJ DZIECINKO...
...A RACZEJ PRA, PRA... PRABABCIU ?
...I NIGDY WIĘCEJ NIE IGRAJ Z CZASEM WIELKI MAGU.


PARĘ TYGODNI PÓŹNIEJ...
WNUCZKA WIELKIEGO MAGA
TON
353
OBRAZ
52


HEJ, MISS! Z TĄ WNUCZKĄ TO BYŁ MÓJ PATENT!
O.K. FUNKY, JESTEM TWOJĄ DŁUŻNICZKĄ. WIESZ GDZIE MNIE SZUKAĆ!
!!
CISZA NA PLANIE! ZA CO JA WAM PŁACĘ?! POWTARZAMY UJĘCIE! JAZDA!
© by M. PAROWSKI & J. RODEK B. POLCH '82

THE THING – kadr z filmu



HEAVY METAL – plakat filmowy

HEAVY METAL – kadr z filmu